

ANNA BRZEZIŃSKA

OPOWIEŚCI
Z WILŻYŃSKIEJ
DOLINY



GWIAZDOZBIÓR FANTASTYKI



Anna Brzezińska

OPOWIEŚCI Z WILŻYŃSKIEJ DOLINY

2002

TMN

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[A kochał ją, że strach](#)
[Córki grabarza](#)
[„Rzyć niewieścia...”](#)
[Zaklęta księżniczka](#)
[Ballada](#)
[Grasanci z Kamiennego Lasu](#)
[Grzybobranie](#)
[Kot Wiedźmy](#)
[Szczur i panna](#)
[Epilog](#)

A KOCHAŁ JĄ, ŻE STRACH

Z Wilżyńskiej Doliny wszędzie było daleko. Gościniec omijał ją szerokim łukiem, tak że do cywilizacji wiodły jedynie dwie kręte, porośnięte trawą dróżki. Wysoka ścieżka wspinała się pomiędzy trzema zawieszonymi nad doliną szczytami, Palem, Maczugą i Mnichem, aż do kupieckiego traktu. Niska ścieżka opadała łagodnie wzdłuż Wilżyńskiego Potoku i przez ziemie starosty prowadziła ku odległym posiadłościom opactwa. Co prawda, była jeszcze trzecia ścieżka, ale ona bynajmniej nie zmierzała w stronę cywilizacji. Raczej w kierunku zupełnie przeciwnym.

Szymek jednak nigdy nie powędrował gdzieś hen przed siebie ani wysoką, ani niską ścieżką – a w każdym razie nie dalej niżli na skraj pastwisk, gdzie zgodnie wypasano owce ze wszystkich trzech wiosek Wilżyńskiej Doliny. Raz tylko, nasłuchawszy się nieopatrznie gadek wędrownego kapłana, postanowił, że zostanie starościńskim pacholkiem. Zamarzyły mu się wojenna sława, gorzałka w karczmach przy trakcie i chętne wojakom dziewczuchy. Z tego rozmarzenia wykradł się z wioski głęboką nocą i pognął w dół brzegiem Wilżyńskiego Potoku. Jednakże jeszcze nie zaczęło dniać, kiedy dopadł go władyka, dopadł, po czym wymłócił chłopakowi grzbiet i gwoli przestrogi wsadził w gąsior.

Gdyby szło o kogo innego, pewnie by władyka, człek bardzo nieprzychylny zbiegostwu, nie poprzestał na gąsiorze, ale Szymek naprawdę był personą w Wilżyńskiej Dolinie. Jego opiece powierzono dworską trzodę, którą wybornie przyuczył do wyszukiwania truflí. Wkrótce jednak okazało się, że upartej nierogaciźnie wyrosły rogi – bez Szymka nie sposób ją było skłonić do współpracy. Nadąsane świnie nie chciały odstąpić gąsiora, a wielki ryży wieprz, który przewodził stadu, z czystej złościwości poharatał ulubionego pańskiego ogara. Wreszcie zniechęcony władyka musiał chłopaka wypuścić.

I tak się skończyło Szymkowe wędrowanie. Czas mijał mu spokojnie, nie tyle biegł, ile pełznął niespiesznie i z godnością. Nowiny nie docierały, kupcy ani zbójcy do Wilżyńskiej Doliny nie zaglądali zbyt często. Zresztą i jedni, i drudzy nie mieli tu czego szukać. Okolica była nieurodzajna, a ludek ubogi, spokojny i tak płochliwy, że gdy tylko konie na trakcie usłyszał, chwycił na gwałt dobytek i zmykał w góry. Zwłaszcza jesienią, kiedy poborcy podatkowi ciągnęli.

Szymek był równie lękliwy, jak sąsiedzi i przeważnie siedział pospołu ze swymi świniami głęboko w lasach. Aż do przeszłego tygodnia. Gdyż ostatniej niedzieli, kiedy wedle zwyczaju zamiast słuchać kazania stał w gromadzie znajomych pod starą lipą i siarczyście spluwał na placyk przed kapliczką, zakochał się w Jarosławnie, córce Betki młynarza. I to zakochał się, że strach.

Było to uczucie wielkie, obejmujące Jarosławnę razem z jej cudnymi niebieskimi oczami (szczególnie kochał lewe – zdawało mu się, że nieustannie zezuje w jego kierunku), czterema krowami posagu, puchową pierzyną, trzema haftowanymi poduchami, wypatrzonymi przez Szymka w komorze, i z czternastoma morgami gruntu, które Jarosławnie kiedyś przypadną w spadku. Ojca wybranki, Betkę młynarza, ogarniał swą miłością nader niepewnie, nie bez słuszności bowiem żywił obawę, iż jego głębokie uczucie może pozostać nieodwzajemnione.

Dlatego chyłkiem przekradał się właśnie trzecią ścieżką do chatki Babuni Jagódki, nazywanej przez miejscowych starą, parszywą wiedźmą. Jednakże w owej chwili Szymek starał się usilnie zapomnieć o jej przezwisku. Miał nadzieję, że Babunia będzie w sielskim, przyjaznym ludziom nastroju. Pociągnął nosem. A jak nie będzie, to i tak zdążę uciec, pomyślał. Szczęście, że na wiosnę

Babunię strasznie pokręciła podagra.

Chatka Babuni, ginekologicznej znakomitości dwóch powiatów, sprawiała wrażenie stosowne do profesji właścicielki: była zaniedbana, brudna i cuchnęła kozimi odchodami. Jednakże sława gospodyni niosła się znacznie dalej niżli odór inwentarza. Wieśniacy powtarzali szeptem, że Babunia pokątnie kuruje poszczerbionych zbójców z Przełęczu Zdechłej Krowy, a podobno zdarzało się również, że posyłano po nią z dworu władyki. Co to się na świecie porobiło, sarkali, kiedy w samo południe Babunia Jagódka kroczyła hardo przez wioskowy plac. Kiedyś wiedźmy znały swoje miejsce, ledwie nocką śmiały na świat wychodzić, a i wtedy pokornie u wrót stały, wedle szubienicy. A teraz?

Krzywym okiem spoglądano też na hołubionego przez Babunię capa, gdyż, jak powszechnie wiadomo, wiedźmy mają zwyczaj trzymać w objęciu rozmaite potwory i któż mógł wiedzieć, co się pod tą kozłą skórą kryło? Wieśniacy nieraz się na niego zasadzali, ale bydlę było sprytnie i szybko uciekało. Nie gonili go, bo się po prostu bali – jak na wiedźmę, Babunia Jagódka była nad podziw rozumna i chyba nie do końca sprzyjała mieszkańcom Wilżyńskiej Doliny. Plotki o jej knowaniach ożywały szczególnie w czas nieurodzaju, że zaś ostatnio lata były suche i pomór owce straszliwie trzebił, miejscowy władyka coraz bardziej się niepokoił.

Po prawdzie to przemyślał, jak tu cichutko Babunię Jagódkę ogniem umorzyć. Przez ostrożność odbył najpierw rozmowę z miejscowym proboszczem, który jednakowoż dał stanowczy odpór jego zamysłom, rozumiejąc, że jak świat światem, każda okolica miała, ma i mieć będzie swoją wiedźmę. Ponadto Babunia Jagódka kręciła niezwykle skuteczne czopki na hemoroidy, a przypadłość ta od dawna nękała czcigodnego pasterza. Myśl, że zdumiewająca tajemnica owego remedium miałaby spłonąć wraz z babą, napełniła proboszcza śmiertelnym przerażeniem.

Wkrótce też wyszło na jaw, że zdrada załęgła się w samym domostwie władyki. Spostrzegł bowiem, że nawet jego własna żona, Wisenka, spiskuje z Babunią. Władyka podejrzewał, że ma to coś wspólnego z napitkiem, który spragniona przychówka połowica wlewała w niego każdej niedzieli; cały dzień odbijało mu się potem czymś obrzydliwym. Ponieważ jednak bał się Wisenki, a jeszcze bardziej jej ojca, osławionego starosty Wężyka, pana na Pomieszczenicy, postanowił trzymać się od Babuni z daleka – na razie, bo podglądając okoliczne niewiasty, władyka wykoncypował sobie, że najpóźniej przy czwartym bachorze Wisenka pożegna się z tym padołem i wówczas wiedźma odpowie za wszystko, włączywszy niedzielny kordiał.

Na razie jednak praktyka Babuni rozwijała się znakomicie. Szymek dostrzegł, jak z wiedźmiej chatki wymyka się młoda żona sołtysa i przyciskając coś do podołka, pędzi co tchu w las. Zza niedomkniętych drzwi dobiegał szyderyczy rechot. Stropiony Szymek nerwowo potarł nogą o nogę, ale wizja jasnej przyszłości u boku Jarosławny przeważyla nad strachem.

– Yhm, yhm – chrząknął uprzejmie.

Babunia otworzyła drzwi energicznym pchnięciem kosturka. Przez chwilę wpatrywała się w świniopasa, żując pozółkły paznokiec kciuka, po czym wyskrzeczwała:

– Olala!

Chłopak spłonął rumieńcem.

– Olala! – powtórzyła z cieniem podziwu i niedowierzania w głosie. – Aleś wyrósł, Szymek. Kto by się spodziewał. – Zachichotała.

Zebrał się w sobie i nieśmiało zagaił rozmowę:

– Wódeczki, Babuniu? – Słyszał, że wiedźma lubi sobie czasami popić i zaopatrzył się u karczmarza w porcję okowity.

– Wódeczki? – spytała z politowaniem. – Nie pijam już wódeczki. Odkąd Wisenka zapewniła stały

zbyt na wyciąg z miłostki, pijam tylko skalmierskie wina z piwnicy jej męża. Ty mnie nie zagaduj, Szymek, tylko wykrztuś, czego chcesz. Która to?

– Jarosławna – wypalił i uśmiechnął się głupawo.

Babunia z dezaprobatą pokręciła głową.

– I czternaście mórg – burknęła pod nosem. – Czy wy się nigdy niczego nie nauczycie? Czy ty nie wiesz, że miłostka rośnie na bagnach? Czy ty myślisz, że ja lubię ganiać goło w pełnię księżyca? Czy ty nie możesz sobie znaleźć jakiejś miłej, roztropnej dziewczuchy?

– Nie! – Szymek był pewny swojego uczucia. – Jarosławna albo żadna.

Babunia coś znowu zamruczała.

– A masz czym zapłacić? – spytała podejrzliwie.

Całkiem zbiła go z tropu. Kilka lat temu włądyka poswarzył się z dzierżawcą sąsiedniej doliny i w trakcie forsowania wrażego dworca ojciec Szymka padł na polu chwały (faktycznie w fosie chwały, skąd wyłowiono jego cuchnące jeszcze gorzałką ściervo, ale włądyka miał zacięcie krasomówcze). Odtąd nie powodziło im się z matką najlepiej. Zagon za chałupą nie rodził dość fasoli na zimę, chatynka z każdym rokiem pochylała się coraz niżej i nawet ocieniająca podwórko jabłonka obdarowywała ich jedynie maleńkimi parszywkami. Wprawdzie Szymek miał dwa świniaki, подарowane przez włądykę w chwili słabości, ale prędzej rozstałby się z własnym życiem niż z nimi.

– No... widzicie – zaczął z ociąganiem.

– Co mam widzieć?! – zaperzyła się starowinka. – Czyś ty myślał, że ja tak z dobrego serca będę się po rosie włóczyć? Ja już nie młódka jestem, podagra mnie łamie, zda mi się raczej na zapiecku grzać i miód popijać, nie goło pod księżycem ganiać! Nie zapłacisz, nie dostaniesz! I basta!

– A może by tak... w naturze, Babuniu?

Wiedźma łypnęła ciekawie, bez ceremonii obmacując go wzrokiem.

– No, no! – cmoknęła z zadowoleniem.

Szymek znowu spiekł raka (choć właściwie nie wiedział, dlaczego).

– Myślałem, że posprzątam, drew narąbię – sprostował szybko (choć właściwie nie wiedział, co). – Dach załatam... Toż widzicie, że strasznie dziurawy... Gnoj rozrzucę – dokończył w ostatnim, rozpaczliwym porywie.

Babunia Jagódka milczała wystarczająco długo, by łzy stanęły mu w oczach.

– Siedem dni służby – zadecydowała wreszcie sucho. – I ani dnia krócej.

– Jacy wy dobrzy jesteście – rozpromienił się Szymek. – To ja tu wpadnę jutro, jak tylko słońko zajdzie, i zrobię, co trzeba.

– Miałam na myśli służbę stacjonarną – skrzywiła się Babunia. – Znaczy się, ty i twoje świnię sprowadzicie się na tydzień do mnie. Wóz albo przewóz.

Przez pokryty słomianą strzechą kudłów łeb Szymka przemknęło tragiczne przecucie drwin, jakich nie pożąłują mu prześmiewcy. Wybąkał podziękowanie i markotny powlókł się, by oznajmić świniom wieść o przeprowadzce.

Wbrew jego obawom Babunia Jagódka nie nalegała, by zamieszkał w chacie i zakwaterowała go całkiem przyzwoicie, w obórcie.

– Idę do dworu – oświadczyła. – Wisenka ostatnio zalega z zapłatą, wino już na wyczerpaniu. Wrócę wieczorkiem, a ty chwyć się za robotę i załataj daszek. Ale do studni nie zagłądaj. To bardzo szczególna studnia.

– Nic się, Babuniu, nie martwcie – zapewnił ją skwapliwie. – Ja nie z tych.

Starucha uśmiechnęła się pod nosem (a nos miała wielki jak czerwona bulwa, z nieodzowną kapką zawieszoną na końcu) i zwawo oddaliła się ścieżynką. Skoro tylko zniknęła, Szymek odetchnął

swobodniej. Koło wychodka znalazł pokaźną stertę trzciny do krycia dachu i bez zwłoki wdrapał się na drabinę. Myśl o Jarosławnie dodawała mu skrzydeł. Bo też kochał ją, ze strach.

Kiedy w południe słońce przygrzało mocniej, uznał, że najwyższy czas odpocząć. Upewnił się, że świny spokojnie ryją u podnóża trzech dębów ocieniających polankę, pogroził pięścią ulubionemu capowi Babuni, splunął na płot, łyknął kwaśnego mleka – ale wciąż coś go dręczyło. Wreszcie powoli, ostrożnie, zbliżył się do studni. Cembrowina wydała mu się całkiem zwyczajna. Czujnie rozejrzał się wokół, jednak nic nie zwiastowało rychłego nadejścia wiedźmy.

Co mi szkodzi, pomyślał, i usprawiedliwił się w duchu. Tylko rzucę okiem. W końcu, niby dlaczego mam nie zajrzeć? A może złoto tam Babunia chowa wyłudzone od Wisenki? No, raz kozie śmierć. Zaglądam.

I zajrzał. Zobaczył wybałuszone ze strachu swoje niebieskie ślepia i rozdziawioną zdumieniem gębę. Ale kiedy się tak gapił, w głębi studni coś zbulgotało, zaszumiało rzewnie i dobiegł go ukochany, słodki głosik Jarosławny.

– Co tak stoisz, leniu ty śmierzający. – przemówiła młynarzówna, a za plecami Szymka– W studni pojawiło się jej wdzięczne ramię i zdzieliło go w łeb tłuczkiem do kartofli. – Znowu się obijasz? Ze zbożem przyjechali, migiem gnaj wóz rozładować, bo ojcu poskarżę! – zagroziła, a na powierzchni wody z bulgotem poczęła formować się postać Betki młynarza.

Szymek przezornie nie czekał, co zrobi Betka, który był znany z ciężkiej ręki i plugawego charakteru. Odskoczył od studni, nim zdążył sobie przypomnieć, że to tylko obrazek na wodzie, i do wieczora nie zlaźł z dachu. Wszakże wizerunek Jarosławny wywołał burzę w jego sercu. Byli razem! Przemówiła do niego! Przekomarzała się z nim!

Robota wprost paliła mu się w rękach. Babunia Jagódka wróciła o zmierzchu.

– Aleś się uwiął, Szymek! – rzekła z podziwem, po czym poczęstowała go skalmierskim winem.

Napitek rozrzewnił chłopaka i jeszcze bardziej wzmógł tęsknotę za Jarosławną. W połowie drugiej flaszki gospodyni też najwidoczniej wpadła w dobry nastrój, bo zaczęła nachalnie zwoływać do flaszki nietopyrki; nieszczęsne stworzenia, które dotychczas spokojnie zwisały z belek i bynajmniej nie miały ochoty na dworski rarytas, w popłochu furkotały po izbie. Zachęcony swojską atmosferą biesiady chłopak zadał dręczące go od południa pytanie:

– A co takiego dziwnego z waszą studnią, Babuniu?

– Widzisz, Szymek – wiedźma czknęła i przyjaźnie klepnęła go po ramieniu – ta studnia czarowna jest i podstępna. Taka już tradycja w naszej profesji, że każda wiedźma musi mieć coś czarownego i podstępnego, czy to wrednego demona we flaszcze po porzeczkowej nalewce, czy kije– samobije, czy to osła, co raz sra złotem, a raz czystym gównem i nigdy nie wiadomo, na co mu ochota przyjdzie. Ja mam studnię. Znaczy się, jak ona kogoś polubi, to ładnie śpiewa i pokazuje mu przyszłość. Jeśli kogoś nie polubi, to starczy, żeby taki zajrzał do niej czy wody się napił, a stanie się coś strasznego.

– A coo... strasznego? – wyjąkał Szymek.

– No, różnie to bywa – wyjaśniła pogodnie Babunia. – Jedni się zmieniają w żaby, inni zasypiają na sto lat, a był też jeden taki, co tylko raz się przejrzał i z rykiem popędził w las. Wydawało mu się, że jest jeleniem. Podobno później naprawdę się w niego zmienił. Wisenka powiada, że ten wieniec przy palenisku w starościńskim dworcu jest po nim, ale czy to prawda, nie wiadomo. Wiesz, jak jest z Wisenką.

Szymek nie wiedział, ale zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie aż do lędźwi i z powrotem. Pożegnał się pośpiesznie, życzył Babuni dobrej nocy i pognął do swojej obórki. Nietopyrki skorzystały z okazji i wypadły za nim przez niedomknięte drzwi, a zaczajony za rogiem chaty cap mocno tryknął go w zadek.

– Czarcie nasienie! – rozdarł się chłopak. – Rychło ty skończysz w kotle!

Spał źle. Śniło mu się, że znowu zajrzał do studni i zmienił się w kozła.

O poranku Babunia Jagódka obudziła go waleniem kostura w ścianę obórki i zagnała do wybierania szamba. Smród był taki, że nawet świni uciekły, ale Szymek pracował wytrwale i marzył o ukochanej.

Marzył tak intensywnie, że pod wieczór znów zajrzał do studni.

Wprawdzie w nic się nie zmienił, lecz trochę zdziwiło go to, co ujrzał. Była tam jego Jarosławna. Dostojna i obfita, niczym pękata dziezka do ciasta, z dwoma zasmarkanymi dzieciakami uczepionymi spódnicy, wypędzała świnię z warzywnika. Chłopak popatrzył na nią podejrzliwie: nie, żeby mu się przestała podobać, ale była jakaś odmieniona, minę miała kwaśną i nie szczędziła nierogaciźnie kopniaków. Cóż, i tak kochał ją okrutnie, że strach. Ale najgorsze było to, że cudne lewe oko Jarosławny zezowało na niego jakoś złośliwie, zimno i nieprzychylnie.

Posmutniały powrócił do wybierania szamba.

– Coś ty taki markotny, Szymek? – spytała Babunia.

– Śmierdzi strasznie – burknął.

– Przez ciernie dąży się do miłości – orzekła filozoficznie. – Tylko przez ciernie.

Potem znów urządzili sobie popijawę. Wiedźma opowiadała zamkowe plotki, ciągnęła gorzałę jak chłop i podtykała Szymkowi pod nos marynowane śledzie z cebulą. Uznał więc, że naprawdę niezła z niej babina. Wygrał w karty dwa sznury prawdziwych koralów, a Babunia na koniec tak się spiła, że w kółko bełkotała:

– Przez ciernie, przez ciernie...

Jej stan zaniepokoił trochę Szymka, więc wyniósł się cichcem – nigdy nie wiadomo, czy po pijaku wiedźma nie rzuci jakimś paskudnym zaklęciem. Nim usnął, w jego głowie zakołatała myśl, że ze zmęczenia chyba coś mu się przywidziało. Niepodobna przecież, żeby Jarosławna krzywo na niego patrzyła. Postanowił sumiennie to nazajutrz sprawdzić.

Co też uczynił. Dziewczyna nie tylko krzywo na niego patrzyła, ale też głośno i soczyście klęła, ku uciesze sąsiadów. Z desperacji Szymek-W-Studni poszedł na gorzałkę do karczmy, a Jarosławna mściwie nie wpuściła go na noc do komory. Ułożył się więc w krzakach za młynem, z daleka od drogi, żeby się wieść o jego mężowskim pohańbieniu nie rozniosła po całej wsi. W krzyżu go łamało od targania worów z mąką, w brzuchu burczało z głodu, nawet studnia bulgotała jakoś... szyderczo.

Tak się zasmucił, że pocieszyła go dopiero dokładka pierogów z jagodami. A Babunia Jagódka robiła wyśmienite pierogi.

Tego wieczoru nie powąchał wina, bo w zapale porządków uprzątnął był górę koziego łajna zalegającego pod płotem na tyłach chatki. Niestety, okazało się, że Babunia ma jakąś teorię na temat użyteczności kozich odchodów. Wrzeszczała strasznie i wygrażała mu kosturkiem, Szymek zaś, choć nie rozumiał słowa „destylacja”, pojął, że Babunia jest bardzo zła i lepiej nie wchodzić jej w drogę. Na wszelki wypadek przespał się przy świniach. Jakoś mu bydlątka dodawały odwagi.

Jeszcze przed świtem pognał do studni, jednak nie czekała go żadna przyjemna niespodzianka. Jarosławna wybiła warząchwią ząb Szymkowi-W-Studni, a kiedy chciał jej mężowskim prawem złościć skórę, zagroziła, że niech tylko zakrzywi na nią palec, a tatuś wywali go z domu na zbity pysk. Wykrzyczała też, że musiała całkiem zgłupieć, poślubiając świniopasa, spotwarzyła go od gołodupców, a na koniec skrupulatnie wyliczyła cztery krowy posagu, pierzynę, poduchy oraz morgi, które ma odziedziczyć. Potem pojawił się Betka i zagnał go do roboty w młynie. Kątem oka Szymek-W-Studni dostrzegł, że jego ukochana śmieje się w kułak, a młynarczycy wtórują jej z zapałem.

Zacisnął zęby i postanowił, że nie będzie więcej zaglądać za cembrowinę. Wiedźma miała rację.

Studnia naprawdę była szczególna. Niebezpieczna, złośliwa i wredna.

Naprawił płot, Babunia zaś najpewniej mu wybaczyła, bo w południe nakazała odpocząć. Słoneczko przygrzewało, muchy bzycały sennie i resztę dnia chłopak spokojnie przedrzemał pod dębem.

Na kolację była potrawka z zająca. Szymek nażarł się jak świnia.

– Skąd to macie, Babuniu? – zapytał z respektem.

– Ot, przypałało się. – Wiedźma otarła z brody tłusty sos. – Chcesz jeszcze?

– Po was, Babuniu – odparł uprzejmie, podstawiając talerz. – A wy tak możecie? Znaczy się, w dworskim lesie na zwierza możecie kłusować?

– Kłusować? – obruszyła się Babunia Jagódka. – Ja mam na to przywileje. Jeszcze przez dziada Wisenki pieczętowane, jak ta wielka wojna w Górach Żmijowych nastąpiła. Starosta na południe pociągnął. Wojaczki mu się zachciało, grzybowi staremu. A jak z tej wojaczki wrócił, to i bez konia, i bez siodła paradnego, nawet szubę z niego zdarli, a łeb miał tak poszczerbiony, że mu rozum szczerbami wyciekał. No, to akurat nieduża była strata – zachichotała – bo rozumu w czerepie nigdy za dużo nie miał. Tyle że bez mała przez dwie niedziele musiałam go kurować...

Szymek stropił się. Właściwie nie miał wcale ochoty wysłuchiwać Babcinych historii. Uważał, że od władzy i jego rodziny najlepiej trzymać się z daleka – z nieszczęściem jak z robactwem, starczy blisko podejść, a oblezie ze szczeniem. Babcin brak szacunku dla porządku świata napełniał go niepokojem.

– A ty, Szymek, co chciałbyś robić? – zagadnęła z chytrą miną.

– Może chatę pobielę? – zaryzykował, nie czekając, aż wymyśli coś gorszego od wybierania szamba.

– Oj, Szymek – jęknęła Babunia. – Jutro piątek, żadna, szanująca się wiedźma w obejściu palcem nie ruszy. Co w życiu chciałbyś robić, pytałam.

– No... – Z namysłem podrapał się po głowie. – Chciałbym mieć spokój. Zupę na mięsie i słodki placek ze śliwkami co niedzielę. Parobka...

Babunia dostrzegła, że wysiłek intelektualny staje się dla Szymka zbyt bolesny i oznajmiła:

– Dobrze, placek będzie jutro. Weźmiesz kawałek i zanieś matce, lepiej, żebyś mi się tu nie pałał. O świnię się nie martw, zadbam należycie.

Nazajutrz zwolniony ze służby i radosny Szymek zaczął się w krzakach, by popatrzeć na krzątającą się w obejściu Jarosławnę. Jednakże ze zdziwieniem poczuł, że jego miłości jakby zaczęło ubywać. Mnóstwo jej ubyło zwłaszcza wtedy, kiedy młynarczyki go wypatrzyli i zaczęli pokpiwać, że Jarosławna ma nowego zalotnika. Dziewczyna zaperzyła się, krzyknęła:

– Wynoś się stąd, świniopasie jeden! Przestań za mną łązić! Przestań się na mnie gapić! Wynocha! – I uciekła z płaczem, przy wtórze szyderczego śmiechu młynarczyków.

Zdesperowany jej nieczułością powlókł się z powrotem do wiedźmiej chatki.

Och, Jarosławna!, myślał z wyrzutem, Jarosławna, moja słodka Jarosławna! I czternaście móg, dopowiadał jakiś uparty głos w jego czaszce. Cztery krowy. Puchowa pierzyna... Ale to się zmieni, przekonywał się stanowczo. Jeszcze dwa dni, wywar z miłości i wszystko się zmieni.

Tak się rozmarzył, że dopiero solidne bodnięcie ściągnęło go z powrotem na ziemię. Cap Babuni zabeczkał bezczelnie i uciekł. Czemuś ten cap strasznie go nie cierpiał i trykał przy każdej okazji. Zeżłony chłopak ruszył za kozłem, który przemyślnie umknął do chaty. Jednak popychany słusznym gniewem Szymek nie zawahał się.

– Już jesteś? – zdziwiła się Babunia Jagódka, a gęba Szymka sama rozdziawiła się ze zdumienia.

W izbie bowiem siedziały trzy dorodne, młode dziewczuchy, a jedna z nich właśnie przemówiła

głosem Babuni (tylko młodszym i mniej piskliwym). Miały na sobie rozchełstane, głęboko wycięte kiecki, jakie zwykła przywdziewać wioskowa ladacznica. Tylko gdzież było owej ladaczniczki o wdzięcznym mianie Gronostaj do zaczarowanej wiedźmy!

– Ja tak... za capem... przepraszam – wybąkał przejęty Szymek i uciekł.

Z wnętrza chaty dobiegł go zgodny rechot trzech wiedźm. Pokładały się ze śmiechu. Przewornie zrezygnował więc z kolacji i wrócił do swoich świń.

Rano Babunia wyglądała całkiem zwyczajnie.

– Ty się mnie boisz, Szymek? – zagadnęła.

– No, nie... – skłamał niezdarnie. – Nie bardzo.

– Bo nie ma się co bać. – Pokiwała głową. – Rację mają dziewczuchy, strasznie się ostatnimi czasy rozleniwiałam. Zepsułam miotłę, przestałam się odmieniać zaklęciem „młoda-i-piękna”, nawet z nietopyrkami od dawna się nie włóczę. Ech, prowincja, stagnacja. Nie to, co kiedyś... – Zamyśliła się nad czymś posepnie. – Ale póki tu jesteś, nie będę czarować. Żebyś się zanadto nie spłoszył.

– E, mnie tam wszystko jedno – mruknął. – Zmieniajcie się, jako chcecie.

– Tak? – rzuciła zalotnie Babunia. Zamachała chudziutkimi ramionami, odwinęła się żwawo i znów przed Szymkiem stała czarnowłosa dziewczoja, którą onegdaj widział w chacie. – Dzisiaj jarmark w Zielonkach. Wrócę wieczorem. – Wyrwała sztachetę z płotu, podkasła wysoko kieckę, usiadła okrakiem i odleciała.

Szymek pobielił chatę, pozamiatał klepisko, wyczyścił piec, pożarł resztki pieczystego z wczorajszej wiedźmiej uczyty, i kiedy już zupełnie nie wiedział co robić, poszedł gapić się w studnię.

Jarosławna kazała mężowi wynosić się do młyna, a potem zamknęła się w komorze i strasznie z kimś chichotała. Szymek-W-Studni przytknął ucho do ściany i prawie był pewien, że rozpoznaje głos proboszcza. Jak dźgnięty ostrogą dokonał starannych oględzin potomstwa (Jarosławna ciągle chichotała w komorze) i doszedł do wniosku, że jego najmłodszy syn wielce przypomina z gęby czcigodnego duszpasterza.

Ze złości Szymek skopał cembrowinę. Żal rozdzierał mu serce. Studnia zabulgotała z oburzeniem i nic więcej nie zobaczył.

Słyszał, że Babunia wołała go po powrocie, ale się nie odezwał. Leżał skulony pomiędzy świniami i rozpaczał, rozpaczał tak straszliwie, że usnął dopiero przed świtem. A rano oświadczył, że w niedzielę robił nie będzie.

– Szanuję twoje uczucia religijne – zgodziła się Babunia. – Możemy wpaść do wioski, jak wszyscy pójdą na sumę.

Właściwie Szymek też miał ochotę pójść na sumę, ale uznał, że nie należy prowokować wiedźmy. Nadrabiając miną, usiadł za nią na sztachecie.

– Przytrzymaj się – poradziła Babunia.

Niepewnie objął ją w pasie. Dziewuchy zawsze się z Szymka wyśmiewały. Nawet wioskowa ladacznica szydziła, że powinien siedzieć ze świniami w chlewie, a nie w karczmie. Jednak Babunia tylko otarła się o niego lubieżnie i wierciła nęcąco, póki nie znalazł sposobu, by ją chwycić naprawdę wygodnie.

Wylądowali na rynku, przed karczmą. Zza drzwi kaplicy po drugiej stronie placu dobiegał chrapliwy głos organisty, a żółty wioskowy kundelek, ujadając, wczepił się w kieckę Babuni.

Kopnęła psinę w wystające żebra i zamasyście zebrała spódnice.

– Sennie tu – powiedziała znudzona, rozglądając się dookoła. – Coś mi się zdaje, Szymek, że trzeba ich trochę rozruszać.

Najpierw śmignęli do młyna i wyczarowali robaki w całej mące. Potem zwarzyli piwo w

karczmie, ochwacili konia proboszcza, złamali oś w powozie władyki i napuścili wszy do odświętnej peruki Wisenki. Szymek nie pamiętał, kiedy ostatnio tak dobrze się bawił. Wpadli też na obiad do pobliskiego miasteczka, gdzie w domu o złej reputacji kazali sobie podać sałatę, dzika w sosie myśliwskim, pasztet z truflami, a na deser pianki malinowe. Babunia zapłaciła za wszystko bez zmrużenia oka srebrnymi groszami i kazała jeszcze dodać trzy butelki czerwonego wina na drogę. O północy przemknęli nad osadą, zataczając się na sztachecie i strzelając błyskawicami. Na koniec Babunia wznieciła nad sadem władyki grad sztucznych ogni, a Szymek rżał z ukontentowania i obłapiał ją coraz mocniej.

Ranem obudził się w łóżku Babuni Jagódki. Miał mgliste odczucie, że spędził niedzielę niezupełnie po bożemu, jednak mimo wszystko uśmiechał się głupawo i z zadowoleniem.

Wstał, wciągnął portki, przekąsił owsianym plackiem i twarogiem, który Babunia zostawiła przy łóżku, zapił piwkiem. Z podwórka dobiegło go przeraźliwe meczenie wiedźmiego capa.

– A, Szymek! – ucieszyła się na jego widok Babunia, wciąż w swej młodzieńczej postaci. – Strasznie już mi się znudził ten stary śmierdziel. Widziałeś gdzieś nóż do uboju?

– Leży w szopce. Zaraz naostrzę – zaofiarował się mściwie.

Kozioł najwyraźniej zrozumiał, co się święci, gdyż podjął ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Ale Babunia trzymała mocno.

– Przykro mi, Kierełko – powiedziała nieco melancholijnie. – Strasznie zdiadziałeś, a ja przy tobie. Nawet jako kozioł jesteś do niczego, poza tym potrzebuję skóry na nowy bębenek. – I bardzo zgrabnie poddawszy gardło zwierzaka, zabrała się do sprawiania tuszy. – Jak to się można do gadziny przywiązać. – Pociągnęła nosem. – Tyle lat przeżyliśmy razem.

– Na każdego przychodzi koniec – podsumował sentencjonalnie Szymek.

– Aha – przytaknęła Babunia. – Twoja służba też się skończyła, chłopcze. Mam w chacie gotowy wywar z miłostki. Zadasz jej pięć kropli w napoju i młynarzówna twoja.

Podziękował uprzejmie, ale na myśl o powrocie do osady i funkcji dworskiego świniopasa ogarnęła go czemuś straszliwa melancholia. Dla pociechy pomyślał o Jarosławnie, jednakże nie pamiętał nic prócz tego, jak na niego wrzeszczała w studni i zabawiała się z proboszczem. I było mu coraz bardziej markotno.

– No to łyknijmy strzemiennego – rzekła Babunia, zapraszając go na pożegnalną szklanicę.

Z jednej zrobiły się dwie i trzy, potem cała butelka, i jeszcze jedna. Nie wiedzieć jak zaplątał się pod pierzynę Babuni. W przebłysku stanowczości wlał do jej szklanki wywar z miłostki – i to nie pięć kropli, ale całą flaszeczkę.

– Oj, głupotoż ty moja! – zagruchała czule Babunia Jagódka i pogładziła go po splątanych płowych kudłach.

Jak można się domyślić, Szymek nie poślubił Jarosławny młynarzówny. Przeprowadził się za to na dobre do chatki Babuni Jagódki (strasznie zżymała się, kiedy ją tak nazywał i kazała się wołać zwyczajnie, Jagna) oraz, ku nieskrywanej wrogości władyki, zrezygnował z posady dworskiego świniopasa.

Babunia skrupulatnie dbała, by nigdy nie brakowało mu świeżego mięsa na obiad, ulubionej podpalanki i innych rozrywek. Na początku władyka nieco bruździł, ale uspokoił się po interwencji Babuni. Szymek był pewien, że żona Wisenka znacznie przyczyniła się do pokonania jego oporów: ostatecznie, dziedzic Wilżyńskiej Doliny zaczynał ją coraz mocniej kopać i chyba wszystkim zależało na szczęśliwym rozwiązaniu, prawda?

Nie obyło się jednakże bez walki z oszczerczymi jęzorami. Szymek nie rozumiał co prawda znaczenia słowa „przydupas”, ale po pierwszej samotnej wyprawie do karczmy był naprawdę

przybity. Na szczęście Babunia obdarowała go wywarem o sile dziewięciu chłopów i swobodnie zdołał połamać żebra Strugale i odbić nerki Myszy. Odtąd ludzie darzyli go należnym szacunkiem i omijali z daleka.

Babunia Jagódka hojnie obdzielała go szczęściem we dnie i w nocy. Niemal nie widywał jej pod inną postacią, jak hożej i pięknej dziewczyny. Jedyne nocami, gdy była pogrążona w szczególnie głębokim śnie, na powrót stawała się obmierzłą, zgrzybiałą staruchą. Czuł się wówczas trochę nieswojo, ale wystarczyło dźgnąć ją łokciem pod żebro i Babunia natychmiast zmieniała się w kwitnącą młodkę.

Na początku martwił się odrobinę, że wiedźma zmusza go do biegania w skórze kozła, lecz powoli przywykł. Zresztą ona też zmieniała się w kozę i czasami aż żał było wracać do ludzkiej postaci. Pasowali do siebie, jak ulał. Babunia popijała nawet herbatkę „zrób to bez obaw”, choć zważywszy na jej wiek, Szymek uważał, że stanowczo przesadza. Jednakże z wiedźmami nigdy nic nie wiadomo, i kto wie, o czym plotkowała z przyjaciółkami. Miały zwyczaj zmieniać się w nietopyrki i dołączać do stadka u powały. Szymek zgadywał, że zabawiają się tak z czystej, babskiej złośliwości – cieszyło je, kiedy stał na dole, nic nie rozumiał i rozdziawiwszy gębę, patrzył, jak wirują pod sufitem.

Ale i tak był szczęśliwy. Wiedział, że nie mógł trafić lepiej.

Zamyślał, żeby wreszcie powiedzieć jej, jak ją kocha. A kochał ją, że strach.

CÓRKI GRABARZA

Grabarz Rękawka był człowiekiem krewkim i pochopnym w gniewie, szczególnie wobec własnych córek. Złośliwa połowica rodziła je bowiem w ilości niezmiernej i, wokół grabarskiej sadyby, na skraju wilżyńskiego smyntarza, nieustannie kręciło się całe świergoczące stadko niewieściego drobiazgu. Syna za to nie miał ni jednego. Ze zgryzoty całe dnie siedział w gospodzie, pijąc na umór i na pohybel przewrotnej kobiecie, która uparła się pozbawić go przyrodzonego dziedzica. Gdy zaś zamroczył się należycie, włókł się na powrót do chałupy, gdzie, rozebrany gorzałką i rozgoryczony losem, prał babę trzonkiem grabarskiej łopaty i z desperacją brał się do płodzenia upragnionego dzieciaka. Niecały rok później, w zawieszonej u powały kołysce darła się kolejna dziewczucha. Grabarz Rękawka zaś, ku ucieście karczmarza, powracał do wcześniejszych obyczajów.

Aż pewnego zimowego zmierzchu, wilżyński grabarz, znużony wielce biesiadowaniem w gospodzie, przysiadł sobie na pieńku tuż obok mogiłki piwowara. I tam go następnego poranka znalazło potomstwo, które z upodobaniem zwykło harcować pomiędzy kopczykami, skrywającymi ziemskie szczątki wilżyńskich obywateli. Siedział wsparty wygodnie o nagrobny kamień, z głową nakrytą peleryną z grubej skóry, twarzą, zsiniałą czy to od mrozu, czy pijaństwa i z grabarską łopatą w poprzek kolan. Łopatę ktoś ukradł jeszcze tego samego ranka.

Gronostaj nie przejęła się właściwie śmiercią rodziciela. Ponieważ nigdy wcześniej do ich niskiej, okopconej chałupki nie zawitała podobna ciżba sąsiadów, w cichej fascynacji obserwowała z kąta zażywe wieśniaczki w odświętnych spódnicach i sztywno wykrochmalonych bluzkach. Baby ściągnęły z całej wioski, by uzalić się nad wdową i rozwieść obszernie nad zaletami nieboszczyka, który spoczywał tuż za ścianą, w komorze, skąd na tę okoliczność przegnano kury nioski. Matka zawodziła, zasłaniając połatany fartuchem twarz, której koloru dodawały fioletowe ślady mężowskich razów. Co chwila też z przeraźliwym skowytym rzucała się ku drzwiom komórki. Kumoszki przytrzymały ją w ostatniej chwili, nieomal odrywając jej palce od ościeżnicy, i wśród rozdzierających lamentów usadzały na powrót przy stole. Jednak ich pobrużdżone, wyschnięte od słońca oblicza wydawały się w jakiś sposób zadowolone. Bez względu na wszelkie przywary małżonka, w Wilżyńskiej Dolinie oczekiwano, by wdowa sumiennie wypełniała obowiązki płaczki.

Rozpacz matki jednak wydawała się szczerą, choć Gronostaj zupełnie nie umiała pojąć jej powodów. Dopiero dwie niedziele później, kiedy pod zmierzch pachółkowie władzyki załomotali w okiennice, z lekka rozjaśniło się jej w głowie.

Pachółków było czterech, wszyscy z berdyszami w dłoniach i wyraźnie podchmieleni, co wskazywało, że po drodze nie ominęli gospody. Wiedli jakiegoś postawnego, czarnobrodego człeka. Gronostaj nigdy wcześniej nie spotkała go w Wilżyńskiej Dolinie i aż cofnęła się na widok jego gęby, był bowiem szpetnie naznaczony na czole żelazem, a prawe oko, widać wyłupione w bójce, czy może ręką kata, przysłonił brudną, czarną szmatą. Na szyi miał żelazną obrozę, ale szedł swobodnie, bez postronka nawet. I to on pierwszy wlaźł do chałupy i bezczelnie przepatrywał kąty.

Jednak naprawdę Gronostaj przeraziła się dopiero wówczas, kiedy matka z głośnym szlochom padła na klepisko i wczepiła się w buty jednego z pachółków.

– Wstawaj, kobieto! – Chłopak niecierpliwie cofnął nogę. – Graty zbierajcie, a duchem, bo chałupa potrzebna.

– A dokąd ja pójdę, jaśnie panie? – wyłkała matka. – No, dokąd?

Gronostaj aż buzię otwarła ze zdumienia, bo nie był to żaden jaśnie pan, tylko kostropaty Gruda, który jeszcze parę lat temu zakradał się z kolegami nocą do ich sadu i kradł gruszki, najśłodsze w całej okolicy. I nieraz się zdarzało, że jej tatko zaczął się chytrze w bzowych zaroślach popod samym płotem i nieźle przetrzepał rabusiowi skórę.

Gruda zhardział bezmiernie, odkąd poszedł na służbę do dworu, i rzadko kiedy zachodził do osady bez kubraka w barwach władzy, z głową niedźwiedzia wyhaftowaną czarną nicią na piersi. Ale dziewczynka spotykała go w gospodzie, dokąd matka posyłała ją wraz z siostrami po pochówku co zasobniejszego kmiecia, żeby wyżebrały od ojca kilka miedziaków. Najczęściej bez skutku. Bo jeśli ojciec był jeszcze trzeźwy i miał grosz w sakiewce, to pędził je precz, wymyślając im przy tym okrutnie od bękarciat, małych chytrych dziwek i świńskiego nasienia, czym zresztą wywoływał ogólną a szumną wesołość. Jeśli zaś spił się już doszczętnie, to chętnie sadzał je sobie na kolanach i głąskał po płowych główkach, wyrzekając na nieszczęsny los grabarskich córek, ale wówczas nie miał już w trzosie ani złamanego szeląga. Bywało też, że karczmarz darł się na nie od proga, by natychmiast zabierały z gospody to zarzygane ścierwo. I właśnie Gruda czasami pomagał im dźwignąć ojca z ławy i wyprowadzić na dziedziniec. Gronostaj szczerze go lubiła. Zwłaszcza odkąd przydybał pijanego grabarza przy studni za gospodą, jak okładał pięściami najstarszą z córek, i przykładnie otłukł mu grzbiet trzonkiem jego własnej grabarskiej łopaty.

Teraz jednak Gruda ani spojrział na skulone w kącie dziewczuszki.

– A pod kościół, babo, albo do lasu – rzucił obojętnie. – Mnie tam za jedno. Byle prędko, nim się jaśnie pan do reszty zeźli. Tak bogami a prawdą, dość żeście mu już kłopotów przyczynili, z waszego chłopca też od dawna pożytku nie było. Więc pan nowego grabarza naznaczył, bo taka jego wola i prawo. I to już teraz od mości Rufiana – kiwnął na czarnobrodego – zależy, czyli mu się na niewiastę nadacie.

– Ani nawet na posługaczkę się nie nada – ocenił nowo mianowany grabarz, widząc klepisko pokryte na wpół przegniłą słomą, koślawy stół obok paleniska, skrzynię z wiekiem rozrąbanym siekierą i barłóg w kącie chaty. – Toż świnię w pańskim chlewie lepsze mają oporządzenie niżli człek w tej chałupie.

– Albo mnisi więźniowie w cuchthauzie – syknął przez zęby drugi z pachółków. – Nie podoba się, to droga wolna!

Przybysz rzucił mu posępne spojrzenie. Gronostaj nie wiedziała jeszcze, że bynajmniej nie z dobrej woli najął się na wilżyńskiego grabarza, a żelazny kołnierz na jego szyi był więcej niż ozdobą. Dopiero znacznie później, z przebąkiwań pachółków, poskładała sobie w jedno paskudną historię Rufiana, niegdyś grasanta w górskiej bandzie, a jeszcze wcześniej wywołańca, przepędzonego ze Spichrzy książęcym rozkazem. Nigdy nie doszła, za co go dokładnie braciszkwowie w turmie zamknęli, ani jakim sposobem im w ręce wpadł. Musiał mieć jednak znaczny rejestrzyk grzechów, kiedy go bowiem władyka spostrzegł zakutego w dyby pod murem opactwa i wystawionego na uciechę gawiedzi, dwa dni tylko pozostały mu do kaźni na wielkim placu przed świątynią.

Nie wiedzieć też, co tknęło władykę, człeka ostrożnego i nieskłonного do szaleństw, że na widok czarnobrodego zbira, nie zwlekając, ruszył do opata i wymógł na nim ułaskawienie. Nie poszło łatwo, bo braciszkwowie zrazu za nic nie chcieli ulec namowom władzy, podnosząc krzywdy uczynione przez Rufiana świątobliwym pielgrzymom pod samym opactwem. Dopiero sakiewka srebra, rzucona na stół przez zeźłego władykę, bezpowrotnie ucięła płomienną dysputę o praworządności i pokucie za grzechy. Opat Ciecierka pochwycił trzosik, mamrocząc podziękowania

za szczodropliwość i nabożną troskę. Władyka tymczasem rozkazał nałożyć żelazną obrozę na szyję uratowanemu spod topora złoczyńcy, a następnie, przytroczywszy do niej solidny żelazny łańcuch, uwiązał go u końskiego łągu i ruszył do dom.

Co myślał podczas tej wędrówki górskimi ścieżkami sam Rufian, trudno dociekać. Dość, że władyka ostro popędzał konia, gdyż nadojadła mu postna mnisia strawa, zapijana źródlaną wodą. Wiedział też doskonale, że pozostawiona nazbyt długo Wisenka niepokoi się nadmiernie, a z niepokoju i troski różności jej do głowiny przychodzą. Na ten przykład takowe, że się jej małżonek złądaczyl, zabradziażywszy nędznie w gospodzie przy trakcie ze spichrzańskimi ladacznicami, co się istotnie zeszłej wiosny przydarzyło, raz jeden i ku szczerzej rozpaczyci władyci. Kiedy bowiem do dom powrócił, wnet się okazało, że przedłużająca się nieobecność małżonka odwiodła cokolwiek Wisenkę od cnót domowych.

Zamiast przykładnie siedzieć przy krośnie, pani najpierw zawodziła na pół wsi, wyzywając władycę takimi wyrazy, że aż wieśniaków podziw brał. Później zaś konie kazała przypręgać do karocy, a chyżo. Forysia biczyskiem przez pysk zdzieliła, bo jej głośno przedkładał, że jaśnie pan nie przyjmie mile podobnej samowoli. Chwyciła lejce i z rozwianymi włosami, jedynie w spodniej sukni, popędziła gościńcem ku siedzibie ojca, sławetnego starosty Wężyka. Cud boski, że jej gdzie po drodze wilcy nie zdybali, ani że karku od pośpiechu nie skręciła, bo na oślep gnała. A jeszcze większy cud, że starosta Wężyk władycę czerepu nie rozszczepił, kiedy ten popod dworcem stanął, by upomnieć się o krewką małżonkę.

Wisenka jeszcze ze dwie niedziele nie chciała z nim gadać po tym, jak ją wreszcie wyblęgał od urażonego teścia. Na koniec, dla zadośćuczynienia zażądała dworskiej małpki, którą musiał dla niej sprowadzić aż ze Szczezupin, nowego karła i czterech łokci szkarłatnego jedwabiu. Władyka zagryzł zęby i wykonał zamówienie, Wężyk bowiem był człekiem pamiętliwym i nader czułym na prawdziwe i domniemane zniewagi. Na przyszłość zaś dbał wielce, aby nigdy nie dawać małżonce powodów do obaw – zaniepokojona Wisenka bywała nazbyt kosztowna.

A do ladacznic po staremu chadzał. Tyle że trzymał je w gospodzie w najbliższym targowym mieście, co było nader wygodne, bo przecież jako dobry gospodarz raz po raz musiał barany na sprzedaż popędzić, albo własnym okiem doglądać, czy pachółkowie nie pokumali się z handlarzami i nie kontraktują najmarniejszego obroku. Wisenka mile przyjmowała podobną dbałość o folwarczne interesa, władyka zaś pamiętał, by zawsze jej z miasteczka przywieźć nowe wstążki do czepca lub inny drobiazg. A pachółkowie, których hojnie dopuszczał do komitywy z ladacznicami, ani słówkiem nie pisnęli o jego targowych rozrywkach.

Z dalszych podróży zwykł jednak władyka wracać skrupulatnie na czas, więc Rufian spocił się tamtego dnia niezmiernie i osłabł, bo solidna żelazna obroza i łańcuch zmuszały go do żywego kłusu po wilżyńskich pagórkach. Tuż za ogonem pańskiego siwka wpadł na dworski podwórzec i, wyczerpany, przewrócił się obok koryta do pojenia bydła. Wisenka już od progu przewiercała go wzrokiem. Jej oczy bacznie lustrowały przybyłych, szukając w obliczu i przydziejku małżonka śladów łajdactwa. Na darmo.

– Grabarzem nowego przywiódł. – Władyka udał, że nie widzi wykrzywionych niezadowolaniem ust połowicy.

– Grabarza? – prychnął od poidła Rufian, który pomimo biegu na krótkim postronku nie nawykł jeszcze do wilżyńskich obyczajów. – A to was paskudnie musieli mnisi okpić...

– A właśnie grabarza. – Władyka bez śladu zniecierpliwienia w głosie smagnał go bykowcem po grzbiecie, ale tak, że grasant zatchnął się w pół słowa i począł gwałtownie chwytać powietrze. – Takem postanowił.

– Tyle że grabarz coś nie bardzo chętny – zauważyła zgryźliwie Wisenka.

– Droczy się tylko. – Władyka uśmiechnął się pod wąsem i widząc, że Rufian znów rozwiera gębę, przezornie walnął go przez plecy kańczugiem. – Wolno ciągnęlim, tedy zebrało mu się na zbytki. Ale wedle woli. Jak mu grabarka niezbyt miła, to jeszcze przed zmierzchem będzie miał kat zajęcie. A kat młody, w rzemiośle nieobyty, na trzy razy człeka wieszać potrafi, więc przyda mu się ćwiczenie... – znacząco zawiesił głos.

Rufian pobielał na twarzy.

– Z podziękowaniem jaśnie wielmożnemu panu – powiedział nieco drżącym głosem. – Zawszem chciał jakiej spokojniejszej profesji, jeno się okazja nie trafiła. Z miłą chęcią będę grabarzował, toż ja z dawien dawna do trupów nawykły.

– Ot i widzisz, moja duszko! – Władyka rzucił Wisence triumfujące spojrzenie. – Żal robotnego pachółka z wioski na ścierwograbka marnować. A jakim to bydlę popod opactwem w dybach ujrzał, zrazu wiedziałem, że się nam nada. Trzeba je tylko do obowiązków wdrożyć i pokory nauczyć. Na początek – przymrużył ślepią, szacując przygarbioną nagle sylwetkę Rufiana – wyliczy się mu przy pręgierzu ze dwa tuziny. Ale tak od serca. Niech wie, że w Wilżyńskiej Dolinie nie skąpim na nauce.

Grasant nie wzbraniał się, kiedy słudzy władyki powlekli go przed dworską bramę i przywiązali do słupka. Pachółkowie też nie szturchali go mocno, nie chcąc sobie zawczasu czynić nieprzyjaciela z tego, kto im kiedyś udzielił ostatniej ziemskiej posługi. Poradzili mu nawet ukradkiem, by darł się ile tchu w płucach i zawodził żałośnie, władyka bowiem wielce cenił podobne objawy skruchy. Na koniec stary Luszyk, który miał pieczę nad stajennymi, poklepał Rufiana po plecach, dał mu dla pokrzepienia kilka łyków siwuchy, potem zaś bez złości i zniecierpliwienia począł czynić swoją powinność. A Luszyk, choć biały jak gołąbek i wiekiem niezłe do ziemi przygięty, rękę wciąż miał tak krzepką, że nawet się Rufian nie musiał zanadto do wrzasków zmuszać.

Darł się donośnie. Aż gawrony podrywały się w popłochu z dworskiego sadu, a zadowolony władyka wyszedł na ganek.

– No, już dobrze, dobrze, nie trzeba – odął wargi, kiedy pachółkowie, obeznani z kapryсами jaśnie pana, pośpiesznie przygięli granta do ziemi. Potem cofnął się o krok, ale nie omieszkał podetknąć Rufianowi pod gębę ręki ozdobionej rodowym sygnetem w oprawie z poczerńniętego srebra. – Godne pochwały – zwrócił się do przyszłego grabarza – że umiesz miłosierdzie docenić i za łaskawość pokornie podziękować, ale czas ci się do chałupy zbierać. Szafarz wyliczy ci – spod nastroszonej brwi popatrzał uważnie na okrwawionego rzeźmieszka – ze cztery chleby i poleć słoniny. Żeby ci się na nowym gospodarstwie szczęściło.

Rufian nie zrozumiał od razu, dlaczego oblicza pachółków rozjaśniły się na takie dictum, ale prędko przywdział koszulę, którą Luszyk rozumnie kazał mu zwlec przed biczowaniem, i w asyście czterech parobczaków ruszył ku wiosce. Włókł się ociężale, odburkując na uprzejme zagadywania, ale na widok karczmy rozpogodził się nieco. Ledwo przysiedli w piątkę pod lipą, ocieniającą wejście do wilżyńskiego przybytku rozpusty i wszelakich bezceństw, oberżysta w wielkim skórzanych fartuchu przybiegł ku nim z dzbanem ciemnego piwa, i jeśli nawet zauważył żelazną obrozę na szyi Rufiana, to nie zdradził się ani jednym gestem. Gdy zaś pokrzepiony nieco trunkiem i oddaleniem od dworu władyki Rufian zaczął przepytować ogródkiem pachółków na okoliczność owej niecodziennej ozdoby, ci objaśnili go, że jaśnie pan bynajmniej nie zamierza go rozkuwać. A w każdym razie nie pierwaj, nim Rufian należycie udowodni swą przydatność i porzuci myśl o ucieczce.

Co gorsza, przy onych objaśnieniach ani się chłop obejrzał, jak niebo pociemniało od zmierzchu, a głowie przyjemnie mu zaszumiało. Kiedy podnosili się z ławy, oberżysta przy dreptał szybciotko,

nachalnie potrząsając wyciągniętą po należność prawicą. Z pacholków żaden nie miał ani miedziaka, zresztą bezczelnie gadali, że to Rufian ich zwołał na poczęstunek, dla uczczenia nowej profesji. Koniec końców musiał zostawić w oberży nie tylko cały gościniec władzyki, ale i własne buty, których mu miłośnierni mnisi nie odebrali, choć były z dobrej, świńskiej skóry.

Wszystko to nie wzmogło bynajmniej przychylności Rufiana względem grabarzowej i jej potomstwa. Stał w progu chaty, potężny i groźny, choć w łapciach wyplatanych z łyka, przypatrując się wychudłej niewieście i gromadce jasnowłosych dziewczuszek w kącie izby. Przyświecając sobie kagankiem, uczynił kilka kroków i wyciągnął na środek izby Bitunkę, najstarszą siostrę Gronostaj. Dziewczyna nie opierała się. Przywykła do ojcowskich razów, wcisnęła więc tylko głowę w ramiona i jeszcze bardziej skuliła się w sobie, kiedy Rufian począł obmacywać jej chude piersi, zaglądać w zęby i szczypać po tyłku.

– Ta mi się na niewiastę nada – oznajmił wreszcie pacholkom. – A reszta, won do chlewa! Nie chcę, żeby mi się bachory wedle posłania kręciły.

– Jakże tak? – zapytał niepewnie któryś ze sług władzyki. – Proboszcza we wsi akuratnie nie ma, a przecie was z ambony wywoła, jak bez błogosławieństwa dziewczę weźmiecie.

– Błogosławieństwem później będziem się kłopotać. – Rufian wyszczerzył zęby. – Dzisiaj nam jeno do pokładzin pilno. A z braku księdza mości dobrodzieja, niech nas pani matka pięknie pobłogosławi. Co z woli szczerzej zaraz uczyni. Prawda, dobra kobieto? – Ujął grabarzową za łokieć i jednym szarpnięciem poderwał z polepy.

Kobieta zatoczyła się, oparła o pustą chlebową dzieżę i wymamrotała coś pod nosem, ale tak cicho, że nawet Gronostaj nie dosłyszała. Rufian jednak pokłonił się z nieskrywaną kpina aż do ziemi, po czym bez ceremonii wypchnął ją za próg.

– No, dość tych jasełek! – powiedział. – Poszła won, pani matko, pókim dobry, a może na weselisko poproszę!

Jednak weseliska nie wyprawiono ani tego dnia, ani następnego, ani nawet kiedy proboszcz powrócił wreszcie do wilżyńskiego kościółka z objazdu pasterskich szałasów, które nawiedzał każdej wiosny, by poświęcić młode owce. Wprawdzie w pierwszą niedzielę napomknął coś groźnie o jawnogrzesznicy, bez nijakiego wstydu pokładającej się z mężczyzną. Ale potomstwo Rękawki nie bywało zbyt często na nabożeństwach, nie potrafił więc sobie przypomnieć jej imienia i ciskał gromy całkiem bez zapału. Rychło też przestał czynić wstręty nowemu grabarzowi, bo Rufian, chłop wielki i bezczelny, głośno w karczmie gadał, że jak się coś proboszczowi nie widzi, to może sam za łopatę wedle pochówku chwycić.

W obejściu grabarzu nie było chlewika, więc Gronostaj spędziła tamtą pierwszą nockę w szopie na siano razem z siwą kozą i stadkiem królików, wielce zafrapowanych nowym towarzystwem. Nakryła się starą derką, którą rezolutnie zdążyła pochwycić w izbie, nie spała jednak, bacznie nasłuchując odgłosów z chaty. Pacholki bawili się hucznie, z każdą godziną głośniejszymi wypiewkami pijackimi, ale raz tylko, nad ranem, wydało się jej, że słyszy głos Bitunki. Później usnęła, boleśnie świadoma płytkiego, świszczącego oddechu matki, która nie chciała wpełznąć pod derkę i aż po świt tkwiła na progu szopy.

I to właśnie ona nastreczyła Rufianowi pierwszej okazji do wypróbowania nowej profesji, tuż przed świtem bowiem powiesiła się na jabłonce przy studni, używając w tym bezbożnym celu wodzy jednego z pacholków. Co zresztą mieli oni nieboszczce za złe i głośno wypominali.

Gronostaj nie było dane zbyt długo dumać nad śmiercią rodzicielki, gdyż Rufian bardzo prędko zapędził dziewczynki do roboty, nie wyłączając też najmłodszych, które zostały posłane na wzgórze paść gęsi zasobniejszych wieśniaków. Gronostaj nawet sobie chwaliła tę odmianę. Chałupa została

wyszorowana i obmyta ługiem, podwórko zamieciono i wysypano rzeczonym piaskiem, a dach Rufian własnoręcznie załatał. Ale z tego ostatniego udogodnienia Gronostaj nie korzystała przesadnie, bo wciąż sypiała pospołu z inwentarzem w szopie.

Nowy grabarz nie wydawał się jej gorszy od ojca. Przeciwnie. Nawet do karczmy nie chadzał co wieczór. Przeważnie siedział na ławeczce u progu, wygrzewając się na słońku i patrzył spod przymrużonych powiek, jak dziewczątka krzątają się w obejściu. Nie zagadywał do nich, ale też nimi nie poniewierał i nie bił ich jak ojciec, i pozwalał, by pod wieczór Bitunka obdzielała je pajdami ciemnego chleba i jaglaną polewką. Właściwie Gronostaj polubiła to nowe życie i szybko nauczyła się ukrywać przed gospodarzem rzadkie chwile lenistwa. Ze wszystkich bowiem rzeczy próżniactwo najbardziej rozjuszało Rufiana.

O świcie budził dziewczynki donośnym waleniem w starą patelnię, zawieszoną na ganku. Duchem kazał wodę ze studni ciągnąć i żywiznę oporządzać, później ogród pielic i grządki podlewać, podwórko sprzątać i chrust z lasu nosić. Jak się trafiła okazja, bardzo chętnie posyłał je innym kmieciom albo nawet do dworu dla wyręki przy żniwach czy w zwykłych domowych robotach. Jednak Gronostaj, która była mała i chuda jak szczapa, nie zaprzęgano do najcięższych robót. Owszem, czasem grzbiet ją bolał okrutnie od pielenia warzywnika, a oczy piekły od dymu, w którym wędzono liny, wyławiane ze stawu tuż poniżej Belkowego młyna. Ale wciąż chodziła do lasu na grzyby czy jagody, przesiadywała nad stawem, albo biegała po okolicznych pagórkach pod pozorem pasania gęsi. Chyba nawet była szczęśliwa.

A potem nadeszła jesień.

Po strzyży Gronostaj z rzadka wychodziła z mrocznej izby, gdzie czesano i gręplowano owczą wełnę. Tamtego wieczoru wymknęła się na chwilę, rozciągnęła wygodnie na wyschłej jesiennej trawie pomiędzy kępami dziewanny i ostu. Zza chaty dochodziły jękliwe dźwięki piły i stukanie młotka. Gospodarz pracował pilnie, ciosając deski na wieczorny pogrzeb, i nie sądziła, by rychło spostrzegł jej rejteradę. Tymczasem patrzyła w niebo, okrwawione od zachodzącego słońca, a smukłe, czarne wrzeciona jaskółek wirowały nad nią tak szybko, że aż się jej zawracało w głowie.

Może dlatego nie od razu posłyszała stukot drewnianych chodaków na ścieżce. Dopiero ostra woń gorzałki migiem poderwała ją z murawy. Przez chwilę znów wydawało się jej, że widzi w przyżółkłych ościstych badyłach obszuty muszelkami kapelusze ojca, gdy wsparty na łopacie mozolnie pokonuje kolejne wzgórki. I że osikowy trzonek łopaty zaraz spadnie na jej grzbiet, a żyłaste ramię powlecze ją aż do chaty na skraju cmentarza. Dopiero później przypomniała sobie, że przecież widziała go, jak leżał w sosnowej trumience, odziany w najlepszą lnianą koszulę i skórzane portki, i że przysypali go ziemią pod jednym z jałowców przy cmentarnym płocie.

Podpełzła ostrożnie na skraj wybujających krzaków dziewanny i aż zamarła ze zdumienia.

Środkiem wyschniętej, piaszczystej dróżki szła Bitunka. Kompletnie pijana, macała przed sobą na osłep rękoma i zataczała się, przydeptywając sute fałdy zbyt długiej spódnicy. Na głowie nie miała małżeńskiego czepka, tylko wianek spleciony z na wpół zwiędłych rumianków, spod którego wymykały się długie pasma pszenicznych włosów. Sznurówki rozchełstanego gorsetu zwisały smętnie, a koszula była podarta i pokryta świeżymi plamami. Najgorsze jednak, że na widok Gronostaj uśmiechnęła się głupawo i nawet nie próbowała zebrać na piersi poszarpanego przyodziewku.

– Kupce we wsi stoją, siostruchna – oznajmiła pogodnie. – Jeden w drugiego kupce, spopod samej Spichrzy. Naszyjnik mi dali, prawdziwy. – Rozchyliła jeszcze szerzej koszulę, pokazując kilka czerwonych paciorków, nanizanych na miedziany łańcuszek. – A chcesz chustkę nową, siostra? To wraz jutro z gospody przyniesę, szafraną albo siwą, wedle wyboru.

– Z gospody? – wytrzeszczyła oczy Gronostaj. – A Rufian? Toż on cię żywcem ze skóry obedrze!

– A sam mnie posłał. Rok już cały, gada, w izbie śpisz, a brzuch masz wciąż pusty. Pożytku z ciebie żadnego, tylko gęba do wykarmienia. To idź na strawę zarabiać, jak najlepiej umiesz. Do gospody.

Gronostaj cofnęła się dwa kroki, nie czując nawet, jak ostowe kolce kaleczą jej skórę.

– A coś ty myślała? – skrzywiła się cierpko Bitunka. – Że ten dach nad głową i strawa to za darmo? Że was z dobrego serca będzie przez zimę w obejściu chował? Pięcioro drobiazgu, wciąż niezdatnego do roboty w polu? Cudzego drobiazgu? Toś durna! – Zniosła się pijackim śmiechem.

Zmierzwiała włosy Gronostaj, która mimowolnie wzdrygnęła się pod jej dotykiem.

– No, nie strachaj się, siostra – wybełkotała Bitunka i przyklękła chwiejnie na piaszczystej ścieżce.

Z bliska jej twarz była wymięta i przyszarzała, oczy nabiegły krwią. Rumieńce wymalowane buraczanym sokiem rozlały się i przemieszały z potem, a ciemne smugi węgla na brwiach i w kącikach oczu nadawały obliczu wygląd jarmarcznej maski, aż Gronostaj złąła się tej dziwnej, odmienionej siostry.

– Głodnaś może? – Bitunka spytała chropawym od wódki głosem i sięgnęła do zawieszanej u pasa płóciennej torby, dobywając pajdę chleba i nadgryzioną gomółkę sera. – Naści, jedz na zdrowie, siostra. I to jeszcze masz. – Wygrzebała zza pazuchy kawałek cukru i wepchnęła dziewczynce prosto do ust.

Gronostaj przełknęła posłusznie, ale nie poczuła smaku. Siostra jednak nie patrzyła na nią. Kołysała się na piętach, przyciskając poły gorsetu do chudej piersi i mamrocząc pod nosem:

– A ja do miasta nie pójdę, jeszcze nie teraz. A co? Bo przecież inną sobie weźmie i na zarobek do gospody pośle. Młodsza ode mnie. Przecie widzę, jakim wzrokiem patrzy. Ukradkiem, zza węgła, bo wie, że go, starego capa, pilnuję. A niedoczekanie! Pierwej mu ślipia wypalę. Niech no zima przejdzie, a ucieknem precz z Wilżyńskiej Doliny. Powędrujem gościńcem daleko, hen, aż do wielkiego miasta. Wszystkie pospołu. I poradzimy se bez niego. Obaczysz, siostra. Poradzimy se.

Jednak nie poradziły sobie. Pośrodku zimy na Wilżyńską Dolinę spadła krwawa gorączka i w jeden wieczór wymiotła z króliczej komórki trzy najmłodsze siostry Gronostaj. Rufian wyniósł je za chatkę i położył obok szopki, w której zwykł zbijać trumienki. Ale że ziąb był okrutny, nie kwapił się nadmiernie do grabarskiej roboty. Leżały więc sobie sztywne od mrozu i owinięte w derkę pomiędzy deskami. Kiedy kochanica jęła mu czynić wyrzuty, przegnał ją z chałupy prosto w zawieruchę i kazał nie wracać, póki nie nabierze rozumu. Bitunka bez słowa owinęła się wełnianą chustą i powlokła w dół ścieżką do wioski.

Jako się rzekło, proboszcz nie przepadał za progeniturą grabarza Rękawki, szczególnie odkąd najstarsza córka jęła się działalności zarobkowej w karczmie, nęcąc pachółków do grzechu i pozbawiając grosiwa statecznych ojców rodzin. Jednak był nader czuły na punkcie należytego pochówku, i wieść o trzech dziecięcych trupkach na tyłach grabarskiej chałupy rozjuszyła go tak dalece, że jeszcze tego samego wieczoru podreptał do władyki. Ten z kolei lekce sobie ważył przyzwoitość względem zmarłych, natomiast żywotnie interesowało go okiełznanie zarazy, nim poczyni spustoszenie wśród okolicznego chłopstwa. Niedbałość Rufiana poczytał za osobistą obelgę i bez namysłu pchnął ku chacie czterech pachółków. Nie byli przesadnie szczęśliwi, że posłano ich w siedzibę pomorku. Na powitanie otłukli grabarzowi pysk, by go do obowiązków zachęcić. Później zaś siedzieli popod studnią, sownie racząc się gorzałką dla przemożenia zarazy i z daleka spoglądali, jak Rufian kopie płytki dołek na skraju cmentarza.

Bitunka jednak nie miała sposobności nacieszyć się zwycięstwem, bo gorączka dopadła ją w

sionce gospody, gdzie przycupnęła dla nabrania sił przed powrotną wędrówką. I tam już została, ku rozpaczy karczmarza, który znalazł ją rankiem na poły przysypaną śniegiem i wedle rozkazania władcy musiał własnym sumptem pogrzebać. O tym zresztą Gronostaj dowiedziała się dopiero po pierwszej odwilży.

W króliczej szopce zrobiło się nagle przestronnie i cicho, gdyż jeszcze tej samej zimy Rufian zabrał starszą z dwóch ocalałych sióstr do chałupy. Gronostaj przebiedowała jakoś zimę, choć grabarz nie zajmował się nią nadmiernie i nie pielęgnował w chorobie. Z wiosną wieśniacy znów widywali ją na wzgórzach, jak pasła gęsi albo zbierała chrust w zagajnikach na skraju pól, chuda, obdarta i poznaczona na twarzy czerwonymi dziobami, śladem przebytej zarazy. Że zaś niejedynym właśnie grabarżówny winił za ową dziwną zarazę, nie zagadywano do niej i nie trwożono się jej losem, licząc zapewne w duchu, że szczęście w obejściu Rufiana.

Gronostaj z rzadka tylko wspominała słowa Bitunki o wyprawie do wielkiego miasta. Robota przychodziła jej trudniej tego lata, słaba była, wyglądała jak szczur z mąki i długo jeszcze zanosila się uporczywym, suchym kaszlem. Trzymała się więc na uboczu i nie pchała ludziom w oczy. Może dlatego nie spostrzegła z początku, że gdzieś około żniw jej siostra, Skrzieszka, zaczęła chodzić z brzuchem odętym płodem. Zresztą z czasem Gronostaj przywykła do wielu rzeczy – obojętności Rufiana, siostrzanych wypraw do gospody, a także sprośnych zaczepek wędrownych parobków, którzy nieomylnie rozpoznawali w niej młodsze, bliźniacze odbicie wioskowej ladacznicy.

Trawa żółkła już i spłowiła od wczesnych przymrozków, kiedy dziecko zapragnęło przyjść na świat. Rufian poszedł do karczmy na gorzałkę, co była u niego rzecz nieczęsta, bo zwykle skąpił grosiwa i popijał jedynie cienkie wino, które sam pędził z porzeczek. Jednak Skrzieszka darła się przeraźliwie cały wieczór, ku ledwie skrywanej wzdardzie babek, wystarczająco obeznanych w połogach, by ją wspierać w miejsce akuszerki. Na razie roboty jednak nie było wiele. Siedziały więc tylko na niskiej ławie u paleniska, kiwając głowami w niemym potępieniu, gdyż w Wilżyńskiej Dolinie nieprzychylnie spoglądano, gdy położnica nadmiernie się nad sobą roztkliwiała. Szczególnie zaś na taką, która nie potrafiła podać imienia ojca bękarta.

Babunię Jagódkę Rufian z całą mocą zabronił sprowadzać do obejścia, pokrzykiwał coś przy tym o bezbożnych gusłach i wiedźnich naporach, które zdrowego chłopca w mig zmamią i owałaszą. Gdy jednak z każdą godziną krwi na prześcieradłach przybywało, Gronostaj przestała wierzyć, by jej siostra miała pożytek z milczącej odrazy wiejskich babek. Staruchy zresztą także męczyły się od wrzasków i jęków, więc dla poprawienia humoru jęły się raczyć sownie grzonym winem z berbersy. Pociągały trunek tak ochoczo, że niewiele po zmierzchu legły na twardej kuchennej ławie i pospały się niczym susły.

Gronostaj jeszcze czas jakiś siedziała przy palenisku, rozkoszując się błogim ciepłem nagranych kamieni, gdyż w króliczej szopce nie przywykła do podobnych luksusów. Nie mogła zasnąć. Nawet nie za przyczyną jęków Skrzieszki, bo ta z każdą godziną odzywała się słabszym głosem, ale ze strachu przed Rufianem, który kazał jej bacznie przyglądać się siostrze i po pierwszym krzyku noworodka duchem gnać do karczmy. Jednak dziecko nie rodziło się, a w każdym razie tak wywnioskowała z krwawego kłębowiska szmat na posłaniu. Nie sądziła, aby Rufian okazał się pomocą: ostatecznie w króliczej szopce pozostała ostatnia z grabarżównien. Równie drobna, chuda i płowowłosa jak dziewczyna, która wykrwawiała się w kuchennej izbie. I właśnie ta myśl wypchnęła Gronostaj w chłodny mrok lasu. Bo bardzo dobrze wiedziała, co Rufian uczyni następnego ranka.

Drzwi od chatki wiedźmy były uchylone, a Babunia Jagódka powitała ją nieprzyjaźnie. Stała przed kominkiem, ciemna na tle płomieni i skurczona pod grubą wełnianą chustą. Nie prosiła do środka. Nietopyrki trzepotały niespokojnie na belce u powały, wiedźma zaś po prostu tkwiła nieruchomo

pośrodku izby, wsparta na kosturku i odpychająca. A Babunia Jagódka potrafiła być odpychająca, jak mało kto.

– Czego? – burknęła.

– Napar mi jaki dajcie, żeby mi było łatwiej! – wyrzuciła z siebie Gronostaj.

Własny głos wydał się jej dziwnie chrapliwy i niezdarly, ale też nie nawykła przesadnie do rozmów.

Wiedźma obróciła się bez słowa, wyjęła z kredensu flaszkę wódki i postawiła ją na stole przed Gronostaj.

– Ja nie... – Dziewczyna aż cofnęła się o krok. – Nie po to. Magicznego dekoktu chcę na Rufiana, na parobków spod młyna, na siostrę, co w chacie od bachora zdycha. Żeby...

– Chyba ci się, dziecko, wiedźma z gospodą pomyliła – przerwała cierpko Babunia Jagódka. – A w gospodzie taniej, nawet jeśli cię potem karczmarz na sianie obmaca i wykotłuje. Ja żalów nieciekawa, łez ocierać nie umiem. A za dekokty słono sobie liczę, i to w takiej monecie, co jej, dziecko, w życiu na oczy nie oglądałaś.

– Zapłacę! – wykrzyknęła piskliwie Gronostaj. – Wszystko wam zapłacę, co do szeląga, przysięgam! Byleście moją siostrę wyratowali, a jemu... – zatchnęła się. – A temu kurwiemu synowi...

Wiedźma postąpiła ku niej trzy szybkie kroki, uchwyciła ręką za brodę i uniosła twarz ku światłu. Palce miała zimne i mocne jak imadło.

– Twoja siostra właśnie zdycha i cała magia Gór Żmijowych nie zdoła jej wyratować – powiedziała, zaglądając jej w twarz miodowymi oczami plugastwa. – A z ciebie też, dziewczyno, nic nie będzie. Nic, prócz wioskowej dziwki.

Gronostaj nigdy później nie potrafiła pojąć, skąd wzięło się w niej dość śmiałości, żeby strącić rękę Babuni i odepchnąć wiedźmę tak mocno, że stojąca na stole flaszką przewróciła się z głuchym łoskotem. Wódka chlusnęła na grubą warstwę sitowia, obierek, zeschniętych ziół, skrawków pergaminu i co tam jeszcze pokrywało podłogę wiedźmiej chatki. Rudy kocur, miauknąwszy przeraźliwie, dał susa z zydła pod paleniskiem i z zadartym ogonem wyprysnął z izby. Dziewczyna najchętniej zrobiłaby to samo, ale z przerażenia nogi jej wrosły w ziemię.

Wiedźma uniosła brew i pierwszy raz spojrzała na nią z pobłażliwym zainteresowaniem. Właśnie owa pobłażliwość bez reszty rozjuszyła Gronostaj.

– Nie wasza rzecz, co ze mnie będzie! – wysyczała, odsłaniając drobne, żółte zęby, a każdy mięsień jej szczupłego ciała naprężył się niczym rzemień. – I nie po radę do was przyszedłam, tylko żebyście temu bydlakowi karę uczynili za mnie i za moje siostry!

– Piękna intencja. – Babunia skrzywiła się cierpko. – Ale ja jestem stara, uboga kobieta, w krzyżu mnie łupie i oczy już nie te, co dawniej, a magia rzecz trudna, niepewna...

– Zapłacę wam! – wykrzyknęła Gronostaj, czując, jak krew napływa jej do twarzy.

– A zapłacisz – dziwnie uśmiechnęła się wiedźma. – Zapłacisz, dziewczyno, zapłacisz co do joty, choć jeszcze ani to pojąć, ani przeczuć potrafisz.

Gronostaj wydało się, że oczy Babuni świecą lekko, jakby w głębi źrenic obudziły się drobne wirujące płomienie. Przyszły jej na myśl wszystkie legendy o wiedźmach, które zwabiają głupie dzieci na uroczyska, by później wypić ich krew, a ciała rzucić dzikim zwierzętom. Ale w chacie czekał Rufian i nie umiała rozstrzygnąć, które z nich było gorsze.

– I co z tego? – prychnęła ze złością.

– Wiele. Ale to zależy od ciebie. Jeśli chcesz, żebym spełniła życzenie...

– Chcę! – Gronostaj zacisnęła pięści tak mocno, aż paznokcie przebiły skórę.

– Z własnej woli?

– Tak!

– Życzenie za życzenie?

– Tak!

– Na ogień, na krew, na ślinę? – zapytała wiedźma, a ogień w kominie wystrzelił świeżym, jasnym płomieniem.

– Tak!

– Daj rękę.

Dopiero kiedy wiedźma rozprostowała jej dłoń, Gronostaj zauważyła na palcach krew. Babunia Jagódka popchnęła dziewczynę w stronę paleniska i w jakiś sposób Gronostaj dokładnie wiedziała, co uczynić. Strząsnęła w ogień trzy krople krwi. Płomień buchnął jej w twarz gorącym, osmalił rzęsy i włosy. Nagle zapragnęła się cofnąć, uciec stąd i zapomnieć o Babuni Jagódce, ale wciąż była zła, wystarczająco zła, aby splunąć w ogień i dopełnić obietnicy.

Płomień zasyczał raz jeden i zgasł bez śladu.

– Dobrze – powiedziała cicho wiedźma. – Życzenie za życzenie, a póki się nie spełnią, będziesz wciąż powracać do Doliny. A teraz chodź! – Po czym złapała ją za przegub zimnymi starczymi palcami i wyprowadziła na zewnątrz.

Dopiero kiedy chłodne nocne powietrze owionęło jej rozognioną twarz, Gronostaj pojęła, co naprawdę wydarzyło się w chacie wiedźmy. Jednak nie miała czasu rozmyślać. Babunia chwyciła mocno i dziewczynka musiała co chwilę podbiegać, by dotrzymać jej kroku. Przeszły przez podwórze, jasne od miesięcznego światła, minęły studnię, w której, jak powiadano, mieszkał demon odgadujący życzenia młodych panien, i komórkę wiedźmiego capa, co podobno był kiedyś wędrownym kramarzem albo zbrojcą z Przełęczu Zdechłej Krowy. Na skraju lasu Gronostaj przystanęła nagle. Coś delikatnie trąciło rąbek jej spódnicy, aksamitnym dotykiem musnęło nagie łydki. Zadygotała, przerażona tym nowym czarostwem, ale zobaczyła tylko rudego kocura Babuni. Podniósł głowę, spojrzął jej w twarz miodowymi oczami i miauknął cicho. Dziewczyna pochyliła się i pogłaskała zmierzwiłone futro. Kot wygiął grzbiet pod pieszczotą i miauknął z wdzięcznością.

– Idziesz czy nie? – sarknęła wiedźma.

– Idę – burknęła bez przekonania dziewczyna.

Zrobiła kilka szybkich kroków w ciemności, czując tuż obok bezszelestną kocią obecność. Zachręściły grudki zmarzniętej ziemi, puchacz przeleciał tuż nad ich głowami, chrapliwie pohukując, a gałąź głogu smagnęła Gronostaj po twarzy. Pomyślała, że to dziwne, tak iść z wiedźmą przez nocny las, przeskakiwać nad smugami księżycowego światła na mchu, i słyszeć, jak przebudzone chrzęstem gałązek ptaki krzyczą niespokojnie w zaroślach. Nic więcej nie zdążyła pomyśleć, ponieważ drzewa zniknęły niespodziewanie i zdumiona dziewczyna zobaczyła, że stoją na skraju wilżyńskiego cmentarza, o krok od rozpadającego się płotka wokół grabarskiego obejścia. Dopiero teraz Babunia Jagódka wypuściła jej rękę.

Miał minąć prawie tuzin lat, nim znów wiedźma poprowadziła ją czarodziejską ścieżką poprzez lasy Wilżyńskiej Doliny. Owszem, wiedziała o jej istnieniu, ale ani sama Gronostaj, ani żaden spośród wieśniaków, ani nawet magik sprowadzony przez władkę z dalekiej Spichrzy nie zdołali odnaleźć magicznej dróżki. Może dlatego, że Babunia zazwyczaj wolała podróżować na wyłamanej z płotu sztachecie, co było sposobem starym jak świat, wypróbowanym i przynależnym wiedźmie, nikogo więc nie kłuło w oczy. A może dlatego, że tajemna ścieżka ożywała jedynie pod stopami Babuni Jagódki i tylko ona potrafiła ją przywołać spomiędzy głogów, jałowców i buczyny porastających dno lasu.

Jednak wtedy, przed gankiem, na którym stały popękane buty ze świńskiej skóry – znak, że Rufian skończył już świętować w karczmie narodziny potomka i zawitał do chałupy – Gronostaj nie potrafiła zadumać się nad osobliwymi mocami wiedźmy. Miała ochotę po prostu obrócić się na pięcie i uciec do króliczej szopki, zakopać się głęboko w sianie i nie pamiętać więcej ani o krwawych prześcieradłach w chacie grabarza, ani o tym, jak pluła w ogień na kominie wiedźmy.

Babunia Jagódka trąciła kosturkiem drzwi. Otworzyły się, skrzypiąc przeraźliwie.

W bladym świetle ogarka Gronostaj nie dostrzegła żadnej z bab towarzyszących położnicy, najwyraźniej spłoszył je powrót gospodarza. Sam Rufian siedział przy stole nad miską polewki z soczewicy. Na odgłos otwieranych drzwi niechętnie podniósł łeb. W jego przekrwionych oczach nie było nic prócz obojętności i Gronostaj nie wiedziała, czy ją rozpoznaje: zwykle nie pozwalał, by w jego przytomności wchodziła do chaty. Kot wiedźmy miauknął cicho i otarł się o jej kostki, więc wzięła go na ręce i przycisnęła do piersi. Ciepły, mruczący ciężar dodał jej odwagi. Wprawdzie Rufian nieraz przepędzał ją z izby grubym słowem, albo i kułakiem, ale nie sądziła, by zechciał uderzyć kocura wiedźmy, który był zwierzęciem potężnym, wrednym i tak zajadłym, że nawet władcyka wolał go omijać z daleka, nadto zaś u wiedźmy na posadzie. Co jak co, ale Babunia Jagódka dbała o swój inwentarz i nie pozwalała go marnować.

– Posprzątać przyszły? – Rufian na powrót pochylił się nad polewką. – To niech się żywo biorą do roboty, bo trupem w izbie śmierdzi.

– Żadna to nowina – odparła Babunia Jagódka.

– A co ci do tego, babo? – Smyrgnął miskę, aż poleciała na drugi koniec stołu. – Na robotę cię prosili, nie wesele. Chcesz jęzorem po próznicy kręcić, to poszła won, zanim kości porachują!

– Nie poznajesz mnie? – Wyprostowała się i ściągnęła z głowy chustkę.

Ramiona wiedźmy przesłonił płaszcz czarnych włosów. Znow była młoda i gładkolica. Jej oczy połyskiwały od dzikiej, bursztynowej magii.

Rufian wykonał dłonią ruch tak szybki, że prawie niezauważalny. Gronostaj jednak wystarczająco długo żyła z grabarzem w jednej zagrodzie i wspomniała, co spotkało wędrownego kotlarza, który wdał się z nim w kosterkę i nieopatrznie zaczął wygrywać.

– Uwważaj! – krzyknęła.

Wiedźma nieznacznie uniosła lewą brew i ciśnięte przez grabarza ostrze zatrzymało się o włos od jej szyi.

– Widzę, że pamiętasz – oznajmiła pogodnie, a nóż ze szczękiem upadł na klepisko. – Widzę też, że głupi byłeś za młodu i głupim na starość pozostałeś. Co łatwo można było przewidzieć, gdyby się chciał kto przewidywaniem trudzić.

– Ty...! – Grabarz wczepił się oburącz w krawędź stołu.

Na jego szyi nabrzmiały purpurowe żyły. Szarpał koszulę na piersiach, spazmatycznie chwycił powietrze, nie mogąc wydobyć głosu, a Gronostaj przez chwilę miała nadzieję, że zaraz wyzionie ducha.

– Kto by się spodziewał? – Babunia uśmiechnęła się niemiło. – Spomiędzy wszystkich dolin Gór Żmijowych Rufian musiał wybrać akuratnie tę jedną, gdzie go dobrze znają. No, rozumiem teraz, dlaczego ludziska gadali, że grabarz odludek i gbur, że ciągiem z umarlakami na smyntarzu siedzi, a do gospody ledwie raz na pół roku zagładnie. Rozumiem też, czemu się dotychczas jego sąsiedztwem nacieszyć nie miała okazji, bo jak mię jeno we wsi uwidział, to w łeb w ramiona chował i w dyrdy za kościół uciekał! No, widzi mi się, że nie z nieśmiałości...

– Idź precz, wiedźmo! – Rufian odzyskał głos i podniósł się z zydła, potężny i czarnobrody. Rozerwał troczki, wydobyl z za koszuli szkaplerzyk z brunatnej skóry i potrząsnął nim przed wiedźmą.

– Precz, plugastwo nieczyste! – ryknął, aż mech posypał się z belek pod powalą. – Nie myśl, że się znów twoich gusiel złączę, przeklętnico! Mam od mnichów kordiał i zioła świętym olejem pomazane, co wnet cię z mocy wyzują...

Wiedźma pstryknęła palcami, uderzyła paznokciem o paznokcie, krzesząc niewielką błękitną iskrę, która rozbłysła w mrocznej izbie i padła wprost na szkaplerzyk. Ten w jednej chwili zajął się ogniem, a Rufian targnął się do tyłu, nieopatrznie wypuszczając go z ręki i zaraz wrzasnął rozgłośnie, kiedy woreczek opadł mu na gołą pierś.

W chacie rozniósł się niemiły smród palonych włosów.

– Z czego wyzują? – zapytała z ciekawością, kiedy Rufian wreszcie zerwał z szyi płonący szkaplerz i począł go bosymi stopami zdeptywać na klepisku, sycząc przy tym z bólu i przeklinając plugawie. – A ty żeś się, Rufian, nic nie nauczył – ciągnęła, przymrużywszy nieco złe, żółte ślepia. – Bo przecież i w Spichrzy ci się wydawało, że wrzaskiem i pięścią wszystko przemożesz. Rufian, jedyny synalek i dziedzic kurwigospodyni, co pod murem, na Krzywej, miała zamtuż dla poganiaczy wołów i tragarzy, bo żaden przyzwoity człowiek by w podobnej norze stopy nie postawił. Rufian, który z matczynego poruczenia co młodsze z dziewczek w zawodzie szkolił i przyuczał. I który za plecami matki pieniądze im kradł, kiedy już między innych chłopów poszły. A jak się któraś kłócić próbowała, albo do miejskich pachółków ze skargą poszła, wraz ją potem z fosy wyławiano. Ileż to już lat będzie, Rufian? – wyszczerzyła zęby.

Grabarz nie odpowiedział ni jednym słowem. Patrzył tylko spode łba na wiedźmę, ale takim wzrokiem, że Gronostaj głębiej wcisnęła się w kąt.

– Z pół tuzina albo i lepiej – odpowiedziała sobie Babunia. – Lecą latka, lecą, a pamięć coraz gorsza. Ale przecie pomnę bardzo dobrze, jaka tam była zabawa, kiedy się wreszcie matuli dobrodziejce z tego świata zeszło i kiedy Rufian na gospodarstwie nastał. Ho, ho! – zacmokała. – Złaziło się tałatajstwo z całej Spichrzy i połowa grasantów z Gór Żmijowych dla towarzystwa, i sute były pohulanki, należyte. A że się przy okazji jakiejś dziwce pysk pocięło czy oko wylupiło, któż by dbał, skoro sam gospodarz harcom przewodził i do coraz większych sprośności kompanów zachęcał? Czasem która baba chciała precz uciekać, ale pan baraśnik skumał się z pachółkami, co na bramie stali. I kiedy zbiegłą nazad do zamtuza przywiedli, zaraz ją Rufian kazał w komórce zawrzeć, za żelaznym zamkiem, skąd rzadko która na boże światło wychynęła bez pomieszania zmysłów.

– Łzesz, babo! – wycedził Rufian. – Wszystko u mnie miały – wikt, opierunek, zapłatę godziwą i od wszelkich napaści bezpieczeństwo. I nikt im odejść nie bronił, byle mi wcześniej po sprawiedliwości odpłacili, co moje było!

– Tyle że się wasza sprawiedliwość dziwkom nie widziała. A skoro od pachółków pomocy nijakiej nie miały, ani od książęcej straży, co z wami po gospodach piła, inny sposób znalazły. Starszy i bardziej przemożny. Wiedźmę. – Uśmiechnęła się po wilczemu. – Pomnisz to jeszcze, czyli się pamięć wraz z profesją skończyła?

Rufian nic odpowiedział, ale z całej jego postawy były nienawiść i odraza.

– Ech, piękne czasy... – Babunia uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. – Rajcowie byli ludzie zaci, figliki rozumiejący. Jak im doniesiono, że dziwki na własnym chlebobawcy mają używanie, wiedźmi war mu zadawszy, wnet im przeszkadzać wzbronili. A baraśnik z zamtuza z gołym zadkiem wypadł i po placach hasał, wrzeszcząc, że mu wiedźma przyrodzenie odjęła. Wielka między ludźmi wesołość powstała. Żaki go jeszcze bardziej szczuły, że owo przyrodzenie wiedźmy w książęcych ogrodach wieszać zwykły, na drzewie jednym, co popod samymi oknami księżnej jaśnie pani pięknie wyrosło, a wszystko po to, żeby we wdowieństwie swoim miała należyte pocieszenie. I zda mi się, że dałby radę na to drzewo wyleźć, choć słuszna stała topola, a i gołemu trudniej wspinaczka przychodzi. Ale

nie trza było wrzeszczeć – łysnęła złośliwie ślepiami – że nie będzie się księżna jaśnie pani twym przyrodzeniem pasła, bo jedna rzecz jest pijaństwo i urok pocieszny, a insza zgoła zdrada i przeciwko zwierzchności szczekanie. I tego już pachołkowie ścierpieć nie mogli...

– Będiesz ty, babo, na stosie skwierczeć za twoje niegodziwości! Będą cię jeszcze kołem łamać i końmi włóczyć! – dawał upust swej wściekłości Rufian.

– Nie zdaje mi się – odparła lekko Babunia. – Na pewno nie za przyczyną rajfura, który dał się zmamić trzema kroplami naparu tak straszliwie, że jeszcze trzy zimy później bał się gacie przed niewiastą opuścić, bo mu się wciąż zdawało, że jego kuśka pod okienkiem księżnej jaśnie pani na topoli zawieszona. Choć po prawdzie, to i wcześniej nie bardzo było czym się babom chwalić...

Rufian posiniał na gębie, nozdrza mu chodziły jako chrapy siwkowi władyki.

– Alem na czas rozumu nabrał i więcej się waszych omamów nie zlekne! – Sięgnął po grabarską łopatę, z którą nigdy się na dłużej nie rozstawał i która stała nieopodal, oparta o ścianę. – Nie pomógł kordyał zacny, może żelazo szczerze pomoże.

– Tym razem nie na omamy mnie przysłano. – Wiedźma przekrzywiła głowę i przyglądała mu się z namysłem. – I inną monetą zapłacono, nie srebrem.

– Ona? – Rufian wypatrzył skuloną w kącie Gronostaj i mimo strachu zarechotał sprośnie. – Nie wiem, co wam w głowę nakładła i naobiecowała, ale ona nic nie ma. Ani garści słomy, co na niej sypia. Pole, świnie, chałupa – wszystko z woli władyki moje, moje co do joty!

– Krwią mi zapłacono. – Babunia uśmiechnęła się niemal tkliwie. – Krwią, śliną i obietnicą. I taka będzie zapłata. Chodź do mnie! – Kiwnęła palcem, na którego czubku pojawiła się drobna, czerwona iskierka.

Grabarz szarpnął się w tył, przerażony, jego ręce z całej mocy zacisnęły się na krawędzi stołu. Ale palec Babuni znów poruszył się nagląco i Gronostaj spostrzegła, jak dłonie Rufiana się rozginają się, a nogi zaczynają z wolna sunąć po klepisku. Szedł z mozołem, jakby każdy krok okupował jakimś potwornym cierpieniem, i w mrocznej izbie dziewczyna widziała w jego twarzy grozę i niezrozumienie. Patrzyła jednak bez żalu, zanurzwszy ręce w zmierzwione futro kocura, i zastanawiała się, co też jeszcze wymyśli Babunia Jagódka dla pokarania grabarza. Ogarek zamigotał, dopalając się do cna, a Gronostaj wydało się, że z każdym krokiem Rufian staje się coraz mniejszy, że kurczy się i maleje wraz z ubywającym światłem.

Świeczka zaskwierczała ostatni raz i zgasła. W chałupie zrobiło się całkiem ciemno, tylko iskierka na wiedźmim palcu wirowała coraz szybciej, czerwona jak krew i przyzywająca. Rudy kocur zeskoczył z podółka dziewczyny, otarł się o łydki ciepłym, futrzastym bokiem i nagle Gronostaj pojęła, że to wcale nie jest złudzenie, że coś potwornego naprawdę dzieje się w tej izbie.

Kiedy grabarz minął stół, dwie skrzynie, których wieka nie pozwalał nikomu uchylać, i chlebową dzieżę z posagu jej matki, nie sięgał wyżej łokcia. Dziewczyna patrzyła, jak młóci powietrze drobnymi ramionkami, jak usiłuje się czepiać popielnika, szczap u paleniska, chruścianej miotły, ale urok na palcu Babuni przywoływał go nieprzeparcie i nęcił. Zatrzymał się tuż przed wiedźmimi trzewiczkami ze szkarłatnie barwionego safianu, nie większy już od kurzącego jaja i na wpół ukryty pomiędzy drwami, rozsypanymi po klepisku.

Kocur znów otarł się o nogi Gronostaj i z jego gardła dobyło się głębokie mruczenie, które zaraz przeszło w przyciszony warkot.

Wiedźma strzyknęła przez zęby śliną.

Rufian pisnął jeszcze cienko, usiłował uskoczyć, ukryć się pomiędzy drwami, lecz nie zdążył.

Iskierka na palcu wiedźmy mrugnęła i znikła.

Dziewczyna krzyknęła mimo woli.

Kocisko wyprysnęło spod nóg Gronostaj, pochwyliło grabarza w pysk i przez otwarte drzwi wypadło na podwórze. Za płotem splecionym z drobnych gałązek, za króliczą szopką i rzędem rachitycznych jabłonek na skraju wilżyńskiego cmentarza jaśniał już nikły ślad brzasku.

– Ech, zaraz kur zapieje, trzeba się do łóżka układać! – Babunia Jagódka ziewnęła rozgłosnie i zebrała sute spódnice. – Życzenie wypełnione, kocisko nakarmione, czas spać.

– A mnie co czeka? – Gronostaj ocknęła się w jednej chwili i przestraszona pochwyciła ją za kościsty łokieć.

– A co ma czekać? – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Pewnikiem chłosta u pręgierza, bo na kimś się musi złość władzyki skrupić, kiedy się wreszcie dowie o nagłym zawieruszeniu grabarza, którego za własne srebro nabył i zawłaszczył. A potem innego grasanta pan do chałupy ściągnie, żeby trupy chował. Ale to już nie moja rzecz.

Sięgnęła po grabarską łopatę, dokładnie obmacała trzonek, mrużąc coś do siebie pod nosem.

– Bywaj, dziewczyno! – powiedziała na koniec. – Spotkamy się jeszcze, spotkamy niezawodnie.

Po czym usiadła okrakiem na łopacie i odleciała bez śladu.

Gronostaj również usiadła w otwartych drzwiach izby w oczekiwaniu na rano, ostatnia już ze wszystkich córek grabarza Rękawki i bardzo samotna. A kiedy niebo poszarzało nad podwórzem i nocny mróz zelżał nieznacznie, weszła na powrót do izby i poczęła składać na stole nóż Rufiana, krzesiwo, garnek i zapasową koszulę, kilka pasków suszonego mięsa, cztery sparciłe jabłka i kilka podpłomyków. Zebrała to wszystko w wełnianą chustę, zawiązała solidnie, starając się nie spoglądać przez okno ku króliczej szopce. A potem ruszyła przez cmentarz i wioskę, czujnie przemykając się pomiędzy płotami, ponieważ kury poczynęły już piąć, a bała się, aby jej kto nie przydybał i nie zawlókł do dworu. Nie bardzo wiedziała, jak znaleźć ten wielki świat, o którym niegdyś mówiła Bitunka, ale nogi wiodły ją same na niską ścieżkę i w dół brzegiem Wilżyńskiego Potoku.

I nie chciała wracać.

„RZYĆ NIEWIEŚCIA..”

Babunia Jagódka miała zmartwienie: do Wilżyńskiej Doliny przypałętał się kleryk.

Siedziała w karczmie przy swoim ulubionym stoliczku w ciemnym kącie, z dala od paleniska i zalewała robaka najpodlejszym piwem. Była naprawdę wściekła. Tak bardzo, że nawet nie chciało jej się odmienić zaklęciem „młoda-i-piękna”. Pojawiła się w osadzie jako sterana, pokręcona reumatyzmem baba. Wdziała zmierzwioną baranicę, a na nogi grube, filcowe buciska. Spod zamotanej na głowie chustki w czerwone róże ciskały pioruny wściekle, żółte ślepia.

Kiedy pukała w stół czarnym, poszczerbionym paznokciem, z blatu sypały się drobne iskierki.

Utrapienia Babuni Jagódki rozpoczęły się wczesną wiosną, kiedy do Wilżyńskiej Doliny dotarły wieści, że miejscowy opat Ciecierka coraz zacieklej tropi przedsięwzięcove plugastwo. Zrazu Babunia Jagódka nie zmartwiła się zbytnio. Tak to już było z opatami, że od czasu do czasu któryś lubił zapolować na wiedźmy. Pewnie nie mają nic innego do roboty, tłumaczyła sobie Babunia. Zresztą, jak krowę giez ukąsi, to też wierzga na oślep, i jak na bydłęcą, tak i na opacką głupotę nic nie można poradzić. Pozżyma się, pozłości i znów wszystko będzie po staremu, tak sobie myślała.

Można by rzec, że słusznie. Proboszcz ogłosił z ambony, iż do wiedźmy chodzić nie trza, parafianie przytaknęli mu grzecznie. A jeszcze tego samego wieczora do chatki Babuni Jagódki zastukała Rozalka, gospodyni proboszcza, prosząc o kolejną porcję czopków na hemoroidy dla czcigodnego pasterza. Innymi słowy: wypełniwszy obowiązki wobec zwierzchności, Wilżyńska Dolina powróciła do starych przyzwyczajzeń.

Ale kilka dni później, tuż przed sianokosami, do wioski ściągnął guślarz.

Babunia Jagódka wykrzywiła się wrednie, dmuchnęła w podsunięty przez usługowego karczmarza kufel. Piana przefrunęła przez izbę, rozpryskując się na twarzy Betki. Młynarz tylko wcisnął głowę w ramiona, wytarł się rękawem. Nie był na tyle głupi, żeby zadzierać z wiedźmą. Szczególnie kiedy była w takim nastroju.

Właściwie najbardziej zawinił władyka, pomyślała Babunia. Wynalazł guślarza na jarmarku w sąsiedniej włości i ochoczo przygarnął. Miał podobno powiedzieć, że baba zanadto się rozwydrzyła i przyda się jej odrobina zdrowej konkurencji.

Babunia Jagódka wykrzywiła się jeszcze paskudniej. Ostatniej zimy prawowita małżonka władyki srodze zaniemogła, przedwcześnie utraciwszy upragnionego dziedzica, i prawie że nie opuszczała alkierza. Władyka zrazu rozpaczał okrutnie, później zaś szalał dla pociechy. Już wcześniej nie przepuszczał dójkom i zagrodniczkom, ale teraz brykał jak młody i nocami coraz śmieiej zapuszczał się do okolicznych posiadłości. Powiadano, że ma w Spichrzy kamieniczkę i trzyma w niej co najmniej trzy ladacznice. A Babunia Jagódka wcale nie liczyła tanio za wzmacniające wywary.

Tym sposobem guślarz zamieszkał w dworskiej przybudówce. Babunia Jagódka musiała ucziwie przyznać, że korzeń lisich jajek, który serwował władcyce dla „wzmoczenia chciwości cielesnej” był równie skuteczny, jak jej własne wywary. Może nawet jeszcze lepszy, pomyślała, przypomniawszy sobie, co podczas ostatniej pełni władyka wyprawiał z trzema wędrownymi nierządnicami w stawie Betki młynarza. Lisie jajka, pokręciła głową z zadziwienia. Kto by pomyślał?

Guślarz dotkliwie popsuł jej interesy. Co więcej, przynosił wstyd szlachetnej magicznej profesji. Nie zaglądał do karczmy, nie mamrotał tajemniczych formuł, nie miał kaprawego kociska, na jarmark zaś przybył nie na ucziwej sztachecie, tylko na zwyczajnej, tłustawej kobyłce. Nawet nie wyglądał

na guślarza. Był zawsze schludnie ogolony, czysto odziany i wielce układny. Wieśniacy zaczęli zapraszać go na chrzciny i wesela. Słowem, hańba.

Szczęściem pozostawały czopki na hemoroidy. Ale wiedziała, że jeśli wkrótce czegoś nie wykonczy, proboszcz stanie się jedynym źródłem jej dochodów.

Na dodatek guślarz wtargnął do najgłębszego matecznika Babuni Jagódki: zaczął warzyć wywary miłosne. Ale zabrał się do rzeczy tak nieudolnie, że wiedźma przemogła urazę i osobiście pofatygowała się do dworskiej przybudówki. Odmieniwszy się wcześniej bardzo starannie w hożą, rudowłosą dziewczoję.

Guślarz skrobał coś na kawałku pergaminu. Babunia z satysfakcją stwierdziła, że w izbie jest lodowato zimno, a kaganek ledwo kopci. Widać, mimo lisich jajek, władcyka nie był zbyt hojny dla konkurencji. I bardzo dobrze.

– Co najlepszego robicie? – sarknęła od progu. – Dlaczego daliście Jarosławnie wywar z lubczyka?

– Przecież prosiła – tłumaczył się guślarz.

– Wy nie jesteście od spełniania życzeń – ofuknęła go Babunia. – Co to by było, jakbyśmy wszyscy robili to, czego chcą?

– Ale to był naprawdę dobry pomysł – bronił się uparcie. – Zadurzyła się w synu sołtysa. Dorodny chłopak, a Jarosławna najbardziej posażna dziewczucha we wsi. Będą do siebie pasować.

Babunia Jagódka załamała ręce. W ogóle niczego nie pojmuje, nie rozumie się na swataniu, pomyślała. Jak to chłop.

– I co? – spytała zgryźliwie. – Będą żyli długo i szczęśliwie, a o nas ani pomyślą. No, może poproszą akuszerki do kolejnego bachora. Ot, durniście.

Przyglądał się jej tępo. Może nie tyle jej, ile falbankom gorsetu wokół dekoltu Babuni. A dekolty Babunia nosiła głębsze niż wioskowa ladacznica.

– Durniście, powiadam – powtórzyła, dumnie wypinając wdzięki. – Bo tu nie o to idzie bynajmniej, by Jarosławna szczęśliwie dożywała swych dni z tym sołtysim zasmarkańcem. Idzie o to, aby interes się kręcił.

Guślarz nie odrywał od niej wzroku.

– A tak! – Babunia ujęła się pod boki. – Lubczyka trzeba zadać Jarosławnie i wioskowemu głuptakowi. Oczywiście, jej ojciec przyleciałby w te pędy i nie żałowałby grosza, żebyście urok odczynili. I pozbywszy się głuptaka, ze szczęścia nie pisnąłby ani słowa, kiedy Jarosławna zakochałaby się w wędrownym parobku. A zakochałaby się niezawodnie, bo dziewczuchy zawsze po żniwach tracą rozum dla wędrownych parobków, widać taki zwyczaj.

Guślarz słuchał w wielkim skupieniu.

– No, to byśmy ich pożenili! – Zaśmiała się szyderczo. – Wedle życzenia. Wiadomo, że piłby, biłby i łajdaczył się z posługaczkami, jak to wędrowny parobczak. Po paru miesiącach Jarosławna zmądrzałaby i przychylniej popatrzyła na syna sołtysa. A wtedy my byśmy dali wywar z miłości kaprawej Doni i nim się miesiąc odmieni, proboszcz pobłogosławiłby kolejne stadło. Donie z sołtysim chłopakiem.

– Ale to tak jakoś nie po bożemu – przemówił wreszcie, drapiąc się po głowie. Minę miał wielce zafrasowaną. – Toż to nikomu nie byłoby dobrze.

– Nam by było! – prychnęła wzdorliwie Babunia. – Parobek chciałby czerwionego proszku, żeby umorzyć starego Betkę i dobrać się wreszcie do posagu młynarzówny. Jarosławna szukałaby trutki na męża i miłości dla przymamienia sołtysiego syna. Kaprawa Donia prosiłaby o ziółka dla rychłego poczęcia i uwiązania męża we własnej, bezpiecznej komorze. Ledwo byśmy nadążali z warzeniem

wywarów. A ja za flaszeczkę liczę sobie trzy srebrne grosze. No, rozjaśniłam wam we łbie?

I wymaszerowała, rozrzutnie kołysząc biodrami. Nie miała nic przeciwko temu, żeby guślarz klepnął ją po tyłku, ale ten okazał się naprawdę dobrze wychowany. Gamoń, pomyślała Babunia. Psuje się rasa, psuje coraz bardziej. Wszystko teraz jakieś głąbowate, dychawiczne, niezdałe.

Wychyliła kufel i smętnie zapatrzyła się w palenisko.

Guślarz sam w sobie był niegorszym kłopotem. A teraz jeszcze ten kleryk...

* * *

– Przeklęty kleryk – wymamrotał pod nosem pleban, łowiąc w nozdrza odległą, kuszącą woń.

Po pieczonej gęsi został tylko zapach. Sosisek, jak to kleryk, był nadgorliwy, pełen bezrozumnych przesądów i uprzedzeń. Na widok pieczystego oschle obwieścił, że w dzień świąteczny mięsa jeść się nie godzi. Ponieważ zaś oprócz uprzedzeń Sosisek miał wuja opata, chcąc nie chcąc, proboszcz kazał wynieść gęś do komory.

Więcej nam ta nadgorliwość szkód wyrządzi niż niejedna wiedźma, pomyślał. Dlaczego przysłali go właśnie do mnie?

Z bolesnym grymasem poprawił się na stołku. Sosisek węszył nieustannie i proboszcz nie śmiał posyłać do Babuni Jagódki po zbawienne czopki. Z każdym dniem siedziało mu się mniej wygodnie. Nie mógł nawet napić się gorzałki. Kleryk starannie opróżnił piwniczkę ze wszystkich zapasów. Nie żeby wypił – Sosisek brzydził się gorzałką jeszcze bardziej niż wiedźmami. Kleryk po prostu wylał cały trunek do dworskiej gnojówki. Na wspomnienie owej egzekucji oczy proboszcza nadal powlekały się łzami.

Doszło do tego, że Rozalka, księżowska gospodyni i od lat wierna jego towarzyska, bała się przestąpić progu plebanii. Trzeba uczciwie przyznać, że Sosisek patrzył krzywym okiem nie tylko na Rozalkę. Sprawiedliwie nienawidził całego niewieściego rodzaju. Nawet samą szlachetną panią Wisenkę, żonę władzyki, nazywał „stoczoną suchotami nierządnicą”. Ni wiek, ni godność nie sprawiały mu żadnej różnicy. Sosisek zdawał się zupełnie nie rozumieć, że w tej odludnej okolicy żyli ludzie prości, lecz rozsądni, a proboszcz, który nie umie sobie znaleźć okazałej niewiasty, nigdy nie zyskałby ich szacunku. Ostatecznie, czy można polegać na kimś, na kogo nie połączysz się nawet głupia baba?

Zresztą tutaj, wysoko w górach, ludzie nigdy do końca nie pojęli, o co chodziło w tych wszystkich kapłańskich subtelnościach. Rozumieli tyle, że był kiedyś bóg w Górach Żmijowych, a skoro poszedł precz, to pewnie prędzej czy później wróci, gdy obczyzna wystarczająco mu dopiecze. Bo kto by na dobre chciał się osiedlać z dala od górskich szczytów, Pala, Maczugi i Mnicha? No, chyba jaki ostatni pomylenie! Więc bóg się wróci niezawodnie, tylko trzeba cierpliwie poczekać.

Czekali już od pokoleń, tedy przez wieśniaczą roztropność nie przepędzali mnichów w żółtych szatach, którzy pod nieobecność Kii Krindara Od Ognia uroili sobie nawracać górski ludek. Wiadomo, młodzi się żenią i dzieciśka rodzą każdego roku, i bydlę zdałoby się poświęcić dla ochrony przed wiosennym pomorkiem, i pola od chrabąszczów okadzić naleźycie. Pozwalali więc, by słudzy Jałmużnika odprawiali w porzuconych kościółkach nabożeństwa i nawet płacili odległemu opactwu dziesięcinę, choć oszukiwali na każdym korcu ziarna i każdym półciu słoniny. Nie sądzili, aby Kii Krindar miał im za złe odstępowanie – ostatecznie musiał rozumieć, że kapłan w wiosce potrzebny, jak mało kto.

Pasterz Wilżyńskiej Doliny rozumiał to wszystko bardzo dobrze, starał się więc nie kłuć zanadto wieśniaków w oczy nowomodnym obyczajem i z każdym rokiem w górskiej głuszy było mu coraz bardziej obojętne, co tam znów wymyślił w opactwie świątobliwy Ciecierka. Proboszcz wiedział o

pradawnych kapliczkach Kii Krindara Od Ognia, ukrytych w leśnych ostępach przed wścibskimi mnichami, o ofiarach składanych w noc Żarów u domowego ogniska, a w rzeźbie Jałmużnika, ustawionej w apsydzie wilżyńskiej świątyni, wyraźnie rozpoznawał rysy starego boga. I nic go to nie obchodziło. Ani dudę. Wziął sobie miejscową kobietę, a potem zżył się z miejscowym ludkiem, schłopiał tak dalece, że czasem zapominał psalmów wyuczonych w dalekiej scholi i cichcem szeptał przed posągami boga modlitwy zasłyszane od matki, która także była góralką i trzymała się dawnych zwyczajów. Nie sądził, aby Jałmużnik szukał za to pomsty, gdyż góry były wielkie, przeogromne i starczy w nich miejsca dla wszystkich bogów Krain Wewnętrznych Morza.

Ale kleryk to była zupełnie inna historia. O ile bowiem Jałmużnik, najmiłosierniejszy z bogów, mógł proboszczowi wybaczyć ludzkie ułomności, o tyle opat Ciecierka nigdy mu ich nie odpuści. A wilżyński ksiądz bardzo dobrze pamiętał smród palonych na klasztornej dziedzińcu heretyków. Dlatego na wszelki wypadek wygnał z plebanii Rozalkę i bardzo pilnie baczył, by nieopatrzonym słowem nie wydać się przed klerykiem z jakąś bezecnością, choć przychodziło mu to z coraz większym trudem.

I wszystko przez to, że Ciecierce zamarzyło się polowanie na wiedźmy, pomyślał z goryczą proboszcz.

Z początku opat zażądał jedynie spisu wszystkiego plugastwa. Pleban i władyka spędzili całą nockę na posępnych rozmyśleniach. Żadnemu nie uśmiechała się włóczęga po oczeretach, a wiedźmy doprawdy nie lubiły, kiedy obcy zaglądali im do garnków. O zadenuncjowaniu Babuni Jagódki ani ośmielali się przemyśliwać. Proboszcz aż dygotał na myśl, że cudowne remedium na hemoroidy mogłoby wraz z wiedźmą opuścić ten świat, władyka zaś nie bez słuszności podejrzewał, że Babunia dawno zwąchała pismo nosem i tylko czeka, by podłożyć ogień pod dworzyszczę.

Ponieważ jednak opat słyszał z tego, że łatwo się zaciętrzewiał, musieli coś postanowić. I postanowili. Przed świtem upichcili listę podejrzanych. Nie był długa: wioskowa ladacznica Gronostaj, głupawa niemowa i dwie posługaczki, które oparły się zalotom władyki. Później, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, oddali się pijaństwu. Mieli nadzieję, że cała sprawa rozejdzie się po kościach.

Nie rozeszła się. Jakiś czas opat daremnie domagał się raportów z wiedźmobicia, a na koniec zniecierpliwiony przysłał na przeszpiegi swego siostrzeńca Sosiska.

Tylu dobrych i pobożnych ludzi zbójcy na Przełęczy Zdechłej Krowy ubili, pomyślał z rozżaleniem pleban, a klerykowi musieli darować. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Kleryk dotarł na plebanie pełen oburzenia: nie dość, że wioskowa ladacznica napadła go w bramie osady i zrazu mu złożyła szczerą propozycję, to na dodatek spostrzegł Babunię Jagódkę przelatującą nisko nad rynkiem na brzozonej sztachecie. Darmo proboszcz usiłował mu tłumaczyć, że z parafianami trzeba postępować spokojnie i rozważnie. Sosisek zaciął się w świętym gniewie. Chciał natychmiast zbierać chrust na stos. Ledwo go z władyką pohamowali.

A teraz zamierzał dobrać się i do guślarza, i do wiedźmy.

* * *

Babunia Jagódka nie zdziwiła się za bardzo, kiedy do gospody wkroczył guślarz. Rozejrzył się płochliwie po przybytku nieprawości. Wiedźmy oczywiście nie rozpoznał – przecież zapamiętał ją w postaci hożej dziewoi – za to wioskowa ladacznica rzuciła się na niego niczym sęp na ścierwo.

– Co się tak gapicie? – spytała opryskliwie Babunia, kiedy po dobrej chwili, zadyszany i spocony, dotarł wreszcie do jej stołu.

– Bo wyglądacie tak jakoś inaczej – odparł niepewnie.

Babunia nabrała głęboko powietrza, odwinęła się leciutko. Coś chrupnęło jej w krzyżu. Za stara jestem na podobne bałamuctwo, pomyślała z niechęcią, za stara.

– Teraz lepiej? – Mimo bólu przywołała na odmienioną, dwudziestoletnią twarz zachęcający uśmiech.

Guślarz tylko rozdziawił gębę. Wiedźmy nieczęsto przemieniały się na oczach gapiów.

– Gadajcież – zniecierpliwiła się Babunia. – I nie sterczcie nade mną jak dyl w płocie.

– Mam problem – zagaił guślarz.

– Któż ich nie ma? – spytała filozoficznie wiedźma. – Ale to wasz problem. Mnie nic do niego. A im prędzej wyniesiecie się z Wilżyńskiej Doliny, tym lepiej. Psujecie mi interes.

– To nasz wspólny problem – wyjaśnił. – Bo Sosisek i na was, i na mnie równie zaciekły. Był u mnie przeszłego wieczoru i straszliwie przeciwko wam wygadywał.

– U mnie też był – skrzywiła się Babunia. – Niewyglądny jakiś, dawniej oprawcy bywali okazalsi. Nie wiem, czego chciał. Z początku coś bełkotał o grzechu i plugastwie, a potem tak się zaperzył, że nic nie mogłam zrozumieć. Poszczułam go Szymkiem. Moim capem – dodała. – Wziął kleryka na rogi, tylko ta jego żółtawa sukmana furkotała. Aż miło było popatrzeć.

– Na rogi? – powtórzył z trwożliwym podziwem guślarz.

– A co? Wpakowało mi się, chamidło, do izby jak do klasztornego wychodka, to go popędziłam. Trzeba uczyć poszanowania dla starszych. A od was czego chciał?

– Najbardziej chyba wysłać na stos. Władyka przykazał mu trzymać się z daleka, ale i tak ślepią mu się do mnie świecą, jak kotu do sperki.

– Biedaczek – uzaliła się kpiąco. – Was władyka broni, za mną pleban obstaje, a nieszczęsny Sosisek tyle że jakąś jawnogrzesznicę u pręgierza może wysmagać. Poszłam w niedzielę na sumę, to się przypatrzyłam. Trzy przy kościelnych wrotach siedziały.

– Byliście w kościele?

– A co wam się zdaje? – zachnęła się wiedźma. – Że się święta ziemia rozstąpi i do środka mnie wciągnie? Często bywam w kościele. Trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy. A tamtej niedzieli piszcząco, aż miło. – Zachichotała. – Sosisek miał kazanie, ale nie szło go wyrozumieć, tak straszliwie bełkotał. Sporo było o mnie. Że do wiedźmy nie lza po pomoc przychodzić, bo jeno sami bogowie chorobę mogą odjąć. Bzdura! Raz tylko, jeden raz, widziałam, jak wędrowny braciszek paralityka uzdrowił, a tych, którym ja pomogłam, na całe miasteczko starczy. Gadał też, że capa w izbie dla sprośności trzymam. A czy ja rozpowiadam o jego życiu rodzinnym? – oburzyła się. – Był pełen zapału i zajadły straszliwie, dobrze, że wymowa szwankowała i wieśniacy niewiele zrozumieli. Choć podzegał ich, aż miło.

– Przeciwno wam?

– No, w szczególności przeciwko mnie – zgodziła się Babunia Jagódka – ale w ogólności przeciwko całemu światu. Że tyli czas głupiej wiedźmie za nos się pozwalają wodzić, miast precz ją popędzić. Że w całych Górach Żmijowych plugastwo nieledwie wytępione, tylko sama Wilżyńska Dolina w tyle drepcze. Że czas i nam do wyścigu stanąć, dla pospólnego dobra się przyczynić. Potem zaczął wieśniakom kadzić. Znaczy się, gadał, że im niby omamiła. Niby sami z siebie ku szlachetności się skłaniają, zacni są i bogobojni, tylko bez rozmysłu. Zdałoby się im podsunąć jaką śmiałą i doniosłą ideę. No to im podsunął. Wiedźmobicie.

– I?

– Widno go bardzo uważnie słuchali. Bo jak wychodziłam, to widziałam całą gromadę wyrostków owładniętych śmiałą i doniosłą ideą, iście, jak Sosisek gadał – zarechotała Babunia Jagódka. – Stali pod starą gruszą na kościelnym dziedzińcu i pluli do kotów za przyczyną, jak to Sosisek rzekł,

odwiecznej męskiej rywalizacji. Ech, szkoda gadać. Biedny to człek, ten cały Sosisek. Wszędzie jakoweś spiski, sprośności i wszeteczeństwa wietrzy, aż we łbie mu z tej całej podejrzliwości wrze, jako w garze żuru. Zdałoby mu się do karczmy pójść, gorzałki napić, babę jakąś znaleźć, może by trochę poweselał. Ale na razie nie ma się co lękać, bo z miejscowymi niczego nie dopnie.

– Może do klasztoru po pomoc posłać – mruknął guślarz. – Jego wuj tam opatuje, chętnie przyśle pomocników.

– Wtedy się będziemy martwić. – Wiedźma zgarnęła spódnice i ruszyła ku wyjściu, nie zaprzatając sobie głowy płaceniem: jak słusznie podejrzewała, karczmarz nie śmiał jej nagabywać. – A mnie czas do domu wracać.

– Odprowadzę was – zaofiarował się guślarz.

Babunia Jagódka zdmuchnęła z policzka lok i rzuciła guślarzowi kosę spojrzenie.

– A odprowadzajcie – przyzwoliła.

Kiedy zawadziła o próg, potknęła się i zatoczyła na ścianę, guślarz układnie podtrzymał ją za ramię. Wiedźma przycisnęła jego rękę do boku i uśmiechnęła się półgębkiem.

Zza kęp tataraku przy stawie Betki młynarza chciwie przyglądały im się utopce.

– Nie ten, nie ten – mamrotała pod nosem Babunia Jagódka. – Ten nie dla was.

– Co tam do siebie szepczecie?

– A, nic. Powiedzcie lepiej, co was przyгнаło do Wilżyńskiej Doliny. Jego świątobliwość opat i polowanie na czarownice?

– Poniekąd.

– No, nie bądźcież tacy tajemniczy. – Babunia bodnęła go łokciem pod zebro. – Przecie my tu siedzimy jak mysz pod miotłą, tośmy chciwi wieści z wielkiego świata. A po was widać, żeście nie po byle przysiółkach się obracali.

– Napisałem *paszkwilus* przeciwko księciu panu. A że był wierszowany i łatwo wpadał w ucho, wnet go pół miasta powtarzało. Na szczęście miałem kilku przyjaciół przy dworze. Ostrzegli, żebym się w górach przytaił, póki księciu złość nie minie. Com niezwłocznie uczynił.

Babunia Jagódka skrzywiła się, nie miała bowiem zaufania do wierszopisów. Byli wedle niej podrzędną formą wędrownego parobka: też włóczyli się nieustannie w poszukiwaniu łatwego zarobku, pili i łajdaczyli się tak samo, jak oni i równie trudno było ich zapędzić do roboty.

Utopiec wychylił z tataraku wielką, bladą głowę i pytająco uniósł brew.

– Nic z tego – wymamroliła Babunia, której nieoczekiwanie przyszyła do głowy zgoła odświeżająca myśl. – Opowiedzcie mi o książęcym dworze – powiedziała głośno i zatrzepotała rzesami.

* * *

Guślarz wrócił do dworskiej przybudówki późną nocką. Szedł środkiem zapyłonej wiejskiej drogi, uśmiechając się do siebie głupawo. Szedł i śpiewał starą przyspiewkę szkolarzy:

„Kukułka między ptakami,
Jewka między niewiastami:
Ta nie gardzi żadnym ptakiem,
Ta hajdukiem ani żakiem,
Sługą, panem; zgoła ona
Wystawi, kto chce, ogona.
U– ha!”.

Przed oczyma stały mu wdzięczne, obfite krągłości Babuni – oczywiście, odmłodzonej czarami Babuni – w nozdrzach czuł jurny zapach miazdzonego tataraku.

Rozpalił kaganek, umoczył pióro w kałamarzu, postanowiwszy niezwłocznie przelać na pergamin swe miłosne uniesienia.

Nie, pomyślał nagle, nie tak. Bo choćbym był jako cymbał brzącający, nikt mnie na tym zadupiu nie usłyszy, nie rozpozna. Szczepną moje rymy, szczepną razem ze mną, a pergamin pójdzie na podpałkę.

Coś mu we łbie chlupnęło, zaćmiło.

Chwycił kozik i płaską deszczułkę, na której rozcierał farby. Nie miał doświadczenia w rzeźbieniu drewna, ale litery same układały mu się przed oczyma.

Rzyć niewieścia wieloraka jest wyrezał w zachwycie i przystąpił do barwnego opisu Babcinych śliczności. Pragnął, by cały świat poznał jej walory i zrozumiał, jak dalece wiedźma przewyższa dworki, mieszczańki i przygodne ladacznice. Był szczęśliwy.

Strużyny chwacko sypały się spod jego palców, gorąco biło na twarz.

Nim władyka skończył łajdaczyć się z dójkami, pierwsza matryca drukarska została prawie skończona.

Guślarz przyjrzał się uważnie swemu dziełu, a potem, nieświadomie wyraziwszy najszczerze uczucia wszystkich przeszłych i przyszłych wierszopisów, dodał jeszcze dwie linie:

„Niech nogami na szubienicy cieniutko zapląsa
Ten, kto by mi te wiersze złym zębem pokąsał”.

* * *

– Wstawajcie! – Potężne szarpnięcie wyrwało proboszcza spod pierzyny.

Aż zatrząsał się z przerażenia. Ogień, pomyślał, wiedźma ogień na plebanii zażegła. Odgarnął opadającą na twarz szlafmycę, zmacał przy boku puste miejsce po Rozalce, gospodyni. Nie było jej, za to nad łóżkiem ujrzał rozsierdzone oblicze kleryka Sosinka.

– Patrzajcie! – Podsunął plebanowi pod nos pokaźny kartelusz.

Proboszcz zmrużył krótkowzroczne oczy, ale Sosisek już rozpalał kaganek.

– Co wy? – zaprotestował pleban. – Jakże tak? Po nocy?

– Bo tu zwlekać nie można! Toż to haniebnie! – I jeszcze bliżej podsunął mu kartę.

Zrezygnowany proboszcz popatrzył na pergamin. „Rzyć niewieścia wieloraka jest” – przeczytał ze zdumieniem u góry karty. Dalej następował szczegółowy i bardzo zgrabnie wierszowany opis różnaitości niewieścich wdzięków. Zdumiał go piękny krój liter: wszystkie były idealnie kształtne i bardzo krągłe, niczym rzeczony przedmiot rymowanej rozprawy. Ciekawe, kto tak pisze, pomyślał. Przydałby się do prowadzenia ksiąg parafialnych, bo organista bazgrze jak kura pazurem.

W dole pergaminu pleban dostrzegł nieco zamazany rysunek. Przez chwilę niepewnie obracał kartę, starając się wybrać właściwy kąt i odgadnąć znaczenie obrazka. Wreszcie z gąszczu splątanych kresek wyłonił się zarys golusieńkiej, piersiastej niewiasty w uścisku czegoś kosmatego i rogatego.

– Widzicie? – spytał oskarżycielsko kleryk.

– A widzę! – zachichotał proboszcz. Zdawało mu się, że niewiasta mrugnęła doń porozumiewawczo. – Kobita niby smok! Spójrzcie, jak krzepko tego kozła dzierży!

Kleryk posiniał na gębie z oburzenia.

– Przekłęta wiedźma! – bluznął jadem. Wyszarpnął proboszczowi kartę i zwinął ją pośpiesznie.

– Jagódka? – zadziwił się proboszcz. – Ona to wszystko tak udatnie wymalowała?

– Jaka Jagódka? – zachnął się Sosisek. – Toż głupia jest, jak to baba, ani pomysłu, ani rozwagi. To guślarz, świńskie nasienie.

– Też pięknie – zgodził się pleban, po czym ziewnął szeroko, bo wciąż niezdolnie chciało mu się spać. – Ja was rozumiem. Wyście człek młody, w opactwie chowany, świata nie poznaliście. To ja wam powiem, że u nas w odpust, popod samą farą nie takie obrazki przekupnie sprzedają. Sprośność, całe nasze ziemskie bytowanie – sprośność i mizéria. Ale to nie powód, żeby czleka po nocy ze snu zrywać. Należało do rana poczekać, a później rejwach wszczynać.

– Ale cała wioska tym plugastwem oblepiona – wyjaśnił Sosisek. – Na każdej chałupie karty rozwieszane.

– Widno guślarzowi samotność bardzo nadojadła – mruknął pobłażliwie proboszcz i począł znów mościć się wygodniej na poduchach. – Trzeba mu będzie jaką dziewczuchę wyswatać i tyle. Porozmawiam z nim po sumie i wybiję ze łba bezecne malunki. To rozgarnięty człek. Zrozumie.

– To nie malunki – wyjaśnił Sosisek. – W tym cała sztuka. Guślarz to pisanie i rysunek pospołu w drewnie wyciął. Inkaustem je maże i jakąś wiedźmią sztuką na pergaminie odciska. Jedno za drugim. Całą stertę w chałupie naskładał. A to żem jeszcze usłyszał, jak pod nosem mamrolił, że zda się dla większej trwałości każdą literkę w metalu odlać i wedle zamysłu na karteluszu składać.

– Zdziwiający! – Pleban splótł na podołku pulchne dłonie. – Cała sterta, powiadacie? Litery równiuckie, jedna w drugą... Toż to prawdziwie boskie błogosławieństwo.

– Błogosławieństwo?!

– Ano tak – potwierdził spokojnie proboszcz. – Pomyślcie, jaki by z tego dla nas pożytek mógł być. Bo ninie mnisi ledwo nadążają z przepisywaniem świętych tekstów. Sam się nie mogę nowego brewiarza doprosić, choć przecie grosza nie pożałowałem. Księgi takie drogie, że rzadko w którym dworze uświadczysz co więcej niżli grubaśne tomisko romansów, które są bardziej wszeteczne i sprośne niż obrazki wiedźmy z capem, i z gruntu bezbożne. A z tych guślarskich liter – pokręcił głową z zadziwienia – wszystkie święte pisma będzie można złożyć i na pergaminie odcisnąć. Wystawiacie sobie? W każdy przysiółek, pod najnędrniejszą strzechę zawita słowo boże...

– Toż on nie święte pisma na chałupach lepi! – oburzył się Sosisek. – Jeno same plugastwa. Wiedźmę i capa.

– Temu nie pismo winne. – Pleban wzruszył ramionami. – Widno wiedźma guślarza zauroczyła, że mu się tak po nocy z capem zwiduje. Zwyczajna rzecz. Nowy chłop do Wilżyńskiej Doliny zawitał, więc się z nim Jagódka zabawiła, a że to guślarz i praktykę jej odbiera, to go na ludzki śmiech wystawia. Pofigluje i się znudzi, jak to Jagódka.

– Wiedziałem! – syknął kleryk.

– Coście wiedzieli? – zniecierpliwił się pleban.

– Wiedziałem, że w tym wiedźma palce macza.

– Kręte i niezbadane są wyroki losu, a złe się nieraz na dobre obraca – sentencjonalnie rzekł proboszcz. – Trzeba będzie wnet gońca z wiadomością pchnąć do opactwa.

– Ani się ważcie! – wrzasnął Sosisek. – Ani próbujcie! Trza to całe guślarskie pisanie jak najrychlej w ogień wrzucić, nim z niego jaka większa bieda przyjdzie. Pomyślcie, co to by było, jakby każda, wiedźma swe plugawe zaklęcia po drzewach rozwieszała!

Proboszcz uśmiechnął się błogo, wyobraziwszy sobie, że pewnego dnia znajduje na brzoźce przy ganku plebana przepis na Babcine remedium przeciwko hemoroidom.

– E, gdzie tam! – otrząsnął się z rozmarzenia. – Może i która wiedźma czytać potrafi, ale co do zapisywania zaklęć, to się nie obawiajcie. Takie ze szczętem durne to one nie są, tajniki wiedźmienia pieczołowicie trzymają w tajemnicy, ot co! Kto by wiedźmie płacił, jakby sobie sam mógł zaklęcia i przepisy wyczytać?

– Nic nie rozumiecie! – zachnął się kleryk. – Będą się z nas naśmiewać. Nic nie uszanują, jako

dworskie błazny. Ale już nie same błazny będą błaznować, ale i wszyscy inni. Was też opiszą. Wasze wyprawy do wiedzmy po czopki, waszą gospodynię i nocne picie z władką.

Proboszcz pokraśniał. Z przykrością dowiadywał się, że chytre oczka Sosiska wytropiły zbyt wiele tajemnic Wilżyńskiej Doliny.

– Bo to jest wszystko wasza wina – ciągnął ześlony kleryk. – Wyście ich tak rozwydrzyli. To zamtuż jest, nie plebania. Wiedzma w biały dzień po wiosce łązi, władka guślarza sobie sprowadza dla sprawniejszego nierządu. A wy ogon pod siebie, ni słowa jednego nie rzekniecie. Boście tchórz. Ale na ostatek trza wam zdecydować, z kim trzymacie.

Pleban w desperacji miętosił rąbek pierzyny, ale lęk przed Babunią Jagódką przeważył nad strachem przed opatem. Ostatecznie, wiedzma siedziała zaraz pod bokiem, a Ciecierka trochę dalej.

– Wy mnie nie będziecie w moim własnym łóżku pouczać – postawił się hardo. – Wy nie jesteście taka persona, żebym się przez was w nocy po oczeretach włóczył. Wy w ogóle nie jesteście żadna persona. Wyście ni to, ni owo, ani mnich, ani człek świecki. Wyście zwyczajny, zawistny gołowąs.

– W takim razie dobrze! Sam pójdę. – Sosisek zacisnął wargi. – Ale będziecie żałować.

No i z bogiem, pomyślał pleban, odszukując pomiędzy poduchami zagubioną szlafmycę. Idź, łajzo, niech cię Babunia Jagódka rozumu nauczy. Idź, idź w czorty, może się wreszcie to całe stękanie skończy. Raz jeszcze zmacał tęsknie puste miejsce po Rozalce i usnął głębokim, sumiennym snem.

* * *

Wiedzma Jagódka takó¿ wyspała się należycie na swoim odludziu, natomiast pozostali mieszkańcy Wilżyńskiej Doliny nie zmrużyli oka. Obudziła ich bijąca od dworskich zabudowań łuna. Tych zaś, którzy wciąż nie wychynęli spod piernatów, poderwał sam władka, zapędzając całą wioskę do gaszenia pożaru, który w mig przerzucił się na sam dwór.

W zamieszaniu pachółkowie wynieśli na dziedziniec łoże szlachetnej Wisenki. Małżonka władki przeleżała w sadzie aż do świtu, kiedy zaś ją odszukano, była mokra od rosy i wyziębła od porannego chłodu. Babunia Jagódka orzekła, że najpewniej nie pociągnie długo.

Sosiska znaleziono dopiero koło południa: ktoś wypatrzył jego goły zadek w kępie łoziny przy stawie Betki młynarza. Kiedy go docucono – co nie było łatwe, bo z zapachu wnoszono, że musiał nieźle posmakować okowity – nic nie potrafił rzec o wypadkach zeszłej nocy. Głupkowato się uśmiechał, a na wszelkie pytania odpowiadał przyśpiewkami, w których proboszcz ze zdumieniem rozpoznał twórczość uwędzonego guślarza. Najprzyzwoitsza brzmiała:

„Gdyby kogo zastano na jakim nierządzie,
W kłódkę mu jądra zamknąć, bo i ono gładzie.
Niechaj tak za pokutę chodzi tydzień z kłódką,
Żeby więcej nie igrał z nadobną Dorotką.
U– ha!”.

Po wieczerzy wiedzma i proboszcz siedzieli w kuchni na plebanii i moczyli nogi w dwóch bliźniaczych cebrzykach. Musieli się dzisiaj dużo nachodzić. Proboszcz pocieszał pogorzalców i pochował trzy ofiary pożaru, wiedzma zaś obeszła wszystkie chałupy, hojnie rozdzielając maści na poparzenia.

– A na odciski pomoże? – Proboszcz zachłupotał w swoim cebrzyku.

– Jak zapłacicie, to pomoże – odparła flegmatycznie wiedzma. – Tylko pogorzalcóm daję na borg.

– Jakże tak? – zaśmiał się proboszcz. – Własnemu duszpasterzowi pożałujecie?

Wiedźma sięgnęła po kolejny kawałek sernika. Koło południa Rozalka znów wprowadziła się na plebanię, a Rozalka piekła wyśmienity sernik.

– Uuuch, jakie dobre – zamruczała łakomie Babunia.

– Nareszcie jest, jak dawniej. – Pleban pokiwał głową. – Ale wy mi tak po sprawiedliwości powiedzcie, jak to z tym guślarzem było. Zauroczyliście go?

Wiedźma uśmiechnęła się chytrze.

– Zauroczyliście – odpowiedział sobie pleban. – A łatwo wam poszło? Bo przecie i on z guśłami był obeznany.

– Jak po maśle. – Babunia Jagódka oblizwała palce z resztek sernika. – Z wiedźmami żadnego rozeznania nie miał, jak to miastowy. Wcale się nie pilnował. Położyłam na nim łapę i już za nic się nie mógł wywinąć.

– To wy tak z każdym możecie? – zafrasował się proboszcz.

– Nie lękajcie się. Wcale mnie do was nie nęci.

– Mnie suknia kościelna broni – odparł z godnością pleban.

– Nie suknia, ale Rozalka! – prychnęła. – Toć ja was swatałam.

– Nie może być! – Wielebny aż pokraśniał na wspomnienie pewnego wieczoru i szopy pełnej świeżo skoszonego siana.

– Może, może. – Babunia uspokajająco klepnęła go po ramieniu. – Rozalka w sam raz się dla was nadała. Jałowa jest, znaczy się, niepłodna, więc ją wam naraiłam. Bo kto by ją inny chciał? To zacna dziewczyna, ale miała tylko dwa wieprzki posagu i żadnej nadziei na wydanie się. Teraz każdy kmieć wcześniej do mnie posyła z zapytaniem, czy narzeczona powije mu dzieciśka. Na szczęście, akurat ściągnęliście do Wilżyńskiej Doliny. W sam czas dla Rozalki. I patrzajcie, żyjecie sobie szczęśliwie już drugi tuzin lat. Przecie nie będę tego niweczyć byle urokiem.

Proboszcz chrząknął i jeszcze bardziej poczerwieniał.

– A co zrobicie z Szymkiem? – spytał. – Widzicie, ludzie poczynają szemrać, a przecie i on nie może bez końca ganiać w kozłej skórze. To jakoś nie po bożemu.

– I tak mi się znudził – rzekła obojętnie wiedźma. – Ale w Wilżyńskiej Dolinie długo miejsca nie zagrzeje. Dawałam mu wywar z dziewięcisiła i ostatnimi czasy zbyt wielu chłopakom gnaty policzył. Nie dadzą mu żyć. Zresztą, po tym, jak u mnie pomieszkał, nie spodoba mu się na dworskim wikcie, a i dola świniopasa pewnie go nie przynęci.

– Chciał się za żołnierza nająć, to niech w świat idzie – zdecydował pleban. – A wy też czas jakiś spokojniej siedzicie, bo nam jeszcze znów jakie ścierwo podeślą.

– A jak już o ścierwach mowa, to tak po ciekawości, co zrobiliście ze szlachetnym Sosiskiem?

– Co było robić? Wyciągnęliśmy go z łoziny, bo Betka narzekał, że mu ryby potruje. Zgorszenie straszliwe uczynił. Golusieńki tam leżał i jawne na nim ślady były sprośności, co je z utopcami wyprawiał.

Babunia Jagódka spuściła oczy i wzięła następny kawałek sernika. Nie zamierzała opowiadać plebanowi, jak zachęciła utopce, żeby zabawiły się z klerykiem.

– Kazałem go co rychlej wsadzić na osła i odwieźć do opactwa – ciągnął wielebny. – Bo jak my go w komórce zawarli, to łeb przez kraty wystawił i dalej ryczał jakieś przyśpiewki o niewieściej rzyci i nijak nie dało się go uciszyć. Niech sobie tam wuj opat z nim ładu dochodzi, dla mnie to on jest zwyczajny podpalacz i rozpustnik. Wszystko opatowi opisałem. I to, że guślarza uwędził, i to, co z utopcami wyprawiał.

– Bardzo roztropnie – pochwaliła wiedźma. – Niech z nami więcej nie zadziera.

– Tylko tego guślarza trochę żal – mruknął pleban. – Poczciwy był chłopina.

– Bruździł mi – skrzywiła się Babunia. – Chłopów porozwydrzał. Przyłazi dzisiaj do mnie Betka młynarz, kładzie na okapie kominka półgroszówkę i gada: „Babuniu, dajcie mi maść na czyraki, ale nie zwłóczcie, bo dwa wozy pod młynem stoją i mam huk roboty!”. Butów porządnie nie wytarł, nie zagadnął Jak zdrowie, Babuniu?”, nie przyniósł okowitki. Nawet bał się jakoś nie za bardzo, nie popłaszczył się, jak należy, tylko pieniądze wyjął i gębę rozpuścił. A czy ja kram prowadzę? Ja wiedźma jestem! Ja mu taką maść dałam, że on do jutra nie jeden, ale dziesięć czyraków mieć będzie.

Pleban pokręcił głową, udając oburzenie, ale po prawdzie nie zmartwił się zbytnio. Nie przepadał za Betką młynarzem.

– A te kartelusze, co je guślarz nocką po wsi porozwieszał? – spytał. – To też wasza sprawka?

– Nie, nie za bardzo – odparła skromnie Babunia Jagódka. – Jak by to składnie rzec? Ja go tylko odrobinę zachęciłam.

– „Rzyc niewieścia wieloraka jest”? – Pleban zaśmiał się filuternie. – Widać dobrzeście go zachęcili. A literki?

– Nie. – Babunia Jagódka podparła się na łokciu. – W literkach guślarza nie mam żadnego rozeznania. One już wcześniej musiały u niego w głowie siedzieć, a urok je tylko na sam wierzch wygrzebał.

– Szkoda ich – westchnął. – Kazałem chłopom łazić i pisaną szukać, ale musiał je Sosisek z chałup pozdzierać i w ogień wrzucić pospołu z samym guślarzem. Szkoda, bo mnie Sosisek klarował, o co z tymi literkami chodziło, ale w środku nocy człek jest rozespany, nic nie zapamiętałem. Ja to do rzemiosła nigdy żem głowy nie miał.

– Urok to urok – mruknęła Babunia. – Ten był dla guślarza i jeśli nie chciał, żebyście go zapamiętali, to nie pamiętacie. Uroki są złośliwe.

– Ale rozważcie – proboszcza tknęła nagła myśl. – Co by było, jakby guślarz nie o niewieściej dupie rymy składał, ale co nabożnego przepisywał? Sosisek by go ani nie obwołał plugastwem, ani nie uwędził. Do opactwa by go zawlókł i jeszcze po drodze o Sztuce, Poezji, Metaforze i Mistyce gadał.

– Ech, dajcie już pokój – uśmiechnęła się krzywo. – Gdzie nam obojgu do Mistyki? Jak się trafi jaka Poezja, to o niewieściej rzyci. A ze Szuki, to ja znam tylko sztukę mięsa.

– Ano – przytaknął pleban. – Ale nas ni Sztuka, ni Metafora w ogień nie zapędzą.

– Wszystko przetrzymamy. – Wiedźma dołała gorącej wody do cebrzyka. – Wymoczymy nogi, popijemy okowitki, a jak znowu będzie jakie zamieszanie, to je po bożemu prześpimy.

– Amen – powiedział proboszcz.

ZAKŁĘTA KSIĘŻNICZKA

Nieszczęście spadło na Wilżyńską Dolinę nagle, tuż przed świtem. Dzikie wrzaski i kwik zarzynanej chudoby wdarły się pod wilgotne od snu piernaty i dla większości kmieci były to ostatnie usłyszane przez nich dźwięki. Kmiece niewiasty usłyszały nieco więcej, napastnicy bowiem posortowali swą zdobycz nader prosto: chłopów, którzy nie zdążyli czmychnąć na czas do lasu, wyrznęli i zwalili na kupę na placu przed kościołem, barany też zarznięli i upiekli na roznach na tymże samym placu, a wilżyńskie niewiasty starannie zerznęli w pobliżu ich zarzniętych mężów i równie martwego inwentarza. Takim to niewymyślnym sposobem zakończyli egzystencję osady.

A wszystko zdarzyło się dlatego, że Babunia Jagódka wyjątkowo lubiła śliwkowe powidła.

Mieszkańcy Wilżyńskiej Doliny, dobrze obeznani z wiedźnią słabością do przetworów, co rok znosili jej kosze wszelakiego owocu, od wczesnych truskawek, aż po późne, grudniowe jabłuszka. Jednak śliwki Babunia ceniła najbardziej, a tamtej jesieni miała nadzwyczaj dużo czasu, by w spokojności smażyć nieoszacowany ów specjał. Szymek, pokątnie zwany w okolicy Wiedźmim Capem, ruszył w świat w poszukiwaniu szczęścia, którego Babunia życzyła mu z całego serca, nie żywiąc wszakże większych złudzeń co do jego losu. Po kilku wspólnych upojnych miesiącach wiedziała dobrze, że opatrność obdarzyła Szymka wieloma darami, jednakowoż rozsądek z pewnością do nich nie należał. Nie, żeby ów brak jakoś szczególnie Babuni doskwierał, wręcz przeciwnie: Szymek znał swoje miejsce, wiedział, co ma robić i robił to z należytą starannością. Kiedy jednak coraz częściej przebąkiwał, że chciałby nieco poobracać się po wielkim świecie, Babunia z posępną miną uszyła mu dwie nowe koszule, obstałowała w kramie na jarmarku żółte buty, o których od dawna marzył, spakowała tobołek z wędzonką i solidną manierkę gorzałki, po czym wyprawiła niewdzięcznika w drogę. Była pewna, że w pierwszej przydrożnej gospodzie karczmarz przyłoży mu w pustą łepetynę, obedrze z nóg buty ze świńskiej skóry, a z grzbietu koszulinę, i przykładowie zaszlachtuje. Ale sam chciał, myślała ze złością, przecież go nie przywiążę, głuptaka, za nogę do płotu.

Ponieważ śliwy obrodziły nader obficie, Babunia spędzała całe wieczory przy palenisku, aż po czubek nosa okutana kraciatymi kocami, bo z nadchodzącą jesienią stare kości dokuczały jej coraz bardziej. Na drzwiach do chatki przybiła kartelusz z wiadomością dla wieśniaków, nader zwięzłą, gdyż brzmiała „WON!”. Co prawda, w Wilżyńskiej Dolinie tylko proboszczowa Rozalka i organista trochę rozumieli pisanie, ale owa niedogodność w żaden sposób nie przeszkadzała, tyle bowiem, ile trzeba, okoliczni rozumieli – że kiedy na drzwiach wisi kartka, to wiedźmy niepokoić nie Iza. Zostawiali więc pode drzwiami kosze ze śliwkami i ani myśleli zakłócać jej odosobnienie.

Z braku towarzystwa Babunia Jagódka nie odmieniała się zaklęciem „młoda-i-piękna”, co wprawiało ją ustawicznie w dobry nastrój, bo bałamuctwo bałamuctwem, ale z czasem człowiek zaczyna ciążyć ku wygodzie, a jej stara, wysuszona postać wyśmienicie wpasowywała się w fotel. Było jej bardzo dobrze, nawet za Szymkiem rychło przestała tęsknić. Nikt się nie pałętał po chałupie, nie mieszał rzeczy w komorze i nie brał się do obłapki w najmniej oczekiwanych momentach (właściwie, Babunia Jagódka miała wrażenie, że Szymek nieustannie brał się do obłapki, nawet lubczyku nie musiała mu zadawać, bo sen i jedzenie były dlań jedynie drobnymi niedogodnościami, koniecznymi dla nabrania sił do dalszej obłapki). W każdym razie, była nader zadowolona. Wreszcie mogła całymi godzinami siedzieć przy palenisku, zgłębiając opasłe, magiczne tomiszczą i mieszając

perkoczącą z lekka zawartość kociołka. Na koniec, wysmażywszy kilka tuzinów słoików powideł o rozmaitych posmakach, zapachach i konsystencji, wybrała się w odwiedziny do wioski.

Jakież było jej zdumienie, kiedy okazało się, że właściwie nie bardzo jest co odwiedzać. Z wioski pozostało jedynie kilka okopconych chałup pod samym lasem, kościół i plebania, którą maruderzy co prawda doszczętnie splądrowali, jednakowoż, jako ludzie pobożni, nie podłożyli pod nią ognia. Ocalał też dwór, ale samego władcy w nim nie było, ponoć ruszył w pościg za grasantami. Babunia uznała to za nader głupi pomysł, bo grasanci dawno już zdążyli się zapaść gdzieś w głuche oczerety Gór Żmijowych.

W wiosce zapanowały tedy rozprężenie i zamęt. Nieliczni bardziej przedsiębiorczy parobkowie pod nieobecność władcy pokusili się o jego inwentarz i, odparci przez ekonoma, pod groźbą chłosty wyemigrowali do włości starosty Wężyka, który z nieskrywanym zadowoleniem przypatrywał się dopustom, spadającym na jego eks-zięcia. Resztki niedobitków znalazła Babunia na głównym placu wioski: pili na umór wśród spopielałych zgliszcz gospody. To, że pili, nie zdumiało Babuni Jagódki, ale to, że żaden nie splunął na jej widok, wzięła za objaw ostatecznej rozpacz. Bez słowa – normalnie zadałaby im co najmniej kołtuna, ale przecież też była wrażliwa na ludzkie nieszczęście – pomaszrowała do osmalonej plebanii. Była nieco zawstydzona. Zazwyczaj starała się przynajmniej jednym uchem nasłuchiwać odgłosów z wioski, ale tego roku śliwkowe powidła pochłonięły ją do cna. Cóż, co się stało, to się nie odstanie.

Proboszcz właśnie się pakował. Zapłakana Rozalka krzątała się przy kufrach, owijając w brudne szmaty jakieś skorupy tylko po to, by za chwilę w desperacji wywalić je na klepisko.

– Tedy wyjeżdżacie – powiedziała niezbyt mądrze Babunia Jagódka.

– Ano – przytaknął proboszcz. – Mam krewniaka w Spichrzy, z początku u niego przyłgniemy, a potem się zobaczy. Ale czas taki niespokojny idzie, że i we mieściech co złego się człekowi nadarzy.

– W mieściech o nieszczęście najłatwiej – zgodziła się Babunia. – Na odludziu lepiej przycupnąć, przeczekać.

– Toż już większego odludzia, niż tutaj, nie da się znaleźć – zachnął się pleban – a patrzajcie, na co nam przyszło! Nie o mnie tu idzie – ściszywszy głos, pokazał na Rozalkę – ale o tę głupotę. Jakem jeno posłyszał, że się baby po wiosce drą, zrazu żem wiedział, że źle będzie... Ze Szrunika jestem, z wyrzeża, my tam niejednym pogrom przetrwali. Więc ja zaraz Rozalkę za łeb i do krypty ją zawlokłem, do świętej pamięci fundatora naszego kościółka... bo tak żem sobie pomyślał, że babie by maruderzy żywcem nie przepuścili, a już na pewno nie takiej, co by ją u plebana pod pierzyną zdybali. No, i tak się nam psim śwędem udało wykpić. Potarmosili mię trochę, piwniczkę ze szczeniem zmarnowali, obrazki w kościele z sukienek poobdzierali i poszli precz... jeszcze się taki łysy drab bardzo ładnie przed figurą przeżegnał i dał mi dwa srebrne grosze, pewnie z tych zrabowanych we wiosce, żeby mszę za jego duszę odprawić. – Splunął. – Taką ja mu mszę odprawię, że się, kurwi syn, do końca świata z ogni piekielnych nie wydobędzie.

– Ale jaka pobożność w narodzie – skwitowała przewrotnie Babunia Jagódka.

– Nie drwijcie, bo nie pora – ofuknął ją pleban. – Niewiasta mi od tamtych jatek słabuje, aż strach. Widzicie, uroiła sobie, że skoro ona w tejże krypcie żywcem pogrzebana była, to ją teraz nieboszczyk fundator za swoją ma i żywcem do grobu zawlec zamierza. Po nocach ze strachu nie śpi, a zająć ją zniecka w komorze, nie dajcie bogowie, jak wrzeszczeć zaczyna. Jam jej zrazu tłumaczył, że nieboszczyk jest nieboszczyk, znaczy się, truchło, i zabrać to on nikogo nie zabierze, a już najmniej babę jaką, bo mu własna dość nadojadła. Przedkładam Rozalce, że ślubna wedle niego w tej kruchcie leży. A powiadają, że zaraza to była niepoślednia i zazdrośnica, więc gdzieby sobie jeszcze drugą babę na łeb chciał ściągać? Nawet na tamtym świecie spokój mącić? Ale, rozumiecie, że jak Rozalce

się coś ubzdura, to nie poradzisz. Trza mi ją stąd wywieźć, nim do cna z umysłu zejdzie... zresztą i mnie zda się jaka co tłustsza prebenda. Zima idzie, a tu władyki nie ma, żeby wioskę w karby wziąć. Ludziska cieniuchno przęda, nie wiedzieć, czy sami wiosny doczekają. I wedle tego prośbę do was mieć będą. – Poskrobał się z zafrasowaniem po głowie. – Wedle Jarosławny.

– Wedle Jarosławny? – powtórzyła tępo Babunia Jagódka. – A co mnie do Jarosławny?

– Wam nic – zgodził się pleban. – Ale moja Rozalka do chrztu ją trzymała i tamtej nocy obie je zem we krypcie zawarł.

– A co u was Jarosławna po nocce robiła? – zaciekała się wiedźma.

– Ano – pokraśniał z lekka – zgadało się przy gorzałeczce, a potem niesporo było ją wypędząć. Zwierzolaki się po zmroku kręcą i wypatrują, czy która dziewczucha nieopatrznie z komory nie wynijdzie. A najbardziej panna jaka wstydliva...

– Panna wstydliva? – zarechotała Babunia Jagódka. – Toż my chyba nie o Jarosławnie, młynarzowej dziewce, rozprawiamy. Nie o tej, która przy zesłym miesiączku goło na kobyle po gościńcu jeździła.

– Wszyscy to jawnie rozprawiali, że waszym urokiem omamiona – z urazą odparł proboszcz.

– To źle rozprawiali – odparowała wiedźma. – Bo jeśli ją kto omamił, to chyba ci czterej wędrowni parobcy, co u sołtysa przy zbożu robili, i nie urokiem bynajmniej. Tak się spiła, że ani pamięta, co na rżysku wyprawiali, ale dobrze będzie, jak od tego zamamienia za kilka miesięcy nie pogrubieje. A wam wstyd, proboszczu, bo jedną babę w alkierzu macie, ale i do drugiej, młodszej się bierzecie. Toż chyba nie przystoi, i ja wam do tego dopomagać nie będę.

– I nie o to rzecz idzie – wyjaśnił jeszcze bardziej urażony proboszcz. – Jeno o to, byście się Jarosławną zajęli. Byście jej trochę pomatkowali.

– Pomatkowali? – Babunia Jagódka oniemiała. – Ja?

– Ano właśnie – rozpromienił się proboszcz. – Bo widzicie, Betkę pospołu z innymi grasanci zarznęli, Kordelia młynarzowa gdzieś się zapodziała, a kiedy my z Rozalką do Spichrzy pojedziem, ostanie się Jarosławną samiuśka jako kołek w płocie.

– Skoroście tacy litościwi, tedy ją ze sobą weźcie – poradziła zgryźliwie wiedźma.

– Nie! – Pleban rzucił szybkie, spłoszone spojrzenie ku Rozalce, która starannie otulała gałganem niebieski wazonik. – Toż jak by to wyglądało? I tak się ludziska będą dziwować, że człek duchowny, a z babą na wozie wędruje. A dwie baby? Ani myśleć – dodał z lekka rozzalony. – A najgorsza, że tu się już przeciwko Jarosławnie po trochu zmawiać zaczynają. Bo choć młyn, jako i cała osada, ogniem wyniszczony, przecie się grunta ostały i młynarzówna wciąż najzasobniejsza dziewczka w osadzie. Przy tym jeszcze grasanci jej nie popróbowali, co ninie we wiosce rzecz rzadka i czego jej reszta bab za nic darować nie może. Tedy się chłopcy za łby poczynają brać, któremu najłacniej do Jarosławny w konkury uderzyć, że zaś władykę precz poniosło, sami rozumiecie, że iście zbójeckie to będą zaloty. Babiniec ją wziął na jęzory, że nie bez powodu całą rzeź w kruchcie przesiedziała, bo musi dobrze znała, kiedy oni grasanci na Wilżyńską Dolinę spadną. Jak tak dalej pójdzie, to albo ją kto rychło w krzakach przydybie, albo ją baby kamieniami przy potoku utłuką. A najpewniej jedno i drugie. Zlitujcież się, wy jedna tu pomoc możecie.

– Jakżeż? – zdumiała się Babunia Jagódka. – Toż nie będę całej wioski pod urokiem trzymać.

– Jarosławnę do siebie weźcie! – Proboszcz splótł na brzuchu tłuste ręce. – Przyhołubcież ją. Przecie i wyście niewiasta, a w niewieścim rodzaju natura miękka, macierzyńska. Sami jako puchacz siedzicie, toż zda się wam czasami gębę do kogo rozewrzeć.

Babunia słuchała jego wywodu z rosnącym wzburzeniem.

– To jest rzecz niesłuszna i być nie może – oświadczyła twardo. – Ja wiedźma jestem, a nie jaka,

za przeproszeniem, księża gamratka, żeby mi się u spódnicy bachory wieszały. Macierzyńska natura, powiadacie? – Wykrzywiła się z niesmakiem. – To ja wam mówię, że rychlej się wasz zydel ocieli niżli ja. Ani mi lata po temu, ani ochota. Ja wam to w tajemnicy, księżu proboszczu, po starej znajomości zwierzę, że jeszcze wasz dziad koszulinę w zębach nosił, kiedy ja się już ładnych parę tuzinów lat po świecie obracałam. Dość mi było czasu, by się o własne bękarcie postarać. A że się nie postarałam, znaczy się, nie miałam ochoty i nikomu nic do tego, pojmujecie? Wara! – dokończyła dobitnie.

– Tedy Jarosławnę baby ukamienują – powiedział cicho proboszcz. – Wasze szczęście, że wyście wiedźma, że w was im strach kamieniami ciskać.

Twarz Babuni Jagódki skurczyła się nagle, pobieliała. Coś jej się przypomniało, coś bardzo odległego, a przecież wspomnienie było wyraźne, jakby z wczoraj.

Wiedźma, czartowskie nasienie, diabelski pomiot!

Zapatrzyła się nad ramieniem proboszcza na szarzejącą, wieczorną krawędź doliny. W powykręcanych podagra, starczych palcach bezwiednie mięła rąbek spódnicy.

Wiedźma, czartowskie nasienie, diabelski pomiot!

* * *

I tymże sposobem Jarosławna zaległa w chacie Babuni Jagódki pospołu z rozwydrzonym kociskiem i stadkiem płochliwych nietopyrków. Wiedźma właściwie nie wiedziała, co z nią zrobić. Póki co powierzyła Jarosławnie nadzór nad chudobą, którą stanowiły gromadka kur, krowa (zdobyczna, bo po napadzie grasantów Babunia znalazła ją w lesie i bynajmniej nie zamierzała szukać poprzednich właścicieli) i cztery świny, sama zaś spokojnie oddała się smażeniu powideł. Jak rzekła proboszczowi, nie miała doświadczenia w opiece nad małuczkami, ale skoro zaświtała jej myśl, że dorobiła się posługi, postanowiła wykorzystać sytuację z całym szacunkiem dla tradycji, która nakazuje najemnym dziewczkom tyrać w obejściu niczym wołom. Jarosławna zresztą nie protestowała nadmiernie: dość, żeby na nią wiedźma spojrzała, a zaczynała dygotać ze strachu jak osika.

Ale już drugiego dnia z rana Babunia Jagódka pojęła, że z tyranem w obejściu będzie raczej kiepsko. Obudziło ją mianowicie rozpaczliwe ryczenie Krasuli. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, wiedźma powlokła się do obórki, solennie obiecawszy sobie otluc grzbiet leniwej dziewczusze. Jednakowoż na miejscu okazało się, że Jarosławna bynajmniej nie zaspąła, tylko ryczy równie rozpaczliwie, jak Krasula, acz nieco ciszej.

– Czego? – warknęła Babunia, która bardzo nie lubiła budzenia bez powodu, zwłaszcza o świcie.

– Kopnęła mnie! – Jarosławna rozpląkała się jeszcze żałośniej. – Od wczoraj mnie kopie, ani razu do niej podejść nie mogłam, a sińce jakie mam na ramieniu, sami popatrzcie.

– O, biedactwo moje maleńkie! – Wiedźma uspokajająco poklepała krowę po karku. – Od wczoraj nie dojona, nie dziwota, że ryczysz. Ale już zaraz będzie dobrze. – Podkasła spódnicę i usiadła przy skopku. – A ciebie nikt nie nauczył obchodzić się z bydłkiem? – spytała cierpko Jarosławny.

– Kobietę ojciec mieli. – Spuściła wzrok.

– Hm... – mruknęła Babunia Jagódka, badawczo patrząc na dziewczynę.

Chyba nigdy wcześniej nie przyglądała się Jarosławnie. Zresztą i bez patrzenia wszystko było wiadomo: młynarzówna jest najkrańsijszą i najbogatszą dziewczyną w wiosce. Właściwie, pomyślała wiedźma, każda osada ma taką Jarosławnę, która w odpust wkłada czerwoną kieckę, kręci zadkiem, jak klacz na jarmarku i tarza się po sianie z wędrownymi parobkami, a każdy wybryk uchodzi jej na sucho. Co tam, na sucho! Jeszcze wszyscy w przysiółku dumni są, że mają taką

Jarosławnę, że gładka, zalotna i wystrojona. Ot, taki zwyczaj, że choćby golusienka przed ołtarzem pośrodku sumy stanęła, jeszcze jej pleban pobłogosławi, a ojciec po główce pogłaszcze. I nic człek nie poradzi, bo to jest właśnie Jarosławna.

Tyle że teraz to już nie była Jarosławna, tylko niedomyta, obszarpana i półprzytomna ze strachu dziewczyna. Ręce miała podziobane do krwi, widać z kurami też się nie ułożyło, a rozmazane po spódnicy brunatne smugi łajna świadczyły, że i świniaki potraktowały ją nader niełaskawie. Niedobrze, pomyślała Babunia Jagódka, coś my się chyba razem za bardzo nie wywczasujemy...

– Umyj się – zarządziła oschle. – Umyj, ogarnij... Tylko aby do studni nie wpadnij, bo mi wodę zapaskudzisz. A potem do izby idź. Nic nie ruszaj, siądź na stołku i poczekaj.

Kiedy Babunia Jagódka wtaszczyła do izby skopki pełne mleka, sztywno wyprostowana Jarosławna siedziała na zydelku: ręce bardzo obyczajnie trzymała na podołku, kolana ciasno przy sobie, plecy wyprostowane. Twarz miała umytą, bladą ze strachu i bardzo urodziwą. Gęste włosy koloru lipowego miodu opadały jej aż do ziemi, a wielkie niebieskie oczy wpatrywały się błagalnie w wiedźmę.

– Nie chlip! – fuknęła Babunia Jagódka.

– Mam katar – wybąkała zestrachana Jarosławna. – Przeziębiłam się. Nocką w obórce jest strasznie zimno.

Wiedźma melancholijnie łypnęła na swoje łożo: było wystarczająco obszerne, żeby pomieścić z pół tuzina chuderławych dziełatek, ale Babunia lubiła sypiać wygodnie. Wygodnie, to znaczy bez żadnych kąpiących przez sen współlokatorów (no, może byłaby skłonna zrobić kilka wyjątków, ale na pewno nie dla zasmarkanej Jarosławny). Jednakże dziewczyna wyglądała naprawdę żałośnie, a noce robiły się coraz chłodniejsze.

– Dobrze – sapnęła przygnębiona wiedźma. – Będiesz spała w izbie.

Tylko co ja mam właściwie z tobą zrobić? – dodała w myślach.

Po tygodniu Babunia Jagódka wiedziała już na pewno, że z Jarosławną nic się nie da zrobić. Nie dość, że dziewczyna nie miała najmniejszego pojęcia o gospodarstwie, to jeszcze śmiertelnie bała się poczciwej Krasuli (należy tu litościwie zmilczeć o rozzuchwalonych wieprzkach, które nabrały zwyczaju gromadnego wypadania zza węgła pod nogi Jarosławny, co by zdradliwie przewracać ją wprost do gnojówki). A najgorsze było to, że Babunia Jagódka w żaden sposób nie mogła odmówić Jarosławnie zapału i dobrych chęci. Dziewczyna starała się ze wszystkich sił. Ale po tym, jak w amoku porządków – niestety, Jarosławna była bardzo schludna – uprzątnęła stertę zalegających za chatką kozich odchodów, z których wiedźma sporządzała rozmaite mikstury i maści, Babunia Jagódka postanowiła zadbać, by odtąd Jarosławnie nie wpadały do głowy podobne pomysły.

Nie przypuszczała jednak, że tak ciężko jest wykoncypować jakieś zajęcie na tyle bezpieczne, by dziewczyna nie tylko nie zrobiła sobie krzywdy, ale też nie zrujnowała wiedźmiego dobytku. W końcu kazała jej wybierać groch z popiołu. Zajęcie to nie miało większego sensu, ale podopieczna wiedźmy oddawała się mu całymi godzinami, głęboko przekonana, że uczestniczy w jakichś tajemnych magicznych praktykach. Natomiast gospodyni musiała tylko od czasu do czasu sprawdzać, czy pokłady grochopopiołu nie zostały całkowicie wyczerpane. Wówczas cichaczem wynosiła wory posortowanego grochu i popiołu do obórki, mieszała je na powrót i przez jakiś czas miała święty spokój. Tylko krzyże ją trochę bolały od taszczenia worków.

Niemniej, wiedźma czuła się srodze uciśniona w swej własnej chatce. Jarosławna powymiałała z kątów ogryzki i stare skórki chleba, wyczyściła piec, a nawet jakimś sposobem wygrzebała stare wronie truchło, które dawno temu kocur Babuni Jagódki zakopował pod łożkiem na wypadek straszliwego głodu. Zamiast swojskich śmieci, w izbie pełno było osobliwie pozszywanych

kawałków płótna, których przeznaczenia Babunia Jagódka, jako żywo, nie potrafiła odgadnąć – być może dlatego, że nigdy nie uchodziła za najszykowniejszą dziewczynę we wsi. Nawet jeśli miała ochotę zauroczyć jakiegoś chłopca, nie mogła sprowadzić go do domu, bo na łóżku kuliła się przestraszona i zasmarkana Jarosławna. Zresztą nie tylko o to szło. Kiedyś podpita Babunia Jagódka pojawiła się w izbie z równie podpitym leśniczym, który wszelako, mimo zadanego mu uroku, od proga napierał jurnie na Jarosławnę, co wielce skonsternowało obie mieszkanki chatki.

Upokorzona wiedźma postanowiła zrazu zamienić dziewczynę w coś wyjątkowo odrażającego, ale potem pomyślała sobie, że właściwie Jarosławna to Jarosławna – jak nagły pomorek, albo gradobicie. Ot, dopust boży.

Odtąd swawoliła wyłącznie w stodółce. A lata naprawdę miała nie po temu, żeby baraszkować na sianie.

Od czasu do czasu nieśmiało próbowała coś wspomnieć dziewczynie o powrocie do wilżyńskiej wioski. Szczególnie po tym, jak przydybała Przemka, który, zaczajony wysoko na jabłonce, podglądał myjącą się u studni Jarosławnę. Tymczasem łagodna zazwyczaj dziewczyna dała stanowczy odpór wszelkim małżeńskim konceptom.

– Nie pójdę za Przemka! – wykrzyczała wśród rozpaczliwego szlochania. – Prędzej do studni skoczę!

– Ale czemu? – zdziwiła się Babunia, która doskonale wiedziała, że oprócz wystających siekaczy Przemko niczym nie różnił się od innych wiejskich parobków. – Młody, silny i łązi za tobą jak pies. Czego jeszcze trzeba?

– Bo jemu nie o mnie idzie – załkała Jarosławna. – Tylko o te morgi po ojcu. O młyn, o cztery krowy, puchową pierzynę i garnek srebra, co ojciec w lesie zakopał.

Babunia Jagódka zdębiała. Wiejskie dziewczyny nie zastanawiały się nad podobnymi rzeczami: zazwyczaj zachodziły pośpiesznie w ciążę, pozostawiając ojcom i braciom uzgodnienie posagu.

– Bo wy myślicie, że ja jestem głupia – powiedziała z wyrzutem Jarosławna. – Wszyscy myślą, że jestem głupia i nic nie rozumiem. A ja właśnie rozumiem, i za Przemka nie pójdę. Bo ja go nic nie obchodzę.

– Ależ obchodzisz, Jarosławno – próbowała łagodnie perswadować Babunia Jagódka. – Przecież sama widziałam, że obchodzisz. Do samej zagrody za tobą przylazł, naprawdę. Nie dalej jak wczoraj podglądał cię z jabłonki.

– Świnia! Rozpustnik! – oburzyła się dziewczyna. – A wyście mi nic nie rzekli?
– Nie musiałam – odparła z godnością wiedźma. – Jak tylko mnie zobaczył, to spadł z jabłonki, niby ulęgałka, i rzyć sobie otłukł.

– I dobrze mu tak, capowi sprośnemu! – skwitowała mściwie Jarosławna. – On mnie zawsze w kościele w tyłek szczypał. Świętej pamięci tatulo w spichlerzu go przydybał i mordę mu pejczem otłukł. I wy myślicie, że on mi się po tym wszystkim nadaje na męża?

– Hm – mruknęła Babunia. – To może jaki inny ci się nada?
– A który? – Dziewczyna patrzyła pełnymi żalu, niebieskimi oczyma. – Może Waja, ten co nie ma przednich zębów i las władcyce podpalił? Albo jednooki Szyrka? Sami się zagrodnicy we wsi ostali, a z tymi żywot prosty: dwie morgi kamieni, jedna dychawiczna krowa, bachor co rok i raz na dzień kartofle bez omasty.

Babunia Jagódka poskrobała się po głowie. Nie zastanawiała się nad tym nadmiernie, ale tak właśnie od wieków w Wilżyńskiej Dolinie bywało: dziewczyny wychodziły za męża, a kamienie, krowa i bachory należały do ślubnej wyprawy.

– Przecież miało być zupełnie inaczej – wyłkała Jarosławna.

– Jak? – spytała bezmyślnie wiedźma.

– Miały być kosztowne stroje, przepiśrcze jaja i dworek z ogrodem.. – zaniósła się płaczem dziewczyna. – Przecież mi obiecał!

– Kto?

– Skabara. – Pociągnęła nosem. – Ten wysoki, smagławy, co u ojca we młynie łońskiego roku służył. Lada dzień po mnie wróci. Obiecał.

– A ty tak... – zaczęła ostrożnie Babunia Jagódka. – Ty tak w to wierzysz? Bo widzisz, wędrowni parobkowie to... rozmaite rzeczy dziewczynom gadają.

– Ale chyba nie wszyscy – jęknęła Jarosławna z nadzieją w głosie. – Wy nawet nie wiecie, Babuniu, jaka z tym wszystkim była niewygodna... bo to i po rosie trzeba było, byle jak, a pod moim oknem wielkie pokrzywy rosną. I ojciec się gniewał...

– Jarosławno! – Wiedźma załamała ręce.

– Bo ja chciałam, żeby mnie który stąd zabrał. – Dziewczyna rozplakała się na nowo. – Żeby mnie zabrał z tego zadupia. Bo to nie jest sprawiedliwe... Powiedzcie sami, czy to jest sprawiedliwe, żebym gniła w Wilżyńskiej Dolinie? Ja chciałam zobaczyć wielki świat, zamki piękne i miasta ludne, jak to w księgach stoi. Jak bardowie śpiewali we dworze u władzyki. Ja widziałam w karczmie makatkę z książęcymi dworkami. A w czym one lepsze ode mnie? Wszystkie rude i kaprawe! Czy nie jestem ładna? Czy nie gram na lutni, nie tańczę? Co mnie brakuje, że one przy księciu, a ja w Wilżyńskiej Dolinie? No, czy ja się nadaję na żonę dla kmiecia?

Wiedźma powoli pokiwała głową, rozejrzała się po swoim wysprzątanym obejściu i westchnęła smętnie.

– Już dobrze – z zażenowaniem poklepała Jarosławnę po ramieniu. – Nie rycz. Coś... coś się wymyśli – dokończyła powoli.

Następnego dnia rano wyruszyła w drogę.

* * *

Poszukiwania okazały się znacznie trudniejsze, niż Babunia zrazu przypuszczała. Ponieważ z lotu sztachety niewiele mogła dostrzec, z niesmakiem zdecydowała się podróżować na piechotę i, przewędrowawszy znaczny kawał pogórza, uznała, że albo prześladowuje ją wyjątkowy pech, albo w tym pokoleniu zwyczajnie królewicze nie obrodzili. Niby w każdym zameczku siedział jakiś panek, ale przeważnie mieli tylko kilka zagonów ziemi, na której wypasano flegmatyczne dworskie barany. Trafiało się kilku bogatszych feudałów, ale żaden nie spodobał się nadmiernie Babuni Jagódce. W zamczyskach panowały okropne przeciągi i, choć architekci nie omieszkali oszpecić rezydencji zupełnie zbędnymi wieżyczkami i fikuśnymi wykuszami, w większości brakowało kanalizacji. Chcąc nie chcąc, cały dwór biegał do wygódek dla służby, albo demokratycznie obsrywał parkowe rabatki, co straszliwie wiedźmę zniesmaczyło.

Zamkowa kuchnia też była podła. Babunia Jagódka szczęśliwie przetrwała trzy skrytobójcze zapędy niewdzięcznych gospodarzy, którzy zupełnie bezzasadnie usiłowali ją umorzyć, i na wszelki wypadek zamierzała obdarzyć Jarosławnę rogiem jednorożca, co wykrywa wszelki jad. Ale znacznie bardziej niżli trucie rozeźliły ją na wpół surowa dziczyzna i podła wódka z miejscowych gorzelni. Albowiem, jak wnet Babunię objaśniono, w obliczu nadchodzącej wojny każdy panek sam pędził bimber, a zacne skalmierskie wina, pod karą ćwiartowania, zabroniono sprowadzać.

Słowem, wszystko szło ku gorszemu. Książętom znacznie bardziej niż żeniaczka zaprzętały głowę wojenne podboje. Odkąd szcuracy z Gór Sowich wyrznęli całą okolicę, a spichrzański książę pokumał się z Servenedyjkami, w Górach Żmijowych kotłowało się cały czas. Po kraju włóczyły się

hordy najemników i gromadki północnych kapłanów, którzy sprytnie burzyli pospólstwo przeciw panu Spichrzy, książęta zaś pod wodzą nieocenionego Piorunka zawiązali antyspichrzańską ligę. Na razie kończyło się na wzajemnym podjudzaniu, bo właściwie nikogo nie korciło do zatargu z Servenedyjkami, ale tak czy inaczej, wojenne plany książąt nie podobały się Babuni Jagódce. Zrobi taki dziewczynie bachora, rozmyślała, a potem szukaj wiatru w polu. Albo się zaciągnie. Będzie się parę lat po okolicy włóczyć i łajdaczyć, z kim popadnie, albo go gdzie pośpiesznie ubiją, a przecie do tego nawet dobrej bitwy nie trzeba, starczy jeden celniej rzucony kamień. I znowu mi będzie siedzieć, idiotka, w obejściu i ryczeć...

Tak więc, choć Babunia Jagódka naprawdę miała dość współlokatorki, musiała na koniec przyznać, że żaden z okolicznych kawalerów nie nadawał się dla Jarosławny.

Zresztą, im dłużej się włóczyła, tym bardziej tęskniła za Wilżyńską Doliną i swoim wygodnym łóżkiem. Ze złości i zniechęcenia zamieniła w świnie gromadkę zbójców, którzy nieopatrznie usiłowali zaczepiać ją na odludnej ścieżce, i powoli kierowała się ku domowi. Niech się dzieje wola nieba, myślała posepnie. Wyprawię Jarosławnę do Spichrzy.

– Przenieść was przez wodę, babciu?

Babunia Jagódka wychynęła do reszty z malinowych zarośli i rozejrzała się ze zdziwieniem. Polankę istotnie przecinał strumyk, a nad nim, na okazałym głazie siedział młody człek w szkarłatnym birecie i wgapiał się w nią z wyraźną nadzieją. Babunia też pobieżnie przyjrzała się jego nogom, opiętym czerwonymi nogawicami, szykownemu kubrakowi z cielejącej skóry i butom z zadartymi noskami. Jego twarz coś Babuni Jagódce przypominała, coś nieokreślonego, z dawnych czasów, ale nawet nie wysilała się, żeby sobie przypomnieć. Do zabłąkanych w lesie chłopców wiedźma miała nastawienie bardzo zdroworoządkowe. Ogólnie rzecz biorąc, uważała, że pacholeta, które pochopnie zapuszczają się w leśne ostępy, powinny być przygotowane na mniej lub bardziej zaskakujący obrót wydarzeń. Ponieważ zaś chłopaczyna wydał się jej wcale do rzeczy, w innych okolicznościach z pewnością poświęciłaby mu więcej uwagi. Tego dnia jednak była szczególnie zniecierpliwiona i chciała jak najszybciej dotrzeć do własnego, ukochanego domku i wymoczyć nogi w starym cebrzyku.

– A skąd ci to do głowy przyszło, synku? – spytała podejrzliwie. – I co tutaj, sam, robisz? Zgubiłeś się?

– E, nie. – Chłopak uśmiechnął się cokolwiek głupkowato. – Tak sobie siedzę i czekam.

– Tutaj? – zdumiała się Babunia. – Toż najwyżej łosia się doczekasz, albo jakiego innego bydłęcia. Tu nawet ścieżki marnej nie ma.

– Ale strumyk jest, jak należy – odparł z tajemniczą miną. – To decydujcie się, babciu, przenosić, czy nie, bo mnie czas się zbierać.

– A coś ty taki gorliwy, synku? – Babunia przyjrzała mu się jeszcze bardziej podejrzliwie. – Toć widzę, że strumień płytki, ani kolan zamoczę.

– W waszym wieku trzeba się szanować – pouczył ją chłopak – a nie brodzić, jak czapla, choćby i po płyciźnie. Mój ojczulek też rad się po lasach wałęsał, zamiast w ciepłe pod dachem siedzieć, i patrzcie, co na niego przyszło. Siedemdziesiąt zim z okładem na grzbiecie, a uwidziało się staremu, że słowikanocką pójdzie słuchać. Zresztą, jak tylko słonko mocniej przygrzało, zawsze się po kniejach włóczył i żadnym sposobem nie można go było odwieść od tego błazeństwa. I jak się to wszystko skończyło? Ano, posłuchał ojczulek słowika, przeziębził się przy tym okrutnie i ani trzy niedziele nie minęły, jak do cna ducha wyzionął. Zaś wedle mojej gorliwości, to na wiedźmę nad strumieniem czekam.

– Na wiedźmę? – Babunia Jagódka całkiem osłupiała. – A skąd wiesz, że tędy wiedźma iść

będzie?

– A dlaczego nie? – zaciętrzewił się chłopak. – A gdzie niby wiedźmę spotkać łatwiej niż na odludziu? Na królewskim gościńcu?

– A po co ci wiedźma?

– Bo, widzicie, ludzie gadają – rzekł z namaszczeniem – że jak zacny człek spotka w lesie starowinkę, ulituje się nad jej wiekiem, pomoc ze szczerego serca ofiaruje i przez strugę na własnych plecach przeniesie, to się wtedy ta starowinka mozną czarownicą okazuje i trzy życzenia zacnego człeka bezzwłocznie spełnia.

Babunia skrzywiła się cierpko. Że też naród w każdą bujdę uwierzy, pomyślała z niesmakiem. Ot, zamiast gdzie w polu robić, siedzi pachół nad potokiem i wiedźmy wypatruje. A jak nikt nie widzi, to pewnie i ukradkiem żaby obcałowuje, bo przecie i o nich po jarmarkach gadają, że co druga to królewna zaklęta. Żadnego pomysłu, żadnej rozwagi!

Ale ponieważ spotkanie zaczynało ją coraz bardziej bawić, ukradkiem rzuciła na niego urok wielkiej rozmowności.

– I ty tak wszystkich przez strumyk przenosisz, synku?

– Nie, ja żem sobie taki strumyk wybrał, że mało kto tedy przechodzi – wyjaśnił z dumą chłopak. – Wyście od tygodnia pierwsza. Pomyślałem sobie, jak się ma wiedźma trafić, to trafi się niezawodnie, a przynajmniej nie będę byle zagrodniczkom własnego karku nadstawiać.

– A jakby ci się iście wiedźma trafiła – ze skrywanym rozbawieniem spytała Babunia Jagódka – jakie miałbyś życzenia?

– Po pierwsze – chłopak aż się rozpromienił i zawadiacko nasunął bilet na oczy – żeby niezwłocznie szlag trafił tego bydlaka regenta, mego wuja. Ja już swoje lata mam i sam się rządzić potrafię, ale tak się wuj z radą i mieszczaństwem pokumał, że najwyraźniej żadnym innym sposobem się go nie pozbędę. Po drugie, żeby wreszcie kapłani jątrzyć i o wojnie gadać przestali. A co mnie obchodzi, że się spichrzański pan z Serwenedyjkami zmawia, kiedy u mnie po spichlerzach nawet myszy z głodu wyzdychały! Nam by się zdało każdego z tych klechów do wyrębu lasu zagnać, pola nigdy dosyć, a przynajmniej im się ozorami mieć po próżnicy odechce. A jak już się ich i wuja pozbędę – zapalał się coraz bardziej – to stare hawernie pootwieram. Niech się tu jeno wojna jakaś rozpęta! Nasze żelazo dobre, ledwie będziemy nadażać grosze liczyć. Z Książęcymi Wiergami handlować zacznę...

Podczas owej przemowy Babunia Jagódka popatrzyła na niego z większą uwagą. Nie wyglądał nazbyt dostojnie, siedząc na omszałym gładzie, ale jego buty bardzo porządnie wyczyszczono, nosił świeżą koszulę i był starannie ogolony, a trzeba wiedzieć, że Babunia Jagódka lubiła schludnych mężczyzn. Miał miłe, może trochę zbyt dziecinne oblicze i był chudy jak tyczka, lecz ostatecznie, pomyślała wiedźma, można stworzenie odkarmić. Nie wydawał się co prawda nazbyt rozsądny, skoro zamiast użerać się z wujem i kapłanami, siedział w lesie i wyglądał wiedźmy, ale jego życzenia wydawały się Babuni całkiem zmyślne, Jarosławna zaś też przecież nie należała do najbystrzejszych. Nada się, uznała z zadowoleniem, nada się jak najbardziej.

– A trzecie życzenie? – przerwała, kiedy rozmarzony książę wypędził z królestwa większość zakonów i kończył budować nową, okazałą stolicę.

– Żona. – Wzruszył ramionami, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. – Żony potrzebuję, ale nie takiej, którą mi wuj dobierze. Nie miejscowej szlachcianki, bo z tą przypała się kilka tuzinów pociotków, a pijawek we dworze dosyć. Zresztą, ludzie gadają, że wiedźmy wychowały wiele przyzwoitych księżniczek. Podobno wszystkie piękne, cnotliwe i hoże, nie to, co nasze dworskie chude pokraki. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Rozumiecie, zdrowe, chłopskie

jadło, świeże powietrze, a ja muszę myśleć o następstwie tronu...

– A u ciebie, synku? – spytała czujnie Babunia Jagódka, która z trudem podążała za książecą paplaniną. – Żadnych dziedzicznych chorób? Z głową wszystko w porządku?

– No, no, nie pozwalajcie sobie zanadto – zachnął się książę. – Jasne, że w porządku. Mówiła mi niańka, co mnie w kołysce przepowiedziano: że spotkam w kniei dobrą wiedźmę i poślubię jej wychowanekę, zaklętą królownę. Ale jak z tymi trzema życzeniami nic nie wyjdzie, to ja sobie inaczej poradzę. Z wujem sprawa będzie prosta, ot, popatrzcie – pokazał na dorodną kanię. – Wybierzemy się na polowanie, jak to siostrzeńcowi z wujem przystoi, nabieram grzybków i tak mu gulasz przyprawię... – znacząco zawiesił głos. – I nie myślcie, że ja tu całymi dniami sterczę i wiedźmy wypatruję. Wuja zawczasu nie chcę niepokoić, więc jak się w radzie co nudniejszego trafi, to uciekam z dworu, jak to księciu za młodu wypada. Ot, dzisiaj mieliśmy omawiać nowy projekt kanalizacji, bo już zupełnie w zamczysku nie idzie od smrodu wytrzymać, więc wymknąłem się, jak trzeba, do zamtuza. Ale ja nie jestem taki durny, żeby się na darmo francą zarazić. – Prychnął pogardliwie. – Płacę pięciu dziwkom, żeby rozповідаły po placach o mojej jurności, niech się ludziska cieszą, ale wolę sobie w spokojności posiedzieć w lesie. Kamień znalazłem wygodny, a jak się kto ciekawy do pogawędki trafi, to i pogwarzyć miło, jak z wami, babciu. Choć po prawdzie, to w spotkanie z wiedźmą coraz mniej chce mi się wierzyć.

– To twój szczęśliwy dzień, synu. – Babunia Jagódka zakasała spódnice, odsłaniając zabłocone filcowe buty i pocerowane pończochy. – Przenoś!

– Co? – spytał nieprzytomnie książę.

– Wstawaj, złotko – rozkazała Babunia. – Chciałeś wiedźmy i masz wiedźmę. A teraz ściągaj te fikuśne buty, i do wody.

– Wy nie możecie być wiedźmą – zaprotestował słabo książę.

– A niby dlaczego nie? – zaperzyła się Babunia, która bardzo nie lubiła, kiedy kwestionowano jej profesjonalizm.

– Bo jakoś tak zwyczajnie wyglądacie – wyznał z zakłopotaniem. – Myślałem, że wiedźma będzie trochę szczególniejsza.

– Uwierz mi, synu, że jestem wystarczająco szczególnie – zapewniła dobitnie Babunia. – I jak się zaraz nie zabierzesz do roboty, zamienię cię w coś szczególnie paskudnego, rozumiesz? Do wody, mówię, a chyżo, nim się rozmyślę!

Książę z ociąganiem zsuł trzewiki i pomógł wiedźmie wgramolić się na plecy. Nadal wyraźnie jej nie dowierzał, lecz Babunia Jagódka postanowiła dać mu chwilę wytchnienia. Była zajęta starannym obwąchiwaniem księcia. A pachniał doprawdy bardzo przyjemnie. Babunia uznała to za pomyślny znak: większość znanych jej książąt capiała gorzej niż nieoceniony Szymek w zwierzęcej postaci.

– Dobra. – Klepnęła go po ramieniu, gdy dotarli na brzeg porośnięty wysoką trawą. – Starczy.

– I co teraz? – zasapał.

– Nic. Dalej pójdę sama.

– Ale co z moimi życzeniami? – zaniepokoił się książę.

– Załatwione.

– Jak to załatwione? – dociekał jeszcze bardziej niespokojny książę.

– Mam ci to dać na piśmie, synu? – powoli i nader wyraźnie spytała Babunia, a książę mimowolnie cofnął się dwa kroki do tyłu i widać było, że gwałtownie nabrał wiary w jej wiedźmie zdolności. – Gdy za trzy niedziele spotkamy się przy tym kamieniu, nie będzie cię już niepokoił ani wuj, ani nachalni kapłani. Oczywiście, przyprowadzę też narzeczoną.

– I to wszystko? – Skonfundowany książę podrapał się po głowie. – Tak zwyczajnie?

– A jakżeś to sobie, synu, wyobrażał? – Babunia popatrzyła na niego przeciągle. – Że dzwony zaczną we mieście dzwonić, a leśne bydłatka będą ci sypać kwiatki pod nogi? He?

Książę zawstydził się odrobinę.

– Dobiliśmy targu i nie będę tu cały dzionek sterczeć – ciągnęła. – A i ty masz co robić, synu, zadbaj należycie o tę kanalizację. Jarosławnie należy się odrobina wygody.

– Jarosławna... – powtórzył w zamyśleniu książę. – Jaka jest ta Jarosławna?

– Jak należy – wyjaśniła krótko Babunia. – Dokładnie taka, jak należy. Poczekasz, zobaczysz. Zresztą, tu nie jarmark, tu się nie przebiera.

– A posag?

– Co? – Wiedźma aż potknęła się o korzeń.

– Posag – powtórzył śmieiej. – Złoto, srebro, klejnoty, wedle wyboru. Chyba nie chcecie, żeby potem gadali, że wziąłem żonę, jak stała. Z gołym tyłkiem.

Babunia łypnęła wrogo. Nie podobała jej się ta rozmowa, wcale nie, ale książę tym razem wyraźnie nie zamierzał ustępować.

– To jak będzie?

– Ile? – warknęła, piorunując go wzrokiem. Bo trzeba wiedzieć, że Babunia Jagódka była osobą bardzo, ale to bardzo oszczędną i nie cierpiała rozstawać się ze swym dobytkiem. Natomiast okrutnie chciała rozstać się z Jarosławną i po krótkiej walce zamiłowanie do świętego spokoju przeważało nad skąpstwem.

– Sześć worków złota.

Wiedźma bez słowa splunęła na dorodną kępę mchu, zebrała spódnice i odwróciła się na pięcie.

– Pięć?

– Trzy – odparła z niesmakiem. – Trzy, to wszystko.

– I nie będziecie mi się potem pętać po dworze – upewnił się książę. – Ludzie krzywo by patrzyli.

– Bez obawy, synku. – Wiedźma uśmiechnęła się paskudnie na wspomnienie rozlicznych kłopotów z Jarosławną. – Ja już swoje zrobiłam i nie będę was niepokoić.

* * *

Następne trzy tygodnie minęły Babuni Jagódce bardzo pracowicie. Pierwszy tydzień spędziła jako pomywaczka w dworskiej kuchni, gdzie dokładnie zasięgnęła języka o majątku i rodzinnych koneksjach upatrzonego księcia, od dawna bowiem wiedziała, że kuchnia skłania ludzi do zwierzeń, i jedynie nieznacznie doprawiała gorzałkę ziółkiem dla rozwiązania języków. Okazało się, że oprócz nieocenionego wuja książę nie ma bliskiej rodziny, co wielce uradowało wiedźmę, bo krewni zazwyczaj krzywili się, kiedy następca tronu pojmował za żonę nieznaną bliżej przybłędę. Wywiedziała się też, że służba uważa księcia za rozsądnego młodego człowieka, a koniuchy z pełnym aprobaty rechetem wymieniały sprośne uwagi o jego wyczynach w miejscowym lunaparze. Widać ladacznice solennie zapracowywały na swoje pieniądze.

Po tygodniu doszła do wniosku, że czas zająć się wujem. Zrobiła nocną wycieczkę do jego komnaty, po czym wyłamała z zamkowego płotu okazałą sztchetę i pośpiesznie odleciała. Coraz bardziej martwiła się o Krasulę. Jarosławna zupełnie nie umiała się o nią zatroszczyć.

O poranku znaleziono książęcego wuja – utopionego w korycie na tyłach stajni. Ponieważ poprzedniego wieczoru biesiadował do późna z szambelanem, cały dwór uwierzył niezbitcie, że pijany regent wpadł tam, idąc do wychodka. Sam książę żywił co prawda pewne podejrzenia, ale postanowił zachować je dla siebie. Za to na wszelki wypadek żywo zakrzętnął się wokół projektu skanalizowania zamczyska.

Babunia tymczasem przemierzyła Góry Żmijowe i niczym drapieżny sęp spadła na uśpioną Spichrze. Proboszcz wydawał się nieco przestraszony, kiedy z hukiem wyskoczyła z komina, ale zaraz wyjął flaszeczkę porzeczkowej nalewki i resztę nocki spędzili, wyrzekając na niedogodności miejskiego życia. O poranku Babunia Jagódka odbyła kilka bardzo owocnych rozmów z Servenedyjkami – święcie wierzyła, że kobiety zawsze potrafią się ze sobą dogadać – i złożyła parę równie owocnych wizyt na zamku, z zadowoleniem się przekonawszy, że nie do końca zapomniano czasy, kiedy spiskowała z księciem nieboszczykiem. Następnie wybrała się na przechadzkę po targowisku, odwiedziła cztery najmodniejsze stragany i najkosztowniejszego złotnika, rozumiała bowiem, że przed ślubem Jarosławna będzie potrzebowała paru drobiazgów. Zakupy nie zajęły jej zbyt wiele czasu. Właściwie nie musiała się targować. Zazwyczaj wystarczało, że uważniej przyjrzała się przekupniowi, a cena zaczynała gwałtownie spadać. Niestety, kiedy dokończyła wreszcie owego zbożnego dzieła, okazało się, że musi zamienić ulubioną sztachetę na solidny dyl z dworskiego ostrokołu, bo pod ciężarem nabytków jej środek lokomocji z głuchym traskiem pękł na połowę. Przed świtem, zmordowana lecz kontenta, wylądowała wreszcie na własnym podwórku.

Ku jej irytacji, wieść o małżeństwie wtrąciła Jarosławnę w otchłań rozpaczy.

– Ale ja go wcale nie znam – chlupała. – Jakże wy tak możecie obcemu mnie prehandlować? Jak jałówkę na targu?

Wiedźma załamała ręce na podobną niewdzięczność. Ostatecznie, nie po to włączyła się przez parę tygodni po okolicy, żeby teraz znosić fumi rozpuszczonej dziewuchy. O nie, gołąbeczko, postanowiła twardo. Wyjdiesz za mąż, wyjdiesz niezawodnie, choćbym cię osobiście miała zawlec przed ołtarz.

– Wielkie mi mecyje! – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Głupiaś ty, że nie idzie uwierzyć! Tu we wiosce prawie że każda dziewczka z wzdętym brzuchem pod ołtarzem ślubuje, tedy wyrozumiewam, że dobrze małżonka poznała. I co? Mniej niż gdzie indziej nieszczęścia? Mało to chłopów potem pije i swe baby bija? Mało bab mężom rogi przyprawia i jako kukułki cudzy owoc pod własnym dachem chowa? A nie targają się za kudły na gościńcu, nie przeklinają nawzajem? Co, może nieprawdę gadam? Potem na wiedźmy to kładą, ale po prawdzie człek jest bydlę głupie i sam sobie najpierwej nieszczęście zgotuje, żadnego mu w tym pomocnika nie trza. Powiadam ci, chłopak jest jak należy, nic mu nie brakuje. Zresztą nie to ważne, jaki jest, ale jak ty go po ślubie urobisz.

– Księcia? – zawyła jeszcze głośniej Jarosławna. – Jak ja księcia urobię? Przecie ja po temu ani urodzenia, ani wykształcenia nie mam. Będą się ze mnie wyśmiewać!

– I słusznie, boś głupia jak gęś! – potwierdziła bezlitośnie wiedźma. – Po co ci niby wykształcenie, ostatecznie nie wydaję cię za akademika! Co się zaś tyczy urodzenia, to ani mi się waży wspomnieć o Betce młynarzu i Wilżyńskiej Dolinie. Ty ninie jesteś księżniczka.

– Ja? – wytrzeszczyła oczy Jarosiawna.

– Właśnie – oświadczyła spokojnie Babunia. – A coś ty sobie myślała, że księżę się na byle wieśniaczkę połaszczy? On wierzy, że ty jesteś księżniczka, co ją w środku lasu wiedźma naszła, przyhołubiła i odchowwała. I bardzo dobrze, niech wierzy, wiara człekowi na tym paskudnym świecie bardzo potrzebna. – Uśmiechnęła się wrednie. – A ty się tylko odrobinę postaraj.

– A co ja bym tam, w pałacu, miała robić? – nie pojmoowało dziewczę.

– Nic – odparła stanowczo Babunia. – Siedzieć w okienku, wzdychać, od czasu do czasu obrus na ołtarz złotem wyhaftować. Tyle potrafisz. Zresztą, już się księżę postara, żebyś się za dziewięć miesięcy nie nudziła... – Zamyśliła się przelotnie. – No, a jak się nie postara, to dam ci taki specjalny wywar, że niech go tylko księżę wypije, to się na żadne jego starania nie będziesz musiała oglądać. Poza tym, trzymaj się prosto, gęby za bardzo nie otwieraj i będzie dobrze.

– A jak mnie będą pytać? O rodzinę? O was?

– To powiedz, że nic nie pamiętasz – pouczyła zezłoszczona wiedźma, cedząc słowa. – Że cię niemowlęciem podli ludzie z pałacu kochającego ojca wykradli i w lesie dzikiemu zwierzowi na pożarcie zostawili. I że nad tobą zły urok wisi, że ani kraju, ani języka rodzinnego nie pamiętasz. No, nie wytrzeszczaj oczu, dość tych rycerskich błazeństw przeczytałaś, więc rusz głową. Wymyśl coś, byle głupawo i łzawo. Im bardziej łzawo, tym lepiej. Albo wracaj do Wilżyńskiej Doliny. Widziałam, że Przemko przypatruje ci się nader wnikliwie. Jak masz wolę za niego iść, ja cię przymusem nie będę więzić. Jeszcze Krasulę dam w posagu.

Jarosławnie natychmiast przeszły wszelkie spazmy. Wyprostowała się na krzeselku i zwróciła się do Babuni całkiem innym, dziarskim głosem:

– Więc powiadacie, Babuniu, że za tydzień ślub? Będzie mi zatem potrzebne trochę nowych rzeczy.

Babunia Jagódka westchnęła. Bardzo głęboko.

Podczas najbliższego tygodnia jeszcze trzy razy wyprawiała się do Spichrzy – na pokaznej drabinie bagażowej, bo, jak się rychło okazało, zakupy przestały mieścić się na dyłu z ostrokołu. Jarosławna na przemian wybrzydzała, histeryzowała ze strachu i z płaczem rzucała się Babuni na szyję. Raz nawet ni z tego, ni z owego pocałowała ją w rękę.

Wiedźma obiecała sobie solennie, że odtąd będzie łączyć w parki jedynie króliki. Kiedy wreszcie dostarczyła Jarosławnę pod umówiony kamień, nerwy miała doszczętnie zmarnowane.

Jak poprzednio, książę czekał nad strumieniem. Wyglądał nieszczególnie, pod oczami miał ciemne sińce. Siedział na kamieniu i nerwowo obgryzał paznokcie.

– To wasza sprawa?! – ryknął na widok Babuni Jagódki.

– Co? – fałszywie zdziwiła się wiedźma.

– Wszystko! – wrzasnął książę. – Wszystko co do joty!

– Po kolei, synku – pouczyła go Babunia Jagódka. – Powoli, spokojnie. I z szacunkiem. Ja jestem stara, zmęczona kobieta i na mnie nie trzeba krzyczeć, bo się mogę zdenerwować. A jak się zdenerwuję, to potem nam obydwójgu będzie bardzo przykro. Więc nie rycz na mnie, jak nie przymierzając osioł, bo chyba byśmy nie chcieli, żeby jutro Jarosławna poślubiła osła. Z wielkimi, oklapłymi uszami.

– Servenedyjki – rzucił wściekle. – Jeszcze dobrze wujcio regent nie ostygł, pod murami zamczku zameldowały się trzy kompanie Servenedyjek. Za rok z góry opłacone, nijak ich odprawić nie mogłem, bo ta ich dowódczyni ciągiem tylko gadała, że „etyka zawodowa, że jak już raz pieniąż wzięty, to one w żaden sposób pracodawcy nie odstąpią”. Chyba żeby pracodawca nagłą śmiercią ze świata zszedł. – Przełknął nerwowo ślinę. – I bardzo paskudnie się przy tym uśmiechała, jak to one potrafią. Rozpełzły się po całym księstwie, porozstawiały posterunki przy drogach. Porządku bronią.

– To bardzo dobrze. – Babunia Jagódka pokiwała głową. – Porządek musi być. I spokój.

– To by było bardzo dobrze – odparł z naciskiem – jakbym je sam zaprosił. Ale one mi jako ułęgałki z drzewa na łeb spadły. Niechby się o tym, psiakrew, rozniosło!

– A nie rozniosło się? – Obdarzyła go uśmiechem.

– Czy wy mnie za ostatniego durnia macie? – Książę spoważniał nagle. – Cała okolica teraz portkami trzęsie. Oni się tu wszyscy spodziewali, że kiedy tylko wujaszek kopyta wyciągnie, jeden przez drugiego z posiadłości i dobytku mnie ograbią. A tu ani który zdążył kichnąć, a skaptowałem sobie zgrabny tabunik wojowniczek. Już zakłady w karczmach robią, dokąd najpierw moje Servenedyjki na rabunek poślę...

– Jak to się wszystko miło ułożyło. – Babunia Jagódka starannie złożyła ręce na podołku.

– Wcale się nie ułożyło! – Prychnął rozjuszony. – Servenedyjki przywiozły ze sobą pisanie od jaśnie wielmożnego księcia Spichrzy. Że my są stare krewniaki, a w tak niebezpieczny czas u kogo jak nie u rodziny oparcia a sprzymierzenia szukać! Że on ze szczerego serca tronu winszuje i wedle potrzeby radą i pomocą służyć może. Żeby się nie krępować i w razie czego śmiało do Spichrzy posyłać. I takie same pisania do wszystkich okolicznych panów posłał. A jaka my jesteśmy rodzina! Za drobne my żuczki do pokrewieństwa ze spichrzańskimi książętami! Równie dobrze on mógłby własną chorągiew na moim zamku wywiesić, bo mnie teraz wszyscy za jego zauszniaka mają. Wuj nieboszczyk się z sąsiadami przeciw Spichrzy zmałwał, a teraz taka nowość i niespodzianka!

– Więc nie będzie wojny – przypomniała wiedźma. – Jakżeś sobie, synku, chciał.

– Ale sąsiedzi na mnie spoglądają jak na kocie gówno!

– Nie można mieć wszystkiego – pokrzepiająco rzekła Babunia. – Jakeś, złotko, chciał, żeby cię kochali, to trzeba się było do lunapararaja nająć. A co z kapłanami?

– Kapłanów Servenedyjki precz popędziły. – Machnął ręką. – Tylko smród i kurz na gościńcu został.

– Tedy życzenia wypełnione – uśmiechnęła się podstępnie wiedźma. – Co do joty.

Książę łypnął na nią spode łba. Nader nieprzyjaźnie.

Ale w tej samej chwili zza kępy malin wyłoniła się Jarosławna. W bladoniebieskiej sukience z najcieńszego jedwabiu – Babunia Jagódka wciąż zgrzytała zębami na wspomnienie, ile ją kosztowały szmatki Jarosławny – i wyszywanych srebrem safianowych pantofelkach wyglądała doprawdy zachwycająco. Przystanęła na skraju polanki i spod opuszczonych rzęs rzuciła księciu nieśmiałe spojrzenie.

Książę najpierw znieruchomiał, a potem jak w transie ruszył wolno ku dziewczynie. Oszołomiony i zachwycony.

Wiedźma uśmiechnęła się chytrze. W chowie królików też najważniejsze było, aby w odpowiednim momencie zapędzić wybraną parkę do wspólnej klatki. Miała tylko nadzieję, że książę nie okaże się mniej pojętny od królika.

Przez kilka kolejnych tygodni Babunia Jagódka oddawała się nieróbstwu i pijaństwu w ustronnych pieleszach swej chatki. Wreszcie pewnego dżdżystego poranka przypomniała sobie o Jarosławnie. Nie zwlekając, wybrała ulubioną sztchetę i z lekka zataczając się – gorzałka, którą pędziła, była naprawdę mocna – ruszyła ku zameczkowi swej podopiecznej. Bez trudu odnalazła właściwy parapet i, na dobre już otrzeźwiona mżawką, wślizgnęła się ukradkiem do sypialni Jarosławny.

Dziewczyna siedziała przed lustrem w bardzo skąpym peniuarku i czesała włosy srebrnym grzebieniem. Nawet ucieszyła się na widok Babuni Jagódki – po prawdzie, to ucałowała ją siarczyście w oba policzki, uściśnęła ją tak, że aż zachrzęściły suche kości starowinki, a na koniec zwyczajnie przypadła do kolan. Aż nienawykłą do podobnych scen wiedźmę coś zapiekło pod powiekami. Odchrząknęła z zakłopotaniem, po czym zapytała:

– Jakże ci to, dziecko? Jak książę?

Jarosławna pokraśniała i znów rzuciła się obcałowywać Babunię po rękach.

– No, widzę, że dobrze – stwierdziła wiedźma. – Nie robi ci żadnych wstrętów? Wedle tego, żeś ty u wiedźmy chowana?

– Nie, nie za bardzo – odparła wdzięcznie Jarosławna. – Chyba po tym, czegoście z Servenedyjkami i spichrzańskim księciem okazali, postanowił mnie uratować z waszych szponów. Na razie ratuje, jak potrafi. – Skromnie obciągnęła peniuarek. – Jest bardzo miły.

– A inni?

– Kiedy mój pan ze mną, kto będzie przeciw mnie? – Uśmiechnęła się. – Tylko jak o was

wspomnę, strasznie przeklinać zaczyna. Ale tak jakby z szacunkiem.

– Czemuż on mnie niby przeklina? – obruszyła się wiedźma. – Beze mnie by wciąż na tym kamieniu siedział i żaby całował.

– Jemu to właściwie o złoto idzie – wyjaśniła Jarosławna. – Pamiętacie te worki złota, coście za mnie w posagu dali?

Babunia Jagódka pamiętała aż za dobrze. Co do szeląga.

– No, więc jak oni worki otwarli – ciągnęła dziewczyna – to się okazało, że tam wszędzie monety ze szczerego złota, co je sam tutejszy książę nieboszczyk bił. A on je bardzo krótko bił, ze trzy zimy, nie więcej, i dawno okrutnie, z pół wieku temu, zaraz po tym, jak na książęcym stolcu zasiadł. On się wtedy ponoć straszliwie zakochał – z przejęcia niebieskie oczy Jarosławny zrobiły się wielkie jak spodki – choć nikt nie potrafi powiedzieć w kim, bo oni się w ten czas tylko w lesie, chyłkiem widywali. Dlatego ludzie gadają, że to jakaś dziwożona była, albo jeszcze co innego. Potem ona zniknęła albo ją krewni księcia starego przepędzili. A książę bardzo długo jej szukał, szukał i nie znalazł, aż na koniec, stary już był, żonę sobie wziął i syna z nią spłodził. Ale tamtej nigdy nie zapomniał i do śmierci za nią po lasach łaził, a najbardziej, jak wiosną słonko mocniej przygrzało i słowiki zaczynały śpiewać. – Otarła załzawione oczęta. – Jakie to piękne i wzruszające. A księciu się chyba coś bardzo szczególnego uroiło wedle waszego złota...

– A ślub ładny miałaś? – spytała Babunia Jagódka aksamitnym głosem.

– A ślubu nie było! – wykrzyknęła Jarosławna. – Nie bez was! Taka niewdzięczna to ja nie jestem! Powiedziałam księciu, że poczekamy.

Potem wszystko odbyło się wedle zwyczaju. Babunia Jagódka stała sobie skromnie w nawie katedry, kiedy biskup uroczyście błogosławił książęce stadło i po trochu czuła się, jak dumna rodzicielka tej urodziwej pary. Wprawdzie kiedy książę zobaczył ją odmienioną zaklęciem „młoda-i-piękna”, zaczął rzucać jakieś dziwne spojrzenia, ale wiedźma wymownie pogroziła mu pięścią – ostatecznie, miała zamiar pozbyć się Jarosławny, a nie ściągać sobie na kark nowe nieszczęście. Ale i tak bawiła się świetnie. Nad ranem spoufaliło się z nią dwóch krzepkich wojaków i Babunia Jagódka rozhułała się na dobre. Jutro zajmę się odbudową wioski, pomyślała, kiedy kolejne spódnice zsuwały się z jej ponętnych bioder, odnajdę władkę i sprowadzę z powrotem proboszcza. I zastanowię się, skąd wziąć zboże na wiosenne siewy – przypomniała sobie jeszcze, kiedy niewprawne, szorstkie palce rozpiwały jedna po drugiej haftki jej gorsetu – i jak sprowadzić trochę bydła z Książęcych Wiergów. Ale dopiero jutro...

I nigdy, przenigdy nie zabiorę się znów do swatania.

BALLADA

Z jesiennymi szarugami Babuni poczęło cnić się po trosze za Wilżyńską Doliną. Nie żeby źle jej było u Jarosławny, wcale nie. Przeciwnie. Komitywa zadzierzgnięta podczas weseliska z dwoma wojakami z książęcej straży rozkwitła bujnie z pierwszymi przymrozkami i wyposzczona po odejściu Szymka Babunia uznała, że grzech byłby zmarnotrawić taką okazję. Książę też wykazał się należywym zrozumieniem, bo ani słowem nie wspominał o wyschłej starowince, pod której postacią wiedźma objawiła mu się nad strumieniem. Nic podobnego. Wielce dwornie nazywał ją mateńką i obdarował komnatką na szczycie północnej wieży, gdzie mogła swawolić, nie gorsząc nadmiernie dworskiego kapelana.

Babunia Jagódka sarkała zrazu na sześć tuzinów stopni, po których należało się wspiąć do jej izdebki, rychło jednak nabrała zwyczaju podlatywania prosto do okna na swej ulubionej brzozowej sztachecie. O zalotników zaś nie zamierzała się frasować, gdyż wedle niej chłop powinien się namęczyć i nasapać, nim się go do poufałości przypuści, żeby owe poufałość tym bardziej mógł docenić. Nadto z okna miała zacny widok na kuchnię, stajnię, zamkowy podwórzec. A jak się bardziej wychyliła, to i do książęcej alkowy potrafiła zajrzeć. Co było istotne, Babunia bowiem postanowiła zadbać, aby Jarosławna na dobre zagościła w książęcym domiszczu.

Nie zamierzała uciekać się do żadnych staromodnych zwyczajów, kryształowych kul, naparów miłosnych z szaleju albo pacynek nakłuwanych srebrną igłą, bo i księcia polubiła niezmiernie. Zresztą królowe nie miały łatwego życia w Górach Żmijowych. Te miłe panowały krótko i kończyły na zgrabnym stosie, ułożonym przez gromadkę przedsiębiorczych baronów, te niemiłe zaś były znacznie inteligentniejsze niż młynarzówna. Owszem, Jarosławna bardzo ładnie wyglądała z tamborkiem w ręku na tle gobelinów z białym jednorożcem na podółku panny, i nader wdzięcznie dziękowała minstrelom za nową balladę o jej cudownym odczarowaniu. Lecz po kilku dniach Babunia była zmuszona przyznać, że zupełnie nie nadaje się na srogą władczynię. A kto jak kto, ale Babunia wiedziała najlepiej, że władczyni w Górach Żmijowych dzieliły się na srogie i martwe.

Pozostawał więc jedynie tradycyjny sposób. Następca tronu.

Niestety, młodzi zabierali się do sprawy wyjątkowo opieszale. Książę budził się o brzasku. Rześki i pogodny jak skowronek pożerał jajecznicę z półtuzina jajek i zapijał garncem piwa. Później wkładał wysokie buty, narzucał pelerynę od słoty i gnał na łąki, gdzie kopano rowy nawadniające, albo na karczowiska popod Sinym Lasem. I nie było go aż do nocy. Jarosławna zrazu starała się mu towarzyszyć, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Bała się bagiennych pijawek, jej suknie nasiąkały wodą, tak że ledwie mogła chodzić, na wyrębie dostawała spazmów, słysząc odgłosy spadających drzew, a na dodatek w każdym drwalu wietrzyła rozbójnika, dybiącego na jej cześć oraz życie małżonka. Czas jakiś książę skrywał niecierpliwość, na koniec uroczyście przykazał, aby siedziała w zamczysku.

Jarosławna trochę popłakała z powodu męskiej tyranii i rozłąki z ukochanym, lecz Babunia widziała, że w duchu była rada z obrotu sprawy. Mogła wreszcie bez wyrzutów sumienia oddawać się temu, co naprawdę lubiła: jeść owoce smażone w cukrze, rozdawać jałmużnę pomiędzy ubogich, wyszywać na tamborku złotą nicią, stroić się w cudną nową suknię i słuchać skalmierskich pieśni o miłości przemożnej jak śmierć. Zwłaszcza to ostatnie wielce sobie upodobała, a jej oczy wydawały się jeszcze bardziej modre, kiedy zza długiej frędzli rżęs roniła łezki nad losem nieszczęśliwych

kochanków. Natomiast książę był do wzruszeń znacznie mniej skłonny. Na dźwięk luteńki mościł się wygodniej w krześle przy kominie, zwieszał głowę i zasypiał spokojnym snem strudzonego człowieka. Pochrapywał przy tym zdrowo, co nieodmiennie wytrącało z równowagi pieśniarza.

Minstrel był ponoć z dworu samego skalmierskiego doży. Książę tuż po ślubie sprowadził go do zameczku gwoli dogodzenia oblubienicy, aby ułożył jakąś zgrabną balladę o błękiej jej oczu, czy co tam się niewiastom podoba. Truwer z zadania wywiązał się nader udatnie, lecz bynajmniej nie kwapił się ruszać z zamku w drogę, i Babuni wnet się zaczęło wydawać, że rad by Jarosławnie dogodzić jeszcze na inne sposoby. Książę, chrapiący beztróska z pucharem czerwonego wińska w garści, nie dostrzegał oczywiście powłóczyстых spojrzeń przelatujących nad luteńką, ani pocałunków, którymi minstrel okrywał upierścienione palce Jarosławny. Babunia za to miała wzrok na podziw bystry. Zauważyła pakiecik, wetknięty ukradkiem w dłoń minstrele, gdy ten pochylił się, by z czcią ucałować rąbek sukni Jarosławny. Zeźlona zaczęła się w kącie za kominem i odczekała, aż księżna z damami dworu uda się na spoczynek. Ledwie zaś ich kroki ścichły w zamkowych korytarzach, niczym jastrząb spadła na nieszczęsnego młodziana.

Minstrel podskoczył jak oparzony, kiedy stuknęła go w ramię sękatym kosturkiem. Zazwyczaj wolała przechadzać się po zamkowych pokojach pod postacią hożej czarnobrewej dziewczyny. Zresztą coś w dworskim życiu sprawiało, że krew krążyła żywiej w jej odmłodzonych cudownymi ekstraktami żyłach, policzki nabierały rumieńców, a oczy szczególnie niepokojącego blasku. Tym razem jednak nie dopisywał jej zalotny nastrój, choć minstrel był gładysz i w żółtych rajtuzach, w kołpaczku zdobnym modrym piórkiem wydawał się podobny laleczkom, sprzedawanym na spichrzańskich kramach.

Na widok Babuni spłoszył i pośpiesznie usiłował wepchnąć pakiecik za poję szamerowanego srebrem kubraka, który był podarunkiem od księcia za szczególnie udaną balladę. Nie dość jednak prędko, gdyż Babunia pochwyciła go za nadgarstek zimnymi, powykręcanyymi od artretyzmu paluchami.

– A dokąd to, gołabeczkę? – zaskrzeczała, swym najbardziej profesjonalnym głosem.

Minstrel uczynił rozpaczliwy wysiłek, aby się wyrwać. Lecz, jak wielu przed nim i po nim, nie docenił siły uścisku więdźmy, wspomaganego naparem z dziewięcisiła. W szarpaninie pakiecik wypadł mu z dłoni i potoczył się po kamiennej posadzce wprost pod nogi Babuni. Zanim chłopak zdążył choćby sapnąć, więdźma już trzymała zawiniątko w garści.

– Nie poważajcie się! – zapiszczał minstrel, z grymasem bólu rozmasowując nadgarstki.

– A nie trza się było szarpać, gołabeczkę. – Babunia uśmiechnęła się pobłaźliwie i uszczypnęła go w ramię szponiastymi paluchami. – Kosteczki chudziutkie niby u kurzęcia, jeszcze je sobie, synu, połamiesz, na luteńce grać nie wydolisz. A książę pan srożyć się zacznie, bo on cię tu nie dla lic kraśnych trzyma. Jak grać nie będziesz, jak mu twe służby obrzydłą, to niczym żebraka gościńcem precz popędzi...

– Milcz, babo głupia! – syknął młodzian. – Mnie glejt chroni, od samego doży wystawiony. Są pakty podpisane, są traktaty stare, których byle książętko nie ośmieli się targać.

– No w życiu! Gdzieżby książę śmiał podobne pakta podeptać! – Babunia uniosła brwi. – Ale są w Górach Żmijowych niedźwiedzie i wilki, bardzo niepolityczne zwierzętach w traktach i glejtach nieobeznane. A nie uwierzysz, jaki w nie czort wstępuje, kiedy jelenia w lesie wyczują. Zwłaszcza takowego, który chciał ich panu rogi przyprawić – dodała, rozwijając wreszcie przepasane szkarłatną wstążką zawiniątko.

Ze środka wypadło pasmo płowych włosów, przesycone dusznym zapachem południowego pachnidła, które było nazbyt kosztowne, by używała go któraś z dworek. Zresztą Babunia Jagódka

bardzo dobrze zapamiętała te włosy w kolorze lipowego miodu, długie na trzy łokcie i miękkie jak puch. Jarosławna każdego dnia czesała je w oknie książęcej alkowy.

– Ot, durna dziewczka – mruknęła pod nosem i rzuciła kudły w trójnóg z żarzącymi się węglami.

Minstrel krzyknął słabo i skoczył ratować miłosne trofeum, ale cofnął się zaraz, kiedy Babunia podsyciła ogień zaklęciem. Wiedźma nawet się nań nie obejrzała. W rozświetlonej nagle komnacie poczęła przeglądać karty zapisane kształtnym, wprawnym pismem skalmierskiego minstrela.

– Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa... blabląbla... choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa – przeczytała. – Luba! pamięć niebieskiej pieszczoty... blabląbla... Trują mi okropnego rozmyślenia chwile...

– Zostawcie! – wykrzyknął minstrel, gwałtownie pokraśniawszy na obliczu.

– Skalmierskie poezje. – Babunia Jagódka uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Jak miło. – Przymrużyła oczy. – Nasz książę pan może do poezyj nieprzesadnie wprawny, bo jego świętej pamięci dziadek kazał wszystkie wierszydła w czambuł popalić. Łaskawy był pan, cierpliwy i na obmowę głuchy, choć ludziska wiele gadali o nadmiernej konfidencji między księżną a wierszokletą, co się tutaj aż z samych Szczepupin przypalała. Ale książę był pan wielki a szlachetnego serca. W głowie mu nie powstało, żeby się tam miało coś dziać między panią a rymopiścią, który był w swej sztuce zręczny, ale chudopacholek i człek z gminu. Lecz i nim zaraza trząść zaczęła, jak księżna jaśnie pani dziecię powiła. Bo książę był chłop słuszny, przetowłose i na twarzy szeroki, a w kołysce mu pokazali szcurka, oczka niczym paciorki czarne, na główce wioski ciemne a kręcone. Wypisz, wymaluj wierszoklet. I tu już książę nie zdzierzył. Na dziedziniec zdracę wywleczono, choć skowytał niczym pies i czepiał się sukni pani, która ledwie z połogu wstawszy, własną piersią go zastawić przed męzowskim gniewem próbowała. A to się księciu jeszcze mniej spodobało. Panią kazał w wieży wraz z dziecięciem замуrować, wąską jej szparkę w murze zostawiwszy, aby mogła spoglądać, jak jej gaszka będą kleszczami na dziedzińcu szarpać...

– Zamurował ją żywcem? – oderwał się słabym głosem minstrel.

– Bo to, wiecie, kapłani u nas rozwodom bardzo niechętni. – Babunia zacmokała w udanym potępieniu. – A rozszczepić czekaniem własną babę grzech okrutny przeciwko bogom, tedy się na podobną śmiałość książę nie poważył, choć powiadają starzykowie, że bardzo go ręka świerzbiła. Ale co innego za kratę ją posłać, by grzechy odpokutowała. – Uśmiechnęła się, szczerząc rzadkie poźółkłe zębiska. – Pokutowała więc srodze, na chlebie i wodzie, bogów o zmiłowanie za grzech prosząc. Z pół roku tak pokutowała, bo zajadła była niewiasta, za nic szczeznąć nie chciała.

Minstrel cofnął się, przejęty grozą, ale wiedźma nie zamierzała zmilknąć. Jeszcze nie teraz.

– A kiedy jej bękarcie zdechło od niewygód, jęła przez tę szparę księcia jaśnie pana lżyć takimi słowy, że słuchać było hadko. Naród się z podgrodzia schodził, bo cudności opowiadała o jaśnie pana książęcym przyrodzeniu i siłach jego męczyńskich, czy też becsiłach raczej, co ją do minstrela skłoniły. I znać było, że pokuta pani wymowy nie odjęła, rogaczem małżonka bowiem zwała po wielokroć uwieczonym, z imienia wszystkich wyliczając, co się z nią pokładali. Był tam i świniopas, i nadworny klecha, kat jeden, skryba i podsędek stary, i półtuzin strażników – jęła wyliczać na palcach Babunia – nawet grabarz na koniec, co osobliwie księcia rozjątrzyło. I, patrzajcie ludziska, pewnego razu rankiem cisza na dziedzińcu! – Klasnęła w dłonie. – Nie masz księżnej. Oniemiała. Ze trzy niedziele przeszły, nim książę pan kazał mur rozwalić, bo się już smród po krążgankach niósł. A następna małżonka bardzo rozważnie powiła jasnowłose pacholę, ojca naszego księcia, niech mu bogowie będą łaskawi. I właśnie ci klaruję, gołąbeczku, że są przyczyny, dla których jego książęca mość na wierszokletów zaciekły. Szczególnie jak mu który babę zładaczy.

– Jak śmiecie...? – Minstrel aż się zachłysnął z oburzenia. – Jak macie czelność podobną rzecz

suponować? Księżnej cześć targać, która jest paninie tylko cnoty nieskalanej, ale bardziej bogom nieśmiertelnym podobna niżli grubym ziemianom. Gdzieżbym śmiał równy cud śmiertelnymi rękoma dotykać? Toż ją z dala wielbić należy, w pokorze a zdumieniu na kolanach podziwiać...

– A tyś, chłopcze, może niezdrów? – przerwała trzeźwo Babunia, która przypomniała sobie dawniejsze wyczyny Jarosławny z wędrownymi parobkami. – Jakie z dala wielbienie? Jaki na kolanach podziw? Jak nie masz do bab śmiałości, to ci ziótek trza zaparzyć, gołąbeczku, i tyle ceremonii. Ale od tej jednej baby to się, powiadam, trzymaj z daleka, albo ci to kochanie, zdumienie i wielbienie precz księżę ze łba wybije. Toporem – dodała niemal niedbale, wypuszczając z palców zapisane karty.

Magiczny ogień znów zabuzował w trójnogu, pochwycił pergamin. Minstrel skoczył naprzód ze zdławionym okrzykiem. Babunia odsunęła się na bok, by mu nie przeszkadzać. Poza tym rozjątrzony młodzian wydał się jej nader miły dla oka – z potarganymi czarnymi lokami, które zaczął drzeć w bezsilnym gniewie, i ciemnymi oczami, co rozzarzyły się wściekle niczym ślepią kota. Zacisnął palce na rękojeści korda i przez chwilę Babunia miała nadzieję, że rzuci się na nią, co mogło być wstępem do znacznie miłszych zapasów i raz na zawsze wybiłoby chłopczynię z głowy Jarosławnę. Minstrel pohamował się jednak. Wydał wargi, strzepnął sadzę z bufiastego rękawa, zadarł hardo głowę i wyrzekł jedno słowo:

– Podła! – Po czym odszedł, zostawiając Babunię przywaloną ciężarem jego wzgardy.

Wiedźma odprowadziła go uważnym wzrokiem, nie tyle dla minstrelowych wdzięków w ciasno opiętych rajtuzach, ile aby się upewnić, że nie zmierza chyłkiem ku księżęcym pokojom. Tak się bowiem złożyło, że małżonek Jarosławny obradował tego wieczoru w mieście nad podymnem i nie miał wrócić przed północą – a już na pewno nie trzeźwy, gdyż rajcy też mieli swój honor i gościnność znali. Nieszczęsny poeta powlókł się jednak ku kuchennej izbie, skąd mimo nocnej pory dochodził rejwach, a dziewczki krzątały się żywo przy wypieku chlebów. Wiedźma dojrzała jeszcze, jak wedle gumna obłapił wpół piersiastą posługaczkę, co uspokoiło ją po trochu, że mimo niewczesnych upałów miłości chłopak ma dość zdrowego rozsądku, by bałamucić raczej podkuchenne niżli Jarosławnę.

Rychło się jednak miało okazać, że jej radość była cokolwiek przedwczesna.

Parę dni przeszło spokojnie. Z południa nadciągnął furgon kupców. Wystawiali w rynku towary i Jarosławna rozradowana jak dziecko przechadzała się pomiędzy wozami, mierząc pstrokate suknie i pojadając korzenne ciasteczka. Ale Babunia nie omieszkała dostrzec, że minstrel łąził za nią krok w krok, sakiewkę jej nosił, a na koniec nawet płaszcz w błoto rzucił, by księżna przeszła, nie zbrukawszy stóp wodą z rynsztoka. Księżę wzruszył się zresztą tą delikatnością uczuć tak dalece, że kazał z własnej kiesy wyszykować minstrelowi nową delijkę, żeby biedak na mrozie nie zmarniał. Babunia nie podzielała jego wielkoduszności. Wprawdzie na chwilę niebezpieczeństwo zostało zażegnane, jako że minstrel wyraźnie zląkł się opowieści o przodku księcia i popatrywał na niego z respektem. Ale zamczysko było obszerne i mroczne, więc wiedźma rozumiała, że pierwiej czy później rymopiśca przydybie w jakim ciemnym korytarzu Jarosławnę.

Na szczęście, póki co, księżę tkwił w zamku jak przyrośnięty. Mieszczanie bowiem okazali się ludźmi niewrażliwymi na perswazję i za nic mając wojenne potrzeby, nie chcieli podwyższyć podatków. Są w księstwie Servenedyjki, gadali, co je jaśnie pan bez narady z rajcami zaciągnął, to niech je teraz jaśnie pan bez rajców utrzyma. Zrazu księżę wił się i dwoił, w wielkiej sali z poddanymi radził, deliberował, rachunki okazał, na wydatki wielkie dla pospólnego bezpieczeństwa poniesione się skarżył. Nic nie pomogło. Jął się tedy innych sposobów. Pospraszał sztukmistrzów i trefnisiów, żeby panów rajców przychylniej usposobili. Uczty też huczne wyprawiał,

czemu Jarosławna, niechętna przypuszczeniu chamstwa do zbytnej poufałości, niezmiernie się krzywiła. Nie śmiała otwarcie sprzeciwić się małżonkowi, więc tylko siedziała z kwaśną miną w wielkiej sali, kiedy rozochoceni piwskim rajcy coraz głośniejszy deliberowali o świńskim pomorze, nowym prawie przeciwko nieczystościom wyrzucanym z okien na główne ulice i turzniańskich targach byłem.

Mieszczanie tymczasem bardzo pilnie przypatrywali się młodej pani, choć w przeciwieństwie do minstrela nie czynili tego z zachwyty nad jej oczyma modrymi niczym niezabudki i splotami, spływającymi aż do ziemi pasmami złotej przędzy. A umoszczo – na wygodnym fotelu i ukryta przed wzrokiem gości za wypchanym ścierwem dzika, Babunia równie uważnie śledziła książęce rokowania z poddanymi. Nie omieszkała więc dostrzec, że panowie rajcy z wielką rewerencją kłoniли się przed Jarosławna i obdarowywali ją hojnie różnymi niewieściami drobiazgami – od szylkretowego grzebienia wykładanego macicą perłową i pół tuzina łabędzi do zamkowej sadzawki, aż po szcudrze inkrustowaną srebrem kołyskę. Ten ostatni dar sprawił, że Jarosławna rozplakała się donośnie pod łukowatym sklepieniem wielkiej sali, po czym zasłoniła twarz jedwabną chustką i wypadła biegiem w kruzganki. Zanim drzwi zatrzasnęły się na dobre za jej plecami, Babunia Jagódka zdołała jeszcze spostrzec, że minstrel, który stroił na dziedzińcu luteńkę, pomknął w ślad za nią niczym ogar, wyprzedziwszy cztery damy dworu i ochmistrzynię.

– Wybaczcie, waszmościowie. – Książę z lekkim zmieszaniem kiwnął dłonią w kierunku domykających się drzwi. – Księżna pani delikatna, jak to pospolicie między białogłowami.

– Delikatna, delikatna – wymamrotał pod nosem rzeźnik Skarłupa, który był już mocno podpity, więc mu się z nagłą zebrało na szczerość. – Inne też delikatne, a co roku rodzą. Na ten przykład moja baba, też delikatna i pieszczona od urodzenia, bo jest aptekarska córka, bliźniaki łońskiego roku powiła, dwóch zdrowiutkich chłopaków...

I byłby pewnie dalej perorował, gdyby mu kamraci gęby nie zatkali, podsunąwszy kawał baraniego mostku. Przy czym Skarłupa bynajmniej nie rzucił się na mięso, bardzo zaciepieczone przez książęcego kuchmistrza, tylko wypatrzył krzywo przyciętą kość i rozwiódł się szeroko nad niekompetencją partacza, który hańbi rzeźnicze rzemiosło, podobnie rozebrawszy barana.

Szczęściem książę, pochłonięty bez reszty mową o wyższości miejscowej wełny nad runem merynosów, sprowadzanym ostatnio coraz chętniej z południowych księstw, nie ułowił ani jednego słowa połajanki. Babunia jednakowoż zakonotowała sobie starannie wyrzuty rzeźnika. Dostrzegła również, że od owego wieczora mieszczanie coraz częściej ściągali na uczyty z całymi rodzinami. Zazwyczaj przodem dostojnie sunął pan rajca w najlepszym kaftanie, za nim dreptała dorodna jejmość, niczym kokosz pusząc się i kołysząc kuprem, przybranym w pyszny aksamit, z tyłu zaś podfruwało liczne stadko rozświergotanych, płowowłosych i bardzo urodziwych panienek. Babuni wydawało się, że żadna nie przypadła zbyt do gustu gospodarzowi zamku, który pozdrawiał je bez zapału, by natychmiast rozpocząć niekończący się monolog o potrzebie nowych podatków i zimowego opatrzenia zaciężników. Z początku była więc cokolwiek rozbawiona daremnymi zachodami, ale wnet jej wesołość przeszła, kiedy pewnego wieczoru inny podpity mieszczanin wypalił księciu prosto w oczy:

– A przestańcież, jaśnie książę panie, nudzić, co jest nasz wedle ojczyzny obowiązek! Już wy się nie lękajcie, kiedy wy swój obowiązek domowy spełnicie, i my ze swoim zwlekać nie będziemy. Ale nie pierwej!

Tym razem Jarosławna nie zdołała nawet powstać. Książę pochwycił ją za łokieć i przemocą pociągnął na krzesło, zadana więc tylko hardo brodę, a na jej policzkach wystąpiły ceglaste rumieńce. Nikt jednak nie spostrzegł jej zakłopotania, gdyż książę uniósł się nieznacznie z tronu i

gwar w wielkiej sali przycichł bez śladu. Ostrza zawieszonych na ścianach toporów wydały się w tej minucie ostrzejsze, groty pik w dłoniach strażników zyskały na połysku, a twarz dziadunia-żonobójcy z portretu przybrała pożądlivy wyraz oczekiwania. W bardzo głuchej ciszy dało się słyszeć jedynie pełne aprobaty chrząknięcie Babuni Jagódki, mile zaskoczony przemianą roztargnionego zazwyczaj i nieco gamoniowatego księcia.

– Nie wasza rzecz rozstrzygać o moich domowych obowiązkach – rzekł książę, a jego rysy stały się nieoczekiwanie podobne do wilczego oblicza władcy z portretu. – Wasza rzecz milczeć, a łaskawość pana sławić, że was we własnych progach chlubnie podejmuje. Bo może was niechlubnie psami za progi wyszczuć, albo jeszcze lepiej wyrzucić. Na ten przykład w ciemnicy.

– Wolności nasze...! – Zapalczywy mieszczanin nadał się na gębę.

Siedząca obok jejmość w ciemnozielonej aksamitnej sukni przerwała perorę, z całej siły wraziwszy mu łokieć pod żebro.

– Wolności wasze – książę uśmiechnął się nieznacznie, a jego głos nabrał miękkości, od której Babunię mile ciarki przeszły po grzbiecie i pomyślała, że może niesłusznie miała go za niezgułę – to gnój za mury na taczkach wozić i świniom bukwę zbierać w pańskim lesie. I tyle. A moja wolność jest was za zelżenie obwiesić. Skastrowawszy pierwej wszystkich, niczym zapustne knury, jeśli na cześć jaśnie księżnej pani nastajecie. Ale możemy się tylko przesłyszał. – Potoczył wzrokiem po oniemiałej od grozy sali. – Gwar tutaj i rejwach niby na jarmarku, kielichy szczękają, minstrelowie grają... – Skinął ku wierszopiścy, skulonemu na niskim karle tuż obok paleniska. – A właśnie, cóżeście tak zamilkli, szlachetny nasz mistrzu? Grajcież a donośnie, goście rozrywki żądni!

– Nie wiem, czyli się uczta z mą muzyką zgodzi – odparł śmiało minstrel.

– Grać, powiadam! – ryknął książę, ale tak, że i śpiewak, i karło podskoczyli pospołu.

Jarosławna wzdrygnęła się lekko u szczytu stoła, podobnie jak półtora tuzina innych niewiast, które poblady niczym książęce obrusy, żadna jednak nie ośmieliła się zemdleć. Minstrel rozdygotaną ręką przesunął po strunach, dobywając kilka słabych, piskliwych dźwięków.

– A nie fałszować, bo nie za to płacę! – Ciśnięta przez księcia sarnia łopatką odbiła się od ściany o dwa palce od głowy minstrelnika. – I żadnych skalmierskich rzewności, księżna łaskawa pani rześką woli muzyczkę!

Minstrel posłusznie przyśpieszył rytmu, tylko powietrze ustami łowił, jakby się czymś zatchnął. Kiedy melodia rozkołysała się na dobre, a ten czy ów spomiędzy mieszczan począł trwożliwie sięgać po kielich, chcąc splukać strach skalmierskim winem, książę powstał zza stoła i bez słowa podał ramię Jarosławnie. Jasnowłosa młynarzówna zatrzepotała powiekami, lecz podniosła się posłusznie.

– Nie przerywajcież sobie, mistrzu – rzekł książę łaskawie. – Księżna jaśnie pani znużona, ale dzisiejszej nocy użyczymy cię miłym gościom. Dla rozrywki.

Babunia Jagódka wymknęła się z wielkiej sali tuż za książęcą parą, by jej przytomność nie onieśmieliła mieszczanstwa. Zdażyła tylko dostrzec przez ramię, że jejmość w zielonym aksamicie chwyta ze stołu kopystkę do nakładania grochu z kapustą i z całej siły wali nią w łeb nazbyt elokwentnego i ufego w miejskie przywileje pana małżonka. Już na krużganku skąpanym w miłym księżycowym blasku posłyszała, jak w sali wszczyna się coraz większy rumor. Nie nasłuchiwała wszakoż nazbyt bacznie, rozumiejąc, że najważniejsze zostało już uczynione, a po dzisiejszej uczcie nieprędko ktoś poważy się powtarzać plotki o Jarosławnie. Mieszczanie w mig pojęli lekcję. I to co do joty.

Przystanąła w cieniu piersiastej kariatydy, gdy przez rejwach dobiegający z wielkiej sali przebił się pojedynczy wizg i trzask rozbijanej luteńki. Wieczór był wciąż ciepły, choć liście na drzewach w książęcym ogrodzie pożółkły i wyrudziały ze szczętem. Przeciągnęła się z lubością, aż coś chrupnęło

w starych kościołach. Od strony kuchni wicher przywiewał miłą woń pieczonego chleba, a na górze, w oknie książęcej alkowy wciąż migotał kaganek, ale tej nocy Babunia nie zamierzała zaprzętać sobie głowy kłopotami książęcej pary. Ech, w Wilżyńskiej Dolinie pewnie już rzepę na polach pieką, pomyślała, i coś ją ścisnęło w dołku, jakieś ulotne przeczucie, że nazbyt długo popasała w zamku. Zaraz jednak pomiędzy kępami berberysu mignęła jej postać znajomego wojaka i niepokój rozwiął się bez śladu. Wsunęła się jeszcze głębiej za posąg dziewoi przygiętej pod ciężarem kapitelu kolumny, wyszeptała kilka słów, a potem pobiegła ku niemu po zwarzonej pierwszym przymrozkiem trawie, znów gibka, czarnowłosa i roześmiana. I aż do świtu nie myślała więcej ani o Wilżyńskiej Dolinie, ani o Jarosławnie.

Rankiem dziewczki służebne opowiedziały Babuni, jak panowie rajcy pospólnym wysiłkiem wygarbowali minstrelowi grzbiet jego własną luteńką, i to tak dotkliwie, że go zbrojni musieli na koniec salwować z rąk rozjuszonych zamsików. Sam pieśniarz aż do zmierzchu nie pokazał się ani w wielkiej sali, ani na dziedzińcu, choć Jarosławna długo przechadzała się w krużganku, od czasu do czasu rzucając ponad głowami dworek tęskne spojrzenia ku oknom jego izdebki na strychu zamkowych stajni. Kiedy jednak ochmistrzyni próbowała ją zagadnąć, pani przyłożyła tylko rękę do czoła i ze zboląłą miną schroniła się w niewieścich komnatach.

– A książę jaśnie pan przede świtem z zamku wypadł – objaśniła Babunię szczerbata pomywaczka. – I to tak, że ledwie bramę przed nim zdążyli rozewrzeć. Byłby strażnika koniem stratował. Ponoć na polowanie, ale w koszarach od rana piją z radości, że teraz ani chybi książę pan wojsko na miasto wypuści.

– A wedle czego? – zdumiała się szczerze Babunia.

– Wedle zelzenia – wyjaśniła posługaczka. – Wyście nie stąd, więc nie wiecie, jak za starego księcia bywało. Bo bywało tak, że kiedy burmistrz przed książęcą karocą z traktu nazbyt późno w las zjechał, to przed wieczorem książęce wojsko w burmistrzowej kamienicy pierzyny darło, a on sam przy pręgierzu popod zamkową bramą grzbiet pod razy nadstawiał. A jak się mieszczany z podatkami spóźniły, to też im książę jaśnie pan wojsko w gościnę posyłał. Popiły się żołnierzyki w szynku, pohulały ździebełko i wnet w miasto szły. Z pochodniami. A wiecie, jak to jest, kiedy się chłopcy gorzałki ożłopia. Niby książę pan mówił, kto tam w ratuszu najbardziej przeciwko zwierzchności gardłował, ale jak się już wojacy rozochocili, to nieraz ćwierć miasta z dymem szło.

– Astrolog wczoraj pół nocy w gwiazdy patrzył. – Kostropata kucharka wyszczerzyła zęby. – A widzicie, jak się ludziska wokół jego wieży kłębią? Żołd prawie cały z koszar zagarnął, bo zakłady ścierwo przyjmuje, czy książę, nasz pan dobry, pierwiej miasto spali, czy wierszokletę na pal nadziać każe.

– A księżna pani jaka smutna – rozrzewniła się pomywaczka. – Bładziuchna niby chusta z łóżka wstała. Nikomu ani słowa nie rzekła, bo nie żali się ona, gołąbeczka nasza. Ale patrzą panie, a ona przed zwierciadłem siedzi, i po obliczu jej łezki ciekną jedna za drugą niby perełki. Może niezdrowa?

– E tam, zaśby niezdrowa! – prychnęła kucharka. – Płodu donosić nie może, ot co, stąd się te zabawy z minstrelem wzięły i insze brewerie! Bo już trzeci raz roni przez to całe czarodziejstwo! Toż powiadali ludzie mądrzy, żeby książę zwyczajną babę brał, spomiędzy naszych. Nie żadną księżniczkę zakletą, co tylko w oknie siedzi jak malowana i oczy wypłakuje. Na co mu ona? Ani z niej w domu jaka wyręka, ani w łóżnicy uciecha, wciąż jeno wątła, płacziwa i kwękająca.

Posługaczki jazgotały zawzięcie o amorach Jarosławny z minstrelem i o przekleństwie, którym zapieczętowano jej żywot, by nigdy nie powiła żywego dziecięcia. Babunia Jagódka w zadumie potarła rozłożystą brodawkę pośrodku brody. Nie podobały się jej te pogłoski, wcale nie. Dobrze

wiedziała, jak blisko od durnej obmowy do pospolitego stosu, na którym morzono wiedźmy i cudzołożnice. A nazbyt się utrudziła swataniem Jarosławny, by dla głupiego kaprysu pozwolić jej wszystko zmarnować.

Aż do zmierzchu czaiła się przy kuchniach, wyglądając minstrela, ale nie zszedł z izdebki pod dachem stajni ani tego dnia, ani następnego. Wreszcie kucharka ulitowała się i kazała jednej z dziewcząt zanieść mu miskę zupy. Posługaczka długo pukała w drzwi. Nie otworzył jej. Żył jednak, gdyż na koniec odezwał się zduszonym głosem, każąc zostawić miskę pod drzwiami, a potem iść precz i nie niepokoić go więcej. Co też uczyniła wedle życzenia.

Czwartego dnia wierszopiśca wychynął ze swej izdebki. Twarz miał posiniaczoną i obrzmiałą od razów, usta rozbite, a czarne włosy, zazwyczaj utrefione starannie, opadały mu na ramiona w potarganych, nierównych kosmykach, zupełnie jakby kto je przyciął tępym nożem. Powłócząc nogą, ruszył przez dziedziniec, a od książęcych obór, kuchni, stajni i warzywnika pielonego pod czujnym okiem ochmistrzyni biegły ku niemu tuziny spojrzeń złąknionych rzewnych ballad. Pod okapem wędzarni rozczochrana pomywaczka podniosła głowę znad skubanego drobiu i jęła bredzić o miłości wielkiej a przemożnej, która wie dzie kochanków aż po grób i jeszcze dalej. Babunia wzdrygnęła się z niechęci. Nie tak to sobie wyobrażała, zupełnie nie tak.

Kiedy minstrel przysiadł w krużganku na schodach do kaplicy, wiedźma dostrzegła, że jego kaftan jest podarty i poplamiony zaschniętą krwią. W wygniecionej samodziałowej koszuli i prostych skórzanych pludrach nie wydawał się już jednym z pysznych skalmierskich bardów, którzy ufni w opiekę doży wygrażali samemu spichrzańskiemu księciu. Babunia pomyślała, że właściwie bez biretu ozdobionego znakiem profesji, idiotycznych żółtych rajtuzów i ciżem z wysoko zadartymi nosami wyglądał znacznie lepiej. Napił się zsiadłego mleka, przyniesionego przez jedną z posługaczek, a kiedy ta przypatrywała mu się z nabożnym zachwytem, odprawił ją grzecznym podziękowaniem. Jego palce przebiegały nerwowo po szarym granicie podstawy kolumny i Babuni prawie zrobiło się go szkoda. Wiedziała bardzo dobrze, ile warta była lutnia, którą mieszczaństwo roztrzaskało na jego grzbiecie niczym pałkę, wiedziała też, że żaden z panów nie przyjmie na zimę barda bez instrumentu. Później jednak spojrzenie minstrela pobiegło ku zamkniętym witrażowymi szybkami oknom Jarosławny i Babunia poczuła, jak wszelkie współczucie ulatnia się z niej w jednej chwili.

Traf chciał, że tego dnia pokojowe bardzo długo ubierały księżnę, która i zwykłego dnia nigdy nie wyburdała się z komnaty przed bitym południem. I kiedy wreszcie Jarosławna schodziła na dziedziniec po marmurowych stopniach w pysznej sukni z purpurowego aksamitu i włosami opadającymi jak struga złota, Babunia mimowolnie pomyślała o księżniczkach z baśni, uśpionych w czarodziejskiej wieży, poza kręgiem dzikich róż. To właśnie widziała w twarzy młynarzówny przez wszystkie dni minionego lata, kiedy przechadzała się w krużganku z małym białym pieskiem, który księżę specjalnie dla niej sprowadził z południowych wysp, albo gdy wyszywała kapę przed ołtarz boga w mrocznym wnętrzu wielkiej sali posłuchań. Dziwny rodzaj sennego wyczekiwania, w które popadła kilka tygodni po szumnych zaślubinach i które nie opuszczało jej w żadnej porze dnia. Najwidoczniej księżę nie umiał go rozproszyć.

Musiał je jednak wyczuwać, całe lato bowiem w zamku trwała barwna feeria turniejowych gier, festynów i pokazów wędrownych komediantów, których spraszano ze wszystkich stron dla rozweselenia milczącej Jarosławny. Księżna łaskawie przyjmowała te zabiegi. Całowała małżonka w rękę, czasem nawet dawnym zwyczajem padała mu do stóp. Jej umysł jednak wydawał się nieodmiennie zamknięty i o całe wiorsty odległy od zamku pośrodku Gór Żmijowych. Z rzadka tylko twarz księżnej rozjaśniała się nagle i nabierała życia – z powodu dzikiej róży, ofiarowanej jej przez minstrela, albo piosenki, którą napisał specjalnie dla niej. Jednak nie tego dnia.

W przeciwieństwie do kucharek i pomywaczek rozrzewniających się miłością księżnej i wierszopiścy, wojacy nie żywili większej uwagi dla nieszczęśliwych kochanków. Przeciwnie, mieli im za złe, i to ile wlezie. Książę bowiem nie tylko nie wypuścił żołnierzy w miasto na grabież, ale na dodatek od pięciu dni wojacy musieli się za nim uganiać po puszczy i co bardziej podmokłych bagniskach. I nie zanosilo się, żeby miał prędko do zamku zjechać.

Wszyscy w dworzyszczu dobrze wiedzieli, albo przynajmniej sądzili, że wiedzą, dlaczego książę tłucze się po oczeretach i woli obozować pod gołym niebem, niżli powrócić do ślubnej małżonki. A ponieważ rzadko kto miał dostęp do Jarosławny, a jeszcze rzadziej ktoś śmiał z nią mówić, wojacy bez dłuższych deliberacji obrócili swój gniew ku osobie dla urodzenia i rangi znacznie łatwiej dostępnej. I kiedy Jarosławna znalazła się wreszcie na dole, nie czekał na nią ani książę z baśni, ani nawet kruczowłosa minstrel. Właściwie nie było tam nikogo. Tylko od strony stajennego dziedzińca niosły się dzikie wrzaski oraz dźwięki drumli i bębna, na których dzielni wojacy przygrywali sobie przy zabawie.

Zabawa zaś była przednia. Z obory wytoczono beczkę z gnojem, żołnierze ustawili ją pośrodku dziedzińca i bez najmniejszego względu dla sztuki pławili w niej skalmierskiego minstrela. Wcześniej odbyła się też ceremonia ścigania ofiary, bo ostrzeżony przez posługaczkę wierszopiśca usiłował się wymknąć. Zanim jeszcze prześladowcy pokazali się na zamkowym podwórku, rącho jak jeleń pognął kruzgankiem, przecisnął się pomiędzy świńskimi korytami, minął chlewik, wygodkę i oborę dla wołów, a potem chytrze klucząc w malinowych zaroślach, wpadł w warzywnik, opadający łagodnie po zboczu pagórka aż do fosy. I zdołałby pewnie uciec, bo lato było upalne i woda w fosie wyschła tak dalece, że miejskie urwisy przerzuciły przez fosę kilka brzoźowych gałęzi, by bez kłopotów zakradać się po śliwy z książęcego sadu. Jednak i nad fosą, w gęstym łopianowym gąszczu, czaiła się kolejna gromada nieprzyjaciół. Ani się minstrel obejrzał, jak owinięto mu głowę końską derką i wśród szyderstw powleczono z powrotem na dziedziniec.

Babunia musiała przyznać, że jak na człeka postury mizernej i nieobytego z bronią, minstrel walczył nad podziw zaciekle. Co nie miało jednak żadnego znaczenia, bo i tak obdarto go z kaftana, wysmarowano dziegiem, otoczono pierzem, a na końcu wepchnięto do beczki z gnojówką. Żołnierze byli już naprawdę w dobrych humorach, po części za przyczyną piwa, które wypito w intencji rychłego powrotu księcia. Minstrel stał w beczce, po szyję zanurzony w cuchnącej brei, a kilku żołnierzy raz po raz dźgało go i zbijalo z nóg długimi tyczkami, pilnując, aby się nazbyt wcześnie nie wybił na swobodę. Nie tłukli go nazbyt dotkliwie, ani ze szczególną złością, bo też nie o razy tu szło. Wachmistrz, człek w latach posunięty i doświadczony, kazał nawet minstrelowi nalać kubek piwa, żeby mu lżej było, ale nie próbował przerwać zabawy. Wszystkich zaś oficerów, urzędników i zamkowych oficjeli dziwnym trafem wymiotło bez śladu z dziedzińca, choć Babunia mogłaby przysiąc, że niejedynemu przypatruje się przez szpary w okiennicach, jak pospólstwo raz a dobrze załatwia sprawę nieszczęśliwej miłości minstrela i księżnej jaśnie pani.

Jarosławna przez chwilę stała na samym skraju dziedzińca, ponad głowami żołnierzy patrząc na beczkę z gnojówką i zanurzonego w niej mężczyznę, a krew powoli odpływała z jej policzków. Potem bez jednego słowa czy gestu odwróciła się i, sztywno wyprostowana, powoli weszła po schodach ku książęcym komnatom.

Muzyczka nie umilkła ani na moment. I wszystko było skończone.

Wieczorem Babunia wybrała się jeszcze raz do książęcych stajni. Łupało ją w kościach i czuła nadchodzący deszcz, jesienną zawieruchę, co obedrze drzewa z resztek liści i spłucze z dziedzińca ślady żołnierskiej hulanki. Konie parskały lekko i rozdymały chrapy, a myszy szurgały w słomie, kiedy wiedźma wędrowała pomiędzy rzędem ciemnych boksów, aż na sam koniec stajni, gdzie

minstrel nakrywał właśnie grzbiet swej kobyłki słowiałym wołokiem.

– Juki aby dobrze płótnem nakryjcie, bo burza idzie – powiedziała spokojnie.

Minstrel podskoczył jak dźgnięty szpikulcem. Białka jego oczu błysnęły w ciemności, i przez chwilę Babuni zdawało się, że pierzchnie przed nią precz. Pohamował się jednak.

– Popatrzeć przyszłście? – zapytał schrypłym głosem. – Nie dziwota. Wasza praca to wszystko, chcecie więc jeszcze do syta napaść oczy. Tedy patrzcie. I radujcie się – dodał, krzesząc nieudolnie ognia.

Babunia wykonała drobny gest i kaganek zapłonął nikłym, błękitnawym płomyczkiem, dobywając z mroku chudą, poznaczoną świeżymi zadrapaniami twarz minstrela.

– Nie raduję się – odpowiedziała powoli, przenosząc wzrok na obwiązaną chustką dłoń chłopaka.

– Ani wcześniej, ani teraz.

– Macie mnie za głupca! – Zaśmiał się cierpko. – Myślicie, że nie wiem, kto ją na zamek sprowadził? Że nie mówiła mi, co wam jaśnie ksiązę pan winien, i jak go z pomocą Servenedyjek na tron sadzaliście? Że nie rozumiem, po cóż rok prawie w zamku siedzicie, ócz z niej nie spuszczać?

– Po cóż? – spytała Babunia, choć zgadywała już odpowiedź i coś ją zakłuło boleśnie w piersi na podobną niewdzięczność.

– Żeby się wam z garści nie wymknęła i precz nie poszła! – oznajmił triumfalnie wierszopiśca. – A co! Mówiła mi, wszystko mi mówiła! O wiedźmie z lasu i księciu, co ją wciąż od zaklęcia otumanioną w zamek poprowadził i za żonę pojął. Sowiec żeście, babo, zapłacili księciu za łyżkę strawy i dach nad głową. A że przy tym jedno czy drugie życie niczym słomka i trzasło – furda my i te życia nasze jak plewy znad ziarna wymiatane!

Babunia cierpliwie przeczekała tyradę.

– Ale przecie teraz jej w wieży nie trzymam i pod szarmem nie duszę – rzekła wreszcie. – A nie zdaje mi się, byście dla dwojga konie siodłali.

– Bo już raz ją żeście z zamku rodziców w głuszę wywlekli. Na głód, na poniewierkę, na zatracenie. Wszystko żeście jej precz zabrali! Urodzenie, dostatek, imię nawet, bo przecież ani kraju, ani rodziny swojej pomnieć nie potrafi. To czego jeszcze chcecie? To niby dziw taki, że się was boi?

– Dzw, że z wami uciec nie próbuje. Toż sami śpiewaliście, że miłość mocarz wielki, wszelkie przeszkody przemoże... A zdaje mi się, że wasza nie przemogła. I nie przemoże.

– Bo się was Jarosławna boi! Ksiązę precz pojechał, żebyście nas tutaj mogli z cicha powyduszać, wy i to chamstwo uzbrojone.

– Głupiś, synku. Aniście z tą durną dziewczką godni księciu do nóg paść i o przebaczenie prosić.

Chłopak targnął głową, lecz wiedźma uciszyła go niecierpliwie.

– Dość już, synku, rzekłeś, ale zrozumiałeś niewiele. O Jarosławnie, o księciu. Przede wszystkim o księciu. A skoroś nie zrozumiał, to milcz. I słuchaj. Bo dość było takich, co ksiązęciu w głowę kładli, żeby dziewczkę z zamku wygnał, albo gdzie po cichu umorzyć kazał. Przychodzili do zamku, wręcz się ofiarując kark jej skrócić, czy truciznę w placku zadać.

Zobaczyła, jak minstrel poszarzał jak popiół, ale była wściekła i nie zamierzała przerwać.

– Tak, synku. Bez wiedźmy z lasu, bez zaklęć żadnych. Wystarczyło rozkazać, czy nawet milczeniem przyzwolić, bo przecież dość było takich, co dla ksiązęcej łaski skęciliby kark cudzołożnicy.

– Łżecie! Łżecie podle!

– ...a prędzej jeszcze cudzoziemskiemu gołodupcowi, co po ksiązęcą własność sięgał – ciągnęła Babunia. – Właśnie tak, synku. Po ksiązęcą własność.

– Jest jego żoną, nie koniem czy kawałkiem sukna!

– Nie wydarłbyś księciu ani kobyły ochwaconej, ani szmaty starej, co nią w zamku garnki czyszczą! Ani nic innego. Bo taki w Górach Żmijowych obyczaj, że jak ktoś na książęcy dobytek zanadto hardo napiera, to mu się rękę ucina, czasem razem z szyją. Więc pomyśl nad tym, synku, zanim dla pustej chwały znów zaczniesz jaką panią zwodzić.

– Żaden dla mnie zaszczyt przymamić sobie żonę księcia, co panuje nad przygarścią łysych szczytów i kierdelem sparszywiałych owiec. I który kazał mnie na dziedzińcu zadźgać, bo mu żona broni przystępu do łóżnicy!

– Tyś, synku, głupszy jeszcze, niż sądziłam – skonstatowała Babunia. – Trzeba było służebnych pytać, czyli księżę do niej w ogóle ostatnimi czasy chadzał. Zrozumiałbyś i to, czemu z zamku precz jechał.

– Żeby się tym łatwiej brytany z łańcucha zerwać mogły – ciskał słowa pieśniarz, zaślepiony w złości.

– Żeby mogła wybrać. Sama, z nieprzymuszonej woli – powiedziała bardzo cicho Babunia. – Ta jego księżniczka zaklęta, co jej ze stuletniego snu obudzić nie potrafi. Bo zanim precz jechał, o to jedno mnie prosił. Żeby jej nie zatrzymywano. Żeby mogła konia osiodłać, ot tak, jako ty, synku, czynisz, i przejechać bramę. Wolna. Jeśli tylko zechce. Ale nie zechce. Będzie przez cały wieczór stała w oknie ponad krużgankiem i łzy jej z oczu cieć będą jedna za drugą. Ale nie zejdzie. Ot, i skończyła się ballada, synku. Jak było trzeba.

– Jak żeście chcieli.

– Tak ci się, synku, zdaje? – zapytała miękko Babunia.

Ognik kaganka przybladł, koń poderwał się i chrapnął z trwogą. Kiedy zaś płomyk rozblęsnął na nowo, wiedźma opierała się o drewniany słup, czarnowłosa i czarnooka w czerwonej sukni, z pierścieniami na wprost przysłoniętymi koronką i kibicią wiotką jak łodyga kwiatu. Zobaczyła, że minstrel cofnął się, a jego źrenice rozszerzyły z przestachu, choć spotykał wcześniej ją w obu postaciach w salach książęcego zamku. Nigdy jednak nie odmieniła się na jego oczach z łatwością, która zadawała kłam wszystkim opowieściom o magicznych wywarach sporządzonych z krwi niemowląt i kości nietoperza. I zaraz wiedziała, że nie powinna była tego robić. Nie poza Wilżyńską Doliną, gdzie ludzie przywykli do jej mocy i rozumieli dobrze, kiedy odwrócić wzrok.

Bał się. Ludzie zazwyczaj bali się podobnej mocy, ale była zbyt zła, by dbać o jego strach. Zła i znużona.

– Była kiedyś dziewczyna, synku. Widziała z krużganku ojcowskiego pałacu, jak jedzie przez dziedziniec z lutnią na plecach i pojedynczym sztyletem u pasa. Bo właśnie tak jeździł po Górach Żmijowych. – Roześmiała się cierpko. – Bez puklerza, z odkrytą głową. Bez miecza nawet. Jak po własnym podwórku. I kiedy ją zawołał, zbiegła do niego po schodach, których stopnie migotały wszystkimi odcieniami ognia pod jej stopami.

– Kim wy jesteście? Kim...?

– Wiedźmą z lasu. – Babunia Jagódka podniosła na niego oczy, które wydawały się odlane z płynnego złota. – A co ci się zdawało, synku? Ale była kiedyś taka dziewczyna, która wybiegła z ojcowskiego pałacu dla pojedynczej śpiewki i śpiewka porwała ją, poniosła gościńcem jak przygarść suchych liści – na oślep, na zatracenie. Dawno, dawno temu. Zanim upadły rdzawe mury Stopnicy i dziki bluszcz zatańczył w salach kopiennickich zamków. Zanim Thornvelin powróciła z północy, z przekleństwem bogini wypisanym na czole. A potem, synku – uśmiechnęła się, a w załamaniach i fałdach jej sukni żarzyły się i gasły drobne złote iskierki – potem było już po prostu za późno, bo świat zatrasnął się wokół niej i żadna powrotna ścieżka nie prowadziła do pałacu ojca. Ani jedna ścieżka w całej połaci Gór Żmijowych, ponieważ ogień wygasł, a ściany wypaliły się aż

po fundamenty.

Minstrel cofnął się o krok i wiedziała, że musiał znać tę legendę. Wszyscy ludzie w Górach Żmijowych, i dalej jeszcze, aż po północne krańce Wewnętrznego Morza, znali legendę o pałacu utkanym z żywego ognia, a on był bardem.

– Więc nie mów mi, synku, o tym czego chciałam – dokończyła bardzo cicho. – Ani co było trzeba. Nie masz o tym pojęcia, synku.

– Jesteś jego córką? Jesteś córką...?

– Nie! – Położyła mu dłoń na wargach. – Nie wymawiaj jego imienia, nie tutaj.

– Opowiedz mi! – Palce minstrela zacisnęły się na jej nadgarstku. – O pałacu z żywego ognia, o mieście Vadiloneda, zanim obróciło się w ruinę.

– Po co?

– Bo pamiętasz.

– Pamiętam wiele rzeczy, synku. – Uśmiechnęła się do niego oczami z płynnego ognia. – Głos ojca, kiedy zbiegam z krużganku, a iskry rozwijają się pod moimi stopami jak kaczeńce. I srebrne głosy dzwonów nad murami Stopnicy. A także ramiona mężczyzny, który obejmuje mnie w pół, gdy siedzę przed nim w siodle, a podkowy dźwięczą po kamiennym bruku jak kamienie rzucone na szczęście w morze. Pamiętam każde słowo ballady, którą zaśpiewał dla mnie pierwszej nocy. Wiedział, kim jestem, więc nie wyrzekł ani słowa, kiedy rozpałam ogień pojedynczą sosnową igłą, rzuconą na stos chrustu. Pamiętam granie świerszczy w wyschniętych trawach i miękkość mchu, kiedy leżałam z głową na jego kolanach, bo tamtej nocy żadne z nas nie potrafiło usnąć. Umiałabym odnaleźć pień sosny, o którą się opierał, i ślad ognia na kamieniach. Ale nie pamiętam jego imienia. Miałam dość mocy, aby spopielać zamki aż do litej skały i skierować nurt rzeki na obozowisko jego wujów...

– Pustułka! – Minstrel ze świstem wciągnął powietrze. – Znam cię! Ty jesteś Pustułka!

– Nie pamiętam jego imienia! – wykrzyknęła w udręce wiedźma, a pochodnie na ścianach stajni wybuchły ostrym płomieniem. – Nie pamiętam zupełnie nic! Nic, prócz tego, jak ona wjeżdża na dziedziniec przed stopnicką cytadelą. Thornvelin. Jej włosy powiewają na wietrze niczym srebrzyste babie lato, a myśli są kruche jak pajęczka nić. Ale gdzieś głęboko, pod przerażeniem, rozpaczą i wszystkim, co wydarzyło się na północnym morzu, wyczuwam jej umysł, jak pajęczą nicią opleciony kłątwa Fei Flisyon. Jasny, doskonały umysł uścieskiej alchemiczki, która ośmieliła się rzucić wyzwanie bogini w jej własnym żywiole.

– Thornvelin – wyszeptał minstrel.

– Thornvelin. Thornvelin, która już wie. Doskonale wie, co się wydarzy, kiedy tylko jej syn spojrzy na nią pierwszy raz, ale siedzi sztywno wyprostowana w siodle, a kniaź prowadzi za uzdę jej konia pomiędzy szpalerem pacholek z rozpalonymi pochodniami. I przez chwilę ja również wiem. I przez chwilę pragnę, żebym nigdy nie wyszła poza ściany pałacu mojego ojca, ściany utkane z żywego ognia, gdzie nie sięga kłątwa Zараźnicy, ani dźwięk lutni, ani jego głos. Tyle że podkowy jej konia wciąż stukają po bruku. Tap, tap, tap! – Roześmiała się. – Coraz bliżej, synku, coraz bliżej!

Płomienie pochodni zdawały się pulsować każdym jej słowem.

– A potem? Co dzieje się potem?

– A potem ogień pochodni ciemnieją jeden za drugim i nie potrafię przywołać ich mocy. Pierwszy raz w życiu, choć jestem przecież jego córką i ogień odpowiada na moje wezwanie. Jestem ślepa, synku. Właśnie tak. – Uczyniła nieznaczny gest, a w stajni zrobiło się znów zupełnie ciemno, i tylko pochodnie syczały, jakby zanurzono je w chłodnej wodzie. – Pierwszy raz, synku! Właśnie tak skończyła się ballada. Na tamym dziedzińcu pośrodku Stopnicy o rdzawych murach. Wybrzmiała, wyśpiewała się do ostatniego słowa. Co ci jeszcze mam, synku, opowiedzieć? O tym, jak kłątwa

pędziła go dalej i dalej poprzez Góry Żmijowe aż na sam kraj Wewnętrznego Morza? A może o tym, jak zdołał wreszcie odnaleźć ścieżkę do pałacu mojego ojca? On, nie ja, chociaż mam w sobie moc, moc wysnutą z żywego i zrodzoną z boga, najpotężniejszego z bogów Krain Wewnętrznego Morza.

Koń targnął się w ciemności i chrapnął z przestachem.

– Ale pamiętasz go? – W głosie minstrela nie było już nic, prócz zdumienia.

– Pamiętam ich obu, synku. Mojego ojca, jak ostrzega mnie, abym nie biegła za balladą, ponieważ świat jest wielki i obcy dla takich jak ja, a moce rozmywają się i nikną z dala od swego źródła. I jego palce. Jego palce na strunach lutni, tamtej pierwszej nocy. Jego palce zaciśnięte na mojej dłoni w ostatniej chwili, kiedy jest jeszcze sobą, a srebrne podkowy konia Thornvelin stukają po bruku. Tap, tap, tap. Ostatnie echo ballady...

– Tyle że to nie jest pałac utkany z żywego ognia.

– I nie wieża na szczycie kryształowej góry. Ani zamek czarowny na dnie morza. A tobie czas ruszać, synku, bo burza idzie...

– Nie wasza rzecz! – Minstrel podrzucił głowę. – Niestraszne mi góry.

– A pewnie! Znać po tobie, synku, żeś człek doświadczony, taki, co się z niedźwiedziem za bary weźmie, a zbójców... – Skrzywiła się, omiatając spojrzeniem jego strój i trzewiki z noskami zawiniętymi tak wysoko, że ledwie we strzemię wejść mogły. – Nie, zbójcę sami się ze śmiechu rozpękną. Chyba że wcześniej śnieżyca przełęcz zasypie. Bo wówczas, synku, będziesz się musiał przez Góry Sowie między szczurakami przemykać...

Strzepnęła pyłek z koronek, nie przeoczywszy jednak nagłego przestachu na obliczu minstrela.

Ludzie zawsze obawiali się szczuraków, ale ostatnimi czasy wokół traktu rozgorzała nieledwie wojna. Rozjątrzony napaścią spichrzański książę raz po raz wysyłał w Góry Sowie zbrojne wycieczki, choć nie najlepiej szło mu wojowanie. Zwierzolacy bronili się zajadle w ruinach kopiennickich siedzib, przyparci zaś do muru i okrążeni przybierali zniecka szczurzą postać i kryli się w podziemnych jamach, gdzie żaden człek nie śmiał ich ścigać. Jednak wielki kupiecki szlak pustoszał nieodwołalnie, wysoko w górach bowiem to szczuracy polowali na zapóźnionych podróżnych. Do zamczku księcia ze dwa razy zawitały kupieckie karawany, które cudem wyrwały się z podobnej napaści. Tam jednak szły wysokie wozy z całą gromadą zaciężników, nie pojedynczy koń, a i minstrel miał o wojaczce pojęcie mizerne.

– No, chyba że ich, synku, grą swoją do łagodności natchniesz. – Babunia uśmiechnęła się wrednie. – Był niegdyś minstrel, co pono dopiął tej sztuki ze zwierzem dzikim, bodajże na cytrze grając, nie pomnę...

– Na harfie! – syknął przez zaciśnięte zęby minstrel.

– Tako i mówię, że na czymś starym! – Babunia zbyła go niecierpliwym machnięciem ręki. – Ale zda mi się, synku, że choćbyś sobie nawet fujarkę z wierzbiny wyrzezał, to zeżrą cię szczuracy, do ostatniej kostki ogryzą. Wierzbina także nie pogardzą, bo to naród ciemny i prosty, za nic sztukę mający. Piękna romantyczna śmierć. – Zmarszczyła brwi, udając namysł. – Tragiczna. Zobaczysz, będą jeszcze konfratry piosnki składać i o miłości twardszej niżli stal złowroga, co cię zawiodła do beczki z gnojów... Co ja gadam! Co cię pomiędzy bestie okrutne pchnęła, na zatracenie, zwodna miłości, cierpieniem zbyt droga...

– Starczy. Musicie się naigrawać, tedy prozą, bo rymy wasze od razów gorsze.

– ...Grunt, żebyś się zabić dał, synku – ciągnęła niestropiona Babunia. – Bez tego ani rusz. Zabić i zeżreć bez śladu najlepiej. Bo będą ci mieli konfratry za złe, jak się wieść rozniesie, że zamiast z miłości tragicznej konać, siedzisz kędyś w ciepłe na książęcym dworzyszczu, wino żłowiąc bez opamiętania. No, ale jakbyś jednak do opamiętania przyszedł, to dam ci prezent na drogę, wedle tych

zbójców i dzikiego zwierza! – Odpięła z pleców sakwę i cisnęła ku niemu.

Minstrel machinalnie pochwycił pakunek. Ale kiedy przez grubą warstwę szmat wyczuł kształty podarunku, jego twarz posiniała nagle od obrazy.

– Książę wam kazał? – zapytał chrapliwym, urywanym głosem. – Zapraǳnął okupić się pacholłkowi? Powetować, co mi z waszą pomocą wydarł? – Dygoczącymi rękoma zaczął rozsypywać troki sakwy. – A skądże ma pewnoś, że onego hojnego podarunku o kamienie nie potrzaskam? Tak właśnie! – Pochwycił lutnię za grot i z całej siły uderzył nią w drewniany słup.

Stuknęła głucho, a z góry, pomiędzy desek strychu posypało się im na głowy próchno, żdzbla trawy i piach. Wiedźma przyklęła, podjęła delikatnie instrument, otrząsnęła słomę. W świetle kaganka drewno wydawało się lśnić w jej dłoniach.

– To istotnie hojny podarunek, synku. – Przesunęła palcami po wysmukłym gryfie. – Wykuty przez boga dawno, dawno temu i podarowany komuś, kto nie ma już imienia. Dar ode mnie, nie od księcia.

– Zamiast niej? Zamiast Jarosławny?

– Nie, synku. – Babunia odrzuciła z twarzy krucze loki i popatrzyła mu prosto w oczy. – Ją ci także podaruję, skoro się napierasz. Jarosławnę, tę odartą z ballady, obłupioną z marzenia. Sam zobaczysz. Jest taka dolina, nieznaczna i niezbyt zasobna. Poza Palem, Maczugą i Mniczem, wysoko w górach. I jeśli ci, synku, Jarosławna taka droga, jeśli naprawdę jej chcesz, to odnajdź tę dolinę przyszłej wiosny, czy później jeszcze. Strumień znajdź, i wioskę, i młyn stary, a potem pytaj ludzi o Jarosławnę, niechże ci prawdę rzekną o tym zaczarowaniu, co twoją księżniczkę odmieniło i do pałacu zawiadło.

– Zdradzicie mi zakłęcie, które ją więzi? – Jego głos był napięty jak struna. – I opowiecie o pałacu z żywego ognia?

– Może. Jeśli naprawdę będziesz chciał wiedzieć. Albo jeśli zapragniesz oddać mi lutnię.

W wyciągniętych dłoniach wciąż trzymała instrument i minstrel wziął ją jak we śnie, delikatnie przejechał palcami po wypolerowanym drewnie.

– Dlaczego to robicie? – zapytał bardzo cicho. – To skarb więcej wart złota, niżli go wasz książę na oczy oglądał.

Wiedźma zdjęła z fałd sukni pojedyncze żdzbło siana, które rozwinęło się w jej palcach w długi, smukły pęd, później zaś poczęło kurczyć się i tężeć.

– Po cóż mi złoto? – Obróciła w palcach łodyżkę, a światło połyskiwało na złotych listkach, pokrytych delikatnym żyłkowaniem. – Jestem córką mojego ojca, czy sądzisz, że mogłabym potrzebować złota?

Dmuchięła w dłoń, łodyżka uniosła się i zawirowała w powietrzu. A kiedy opadła tuż przy wywiniętych noskach butów minstrela, znów była jedynie zeschlým, przyszarzałým żdzbłem siana. Chłopak jednak cofnął się z przestraczem, jakby się mogła odmienić w jadowitą żmiję.

– Więc to prawda, że życzenia nie można kupić złotem, ani ostrzem, ani obietnicą, ponieważ w każdym darze wiedzmy drzemie cząstka Annyonne, pozeraczki dusz. I zanim powrócę do was po zakłęcie i po opowieś o pałacu z żywego złota, wasza lutnia pochłonie mnie kawałek po kawałku, melodia po melodii, aż na końcu nie będzie zupełnie nic.

– Bywaj zdrów, synku. – Babunia Jagódka roześmiała się z cicha i położyła lutnię na klepisku. – Zobaczymy się jeszcze. Albo i nie.

Przeszła pomiędzy dwoma rzędami koni, które stukały kopytami w ziemię i poparskiwały, kiedy je mijała. Przez chwilę stała jeszcze na niskim dziedzińcu, nasłuchując w chłodnym powietrzu miarowego skrzypienia żurawia, bo świt był już blisko i dziewczki zaczęły czerpać wodę, później zaś ruszyła ku marmurowym schodkom. I nie obejrzała się za siebie, kiedy na podwórku zatętniły końskie

kopyta.

W niszy krążanka, szczelnie okutani wełnianym płaszczem paziowie Jarosławny spali smacznie, ale w sieni wiodącej do komnat księżnej zastąpiła jej drogę krzepka, zaspana matrona w barwach fraucymeru. Na widok Babuni Jagódki zasępiła się wyraźnie.

– Wybaczcie, kazano mi wzbronąć wam przystępu – rzekła z zakłopotaniem. – Księżna niezdrowa, nikogo widzieć nie chce.

– Ja w lekach obeznana – odparła z jawną kpinią Babunia. – Tedy i medyka wołać nie trza będzie.

– Nie mogę... – Kobieta zastąpiła drzwi, lecz wiedźma odsunęła ją na bok niczym niesforne dziecko.

Jarosławna siedziała w oknie. Miała na sobie tę samą suknię, którą nosiła popołudniem, kiedy na wysokim dziedzińcu pławiono w beczce wierszopiścę, a jej rozpuszczone włosy spływały aż do posadzki z czarnego kamienia. Nie odwracała spojrzenia od książęcego traktu, choć niewiele mogła dojrzeć, bo noc zaledwie zaczynała jaśnieć ponad polami. Na kolanach miała plik pergaminów zapisanych czerwonym atramentem. Pojedyncza karta spłynęła po aksamitnej sukni na posadzkę. Jarosławna sięgnęła po nią i bez słowa cisnęła w żar na żelaznym trójnogu.

Ogień pochwycił pergamin i przez chwilę wiedźmie wydawało się, że widzi na pociemniałej karcie ogniste kształty liter, wytwornym skalmierskim duktem złożonych w kształt ballady. Później w powietrzu zawirowały drobne płatki sadzy, a Jarosławna sięgnęła po kolejną kartę.

– Czy jesteście zadowoleni, mateczko? – zapytała martwym, płaskim głosem. – Będę miała dziecko. Czy to wystarczy?

Wiedźma podeszła bliżej do okna zwieńczonego rozetą z drobnych, blad różowych szybek w ołowianych obejmach. Poniżej, poza pierścieniem wewnętrznych murów opuszczano właśnie zwodzony most. Łuczywa u bramy wciąż płonęły i oświetlały okutanego w płaszcz minstrela, który stał u bramy, czekając, aż pacholkiwie dokończą dzieła. Koń drobił kopytami w miejscu, wiatr rozwiewał ciemne włosy chłopaka, a wiedźmie wydało się, że widzi przytroczony u siodła znajomy pakunek.

– Powiedziałaś mu?

– Nie. – Jarosławna zaprzeczyła ruchem głowy. – Żadnemu z nich.

Minstrel wjechał na most. Sztywno wyprostowany w siodle, bardzo wolno minął wartowników. Żołnierz w spłowiałej karmazynowej przeszywanicy uczynił gest, jakby chciał klepnąć w zad konia, ponaglając go do szybszego chodu, ale opuścił rękę i splunął tylko z pogardą pod kopyta. Drugi z wartowników pociągnął go w bok, zaczął coś pilnie klarować, a potem ruszył biegiem ku stajniom.

Wiedźma potrząsnęła głową i jej myśli pobiegły ku innemu mężczyźnie, który również nie spał tego poranka. Umiała go wypatrzeć w bladej szarości świtu, jak jedzie powoli wąską groblą pomiędzy trzęsawiskami, koń stąpa ostrożnie po namokłej ziemi, a żaden ze zbrojnych nie śmie podjechać bliżej i zagadnąć pana choćby jednym słowem. Zastanawiała się, jak powita go posłaniec, który, z nagłą wyrwany ze snu przez wartownika, zaczął właśnie siodłać konia. Ale nie umiała odgadnąć, co uczyni książę.

– Co żeście mu ofiarowali, żeby mnie zostawił? – zapytała nagle Jarosławna.

– Nową lutnię.

– Zaczarowaną lutnię z węzowego drzewa? – Roześmiała się cierpko, rzucając w ogień ostatnią z kart. – Wykutą w ogniach Kii Krindara lutnię, która pamięta wszystkie melodie świata?

– Zwyczajną lutnię. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Dwa tuziny podobnych znajdziesz na kupieckim straganie.

– Tylko tyle?

– Dosyć, by uwierzył w legendy o wiedźmie podarunku, który uczarował go, odpędził od ukochanej. Od księżniczki spętanej zaklęciem wiedźmy z lasu.

Minstrel przejechał most. Babunia widziała ciemny zarys jego konia, gdy przy murze strażnicy skręcił ku miastu, a potem wydało się jej, że słyszy nagle plaskanie kopyt w błocie gościńca. Ale może to był zupełnie inny koń, czarny książęcy rumak na odległej grobli pomiędzy zalanymi jesiennym deszczem polami.

– Więc wiedzieliście, mateczko? – Jarosławna odwróciła się wreszcie, a jej twarz była czerwona i opuchnięta od płaczu. – Cały czas wiedzieliście?

– O twoich powiastkach, dziewczyno? – Wiedźma ze znużeniem przymknęła powieki. – O wiedźmie z lasu, która cię porwała z zamku rodziców i pod okrutnym zaklęciem trzyma? Czy może o śnie stuletnim i o tym, dlaczego wrzeczona w rękę wziąć nie śmiesz? Wiedziałam. Ale nie wiem, co powiesz księciu, kiedy spyta, czyje dziecko nosisz.

Miała ochotę zapytać jeszcze o coś, ale młynarzówna odwróciła się do okna. Jej dłonie spoczywały nieruchomo na fałdach sukni, a oczy były znów suche, i Babunia zrozumiała, że dworki z fraucymeru nie zdołają jej nakłonić, aby wstała z krzesła, na którego oparciu dziwną snycerską sztuką wyrzeźbiony pelikan rozrywał sobie pierś. Może i dobrze, pomyślała. Niechże tam siedzi w tej sukni purpurowej, złotą nicią naszywanej i z włosami, co spływają do ziemi jak złota przedza, i niechże ją książę zobaczy, kiedy będzie jechał po moście, tę swoją zaklętą księżniczkę, która zagubiła się we własnym czarze.

– To nie potrwa już długo – powiedziała Jarosławna, niemal niedosłyszalnie.

I było coś takiego w jej głosie, że Babunia przelękała się, pierwszy raz tej nocy.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno?

– Ale wy zaopiekujecie się moim dzieckiem – mówiła z namysłem młynarzówna, bardziej do siebie niż do Babuni Jagódki. – Tak samo jak zaopiekowaliście się mną. Więc może kiedyś, może kiedyś czar pryśnie... Ale nie dzisiaj...

– Jest zmęczona. – Dworka delikatnie dotknęła ramienia Babuni. – Dzień cały przy oknie siedzi, nic do ust nie wzięła. Jutro z nią pomówicie.

– Jutro – powtórzyła bezmyślnie wiedźma.

Pozwoliła się poprowadzić przez komnatę o ścianach zawieszonych gobelinami, na których gromada myśliwych ścigała białą łanię. Wyszła na krużganek. Paziowie budzili się właśnie, przecierając zaspane oczy, choć na dziedzińcu było wciąż cicho. Jednak kominy kuchni dymiły rześko, na tylnych podwórcach uwijały się dziewczki, a od stajni słyszała pokrzykiwania pachółków. Coś odmieniło się w zamku, czuła to bardzo wyraźnie, zanim jeszcze grupa wartowników minęła ją u podnóża wieży, radośnie podśpiewując sprośną piosenkę. Książę miał wrócić, a wieść o dziecku przed zmierzchem rozejdzie się po podwórcach i zamkowych salach. I jeśli nawet później zacznie kto nad kołyską wspominać poufałość księżnej pani z minstrelem, Babunia Jagódka nie wątpiła ni chwili, że książę wnet znajdzie sposób, by oszczerców po cichutku umorzyć.

Nie potrafiła tylko nazwać, czego jej właściwie było żal.

Postała jeszcze chwilę, popatrzyła na zębate blanki wieży, gdzie mieszkała przez ostatnie miesiące, na okno książęcego alkierza, w którym widziała szczupłą, nieruchomą sylwetkę Jarosławny, na beczkę wreszcie z resztką gnojówki, porzuconą beładnie przy stajniach. A potem szybkim krokiem ruszyła przez dziedziniec, unosząc dół pysznej karmazynowej sukni, by nie poplamiała się błotem i nieczystościami. Zatrzymała się przed warzywnikiem i wyłamała jeden z kijów, podpierających pleciony chruściany płotek. Nie była to wprawdzie jej ulubiona sztacheta, ale właściwie nie miało to żadnego znaczenia, bo nie zamierzała czekać ani chwili dłużej. Ani jednej

parszywej chwili.

Podciągnęła wysoko suknię i usiadła okrakiem na kiju. Dwóch pastuchów, którzy przerzucali gnój na przyzę przy warzywniku, przyglądało się jej z nieskrywaną uciechą, ale Babunia nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi.

– Do domu – powiedziała cicho. – Wracamy do domu.

Posługaczki mówiły później, że odmieniła się w kruka i przepadła bez śladu nad lasem.

Tego samego dnia minstrel zatrzymał konia w głębi lasu, rozpałił ogień, a potem siedział długo bez ruchu, wpatrując się w żar. A jeszcze później sięgnął do sakwy i odwinął spomiędzy koców lutnię, która połyskiwała w jego dłoniach jak płynny bursztyn, a na gryfie cienką żyłką srebra miała wypisane imię boga.

GRASANCI Z KAMIENNEGO LASU

Babunia Jagódka stała na środku trzęsawiska przed bramą do wilżyńskiej wioski i lodowata, cuchnąca woda wlewała się jej do trzewików. Pociągnęła nosem, ale nie poczuła dymu. Nawet nutki smakowitego zapachu grochówki czy flaczków sowicie przyprawionych majerankiem. Nic. Ani śladu cierpkiej woni jabłek wędzonych na kominie albo otrębowego chleba, do którego w uboższych domostwach obficie dosypywano zmielonych kasztanów. Po prostu nic. Jakby w Wilżyńskiej Dolinie wygasły wszystkie paleniska.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, przygryzła róg chustki w czerwone róże. Ze złością. Mieszkała tutaj od co najmniej trzech pokoleń i nigdy jeszcze nie zlekceważono jej w równie upokarzający sposób. Nigdy. Owszem, bywało, że na plebana nastął szczególnie zjadliwy proboszcz albo powadziła się ze dworem o cenę wywaru z miłostki i zeżłony władyka zakazał konszachtów z wiedźmą. Ale dała się poznać wieśniakom wystarczająco dobrze, by nawet w najbardziej parszywych czasach pamiętali, kogo należy się bać bardziej niżli pana, wójta i plebana. I kiedy szła środkiem wioskowej ulicy, rozjazgotane baby milkły w pół słowa, zajadłe kundle umykały z podkulonymi ogonami, a matki spiesznie wpychały dzieciaki do izb, żeby nie spoczęły na nich kaprawe oczka Babuni. Zawsze ktoś ją śledził, choćby zza szczelnie zawartych okiennic albo z bzowych chaszczy nieopodal kapliczki, i nawet samotna na środku wioskowego placu czuła, jak wieśniaczy strach mile łechce jej serce.

A dzisiaj nic. Nikt nie cisnął zza uchylonych wrót kamieniem ani nie poszczuł na powitanie psami. Sapnęła ze złości i posłała ku wiosce spojrzenie zdolne rozszczepić dębowy pień na dwoje. Potem zakasała spódnicę, wymierzyła bramie solidne kopnięcie i wkroczyła do wioski. Nie musiała brnąć przez bagno, wrota bowiem rozpadły się na tuzin zgrabnych desek, tworząc pomost ponad rozlewiskiem błotnistej mazi. Babunia weszła nań dumnie i... zamarła, róg odświętnej chustki wypadł jej z zębów, a oblicze pokryła trupia bladość.

Wioski nie było.

Tak po prostu.

Jeszcze dobrą chwilę stała z rozdziawioną gębą, co nie zdarzyło się jej od czasów wczesnej młodości, kiedy to przydybała dziada władyki szarżującego z siekierą przez żyto na czarnego odyńca, postrach okolicy, który nieopatrznie zapędził się na folwark i czynił spustoszenie w pańskich zasiewach. Powoli do jej zamroczonego wściekłością umysłu przebijało się zrozumienie, co naprawdę zaszło podczas owego roku, kiedy ona żyła dostatnio w książęcym zamczysku.

Ktoś ukradł jej wioskę. Zrobił to na tyle dawno, że w powietrzu ni na ziemi nie wyczuwała żadnych śladów obcych. A potem uciekł precz. Nazbyt daleko, aby dopaść go i obdrzeć ze skóry.

Nie mogła uwierzyć, że śmiał to uczynić.

Z osady pozostały jedynie zgliszcza po obu stronach placu i dalej, wzdłuż drogi prowadzącej ku domostwu władyki. Krępe, osmalone fragmenty ścian z drewnianych bali, połamane ościeżnice, kamienne schodki o trzech stopniach, okopcone cegły na kominie, gdzieniegdzie kawały poczerńiałej od dymu strzechy, zwisające nad wyschłymi badylami chaszczy. Nic więcej.

Potrzaskane koło Betkowego młyna leżało na wpół zagrzebane w mule i przegniłym sitowiu. Babunia przypomniała sobie, jak z dziadkiem Betki poszli kiedyś nocą ścinać drzewo, grabinę, bo ma drewno najtęższe i najzdatniejsze. Grabowe listki spadały na nich, całe srebrne od miesięcznego

światła, i... Ech!, Babunia uśmiechnęła się do siebie, siarczysty był chłop. Jak mu się uwidziało w Wilżyńskiej Dolinie młyn stawiać, to pół tuzina lat chodził po Górach Żmijowych, najmował się za młynarczyka, fachu uczył. Aż pewnego ranka stanął na progu Babcinej chatki. Pamiętała jak dziś. Prawy but miał przetarty i przez dziurę wystawały owinięte brudną onucą palce, a w garści miętosił sakiewkę z czerwonej skóry. Tak kurczowo, że niemal słyszała pisk monet w zaciśniętych palcach.

A jeszcze dalej – gruzowisko pomiędzy brzózkami, w miejscu gdzie dawniej stała chałupa Werteba. Był to niski zezowaty pachoł, który po śmierci rodzicieli rozpił się okrutnie i całą ojcowiznę przetrącił na spichrzańską gorzałkę, kupowaną od wędrownych kramarzy, bo w końcu pleban zakazał wpuszczać go do gospody, żeby się ze szczętem nie zmarnował. Miał też zwyczaj podkradania jajek z okolicznych kurników, a i kurom nie przepuścił, jeśli jakaś zawędrowała na jego podwórze, więc kiedyś rozeźlone baby otłukły go kijankami tak dotkliwie, że dwie niedziele przeleżał jak nieżywy. Babunia westchnęła z rozrzewnieniem. Wspaniałe były czasy, naprawdę wspaniałe.

Tylko wieża dzwonnicy stała po staremu, ale przez wywalone drzwi widziała, że kościół ogołocono i zrujnowano doszczętnie, nie oszczędziwszy nawet figury Cion Cerena, której ktoś pałaszem odrąbał głowę. Posąg ufundowano za życia pradziada władcy, który choć dziwkarz i pijanica, dziwnie był przy tym nabożny. Zwykle w połowie zimy nachodziła go skrucha straszliwa, zwłaszcza jak sobie łeb zaproszył. Kazał wówczas golić dworskie ladacznice i w dyby je kłaść, w karczmie siekierą rąbał beczki z gorzałką i słał pachołków w las, aby spalili wiedźmie domostwo. Na darmo, słudzy bowiem byli rozumni i wiedzieli, że pierwej czy później pan wytrzeźwieje, a jeśli nie, to najwyżej każe ich za nieposłuszeństwo oćwiczyć przy pręgierzu. Rozjuszona Babunia była bardziej niebezpieczna, dlatego po prostu zapadali na pół dnia w zaroślach, ani myśląc zachodzić do jej obejścia. A jak im się przypadkiem napatoczyła, to pozdrawiali ją grzecznie, po czym co prędzej leżli głębiej w krzaki.

Podczas jednego z corocznych napadów szału stary władca postanowił ściągnąć od mieszkańców Wilżyńskiej Doliny nowe pogłówny, by, jako gadał, wystawić kapliczkę dla ulżenia duszyczkom w piekle się smażącym. Łeb mu przy tym dymił od jałowcówki niczym pochodnia, więc ani się śmieli chłopcy przeciw, kiedy kazał zegnać na podwórze plebanii wiejskie owce i bydło, żeby je z wiosną ksiądz dobrodziej w nabożnej intencji sprzedał wiergowskim kupcom. Proboszcz przypatrywał się temu bezradnie i ręce łamał, bo nie miał paszy dla wyżywienia takiej mnogości żywizny. Z braku zagrody pachołkowie zapędzili stadko owiec do kościoła, gdzie co śmielsze zaczynały już z wolna nadgryzać sukienki ze świętych obrazów, a wszystkie srały gdzie popadnie. Sam dziedzic trzy dni leżał krzyżem przed wejściem do świątyni, pokrzykując od czasu do czasu, że niegodnym bydlęciem będąc, niewart spoglądać w boskie oblicze (czemu też w skrytości ducha proboszcz nie przeczył).

Potem wytrzeźwiał, jak to zwykle bywało. Ogórcowego kwasu popił, pojadał żuru. Owce kazał oddać wieśniakom, ku czemu czas był najwyższy, bo ich głodne beczenie niosło się aż do sąsiedniej doliny. Plebanowi pierścień rzucił z własnego palca zdjęty, a sam wodę sobie na łeb lać kazał, potem zasię do karczmy poszedł. Jak po sznurku. Bo, jak gadał, okrutnie mu w gębie od pokutowania zaschło. A za pierścień figurę wystawiono, w lipowym drewnie ją mistrz wyrzezał z samej Spichrzy sprowadzony. Babunia pamiętała go – jak po wzgórzach łaził w kabaciku pstrym, pończochach żółcieńkich i kołpaczku z piórkiem modrym. Wzdychał przy tym i jęczał, że mu dłułka do żywego nadojadły i od kadziła prześmiardł straszliwie. Co nie była rzecz błaha, bo miał smak raczej do dziewczek niżli nabożnego rzemiosła. W bałamuceniu zaś młódek kadzidło było niemałą przeszkodą. Zwłaszcza gdy nocką próbował ukradkiem zakraść się do którejś komory, bo sam pleban też nie sroce spod ogona wypadł i ojcowie w Wilżyńskiej Dolinie mieli węż nieźle na kadzidło wyczulony.

Aż wreszcie pewnego poranka mistrz Babunię nad stawem przy dybał, jak z utopcami wśród trzciny figlowała. I już za nic w kruchcie nie chciał siedzieć, jeno na wieźmim podwórku się załął, choć go kozioł Kierełko bódł i inszym sposobem do konfidencji zniechęcał. Rzeźbiarz jednak był uparty. Farby sobie kręcił rozliczne, sztalugi rozkładał, a osobliwie kiedy Babunia spraszła koleżanki i szykowała kąpiel w wielkiej srebrnej kadzi, co ją zbójcy z Przełęczy Zdechłej Krowy ongiś zrabowali z kupieckiego konwoju. Nic się nie bał. Ciężkiem wedle kadzi biegał, wino im lał w roztruchany i nogi mydlił. Wraz z przyległościami, co je wieźmny jedna przez drugą, chichocząc, nadstawiały.

Miły był pacholek, westchnęła Babunia, choć po miejskiemu miękki i do bab niezgułowaty. Pod wieczór, jak pod pierzynę wleźli, zamiast brać się do obłapki, coś tam popod nosem mamrolił o oczach niby dyament i piersi łabędziej bieli, i inszych różnościach, co ich Babunia ani słuchać, ani rozumieć chciała. Trza mu było gorzałki zadać, najlepiej podwójnie syconej, żeby chłopina śmiałości nabrał. Co gorsza, jak już pohulali ździebełko, to zamiast się obrócić na bok i zachrapać, jak zwykły czynić każdy porządny chłop w Wilżyńskiej Dolinie, zbójców i wędrownych parobków nie wyłączając, na nowo zaczynał głądzić o włosach niby skrzydło krucze i skórze jak kość słoniowa białej. Czasem aż do bladego świtu.

Nim nastąpiła zima, mistrz poczuł się w jej domostwie jak u siebie. Snuł się po obejściu niczym smród po gaciach. Od robót domowych Babunia go pędziła po tym, jak podczas czerpania wody naszedł go zachwyty nad słońcem kłoniącym się wieczornic po połoninach. Z zachwycenia cebrzyk mu precz za cembrowinę spadł, przez co potem trzy niedziele przyszło jej dźwigać wiadra z ruczaju, bo studnia była wredna, magiczna i podobnych nieuprzejmości nie puszczała płazem, więc zamiast wody dobywali jeno żaby a zaskrońce. Najgorsze zasię było owo nocne brzęczenie. Póki do siebie gadał, dało się jeszcze ścierpieć, bo też oprócz brody miękkiej a króciuchnej, co bardzo mile Babunię laskotała, miał jeszcze rzeźbiarz pomysłów kilka zmyślnych z miniatur w księgach ze skalmierską poezją podpatrzonych, choć mu się dopiero pod koniec drugiego antałka spichrzańskiej siwuchy przypominały. Ale jak pewnej nocy łokciem Babunię znieacka popod ziobro bodnął, że to mu niby nie odpowiada jak należy, to go po omacku przemieniła w nietopyrka. Zdawało się jej potem, że kiedy w balii staje i deszczówką majową się polewa dla konserwacji urody – rozpoznaje w piskach od komina znajomą nutę zachwyty. Rzeźbiarz, choć gaduła, umiał kobiece śliczności doceniać i nawet jej bardzo twórczo pomógł udoskonalić zaklęcie „Młoda-i-piękna”.

Dwa dodatkowe sążnie koronki poszły u gorseciarki na owe udoskonalenia, westchnęła nostalgicznie Babunia. Ale było warto, ech!, było warto...

Od wspominków zrobiło się jej jakoś rzewnie i smętnie. Przysiadła na podmurówce – pozostałości karczmy – pociągnęła solidnie z manierki, co ją zawsze nosiła głęboko pod stanikiem. I jeszcze kilka łyków, bo od kamienia ziąb ciągnął po krzyżu, a nie masz nic lepszego na wiosenną chorobę jak sowita gorzałka. I dwa następne, żeby się dobrze do dom wędrowało.

Smarknęła donośnie, płosząc stadko wron z pobliskiej topoli, i wyjęła drugą manierkę. Z cholewki buta. Babunia zawsze miała zapas gorzałki ukryty w złogach przyodziewku. Na wszelki wypadek. Toć nie wiedzieć, co może spotkać samotną, słabowitą niewiastę.

Błocko z chlupotem przelewało się w jej trzewikach, a spichrzańska siwucha mile szczypała w gardło. Choć kudy jej było do napitku pędzonego z cmentarnych mirabelek przez proboszczową Rozalkę, która jako przykładna wiejska gospodyni uważała, że grzechem byłoby owoc marnować. Babunia Jagódka święcie się z nią zgadzała, a śliwowica udawała się zacna jak rzadko. Z rozrzewnienia wydobyła trzecią flaszeczkę. Tym razem zza podwiązki.

Nie ocknęła się nawet na odgłos łamanych gałęzi.

– Babuniu! – Ktoś rzucił się jej na szyję, lecz poprzez opary gorzałki wiedźma dostrzegła tylko spłowiałą wełnianą chustkę ciasno zamotaną na głowie i bezkształtne okrycie, które nie przysłaniało wszakoż gołych, odrapanych łydek. – Nareszcie jesteście! Myśmy już nadzieję poczęli tracić, że w zdrowiu wrócicie. Alem ja zawsze powtarzała, że nie może być, Babuniu, żebyście nas i Wilżyńskiej Doliny odstąpili! – Tutaj wiedźma poczuła na wyschłych policzkach dwa ciepłe wilgotne pocałunki i mocarnie powstrzymała pragnienie, by odtrącić intruza i przegnać, najlepiej aż za resztki ostrokołu.

Przetarła kułakiem oczy i z wysiłkiem skupiła spojrzenie. Postać w burej opończy ciągle trzęsła się i chybotwała, ale już po chwili Babunia wiedziała, że na pewno zna to tępe spojrzenie niebieskich oczu. Zmarszczyła brwi, mozolnie przekopując się przez stogi pamięci. Bez skutku.

– Bo jak was, Babuniu, nie stało, to nas bogowie z nieszczęścia w nieszczęście wiedli. – Postać bardzo po niewieściemu siąknęła nosem. – Jakby się uwzięli, psia ich mać. Pomnicie, jak tutaj zeszłej jesieni pierwsza banda zawitała? I żeby jeszcze porządne zbójcę, co gospodarzom parę świniaków ukradną i nad ogniem upieką, a dziewczki w sianie poobracają, od czego ani gospodarzom, ani dziewczkom niczego zanadto nie ubywa...

– No, niektórym dziewczkom nawet przybywa – zauważyła pogodnie Babunia, wspomniawszy stare dobre czasy, kiedy na Przełęczu Zdechłej Krowy siedziała jeszcze szajka Twardokęska.

– Ale krzywdy nijakiej nam zbójcę nie uczynili! – pisnęła z oburzeniem rozmówczyni. – Dopiero jak się to żołdactwo parszywe po górach rozpełzło. Żeby chociaż zwyczajnie grabili! Przetrzymali my władkę, starostę, plebana, zbójców, to i deztererów by my przetrzymali. Ale nie! Ci od razu musieli pół wioski spalić, a chłopów i inwentarz wyrznąć nieomal do nogi! No przecież tak się nie godzi! – Zaszlochała. – A jak was, Babuniu, nie stało, to oni całą zimę wracali. Raz za razem, chociaż po trzecim razie i ukraść nie było czego. Nawet wróble wyłapali! Na lep!

– Wróbliki wielce zacne są – odezwała się z namysłem Babunia – jak je na żerdkę nadziać i nad ogniem smażyć. Miodem można do smaku pomazać. Albo w glinie opiekać, jak człeka głód zmoże straszliwy...

– Głód! – zawyła postać. – Jaki głód? Niby z głodu ludzi ogniem męczyli, jak im się po pijaku uwidziało, że pod dworem gotowizna w lochach zakopana? A skąd my mieli wiedzieć, choćby i górę złota władka pochował? Napletli im chłopci z męki, że mię pan w komorze za nałożnicę trzymał, to patrzajcie, co mi jeden kurwi syn uczynił! – Szarpnęła za chustkę, odsłaniając purpurowe blizny na policzku, które mimo zamroczenia Babunia rozpoznała w jednej chwili, bo i ją kiedyś przypalano rozżarzonym ostrzem. – Trupy z kaplicy wywlekli, żeby się rozpatrzeć, czy który kosztownościami nieprzystrojony. Niczego nie oszczędzili. Nawet na cmentarzu ryli jak świnię pod dębem!

– Gronostaj? – zapytała niepewnie Babunia. – To ty, Gronostaj, dziewczyno?

Włoskowa ładaczniczka zamarła z rozdziawionymi ustami. Jej oczy były olbrzymie w wychudłej twarzy, skórę na szyi i czole miała poszarzałą, pokrytą łuszczącymi się liszajami. Potem znów się rozplakała. Miaukliwym, bezradnym łkaniem, od którego Babuni aż coś strzyknęło w krzyżu. Karcąco dźgnęła ją w bok kościstym paluchem, co jednak nie speszyło Gronostaj. Wręcz przeciwnie. Zarzuciła Babuni na szyję chude ramiona i zacisnęła z całej siły. Nie było to przyjemne. Śmierdziała dymem, potem i brudem. I desperacją.

– Popatrzcie – mówiła, rozmazując na twarzy smugi brudu. – Kto mię teraz zechce? No kto? Chyba ślepy!

– A władka gdzie? – przerwała niecierpliwie Babunia.

– Jakby pod ziemię się zapadł, kurewnik! – chlipnęła ładaczniczka. – Dawniej to się od niego opędzić nie można było, ciągiem tylko w gospodzie siedział i dziewczki miętosił. A ledwie się żołdactwo pokazało, to precz poleciał jak pies z zadartym chwostem. Bodajby mu ten chwost

szczerniał, kozojebcy! Po co my jemu grosiwo przez te wszystkie lata płacili, jak nie po to, żeby nas bronił? To ja się pytam, gdzie on teraz jest?! – wrzasnęła na całe gardło, płosząc stadko wychudłych wron, które przysłuchiwały się owej rozmowie, obsiadłszy kościelną dzwonnice. – Wszyscy uciekli. Władyka, pleban, starosta. Co do jednego. Z chłopów się tylko stary Kulas, Mysza i Trzypion zostali. I białek przygarść, ale wszystkie w lesie pochowane, w ziemiankach pospołu z dzieciskami siedzą i jeno łyzy leją, zimy wyglądając, bo niech mrozy nastaną, to się nam te ziemianki prosto w groby obrócą. Wszędzie w okolicy tak samo, więc i uchodzić nie ma dokąd, pomrzeć pewnie przyjdzie... – Jej głos przeszedł w jękliwe zawodzenie.

Babunia Jagódka z rezygnacją wsparła się mocniej na kosturku, rozumiejąc, że tak czy siak przyjdzie jej wysłuchać żalów zbieranych przez długie miesiące.

– A starosta?

– Wężyka wataha najemników na gościńcu zdybała, nie więcej jak stajanie od dwora, bo tak się rozbestwili, że dzionkiem i bez nijakiego strachu po księżęcym trakcie hulają. Starosta podchmielony z karczmy jechał z dwoma pacholami jeno, więc ani się spostrzegł, jak mu sługi z wierzchowców zdjęto i bez zwlekania na gałęziach wywieszano. Jego samego na postronek wzięli i za końmi powlekli popod dwór, a że się pani małżonka za wrotami zawarła i razem z czeladzią broniła przystępu, to go na jej oczach jęli ogniem przypiekać i nożami kroić!

Wiedźma obojętnie przebierała palcami w mokrych butach. Starosta Wężyk nie cieszył się dobrą sławą w Wilżyńskiej Dolinie, dokąd za życia swej pierworodnej córki Wisenki zwykł kilka razy w roku zajeżdzać z wizytą. Sam władyka szczerze nienawidził tych odwiedzin, jako że starosta nigdy nie omieszkał mu wypomnieć ani posagu córki, ani jej szlachetnych paranteli, ani nikczemności wilżyńskiego dworu. Nic jednak nie mógł poradzić, bo mimo lat Wężyk był w szabli wielki praktyk, przy tym raptus okrutny i jeno czekał okazji do zwady. Kiedy przez wioskę szedł, dość było, że który chłop popatrział krzywo, a już się Wężyk brał do bicia. Przy tym nie potrzebował nadmiernie wyręki pacholków, bo sam też razy wymierzał szciodrze, bez względu na wiek podeszły albo płeć niewieścią. Tyle że dziewczki po gębie praskał, a parobków od razu do pręgierza wiązał. No, chyba że któraś dziewczka odpysknęła mu bezczelnie czy, bogowie uchowajcie, uszczypnięta znienacka w zadek odwinęła się i trzasnęła starostę w pysk, co zdarzyło się niegdyś wioskowej ladacznicy. Wówczas krótka była ceremonia. Ani się obejrzała, jak ją w dyby zakuli tuż pod gospodą i ku ucieście chłopstwa wybiczował po tychże wdziękach, których staroście poskapiła.

Gronostaj musiała dobrze pamiętać tamto popołudnie, bowiem ciągnęła z wyraźną lubością:

– Nawet chłopów z wioski korbaczami spędzono, żeby się widowisku dobrze przyjrzeni. A było na co popatrzeć, kiedy następnego dnia wreszcie grasanci dworzec wzięli. Panią na dziedziniec powlekli, tyle że była od szabli ranna i razem z krwią im przez palce przeciekła. Ale panienki obie trzy dni w stajniach...

– Starczy – przerwała wiedźma. – Długo we dworze siedzieli?

Wprawdzie nie przepadała za Wężykiem i jego progeniturą, siostrami Wisenki, dwiema postawnymi dziewczkami o napuchłych, czerwonych gębach i bezmyślnych rybich oczach, ale dość się napatrzyła żołdackiej swawoli.

– Ze dwie niedziele – odparła obojętnie ladacznica. – Póki ognia w oborze nie zaprószyli. A że wszyscy pokotem leżeli, pijani od starościńskich miodów, więc się ze szczętem dwór spalił i całe obejście. Paru grasantów zgorzało razem z dworem, reszta zasię polazła do wioski rany lizać. I tu się wnet zdziwili. – Ściągnęła usta jak do gwizdania.

– Servenedyjki książę pan ze Spichrzy przysłał?

– E, gdzieżby! Toż sami wiecie, że nawet w spokojniejszych czasach książę pan nierad w tę

okolice wojsko pchał, a co dopiero teraz. Dlatego tak sobie grasanci w okolicy poczynają, rozumiejąc, że pies z kulawą nogą nas tu bronić nie będzie. No, ale wtenczas trocha się zawiodły. – Zniosła się suchym, świszczącym śmiechem. – Ludzie u nas, sami wiecie, zaciekle, i łatwo krzywdy nieprzebaczące. Więc zasadzili się chłopcy w opłotkach, i kupą wypadli, ledwie grasanci z koni zsiadli. Ze dwa tuziny wyrznęli na miejscu. Niedobitki tylko w lasy zemknęły.

– To trza było w krzakach przydybać i jak wszy wydusić! – sarknęła niecierpliwie wiedźma.

– Bo, widzicie, chłopcy jęli Wiktorię świętować – Gronostaj wydawała się nieco zakłopotana – o co było tym łatwiej, że oberżysta ze strachu przed napaścią na wozie uszedł. Ale nim do reszty osuszono beczki z karczmarskiej piwnicy, a muzyczka ucichła wedle studni, hurmem wrócili grasanci z leśnego obozowiska z całą zgrają kamratów. Wioskę w pierwszej złości w pień wycięli, a potem rozjechali się podjazdami po okolicy, nie dla grabieży nawet, bo też do zrabowania niewiele zostało, ale dla pomsty i prostej grasanckiej fantazji...

Wiedźma w milczeniu pokręciła głową.

– To cośmy mieli czynić? – ciągnęła płaczliwie ladacznica. – Przyłgnęlim ciszkiem na uroczyskach, bo tamci niechętnie w gęstwę leżą. I drugi miesiąc tak siedzim, zmiłowania czekając. Myśleli my zrazu, że przed zimą w ludniejsze okolice pójda, bo tutaj ani strawy nie masz dla podobnej gromady, ani obroku. Ale gdzie tam! Ot, zeszłej niedzieli pono klasztor złupili wedle Bażanciej Strugi. Solidny klasztor, z kamienia wystawiony i zapasów w nim dosyć, więc gadają ludziska, że do wiosny w nim posiedzą...

– A do Ciecierki próbowaliście posyłać?

– To nie wiecie? Będzie już szmat czasu, jak Ciecierka z opactwa zniknął, podobno go sam bóg precz popędził za liczne niegodziwości.

– No, nareszcie – zauważyła mściwie wiedźma.

Babunia nie żywiła nadmiernej uwagi ani dla mnichów, ani tym bardziej dla przeora, który nie raz, nie dwa słał misjonarzy w górskie wioski, za nic sobie mając plebana, zapewniającego o prawowierności górskiego ludku. Za każdym zaś misjonarzem szli zacieężnicy sowicie opłacani z klasztornej szkatuły i wielce wprawni w naginaniu heretyckich karków. Niby tropili plugastwo po lasach ukryte – wszystkie te mechszyce, wiedźmy i zwierzołaki – które przepędzone z ludnych dolin na nowo pienieło się po leśnych uroczyskach. Ale z większą zacieężnością przetrząsali domostwa co zasobniejszych mieszczan w poszukiwaniu zakazanych ksiąg, z tego zysk bowiem był znacznie pewniejszy niżli ze spławienia jakiejś biednej babiny w stawie. Kiedy bowiem szło o majątnego rajcę, zausznicy opata nie rwali się też do sądów bożych, rozumiejąc, że więcej sławy przyczynia nawrócenie grzesznika niżli kara okrutna. Zwłaszcza jeśli grzesznik postraszony szczególną misjonarską aparaturą, a to cążkami, a to wiedźmim pazurkiem do rwania skóry, aż nogami przebierał, by się od onej kary wykupić szczerym srebrem.

Czasem misjonarze zapędzali się nawet i w szlacheckie progi, szczególnie zaś do szlachty zalegającej z dziesięciną. Wprawdzie ofiara na klasztor była dobrowolna i w żadnych statutach o niej nie pisano, ale przeor dzierżył okolicę żelazną ręką i jeśli komu zbywało na pobożności, wnet się w okolicy pojawiał zbrojny zagon z opactwa. Nie, żeby mieli kogo żelazem prześladować, wcale nie. Po prostu siedzieli w wiosce albo na podgrodzium, żrąc i pijąc na koszt nieszczęsnego dłużnika ile wlezie, póki skruszony nie poszedł po rozum do głowy i nie wypłacił należności co do szeląga. A wszystko wedle prawa, które stanowiło, że się opactwu należy od szlachty opieka nad misjonarzami w słusznej misji nawracania zbłąkanych duszyczek. A że czasy były niespokojne, i misjonarze z dawien dawna nie wędrowali po Górach Żmijowych samojedni, w baraniej skórze przewiązanej powrósem i kalecząc bosc stopy na kamieniach...

Wiedźma pamiętała, jak podobna czereda zawitała niegdyś do Wilżyńskiej Doliny i ku zgrozie władcy rozbiła obozowisko tuż przy fosie dworzyszczą. Oczywiście zanim jeszcze zdążyli postawić namioty, posłano im dwa jagniątko i kur dwa tuziny, a władca dołożył hojną ręką niemały antałek winka z własnej piwniczki. Misjonarze wielce układnie dziękowali za szczodrość, ale ani tego, ani następnego wieczora żaden z nich nie zaszedł do dwora. Owszem, włóczyli się po okolicy, zaglądali chłopom w obejścia, godzinami radzili z plebanem, a dwóch chudych mnichów w nędznym przyodziewku rozsiadło się na ławce pod gospodą, ku rozpaczycy jej właściciela, który ze strachu przed świątobliwymi osobami nie śmiał nawet odszpuentować beczułki z piwskim. Władca także rozpaczał, za zapartymi drzwiami alkierza przepowiadając w myślach grzechy. Wśród tych poczesne miejsce zajmowały nocne wyprawy do chatki Babuni Jagódki po kolejną flaszkę wywaru z miłostki, nader zyskowna spółka z plebanem cokolwiek niedbale zbierającym dziesięcinę, oraz nieprzesadna staranność w kurowaniu nieboszczki Wisenki, której ojca skrycie podejrzewał o podszcucie nań siepaczy z opactwa.

Ech, były czasy, pomyślała tęsknie Babunia Jagódka, wspominając, jak na koniec władca przywłókł się nocką do jej chatki, spotniały ze strachu jak mysz i bardzo układny, prosząc, by jakimś zmyślnym sposobem przegnała mnichów z Doliny.

– Grzeszycie! – zachnęła się wioskowa ladacznica, którą kiedyś z rozkazania jednego ze świątobliwych mnichów postrzyżono do gołej skóry i przez trzy dni trzymano w dybach przed świątynią. – Porządek za Ciecierki był! Nie włóczyli się grasanci po górach, wiosek nie grabili!

– Bo jak kto grabił, to jeno on sam – wyduła wargi Babunia. – Pamiętam, pamiętam. A kto teraz w opactwie siedzi?

– A kto to odgadnie? – Gronostaj ze złością potrząsnęła głową i skudłacone włosy opadły jej na twarz. – Od zeszłego roku ni jednego mnicha do nas nie posłali. Co ja gadam, mnicha! Toż ani kramarza, ani nawet żebraka parszywego na oczy my nie oglądali! A wiecie dlaczego? Bo grasanckie ścierwa wszystkich równo łupią, a jak zrabować nie ma czego, to chociaż dla rozrywki na śmierć korbaczami zasieką. Wiecie, co było, jak się cztery niedziele temu dwie białki do klasztoru wybrały, żeby o kąt jaki na zimę prosić? Kładli my im wszyscy w głowę po kolei, że nie wiedzieć, czy klasztor jeszcze stoi, a jeśli nawet oszczędziło go wojsko, to przecież nie tylko one ruszą do mnichów na żebry. Tymczasem trakty niebezpieczne, jako nigdy wcześniej nie bywało. Ale nie! Naparły się baby jako głupie. Wózek skądś wywlokły połamany, dzieciiska na niego powsadzały, szmatami je na drogę okręciwszy. Konia żadnego ni wołu w Dolinie nie zostało, więc jedna się do dyszła przyprzęgła, druga tyłem pchała. I dokąd zapchały? Ano nie dalej, jak do tej kapliczki, co za wioską stoi, bo tam je właśnie grasanci przydybali na środku traktu, z tym wózkiem durnym i dzieci kupą! Pół tuzina bachorów było, a tylko jeden wrócił. Cały, ale krwią na koszulinie umazany i ze strachu ledwie żywy. Do tej pory jak matkę jego wspomnieć, to się na całym ciele trząść zaczyna i ani słowa powiedzieć nie potrafi, co się tam wedle tej figury przydarzyło. Ale mnie się zdaje...

Tutaj Babunia Jagódka całkiem straciła cierpliwość.

– Znużonam – burknęła poirytowana, po czym wyszarpnęła kosturek z gęstego błota i energicznie ruszyła przez trzęsawisko, które niegdyś było wioskowym placem.

Ku jej konsternacji Gronostaj nie dała się zrazić znaczącym pochrząkiwaniem i opryskliwym tonem. Poprawiła na ramionach bury łachman, służący jej za płaszcz, i podążyła za wiedźmą.

– To ja was po drodze objaśnię – rzekła, a potem ufnie zacisnęła na dłoni wiedźmy drobne, szorstkie palce i poczłapały razem przez bagnisty dziedziniec.

Babunia westchnęła ciężko, macając kosturkiem pomiędzy przegniłymi jesiennymi trawami w poszukiwaniu magicznej ścieżki. Miała nadzieję, że horda pijanych dezertów nie odnalazła jej

chatki i nie splądrowała doszczętnie obejścia. Albo, co gorsza, horda wygłodzonych wieśniaków.

* * *

Gronostaj leżała na pośłaniu z baranich skór, wierząc się i popiskując przez sen jak psiak. Nie ocknęła się, kiedy wiedźma o poranku zwlokła się z łóżka i wyszła na pokryte nocnym szronem podwórze. Grasanci nie zdołali odnaleźć sadyby Babuni, więc na płotku z porządnych sosnowych sztachet i brzozowych pieńków dorodny kogut o złotorudym ogonie i purpurowym grzebieniu darł się ile sił do wschodzącego słońca. Babunia skrzywiła się niechętnie. Łeb ją bolał niezmiernie i w uszach dzwoniło od znużenia, gdyż Gronostaj przypięła się niczym kleszcz do dzbana z nalewką, własnoręcznie przez wiedźmę syconą z malinowego miodu. Ladacznica wychłęptała cały trunek, wyrzekając przy tym ciągle i żaląc się tak głośno, że Babunia zaczęła rozważać nawet, czy nie lepiej przypadkiem zakłać ją w miłe, nieme gospodarskie bydło.

Wiedźma przeszła pomiędzy stadkiem nakrapianych kur, które dziobały ospale w ziemi, nieświadome pogromu, zgotowanego w wilżyńskiej wiosce ich krewniaczkom. Choć wiało już późnojesiennym chłodem, czarodziejska jabłonka wyciągała ku niej ciężkie od owocu gałęzie, więc zerwała jedno z jabłek, soczyste i rumiane. Przysiadła na cembrowinie studni, która odezwała się z głębin przyjaznym dudnieniem, i dumiała przez chwilę, smakując słodki, wonny mięsz. Potem otrzepała spódnice, pogroziła pięścią dzikim gęsiom, przelatującym zgrabnym kluczem ponad jej siedliskiem, a na koniec chwyciła chruścianą miotłę, opartą o wrota stodoły, i zamaszystymi ruchami jęła zamiatać podwórze.

– A jak posprzątać trzeba – mamrotała przy tym ze złością – to żadnego nie ma! Ani władzyki, ani starosty, ani plebana. Nie, jak trwoga, to do wiedźmy!

Nawet nie podniosła głowy, kiedy nietopyrki wyprysły z chaty przez uchylone okiennice i jak strzępki czarnej sadyby pofrunęły w kierunku lasu. Wydoiła krowę, pogadała ze starą sową, mieszkanką zrujnowanej obórki, niegdyś należącej do Szymka-świniopasa, starannie obejrzała wszystkie drzewka w sadzie, choć po prawdzie nie wierzyła, aby w Wilżyńskiej Dolinie znalazł się zajęc na tyle bezczelny, by obgryzać ich pieńki, i właśnie miała się zabrać do grabienia zeschniętych liści, kiedy od strony drzew dało się słyszeć jękliwe zawodzenie.

Baby schodziły się cały ranek, spędzane z najprzeróżniejszych leśnych zakamarków przez wiedźmie nietopyrki i ich puszczańskich pobratymców. Szły pojedynczo i w grupkach, przygięte pod ciężarem tobołków, kobiałek i chruścianych koszyków, z zasmarkanymi dzieciakami uczepionymi spódnice, albo z pojedynczą, przerażoną kozą na postronku. Przemykały się chyłkiem, klucząc pomiędzy drzewami sadu i czujnie popatrując wokół. Jednak im więcej ich było, tym bardziej nabierały odwagi i tym dotkliwszy stawał się rejwach na podwórzu. Niewiasty przysiadły pod płotem, okutane od chłodu w wielkie połatane płaszcze, spod których wystawały rąbki spłowiałych pasiastych spódnice. Tkwiły tam jak stado nastroszonych kokoszy, gdy zaś kolejna sąsiadka wychylała się spomiędzy porastającej krawędź lasu krzewiny, podrywały się wszystkie, łopocząc spódnicami. Witały się rozgłośnie, przeklinając grasantów i płaczkliwie przepowiadając sobie imiona pomordowanych ziomków. Ku Babuni Jagódce, która w posepnym milczeniu przycinała nożykiem wybujale różane pnącza, ledwie odważały się zerkać. Pozdrowiały ją tylko trwożliwie i z dala, ale w ich twarzach dawał się dostrzec niepewny ślad ulgi. Wiedźma wróciła. Znaczy się, rzeczy szły ku lepszemu.

Do południa nazbierało się ich dobre trzy tuziny, nie licząc dzieciaków, kóz oraz drobnych wiejskich kundelków, które psim swędem zdołały się uchować w głuszy i teraz zbiegały się zewsząd ku zgromadzonym ludziom. Za nimi nieśmiało przywlokło się kilku niedobitków: najpierw stary

Kulas ze szpotawą stopą, później głupawy, jākający się Trzypion, a za nimi jeszcze z pół tuzina innych chłopów, zmizerniałych i wylękłych straszliwie, ale przecież żywych.

Nagle z głębi kniei rozległy się głuchoe pokrzykiwania i łoskot gałęzi łamanych z ogromną siłą, jakby rozsierzony odyniec przedzierał się ku nim poprzez gęstwinę. Baby poderwały się spod płota i rozpierzchły po obejściu w poszukiwaniu schronienia. Dzieciaki jęły ryczeć, kozy meczeć, a kury biegać pomiędzy strwożonym babińcem, gdacząc gromko dla dodania sobie animuszu.

Jedna Babunia stała spokojnie z kozikiem w ręku, czekając leśnej potwory. I nie zdziwiła się nadmiernie, kiedy na podwórzec wypadła wreszcie zziajana i umorusana Kordelia. Kilka nietopyrków wirowało radośnie wokół jej głowy, bowiem, nawet kłusując przez zarośla, młynarzowa usiłowała osłaniać włosy przed potworami, które mogłyby się w nie podstępnie wkręcić. Może dlatego nie dostrzegła wiedźmy, tylko przemknęła obok niej z donośnym sapaniem, tratując grządkę cebuli i chruściany płotek chroniący warzywnik przed zachłannym ptactwem. Dopiero u studni zatrzymała się i, zadyszana, czerwona na gębie niczym indor, opadła na cembrowinę.

– No, proszę! – sarknęła zgryźliwie Babunia. – I kogóż tu mamy? Toć my już was po trzykroć oplakali i sosnową kołderką nakryli. Tymczasem patrzajcie, kogo moje nietopyrki z lasu pędzą. No, nie może być! Kordelię młynarzowa!

– Wyście to? – odezwała się trwożliwie jedna z niewiast.

Kordelia wyprostowała się i podniosła głowę. Jej twarz ciągle płonęła, a obfita pierś falowała gwałtownie pod granatowym aksamitnym stanem, ale kobieta patrzyła śmieie i ze złością. Miała na sobie suto marszczoną spódnice z niebieskiej materii, całą powalaną ziemią i upstrzoną liśćmi, a jej ufarbowane na żółto warkocze podtrzymywał na czubku głowy szylkretowy grzebień.

– A gdzieście się podziewali w ten nieszczęsny czas? – Wiedźma złośliwie zmrużyła oczy, szacując przydziewek młynarzowej, jej rumiane policzki i pulchne ramiona rysujące się wyraźnie pod rękawami koszuli z cienkiego białego płótna. – Ścieżki do domu zabyliście, czyli was co może w drodze opóźniło?

– Nie wasza rzecz! – zachnęła się Kordelia.

– Może i moja – flegmatycznie odparła Babunia – bom dziewczkę waszą do dom wziąć musiała i wyswatać przyzwoicie. Nie ciekawiście, komu?

– Grzech i obraza boska! – syknęła Kordelia. – I na złe się niezawodnie obróci, boście najpewniej czarem księcia do podobnej durnoty przywiedli, żeby moją Jarosławnę pojął.

– A wam niby o tej obrazie boskiej wilcy w lesie wyli? – rzuciła zaczepnie wiedźma. – Czy niedźwiedzie nowiny rzekły? I one też was niezawodnie przystroili w aksamit i pańskie pontaly, aby się jaśnie książęca świekra nie sromała, gdy ją tam znienacka na wygonie szarak najdzie albo jeleń na rozłogach przydybie?

– Nie wasza rzecz! – powtórzyła Kordelia.

– A nie moja, nie moja! – przytaknęła Babunia. – Waszych sąsiadek pierwej, ale i to nie moja rzecz, jak się im objaśnicie.

Młynarzowa zrazu chciała się odciąć, ale zamilkła, popatrzawszy na twarze otaczających ją wieśniaczek. Te ochłonęły już z pierwszego lęku i rozpoznały w rzekomej potworze małżonkę Betki młynarza, która wprawdzie była niewiastą swarliwą i wredną, ale znacznie bezpieczniejszą od dzikiego zwierza, by już o grasantach nie wspomnieć. Stały kręgiem, gapiąc się na jej strój, który, choć brudny i zmięty, wciąż łyskał spod warstwy zaschniętego błota niebieskim aksamitem, na jej rumiane policzki i srebrne pierścionki na palcach. Ich wybałuszone ślepia były pełne niedowierzania.

Jedna Gronostaj przepchnęła się pomiędzy babami, z profesjonalną biegłością oszacowała suknię

oraz ozdoby młynarzowej i jej oczy stwardniały. Jako niewiasta bywała i w swym rzemiośle nader doświadczona, rozumiała, że w całych Górach Żmijowych są nie więcej niż trzy jesienne jarmarki, na których można znaleźć równie kosztowną materię. Kupcy nie wykładali takich specjałów na wiejskich targach, miejscowy ludek bowiem był niezasobny i skąpił grosiwa na zbytki. Owcze sery i runo wymieniano raczej na igły, sznurki czy miedziane patelnie, a nie srebrne pierścionki. Aksamitne suknie zaś były tak kosztowne, że nawet szlachcianki przywdziewały je tylko od wielkiego święta i żadna nie biegałaby w podobnym stroju po wygonach.

Poza tym, od wielu miesięcy nikt w Wilżyńskiej Dolinie nie słyszał turkotu kupieckich wozów.

– Ścierwo! – Gronostaj strzyknęła śliną i plwocina opadła na skraj sukni młynarzowej. – Wnet żeście się po starym pocieszyli, jeszcze ostygnąć nie zdążył. I to z kim? Z męża własnego mordercami! To pytam was, warto chociaż było dla tych paru łokci sukna?

Kordelia hardo zadana głowę. Na policzkach miała dwie ceglaste plamy.

Gdzieś za plecami Babuni Jagódki padło przekleństwo wypowiedziane zajadłym, chłopskim głosem. Ktoś pochylił się ukradkiem i podniósł dorodny, wygładzony w górskim potoku kamień, jeden z wielu kamieni, które okalały rabatki jej ogrodu.

– A grządek mi nie ruszać! – zasyczała gniewnie.

Nim zdążyła się obrócić, upuszczony kamień głucho stuknął w ziemię i potoczył się leniwie pomiędzy kępami cykuty, rdestu, kosaćca, pokrzyka i ciemężycy, a czyjeś ręce jak oparzone cofnęły się w fałdy pasiastej spódnicy.

– Zima idzie. – Wiedźma melancholijnie zapatrzyła się w niebo, nie zahaczywszy nawet spojrzeniem o rozjątrzone wieśniaczki. – Pierwszych śniegów ledwo patrzeć, tedy na rozrywki później czas przyjdzie – rzuciła znacząco ku Kordelii. – Ot, siedziem sobie zimą przy ogarku i pogwarzym, uczciwie, jak niewiasta z niewiastą, co tam którą od grasantów spotkało. Ale nie teraz. Bo teraz trzeba się do roboty brać, a chyżo!

– Niby do czego, Babuniu? – zapytał ktoś nieśmiało.

– Wioskę odbudować. – Wzruszyła ramionami. – To chyba jasne.

Odpowiedziało jej głuche, pełne grozy milczenie.

* * *

Przez cztery dni ocalałych z pogromu mieszkańców Wilżyńskiej Doliny nie niepokoił nikt, prócz zdziczałych psów i gawronów. Te ostatnie przypatrywały się wysiłkom ludzi z koron okolicznych topól, pokrzykując prześmiewcze i wrednie. Wieśniaczki zaś zgodnie uznały, że wiedźma musiała się opić szaleju, albo włóczęga po pańskich dworach do reszty pomieszała jej w głowie. Jednak nie zdradzały się przed Babunią Jagódką ani z owymi przemyśleniami, ani z przerażeniem, kiedy jednym machnięciem ręki zwałała potężną sosnę i ociosywała ją z konarów. Nie pytały też, skąd nagle w zgliszczach Wilżyńskiej wioski pojawiły się cztery zaprzęgi wołów i para dorodnych bułanych koników, którymi ściągano bale z poręby. Dość, że chałupy rosły jak drożdżowe baby, a powietrze wokół Babuni Jagódki aż trzeszczało od magii.

Ostatecznie grasanci byli daleko, a wiedźma blisko.

Po cichu liczyły, że skoro w całej Wilżyńskiej Dolinie nie zostało już nic zrabowania, dezertarzy nie będą mieli powodu, by wałęsać się po okolicy.

I, jak to zwykle w podobnych razach bywa, przeliczyły się niezmiernie. Łupieżcy podciągnęli pod wioskę ciszką i popod wieczór, kiedy ogniska ćmiły się leniwie, a objedzone wiedźmami zapasami dzieci układały się do snu w ruinach splądrowanego kościółka, który obrócono na wspólną siedzibę.

Wiedźma podniosła głowę znad obgryzanego kurzęcego udka i ponad dymem z suchych liści

wietrzyła chwilę jak posokowiec. Potem odrzuciła kość w ogień, a płomień natychmiast chwyciły ją, zlizwały resztki tłuszczu i znów przygasły.

– Uciekajcie! – rzuciła krótko.

Wystraszone kobiety jęły się podrywać kolejno, rozpierzchać między resztkami popalonych sadyb i jasnymi zrębami nowych budowli, aż wreszcie przy ogniu nie został nikt, prócz Babuni Jagódki, drobnej i przykurczonej w swoim ciemnym płaszczu i chustce w czerwone róże. Grzała nad ogniskiem pokrzywione artretyzmem palce i mamrotała coś do siebie po cichu, kiedy grasanci jechali główną ulicą wilżyńskiej wioski pomiędzy kadłubkami chałup. Wiatr przycichł, gawrony przylgnęły w koronach drzew, obdartych już jesienną zawieruchą z listowia. Tylko konie stukały kopytami po zamrażniętej grudzie i parskały niespokojnie.

Wiedźma zerwała leszczynowy pręt i zakreśliła nim krąg nad ogniskiem. Liście zwinęły się i uleciały ku górze, a przygasające polana buchnęły rześzystym światłem. Przymrużyła ślepią, żółtą i rozjarzoną od magii, gdyż grasanci zaczęli już wjeżdżać na wioskowy plac. Prowadził ich rosły chłop, z gęby jeszcze niestary, ale w jego brodzie, zwajeckim zwyczajem splecionej w dwa warkocze, widać było pasma siwizny. Strój miał zbytkowny, kołpaczek z czerwonego sukna obszyty rysim futrem i ozdobiony zapinką z rubinem wielkim jak gołębie jaje; złote guzy u jego kubraka więcej były warte niżli cały folwark władki wraz z przyległościami. Jechał śmieje, nie rozglądając się zanadto na boki, a wierzchowiec, wspaniałały turzniański siwek, potrząsał grzywą, jak na wesele przystrojona szkarłatnymi wstążkami.

Tuż za nimi ciągnęli następni, zgrabnym komunikiem i czujniejsi krzywą, z prawicami na jelcach szarszunów bądź zakrzywionych szabelek, które ostatnimi czasy za przyczyną Servenedyjek coraz częściej noszono w Górach Żmijowych. Skoro dostrzegli szopy, majaczące w mroku dopiero co ściętym drewnem, i podstawy świeżych chałup, jęli wodzić podejrzliwie wzrokiem po zaroślach wokół drogi i zgłiszczach, nad którymi z wolna unosił się siny opar. Jeden z grasantów, młody chłopak w łosiowej kurcie, zobaczył pojedyncze pasemko, które jak bluszcz pełzło i owijało się wokół węgła starej gospody. Ścisnął kolanami konia, by podjechać bliżej i lepiej obejrzyć to dziwo. Jednak kiedy smużka mgły sięgnęła pęcin, krępy górski konik kwiknął przerażony i uskoczył w bok jak przed żmiją, nieledwie zrzucając jeźdźca.

Wśród grasantów przebiegł szmer, a konie zbiły się w ciaśniejszą gromadę. Przywódca obejrzał się przez ramię i krzyknął coś, machnąwszy ręką w kierunku ruin kościółka. Pięciu łupieżców z ociąganiem odłączyło od towarzyszy i ruszyło ku wilżyńskiemu cmentarzowi między szeregiem jałowców, które wydawały się zanurzone w półprzeźroczystym oparze. Reszta zmierzała jednak ku wiedźmie, a ich dowódca znacznie się wysforował i Babunia słyszała już dźwięk dzwoneczków, zawieszonych u czapraka. Turzniański konik tańczył na ścieżce, dzwoneczki pobrzękiwały rażno, grasant gwizdał przez zęby wesołą piosenkę. Że zaś mgła zatrzymała się na progach chałup wokół placu, jego ludzie otrzeźwieli z pierwszego przestachu i zaczęli się znowu prostować w siodłach.

– Fo-fu-fe-fi, czuję zapach ludzkiej krwi! – rzuciła od niechcienia Babunia, kiedy grasant podjechał tak blisko, że mogła zajrzeć mu w oczy, siwe i zaciekle w ogorzałej od wichru twarzy, i czuła ostry pot wierzchowca, który bił niespokojnie kopytami w zamrażniętą ziemię.

– Węch cię nie zawodzi, wiedźmo! – Mężczyzna jednym ruchem wyciągnął szabelkę z pochwy. Błysnęły osadzone w jelcu rubiny, zakrzywiona klinga pojaśniała odbiciem ognia, kiedy wysunął ją w przód, nieledwie zahaczając piórem o twarz Babuni. – A to chcesz może poniuchać, stara? Bośmy zeszłej nocki podobną tobie w leszczynie zdybali, jak wedle obozowiska szpiegowała. Takż nam zrazu śmierć okrutną wieszczyła, wiedźmieniem się przechwalała. I co ci powiem? Na psie jaje się jej wiedźmieniem zdało, kiedy my ją we trzech ucapili i kindzał jej gołą stałą na gardzieli kładli.

Ktoś za jego plecami zarechotał sprośnie.

– I wiecie, co jeszcze? – ciągnął szyderczo grasant. – Wnet na jaw wyszło, że pode chłopem jak każda inna białka piszczy i nogami wierzga. Tedy powierzgała sobie do syta, do białego ranka. Aż się nią każdy nasycił, kto chciał. – Uśmiechnął się lisio. – A potem się babie łeb urżnęło, jako kurze czarnej, i powiadam wam, taka sama krew ciekła jak u każdej innej.

– Przekląła was! – Wiedźma odezwała się starczym, skrzekliwym głosem. – Przekląła i nazaczyła jako psów!

– A co by miała nie przekląć? – Skrzywił się. – Noc długa, tedy nakrzyczała się baba, aż schrypła z wysiłku. Jeno że młoda była i kraśna, a wyście grzyb stary i paskudny, tedy nikt się wrzaskom waszym przysłuchiwać nie będzie.

– Naprawdę? – Babunia uniosła ramiona i rozwiązała chustkę w czerwone róże.

Kruczoczarne włosy rozsypały się po plecach i w pojedynczym rozbłysku płomieni twarz wiedźmy wygładziła się, usta nabiegły karminem, cała zaś postać wyprostowała się nagle i urosła o łokieć. Zdmuchnęła z policzka niesforny pukiel, nie dbając o grasantów, skonfudowanych i wylękłych tą przemianą. Ale ich przywódca tylko uniosł się w siodle i objechał wiedźmę wokół, cmokając z ukontentowania.

– Lepiej? – spytała cierpko.

– Znacznie lepiej...

Mężczyzna pochylił się, chwycił ją wpół i przyciągnął do siebie, a potem pocałował siarczyście w usta.

– Jednak nie wystarczająco dobrze! – Odepchnął ją od siebie. – Co wiedźma, to wiedźma!

– Łeb babie trza ukręcić! – potaknął zapalczywie któryś z jego ludzi. – Nim co uknuje!

– Z tamtych, co zeszłej nocy wiedźmę ryćkali – objaśnił lekko dowódca – trzech baba pazurem przeorała i wszyscy trzej przede świtem od martwicy szczęli. Ot, jaka nagroda człeka spotyka, gdy politycznie chce do wiedźmy podejść, zabawić ździebko, zamiast od razu szyję ścinać... – Pokiwał głową z udanym zafrasowaniem. – Ale co ja wam będę długo gadał, sami rozumiecie, że po zeszłej nocy ludzie moi wielce komitywie z wiedźmami niechętni.

– A juści! – wrzasnął piskliwie młokos w kubraku krytym szkarłatną kitajką. – Łeb skrócić, nie gadać! Niewiast po chaszczach pochowanych dosyc, nie będziemy stratni!

– O, ty akurat, synku – wiedźma z roztargnieniem strzepnęła z mankietu źdźbło trawy – stratny nie będziesz. Bo takeś był wedle niewiast doświadczony, że je czasem w skryptorium na obrazku za plecami mnichów oglądałeś, i takim pozostaniesz!

– Leż! – wykrzyknął chłopak. – Leż plugawa!

Wiedźma tylko roześmiała się perliście.

Grasanci jęli coś mamrotać między sobą. Strachliwsi czynili znak odpędzający złe albo wyjmowali z za pazuch szkaplerzyki, pospolicie kupowane wedle klasztoru Cion Cerena, i zasłaniali się przed urocznym okiem. Babunia uśmiechnęła się wrednie. Grasanci bowiem nie wzdrygali się łupić wiejskich kościółków, a i pomniejszy klaszorek potrafili puścić z dymem, jednak najwyraźniej w obliczu plugastwa ogarniała ich przedziwna pobożność. I lęk.

– Widzicie? – odezwał się miękko dowódca. – Coś wdzięki wasze ludzi moich nie nęcą. A szkoda, boście nadobna niewiasta, choć wiedźma, i będzie z was ściervo nadobne, krukom na ucztowanie. Nam zasię, nieboraczkom, przyjdzie się pospolitym babińcem zadowolić. A zda mi się – zatoczył ręką w krąg po ruinach wioski – że tutaj po chaszczach niejedna baba schowana.

Jakby w odpowiedzi od strony ruin kościółka poniósł się krzyk przeciągły a pełen iście zwierzęcej trwogi, i zmilkł wnet w zduszonym charkocie.

– A może też być, że baby waszym zalotom niechętnie – rzuciła drwiąco Babunia.

Kilku grasantów cofnęło się z przestachem, ale ich przywódca zaśmiał się beztrzesko.

– Nie strasz, wiedźmo, nie dokazuj! – Pogroził żartobliwie palcem, a dzwoneczki u jego siodła znów odezwały się prześmiewczo. – Przecie nie ty nas pierwsza babską gadką raczysz i nie tobie pierwszej klątwy w gardziel się wepchnie, pospółek z magią twoją plugawą. A nie zechcesz gęby z własnej woli rozewrzeć, to ci się drugą na szyi wytnie. Kozikiem! – Popychał wierzchowca do przodu, aż przy ostatnim słowie Babunia zachwiała się, trącona końską piersią.

– Pomiłujcież, wielmożny panie! – Uczepiła się jego nogi, zawodząc niby płaczkliwie, ale przecież z nutą szyderstwa w głosie. – Toż nie stratujecie mnie, biednej sieroty!

– Byłoby żal! – Rozbójnik potrząsnął głową. – Oj, byłaby szkoda okrutna, bo myśmy dla cię, babo, inny los zgotowali.

Na jego znak jeden z jeźdźców, ukryty wcześniej w ciżbie i z gębą przesłoniętą kapturem, wysunął się nieco ku przodowi. Kiedy odsłonił twarz, oczom wiedźmy pokazała się łysa czaszka i twarz poznaczona bliznami, które w świetle migocących płomieni wydawały się niemal czarne. Ze świstem wciągnęła powietrze. Któryś z grabieżców zaświergolił gardłowo, jakby przywoływał drapieżnego ptaka, inni odpowiedzieli mu rechotem.

– A cóżeś myślała? – zakpił dowódca. – Że nie doszła nas wieść o wiedźmie, co w Dolinie siedzi, niby kleszcz na ścierwie? Że jak w sak wiezieni, bezbronni, i będziem tańczyć, jako nam zagracie? Toś się przeliczyła!

Sięgnął po zatknięty za pasem korbacz, rozprostował go w palcach i z trzaskiem strzelił w powietrzu tuż przed czołem Babuni.

– Bo powiadam, że tej nocy wy płasać będziecie. – Wyszczrzył zęby. – Drobniutko nogami przebierać wedle melodyjki, co ją wam będę biczykiem po łydkach wygrywał, póki mię podobna zabawa nie zmierzi! Ot, tak! – Z zamachem trzasnął w ziemię tuż przy skraju jej spódnicy, aż poczuła na twarzy ukłucia zamarznionych grudek ziemi.

– Z jego powodu? – prychnęła Babunia Jagódka, kiwając palcem ku poblížnionemu. – Z powodu tego wypędka kapłańskiego, co się własnej bogini wyrzekł? Tego zaprzańca?

– Nie będziesz mi, babo, o bogach gdakać! – suchym, trzeszczącym głosem odezwał się grasant. – Ani sobie gęby moją panią wycierać!

– Twoja pani! – zaśmiała się wiedźma. – Twoja pani, klecho, dawno zdechła i tuzin lat już będzie, jak czerw jej ścierwo toczy głęboko popod rdestnicką świątynią.

– Łżesz!

– A po co mnie przed tobą kłamać, klecho? – Babunia odrzuciła w tył głowę. – I takiego wysiłku mi szkoda, żeby ci w gębę napluć, w te blizny, coś je sobie własnym nożem wyrzezał, dawnym przysięgom na urągowisko! A wiesz, dlaczego? Boś ślepy jako kocię i na moc bogów tak głuchy, że cię własna pani w godzinie śmierci precz odrzuciła i przekłęta, żebyś się samojeden po świecie błakał z hańbą swoją na gębie wypisaną, póki nie sczeźniesz, jako ona zdechła!

Blizny w twarzy kapłana nabiegły krwią i odbijały się od sonej skóry niczym wybroczyzny.

– Nie kracz, wiedźmo! – Przywódca grasantów zamierzył się na nią biczem. – Nie tobie o bogini gadać, imię jej święte pyskiem plugawym kalać. Nad własnym się, lepiej narodem natrzęsaj i szydź, że go Kii Krindar precz porzucił, żeby was mogła każda moc bić i z dobytku łupić.

– Nie każda, głupcze! – Babunia Jagódka wyprostowała się, a jej głos spotęźniał i nabrał głębi. – I nie zostawił nas niestrzeżonymi! Precz! – Wygięła się jak kot i strzeliła palcami ku gromadzie łupieżców.

Z jej rozcapierzonych dłoni posypały się gorejące iskry. Turzniański siwek stanął dęba, jeździec

zaś nieledwie wypadł z siodła, bo zamiast zrazu pochwycić wodze, był zajęty gaszeniem własnej brody. Babunia roześmiała się rześście, gdy grasanci na gwałt zrywali tłące się szmatki, bo ogniki pełgały po ich przyodziewku, zachłannie wczepiając się w koszule, końskie grzywy i wodze przystrojone pozłocistymi guzami. Ale zanim panika wybuchła na dobre, poharatany na gębie spiał konia i jął w galopie objeżdżać plac, tuż przy skraju mgły.

Zdezorientowana wiedźma umilkła; w nocnej ciszy dało się słyszeć jedynie odległe pohukiwanie sowy i osobliwy przyciszony syk. Mgła się cofała. Powoli, jakby z ociąganiem, języki mlecznego oparu odpełzały w mrok, aż zupełnie zniknęły i tylko na skraju lasu widać było cieniutką, jasną smużkę pomiędzy pniami drzew.

Kapłan zatrzymał się tuż obok dowódcy. W ręce dzierżył wór z kozłej skóry, wiotki już teraz i opróżniony do dna. Triumfalnie wytrząsnął zeń ostatnie krople nieomal na suknię wiedźmy. Babunia Jagódka cofnęła się gwałtownie.

Cały wioskowy plac był opasany ciemnym kręgiem rozlanej wody.

– A co! – wykrzyknął kapłan. – Jarzmo czujesz, tedy mniejsza ochota do gardłowania, babo? I słusznie! Bo my cię pod to jarzmo tak nagniem, że ci grzbiet pęknie!

– Mówiłem, żeśmy nieostrzeżeni nie przyszli – cicho i jakby przeprasząc wtrącił dowódca. – A powiadają ludziska mądrzy, że w wiedźmobiciu największa pomoc to woda ze świętego źródelka zaczerpnięta i zioła mocne. Wrotycz, tymianek i wilcze łyko. – Spoglądał bacznie, jak twarz Babuni chmurzy się z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. – Wiedźmibicz, kozłek i czarna jagoda. Jaskólcze ziele, czarcimęt i szalej wedle szubienicy rwany. Dość, by się twoja moc w niwecz obróciła i szczęła, tedy nie gadaj więcej, jeno na kolanach o łaskę proś, a może być uprosisz. Może nagrodzimy cię lekką, czystą śmiercią. – Wyciągnął rękę ku jej włosom, ale wiedźma cofnęła się, sycząc i prychając niby żbik.

– Nie parszaj, babo – odezwał się zgrzytliwie kapłan. – Bo woda poświęcona u źródła bogini i taka w niej moc, że nie pomogą dąsy ani wyklinania. Krąg cię trzyma, moc twoją niweczając, i ani się nad nim ptakiem przemkniesz, ani spodem wywiniesz.

– Takem sobie umyślił – wódz grasantów przypatrywał się Babuni spod zmrużonych powiek – że nie dozwolę cię, wiedźmo, z dala strzałą ubić, ani podpalić we śnie, jak czasem chłopstwo po przysiółkach czyni, kiedy mu się plugastwo w stodole załęgnie. Bom postanowił, że trzeba ciebie przed zgonem z mocy wszelakiej obłupić i jak z łupiny obrać. A potem powoluśku na pal nizać, ale tak, żeby się wieśniacy napatrzyli do woli, jak zdychasz. Żebyś czas miała odpokutować i za te pogroźki puste, i za przekleśnicę, co ludzi moich zeszej nocy umorzyła.

– Wiedźmij teraz, głupia! – zawołał triumfalnie kapłan, a na jego znak grasanci poczęli z obu stron okrążyć Babunię, stojącą pośrodku wodnego kręgu. – Obaczym, na co się dekokty twoje zdadzą i zaklinania! Ile wydolisz przeciwko mocy bogini!

– Ano zobaczym, panie!

Pokłoniła się przed wodzem grasantów tak nisko, że jej spódnice rozłożyły się wokół niczym szkarłatne płatki maku, a palce wsparły o ziemię. Później wyprostowała się gwałtownie, wyrzucając przed siebie dłonie pełne popiołu i piasku. Wichur poderwał się znad ziemi, pochwycił pył i uniósł go niczym złowrogą czarną chmurę.

– Jeno mnie musicie pierwej ułapić! – wykrzyczała wiedźma, lecz jej głos nikał w świcie wichury.

Tuman uderzył w grasantów, smagnał ich po twarzach, wdarł się w szczeliny przyodziewku, wycisnął łyzy z oczu. Ognisko zgasło, zmiecione ostrym podmuchem, a popiół zawirował i uniósł się ku górze gęstym kłębem, tworząc brunatny wał między wiedźmą i zbójcami, którzy kręcili się po

omacku, niepewni, co czynić.

– Łapcie liszkę! – Dowódca spał konia. – To omam jeno i ułuda. Nie może się baba z pułapki wymknąć, tedy chce zmamić i do strachu przywieść.

– Wyczha! – wrzasnął ktoś, może kapłan, a może niedorostek, któremu Babunia wypomniała klasztorną edukację.

Gromada zbójców bez namysłu runęła w ciemność, tratując końskimi kopytami resztki wiedźmiego ogniska.

Wiatr pochwycił ich, targając brody i płaszcze.

Wiedźma zaśmiała się jeszcze raz we śmie. A może tylko im się uwidziało w zawierusze, która z nagłą podniosła się w Wilżyńskiej Dolinie. Wioskowy plac zdawał się rozszerzać niezmiernie i rozciągać przez całą Dolinę i dalej jeszcze, aż przez pola i rozłogi na skraju wioski.

– Wyczha! – pohukiwali grasanci, a grudki zamrożonej ziemi tryskały spod końskich kopyt.

Z bezmiernej dali odpowiadał im poszum wichru i śmiech wiedźmy, więc gnali za jej głosem nawet wówczas, kiedy ogarnął ich lodowy chłód puszczy. Jodłowe gałęzie smagały ich po twarzach, trzaskały tratowane krze, szaraki przypadały do bruzdy i kryły się w wykrotach przed rozhulaną pogonią, a z końskich pysków spadały białe płyty piany. Chmury zasłoniły księżyc, wygasły ogień przed pasterskimi szałasami i żar w kominach w nielicznych siołach, których nie spustoszyły zbójceckie podjazdy. Nad Górami Żmijowymi nie widać było tamtej nocy nawet pojedynczej gwiazdy. Grasanci pędzili jednak wciąż naprzód z zajadłością wilczego stada, jakby chcieli się przebić na drugą stronę kłębu pyłu, ciemności i wichru, który ich spowijał.

Biegli długo. A w każdym razie tak później mówiono.

Droga pięła się w górę i skręcała ostro pod kopytami ich koni, szeroka jak podwórzec wilżyńskiej wioski i opustoszała jak pogorzelsko.

Biegli całą noc, bez chwili zwłoki czy wypoczynku. Żaden z nich nie odłączył się od pogoni.

W wysokich wioskach mówili potem, że słyszano tętent ich koni i krzyki „wyczha”, i świst magicznego wichru, i śmiech wiedźmy, niosący się ponad górskimi szczytami.

Biegli, aż w przydrożnych bzach i tarninach obdartych z ostatnich liści jęły się odzywać ptaki. Aż po kres puszczy.

A potem tuman opadł i rozwiął się bez śladu. Stali na wysokiej górskiej polanie. Powietrze było ostre i czyste. Potężne pnie jodeł majaczyły słabo w ciemności, a niebo ponad nimi zasnuwały ciężkie chmury.

Wiedźma stała pośrodku polany, dysząc ciężko i z głową zwieszoną na piersi.

Wokół niej, na splecheci nędznej zmarzniętej trawy, wciąż widniał krąg nakreślony wodą bogini.

– A jednak zgoniliśmy cię, babo! – wykrzyknął triumfalnie przywódca grasantów. – Zgoniliśmy cię jako liszkę, a ninie sprawiać będziem!

Zeskoczył z siwka, który drżał jeszcze ze zmęczenia, i ruszył ku wiedźmie poprzez łąn trawy. Inni zbójcy podążyli tuż za nim, zbitą, zaciekłą gromadą.

– Ano zgoniliście! – Babunia Jagódka uniosła głowę. Jej oczy wciąż żarzyły się od magii jak dwa węgle. – Głupcy! – Podniosła dłoń. – Nie trzeba wierzyć w byle głupstwo, które kuglarz na jarmarku powie, ani w cudowną wodę z rynsztoka czerpaną, ani moc bogini, której dawno nie ma. Patrzcie!

Chmury w górze rozsuwały się z wolna na boki, ginęły poza krawędzią jodłowych gałęzi. Nadchodził świt.

– Ejże, babo! – zaśmiał się zbójca. – Nie dość ci jeszcze sztuczek? Nie...? – urwał z wyrazem zdumienia na twarzy.

Szarpnął się wprzód całym ciałem, ale jego stopy w wysokich skórzanych butach nie przesunęły

się ni o jedno źdźbło trawy. Wciąż nie rozumiejąc, obejrzał się, jedynie po to, by spostrzec, jak kamraci szamocą się bezradnie, niezdolni postąpić choćby krok naprzód.

– Nie ma w tym żadnych sztuczek. – Wiedźma obracała w palcach pojedynczy nagi pęd. – Powinieneś już zrozumieć, głupcze!

Lekko przestąpiła krąg nakreślony na trawie, smukła i wyprostowana w swej szkarłatnej sukni, i smagnęła go witką po twarzy. Zbójca szarpnął głową, jego usta rozwarły się do krzyku, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk.

– Cicho. – Babunia Jagódka położyła mu palec na wargach. – Noc dobiegła kresu i teraz będziesz już cicho. Bardzo długo będziesz cicho.

– Powinieneś mnie rozpoznać. – Podeszła do kapłana, który, spurpurowiały na gębie, wciąż walczył z czarem, przykuwającym jego nogi do zamarznętej ziemi. – Powinieneś być uciec precz, daleko od mojego władztwa.

Dotknęła go zieloną gałązką. Kapłan zamarł i oniemiał jako inni, wiedźma zaś jeszcze dobrą chwilę chodziła między grasantami, niedbale muskając ich różdżką.

Wysoko w gałęziach jodeł śpiewały kosy.

Było już zupełnie jasno, kiedy Babunia Jagódka dokończyła dzieła. Pliszka o długim płowym ogonie sfrunęła z drzewa i przysiadła na głowie przywódcy grasantów, przypatrując mu się ciekawie.

Na polanie stało ze dwa tuziny głązów: grasanci zastygli w najdziwniejszych pozach powykręceni grozą i rozpaczą. Gdzieniegdzie spod szarej skały przeświecały jeszcze złoty guz, rękojeść szabli czy bogaty szamerunek u kurty, lecz kształty postaci zaczynały się z wolna zacierać i pokrywać kamieniem.

– A teraz będziesz czekał. – Wiedźma wpięła we włosy różany pęd, który pod jej palcami rozkwitł krwistoczerwonym kwieciem, i z zadowoleniem pogładziła skałę, co kiedyś była przywódcą grasantów z Gór Żmijowych. – Zdradzę ci tajemnicę – szepnęła mu do ucha. – Jest moc, co czar odmienia i wniwecz obraca, dla każdego czaru osobna i inna. Naznaczę więc sposób, aby was między żywych przywrócić i spod mocy zaklęcia wyzwolić. Pomnisz te zioła, co mnie okiełznać miały? Wrotycz, tymianek i wilcze łyko. Wiedźmibicz, kozłek i czarna jagoda. Jaskólcze ziele, czarcimęt i szalej wedle szubienicy rwany. Niech więc tak będzie. – Uśmiechnęła się paskudnie. – A żeście noc całą za niewiastą gnali, niech was teraz niewiasta z mojej paści zbawi. Jeśli któregoś z was zechce niewiasta ocalić, musi ziół dziewięć przy miesiącu pełnym zebrać, nitką pojedynczą w pęk spętać i w wodzie źródlanej zanurzyć. Potem zasię miotelką głąz cały obmyć, póki się księżyc ze świtem nie schowa. Czekaście więc pilnie i baby wszelkie do komitywy wabcie, jak się która w te strony za drwami czy grzybem zapędzi. Ale po prawdzie głusza tutaj dzika i pewnie szmat czasu przejdzie, zanim się jakowaś białogłowa pokaże... – dodała z powątpiewaniem. – No, ale może się mylę...

W oczach kamiennego posągu odbiło się nieme błaganie, ale wiedźma już się odwróciła i podśpiewując pod nosem, ruszyła ścieżką w dół, ku dolinom.

* * *

W dwa dni później na polankę w Kamiennym Lesie podtoczyła się chłopska dwukółka zaprzęzona w ciężką bułaną kobyłkę. Za wózkiem szedł krępy, rozrośnięty w barach chłopek w skórzanej opończy i kapeluszu naszywanym muszelkami, obok zaś dreptał puciołowaty wyrostek w koszulinie i spodniach z niebielonego płótna.

– Patrzajcie, ojciec, jakie dziwowisko! – Chłopiec pociągnął go za rękaw i pokazał krąg kamiennych głązów. – Toć prawdę gadała babulina! Sute kamienie, jeden w drugi, jakby je ktoś tutaj

specjalnie wytaszczył.

– A co za różnica? – Ojciec wzruszył ramionami i jął rozsypywać zawiniątko z nasączonych tłuszczem szmat. – Wytaszczył, nie wytaszczył, grunt, że je precz zostawił, nam nieboraczkom na pożytek. Bo skała skale nierówna i nie jest rzecz łatwa dobry kamień znaleźć, choćby w najwyższych górach. Ta się za bardzo kruszy, ta od środka pęka, a ta jeszcze zwodnicza, niby z wierzchu gładka, ale czerw ją toczy... – Zważył w ręku młotek i stuknął nim lekko jeden z gładów. Rozległ się stłumiony, jękliwy pogłos i starszy z zadowoleniem pokiwał głową. – Sute kamienie! – Poglądził pieszczotliwie dłonią grzbiet jednego ze zbójców, który zamarł na wpół pochylony, usiłując rękoma oderwać odporne nogi od ziemi. – Rychtyk w rychtyk się nadadzą. Przyjdzie trochę ociosać, ale będzie z nich kamień młyński i żarna nowe, i nagrobek dla matki nieboszczki, co ją te grasanckie ścierwa zarznęły.

– A mnie się to wszystko jakieś dziwne widzi, ojciec – chłopak zawahał się. – I ta babina, co na nas przy brodzie jakby czekała, a jeszczeście dobrze nie rzekli, po co w góry ciągniem, już radę miała dobrą. I te głady, co jak lepiej spojrzeć, to prawie na ludzki kształt podobne.

– A tobie, Ziemuś, wszędy się jeno dziwy i cudactwa roją! – Ojciec splunął z niechęcią na kamień. – Kliny lepiej chwytaj i pod głady podkładaj. Toć trza je przede zmierzchem do chałupy zwozić i ciosać, ciosać...

GRZYBOBRANIE

Jako się rzekło, wojna przeszła przez Wilżyńską Dolinę tylko raz, ale jak huragan. Gromada maruderów obróciła osadę w zgliszcza, teraz wystygłe już i spopielale. Po lasach pałętały się zaryczane niewiasty, wespół ze stadkiem równie zestrachanego drobiu, który podczas rzezi zdołał zbiec w okoliczne krzaki. Słowem, trzeba było całe to tałatajstwo spędzić na powrót do Doliny, ochędożyć, odchuchać i z przerażenia otrząsnąć. Oczywiście miejscowi notable za nic sobie mieli wilżyńskie wypadki. Władyka beztrosko bujał gdzieś po świecie w poszukiwaniu rycerskiej chwały, albo może raczej zdobycznego dobra i równie zdobyczej francy. Proboszcz zaś załadował na wóz resztki dobytku oraz Rozalkę i z podkulonym ogonem uciekł do Spichrzy. Odbudowa osady spadła tedy na Babunię Jagódkę, która ów obrót zdarzeń uznała za wyjątkowo ohydną niesprawiedliwość. Owszem, samą wojnę nawet skrycie ceniła, jak każdą inną szumną i niezwykłą awanturę. I gdyby wojna przydybała ją gdzieś w mieście, nad brzegiem morza, albo chociaż na książęcym trakcie, nie rzekłaby ani słowa. Może nawet przyłączyłaby się do rabunku czy pohulała ździebełko z wojakami, bo zazwyczaj były to chłopcy wesole, skore do gorzałki, sprośności i rozlicznych uciech. Ale co innego swawole w wielkim świecie, co innego zaś pospolite domowe nieporządki!

Szczęśliwe wytepienie grasantów i innego plugastwa przyniosło jej wprawdzie odrobinę radości, rychło jednak musiała się zabrać do ciesielstwa, murarki i kopcowania brukwi. A do gospodarskich zajęć nigdy nie miała serca. Z ciosaniem desek na chaty trzeba się było śpieszyć, bo jesienna szaruga szła już ku końcowi i po łupaniu w kolanach Babunia rozpoznawała niechybnie, że zima nastanie mroźna i dotkliwa. Wszystko to nie wprawiało wiedźmy w szampański humor. Prawdę powiedziawszy, snuła się po wiosce w takim nastroju, że co wrażliwsze niewiasty zaczynały rozważać ponowną ucieczkę do lasu. Ludziom miękły kolana, kiedy zwałała sosny jednym uniesieniem brwi. Niby miała wymówkę: potrzebowali drewna, by przed pierwszym śniegiem wznieść osadę i wyposażyć ją jakoś. Robota szła jednak niesporo, aż wiedźma pojęła, że trzeba do Doliny spędzić nowych wieśniaków. I to jak najprędzej.

Rychło w północnej części Gór Żmijowych zdarzyło się kilka bardzo dziwnych wypadków. Paru wędrownych handlarzy ciągnących z wyładowanymi wozami ku swym domostwom, nigdy do nich nie dojechało. Z okolicznych dworów gwałtownie znikali parobkowie. Dwóch statecznych, zasiedziałych gospodarzy osobliwym trafem przepadło w leśnej gęstwinie, gdyż Babunia Jagódka uznała, nie bez racji zresztą, że, prócz młodzieńczego zapału, wiosce przyda się też nieco rozwagi i doświadczenia. Zresztą, czas naglił, a wiedźma nie była drobiazgową. Zgarnęła więc z gościńca niewielki oddziałek koniuchów, którzy ze zrabowanym tabunem koni zmierzali na południe. Nie pogardziła też wędrownym żebrakiem ani wiejskim głupkiem. Przydybany na trakcie nieopodal Mnicha utrzymywał wprawdzie, że jest księciem w podróży do źródła uzdrawiającej wody, lecz zdaniem Babuni owe wyjaśnienia jedynie potwierdzały jego kwalifikacje na wioskowego idiotę.

Co tu ukrywać, w wilżyńskiej okolicy najłatwiej było o pasterzy, najemników i zbójców. Ci ostatni o gospodarce niewielkie mieli pojęcie, byli jednak dorodni, w trudach zaprawieni i obrotni jak mało kto. Babunia żałowała, że szajka z Przełęczu Zdechłej Krowy rozpadła się bezpowrotnie po niecnej ucieczce zbójcy Twardokęska, człeka rozlicznych zalet i chytrego niezmiernie, choć sobka i lenia po trochu. Zastanawiała się nawet, czyby go czarem nie ściągnąć na powrót w Góry Żmijowe, lecz już tak głęboko w polityce siedział, że poniechała go z żalem. Szczęściem, podczas wojny uległo

się mrowie świeżych łupieżców, którzy doświadczeniem nie mogli się mierzyć z osławionym zbójcekim hetmanem, choć zapamiętaniem w pracy przewyższali go nawet.

Babunia zasadzała się na nich bardzo prostym sposobem. Brała naręcze chrustu, który oczywiście nie był do niczego potrzebny, ale bez wiąchy gałęzi jakoś się głupio czuła na trakcie, i dreptała wprost do kryjówki zbójców. Tam zgrabnym zakłębieniem tak im we łbach mąciła, że już sami z siebie szli do Wilżyńskiej Doliny. Oprzytomniawszy z uroku, zbójcy pomstowali strasznie, chcieli gardła podrzynać i chałupy palić, lecz bardzo trudno zbytkować, kiedy się ostrze miecza od dotyku rozmaśla i na ziemię ścieka, a solidna pałka obraca się w rękach jak żywa i właściciela po grzbiecie wali. Co gorsza, szybko wyszło na jaw, że żadnym się sposobem nie potrafią z Wilżyńskiej Doliny wyrwać na swobodę. Ścieżki wiły się i splatały, nikły wśród sosen, póki nie wywiodły ich na koniec w znajome wiejskie opłotki. Po tygodniach takich zmagani i najtęższym zbójcom ubywało hardości, wpadali w melancholię i pili na umór. Jeden się nawet obwiesił na wilżyńskim cmentarzu.

Babunia była nieugięta.

Wkrótce powiało tęższym chłodem i wymiotło im z głowy włóczęgę po oczeretach czy chaszczach. Zgłodniali i zziębnięci brańcy spokornieli na tyle, że jęli się najmować do gospodarskich posług za miejsce suche pod dachem i garstkę strawy. Co sprytniejsi brali za żony miejscowe wieśniaczki, wykańczali domy, stawiane na zgliszczach starych chat i, pogodzeni z losem, kisili kapustę.

Wiedźma przyglądała się temu z nieskrywaną dumą i pewnym rozrzewnieniem. Postanowiła twardo, że książęce wojenki nie będą jej odtąd wchodzić w paradę i czynić pod samym płótem zamieszania. Może Wilżyńska Dolina była jedynie zapyziałą wioską na krańcu świata, ale była to jej wioska i jej kraniec świata. I z nikim nie zamierzała się nim dzielić.

Wreszcie mogła odpocząć.

Babunia Jagódka zazwyczaj odpoczywała w tradycyjny sposób. Do pełnej satysfakcji był jej potrzebny spory bukłak miodu, ze trzy pieczone półgęski i dorodny parobczak. Nim jednak przeszła niedziela, miód jej się przepił do cna, a na pieczoną gęsinę nie mogła już patrzeć. Parobczaka też przegnała z komory na cztery wiatry po tym, jak począł myszkować w obejściu, grzebać po kufrach i zaglądać do komina w poszukiwaniu skarbów, co może nie było dziwne u niedawnego grasanta, ale Babunia nie zamierzała przyzwalać na podobny brak manier. Została sama. Spędzała całe dni, wygrzewając się przy palenisku, z wielkim, ryżym kociskiem, wygodnie umoszczonym na jej kolanach. Czytała stare manuskrypty, zaśmiewając się z przedwiecznych przepowiedni, aż trzaskały deski w podłodze, bez umiaru piła spichrzańską okowitę i od czasu do czasu na chybił trafił rzucała jakieś wredne zakłębienie – wyłącznie po to, żeby nie wyjść z wprawy.

Wreszcie obudziła się pewnego pochmurnego ranka z potwornym bólem głowy oraz mętym wspomnieniem zeszłonocnej pijatyki. Potoczyła niepewnym wzrokiem po chatynce, usiłując sobie przypomnieć, co się stało z dwoma wędrownymi kapłanami, których przyodziewek, kostury i chodaki wciąż wyraźnie widziała obok komina. Być może ich zniknięcie miało coś wspólnego z parą szarych ropuch, z wyrzutem popatrującymi ku niej z popielnika, ale na razie Babunia nie miała ochoty zajmować się ową tajemnicą. I kiedy tak sobie siedziała w przybrudzonej pościeli, bezmyślnie machając nogami w przydeptanych filcowych kapciach, przeszło jej przez głowę, że tego roku nie była jeszcze na rydzach.

Mlasnęła łapczywie, bowiem na samą myśl ślina napłynęła jej do gęby. Uwielbiała rydze. Wprawdzie pora była już późna, bo po lasach i trawa wymarzła ze szczętem, a wyżej w górach śnieg leżał po kostki, ale Babunia naprawdę lubiła rydze i nie trapiły jej odmiany pór roku. Zwłaszcza że nieopodal miała przytulną piaszczystą dolinkę, gdzie w sosnowym młodniku rydze rosły tak piękne, że przebiegła wiedźma osnuła ich siedlisko zakłębieniem. Odtąd dolinka drzemała z dala od

nawiedzanych traktów, pod kapą bukowych liści, zawsze sucha i złocista, ustrojona pasmami babiego lata, kołyszącego się sennie na sosnowych gałązkach nawet wówczas, gdy w całej reszcie Gór Żmijowych trzymał mróz tak srogi, że drzewa pękały w lasach. A rydze rosły i dojrzewały w błogim spokoju, nietrapione przez żadnych pazernych wieśniaków.

Niewiele myśląc, Babunia Jagódka ochlapała twarz wodą, przetarła gębę i łyknęła serwatki. Potem zaś sięgnęła po sakiewkę i wiklinowy kosz i bez zwłoki, nie zmieniając nawet filcowych kapci, wsiadła na ulubioną sztachetę. Jak zawsze zatoczyła trzy koła nad wioską, by sprawdzić, czy nic nie zagraża jej świeżo odbudowanej dziedzinie, i pomknęła na grzybobranie.

Rydze były, i owszem. Wychylały się zalotnie spod nawisów trawy, połyskiwały rudymi kapeluszami, nieomal same wybiegały wiedźmie na spotkanie. Cięła je całymi naręczami i wnet wiklinowy kosz wypełnił się po brzegi. Że zaś ranek był chłodny i rześki, przysiadła na zwalonym buczku pośrodku polanki i wyjęła zza cholewy znajomą flaszeczkę. Słońko świeciło jej prosto w twarz znad sosen, zmrużyła więc oczy i pociągnęła potężny łyk okowitki.

Wysoko w koronach drzew kłaskało coś tkliwie, zielonosiny dzięcioł stukał mozolnie w pień sosny, a trunek był mocny, jak wiedźmiej okowitce przystoi. Z każdą kroplą Babunia przychylniej rozglądała się po zakłętej dolinie. Powolutku sen zaczynał wiedźmę morzyć, kiedy na skraju polany pod leszczynowym krzakiem dostrzegła rydza wielkiego jak misa.

Co więcej, wydało się jej, że grzyb również popatrzał na nią z namysłem.

Zamrugła ze zdumienia, omal nie wypuściwszy flaszeczki z dłoni.

Rydz aż sapnął, chyba przerażony, że podobne dobro mogłoby się zmarnować.

Babunia pochwyciła bezcenne naczynie tuż nad warstwą złocistych liści, a tak zgrabnie, że nie uroniła z niego nawet kropelki.

Rydz wydał zduszone westchnienie ulgi.

– A dalibyście gorzałeczki popróbować, dobra kobieto – odezwał się przymilnym barytonem.

Wiedźma przetarła oczy. Rydz wciąż tkwił pod leszczyną, tylko mu się kapelusz odrobineę przekrzywił na trzonku. I nader łakomie spozierał ku wiedźmie piwnymi oczkami.

– Chłód od ziemi ciągnie – usprawiedliwił prośbę. – I gęby nie ma do kogo otworzyć.

– Ale spokój jaki! – prychnęła wiedźma, której trochę nadojadła wrzawa, czyniona w wilżyńskiej wiosce przez nowych osadników. – Powietrze świeże, ptaszki śpiewają...

– Ptak to mi tylko na głowę nasrał – fuknął. – A od tej ćwierkającej hałastry we łbie mi się mąci. Hej, dajcież gorzałki, babo, nie bądźcie nieużytek!

Babunia Jagódka aż rozwarła szerzej oczy. W Górach Żmijowych mało co ośmielało się odzywać do niej podobnym tonem. A już na pewno po grzybie nie spodziewała się równej bezczelności.

– No, babciu moja kochana, wstańcie wreszcie z pieńka! – ponaglił ją niespeszony. – Co się tam tak modlicie? Miejcie boga w sercu, suszy mnie okrutnie! Zliczyć nie potrafię, ile tu tkwię bezczynnie, sam jeden pośrodku głuszy.

– No, to jest rzecz zwyczajna – zaryzykowała wiedźma. – Dla twego rodzaju...

– Hej, wypraszam sobie! – obruszył się. – Niech ci się, babo, nie zdaje, że ci wszystko wolno! Toć o gorzałkę proszę, nie na pogawędkę.

– Patrzajcie, jaki łakomy! – Wzięła się pod boki. – Na kapelusz ci nalać, czy prosto na trzonek?

Rydz, przekrzywiwszy głowę, spojrzał na nią bacznie.

– A wyście, moja babciu, pijani jak zajac – orzekł wreszcie z niesmakiem. – Wyśpijcie się lepiej w rowie, bo jeszcze was zbój jaki na trakcie przydybie, kobiałkę ukradnie, grzbiet kijem wygrzmoci. Czasy takie nastały, że strach się babom samopas po ostępach włóczyć, nawet tym co brzydszym i wiekiem steranym, bo pod każdym krzakiem rabuś siedzi, maruder, morderca albo zwyczajny

grasant...

– Grasantów więcej nie masz – wyjaśniła Babunia, którą elokwentny grzyb poczynał coraz bardziej dziwić. – Wiedźma ich w kamień zakłęta.

– Czarnego Piastuna szajkę? – uradował się rydz. – A to mi nowina pyszna, rad bym was za nią uściskać, babciu!

– To trudno będzie. – Zmrużywszy oczy, przyjrzała się baczniej rdzawemu kapeluszu, który typał na nią zza łąnu gęstej trawy. Właściwie nie była pewna, czy to rydz. Wyglądał raczej na zwykłego muchotrutka, starego przy tym i obeschniętego od słońca. Ale może się jej tylko od gorzałki w oczach ćmiło.

– I w kamień go, szubrawca, zakłęta? – entuzjasmował się dalej grzyb. – No, jest jeszcze w niebiesiech sprawiedliwość i racja!

Babunia Jagódka zmilczała roztropnie, bo nijak jej było tłumaczyć, że akurat niebiosy nie miały ze zniknięciem grasantów nic wspólnego.

– Ale czy aby na pewno Piastuna? – chciał się upewnić. – Piastun to był chłop słuszny, rozrośnięty w barach, choć siwy już po trochu. Zwajeckim zwyczajem brodę w warkocz spletał, w świecidełkach się kochał, osobliwie rubinach. Pomyślcieź, babciu?

– Ano, tak mi się zdaje, że siwy był. – Wiedźma poskrobała się po głowie nakrytej chustką malowaną w czerwone róże. – I guzy miał przy kubraku krasne, może rubiny...

– To on, to on! – Grzyb nieomal podskoczył z ukontentowania.

– Znaszli obwiesia? – zdziwiła się Babunia.

– Ot, zdarzyło się raz czy drugi spotkać – zakłopotał się rydz, czy też raczej muchotrutek. – Jak to w lesie.

Wiedźma pytająco uniosła brew.

– No, może w gospodzie ze dwa razy – wyznał niechętnie. – Powadziłem się ździebko, bo łotr był i arcypies. Tym większą mi radość jego niedola sprawi, gadajcież tedy śmiało. Kiedyż to było, babciu, i jak go wiedźma okpiła?

– Będzie z siedm niedzieli – obrachowała na palcach Babunia. – Albo trocha dłużej.

– Tyli szmat czasu? – posmutniał grzyb. – I tak sam tutaj siedzę...

– Taki los twój, niebożę – użaliła się nad nim Babunia.

– Nie los winien, jeno starosta! Postronek się na dusienicy zerwał, to miał mnie, syn kurwi, wedle obyczaju luzem puścić. Ale gdzie tam! Niby księżę pan łaski udzielił, kapłani pobłogosławili, a ludziska z zadziwienia w głowy zachodzili. A potem mię starosta na powrót w tiumę poprowadził, bo to, powiada, trza podobną okazję kusztyczką miodu uczcić. Tom poszedł! Co miałem nie iść, jak wkoło tuzin zbrojnych stało!

Babunia Jagódka znów zamrugła oczyma, gdyż opowieść rydza stawała się coraz osobliwsza.

– Ale w cuchthauzie insza była rozmowa – ciągnął z irytacją. – Jeszczem w próg dobrze nie wszedł, jak mnie w łeb zdzielili, a potem do muru przykuli, bo to, gada starosta, kazał mię księżę puścić, to oni mnie puszcza, ajuści. Ale tak po swojemu. Bez łańcuchów nijakich, wolnego jak ptaszę. Wedle rozkazania. Tom się na duchu podniósł i uradował ździebko. Myślę sobie, w łeb dadzą, ale takie jest prawo i obyczaj stary, że w zjimaniach biją. Sami rozumiecie.

Wiedźma pokiwała głową.

– I wiecie, co on mię wtenczas pyta, kurewnik przeklęty?! – parsknął złością. – Czy pomnę lasek dębowy od zamku o dwa stajania i dworek w lasku owym, mały, modrzewiowy, co żeśmy go dwie niedziele pierwiej do ziemi gołej spalili. Mówię więc, że pamiętam. Niedawna była sprawa, cobym miał zapomnieć? A dziewczkę czy pamiętam, co w onym dworku stała. To po co się wypierać? Była

tam dziewczka, urodziwa, nie powiem, ale pod brzemieniem, to nikt jej nawet nie szarpał, ani nie turbował. A jak się dworek już płomieniem po całości zajął, tom kazał dziewczynę do choiny przywiązać, bo darła się straszliwie i w ogień skakać chciała. Jeszcze mi potem Piastun ludzkość moje wyrzucał. I wiecie, na co mi się miłosierdzie zdało? – Grzyb aż podskoczył z oburzenia, przekrzywiając sobie czerwony kapelusz.

Babunia nie wiedziała.

– Ano, na psie jaje! Nie dość, że Piastun chłopów na mnie poszczuł i z kompanii przepędził, bo to, powiada, za miękkiem do grasantki, skoro mnie byle baba rozrzewnić zdoła, to jeszcze w tym cuchthauzie prędko wyszło na jaw, że jaśnie pan starosta ni mniej ni więcej, ale dziewczki onej ojciec dobrodziej! I wcale mnie nie zamierzał za dobre serce chwalić, jeno zrazu w gębę strzelił i mocniej jeszcze poprawił. Jakem ze szczętem zgłupiał, to mnie, psubrat, objaśnił, żeśmy pannie we dworku męża zgrabnie usiekli, z którym po zamążpójściu nieledwie rok była. I tak się dziewczka przejęła, że nim się kto obejrzał, na buczku się obwiesiła. Ot, jaka słabowita – dodał z pretensją w głosie. – Starosta ani chciał słuchać, zem ja panny nie tknął, tylko mnie czekanikiem po czerepie zdzielił, i koniec był rozmowy.

Babunia pokiwała głową, udając głębokie zasmucenie.

– Wywlekli mnie popod wieczór z tiumy. Darmo się motłoch cieszył, że księżę miłosierny, że wisielec się zerwał, to go wolno puszczać! Chciałem im cosik krzyknąć o tej pańskiej lasce, ale mi pan starosta gałgan w gębę wraził. Anim mógł pisnąć! Za mury mię wywiedli, za fosę nawet. Oj, myślę sobie, niedobrze, jak psa mnie tu zadźgają, nawet się ślad nie zostanie. I wiecie, co?

Wiedźma, która pomimo wypitej gorzałki zaczęła już domyślać się zwieńczenia opowieści, powstała z pieńka i, podpierając się na kijaszku, ruszyła przez polankę w kierunku grzyba, bo chciała się z bliska przypatrzeć owemu dziwu.

– Wielka jest w ludziach niegodziwość – westchnął. – Nieprzebrana.

Ostrożnie trąciła kijaszkiem kapelusz muchotrutka, który potoczył się pod najbliższą sosenkę.

I gęba się jej rozwarła ze zdumienia.

– No, dajcież łyka, babciu, i nie bądźcie zołza! Toć język mi skołowaciał od tego gadania! – usłyszała spoza wiechcia trawy.

Przykucnęła więc, nie dowierzając własnym oczom.

– No, co się tak gapicie! Przecie wam tłumaczę! Pognali mnie jako wołu gościńcem za miasto. Aż do teje dolinki. Bo tutaj pan starosta konie kazał zatrzymać. Ustronnie, cicho, gada, od traktu daleko, kupców nie masz nijakich, ani się baba durna z przysiółka nie przywlecze. Tędy będziesz się tutaj swą wolnością cieszyć. Dokładnie wedle rozkazu, jak ci księżę obiecał. Ot, kurwi syn! – Wypluł zeschę sosnowe igły, które przykleiły mu się do warg.

Babunia rozdziawiła gębę z zadziwienia. Pod dorodnym kapeluszem muchomora tkwił opryszek, czy raczej jego głowa, aż po szyję bowiem zakopany był w ziemi.

– No, osądźcie sami! – prychnął. – Jak onych kozojebców nazwać, co mnie tu zasadzili? Toż lepiej człeka zarznąć albo cichcem obwiesić. A tak siedzę sam jeden, we łbie mi się mąci, ptaki na mnie srają, wiatr piaskiem w oczy miecie. I nic. Zdechnąć się nie udaje, mówię wam, żadnym sposobem – dodał smętnie. – Już sam zrachować nie poradzę, jak długo tutaj gniję, bo wszystko wokół jednakie – słonko i gwiazdy nocą, i dziecięta stukanie, i leśne myszy. Ale nic oprócz tego. Ani żywej duszy. Dopiero was, moja babciu, pierwszą na oczy oglądam.

Wiedźma uśmiechnęła się półgębkiem na owo wyrzekanie. W samej rzeczy, miał biedny rzezimieszek straszliwego pecha, że go akuratnie w tej kotlinie żywcem zechcieli pogrzebać. A może nie miał, dodała w myślach. W każdej innej dolinie byłby go zwierz rozszarpał, albo z głodu by

zdechnął w jedną niedzielę. Ale nie tutaj.

– No, powiadam wam, swołocz – żołądkował się dalej rabuś. – Jeszcze mi muchomora na głowę nadziali dla większego wstydu i kwiatków w brodę natkali niby chochołowi. Mówię wam, jakie teraz ludzie nieużyte a wredne, po prostu zgroza bierze. Mogli przecie zabić! I tak mi się zdaje, że pewnie sam ksiązę na ztratę mnie posłał, bo niby on łaskawy i ludzkie panisko, ale ostatnim czasem niewesoły chodził.

– Spichrzański ksiązę? – zainteresowała się wiedźma.

– E, gdzieby tam spichrzański! – obruszył się. – Nasz tutejszy. W grodku się nieopodał gnieździ i chyba mu się zdaje, że nad inszych lepszy, odkąd sobie tabunek Servenedyjek ściągnął.

Babunia baczniej nadstawiła ucha, bo w całych Górach Żmijowych jeden tylko ksiązę miał na służbie wojowniczi z południa.

– Wiecie, babciu, ja tom zawsze kamratom prawił, że od bab trza się jak najdalej trzymać, bo baby jeno nieszczęście, niezgoda i zaraza duszna. Jedna w drugą, wredne, do zdrady prędkie, kłótlive i skape... A właśnie – zamrugął szybko oczami – w gardle mi zaschło od kurzu, nie bądźcie więc, babciu, zołza...

Wiedźma bez słowa przyłożyła mu do gęby flaszeczkę, zbójca zaś przyssał się do trunku jako pijawka.

– Uch, siarczysta! – sapnął, kiedy Babunia nieledwie oderwała mu naczynie od pyska. – Choć jakby troszki zwietrzała... – dodał po chwili. – Nie zdaje się wam aby?

Wiedźma pohamowała wredny uśmiech.

– E, nie zdaje mi się – rzekła, łyknąwszy zdrowo na próbę. – A może jednak? – udała namysł i znów pociągnęła haust. – Nie, chyba jednak nie – stwierdziła, odstawiając pustą flaszkę.

Rabuś pomarkotniał, grzybowy kapelusz zsunął mu się na czoło.

– To coście tam o księciu jaśnie panu gadali? – zagadnęła go Babunia. – My tutaj w głuszy żyjemy, wieści ze świata nie mamy.

– At, smutna będzie opowieść. I niekrótka całkiem, więc tak zachodzę w głowę, czyli tam jeszcze czego, babciu, w koszu nie macie. Bom zgłodniał ździebko.

Wiedźma aż poweselała na podobną bezczelność, bo ją czarnobrody opryszek coraz bardziej bawił. Bez dalszych targów sięgnęła po pęto dobrze obwędzonej jałowcowej kielbasy, którą zawsze przy sobie miała na wypadek, jakby ją co zatrzymało z dala od chałupy w porze podkurka.

– Sam nie wiem, jak zacząć... – Kielbasa jak słomka trzaskała w jego mocnych szczękach. – No sam, powiadam wam... – reszta słów zginęła w łapczywym odgłosie mlaskania i przełykania.

– Najlepiej po kolei – podpowiedziała zgryźliwie Babunia, odsuwając o łokieć kielbasę. – Z początku do końca, innymi słowy.

Rabuś wyciągnął szyję niczym gąsior, ale nic mu to nie pomogło, łypnął więc tylko nieprzyjaźnie na wiedźmę.

– Z początku to weselisko było wielkie, radość i w całym księstwie zadziwienie. Księżna piękna, posażna i rozumna, ksiązę pan w niej rozmiłowany, z rąk wiedźmy okrutnej wyrwał i przyhołubił. Ale mądrzy ludzie prawili, że musi być w tym kwiatku czerw jaki przytajony. I był, wedle zwyczaju. Najpierw się jedna gadka między narodem wykuła, cichutka jeszcze, o grajku, co księżnej nader zażarcie na luteńce przygrywał, osobliwie zasię, jak się spać układała. – Uśmiechnął się obleśnie. – Ksiązę pan się rozsierdził, szarpistrunka przegnał, a rychło się potem dzieciątek dwoje w ksiązęcej alkwie uległo...

– Naprawdę? – Babunia Jagódka złożyła ręce z uciechy. – Aż dwoje?

– Ajuści! Jedno małe, czarniawe i na gębie suche, a drugie płowe, rumiane, pulchniutkie. Ot,

śmiali się ludziska aż po gór kraniec ostatni z owego potomstwa, księżę także po trochu serce do żony stracił, że go na osławę i śmiech ludzki wystawiła. Szeptali mu pono, żeby babę w las pognął i przepędził, skąd przyszła, ale nie chciał. A baba, że jej za kudły z zamczyska nie wywlekli i grzbietu nie obili, na powrót wnet zbeczelniała i to bardziej jeszcze. Wojna wtedy nastąpiła, bo się żalnicki wygnaniec z Pomorciem jął wadzić, więc dużo się wszelakiego żołnierstwa po dworach włóczyło, najemników i panków, rebeliantów, zwykłych ciur, żołdactwa, grasantów. Słowem, wszystkiego po trochu. A pani nudziła się... – zawiesił głos.

Wiedźma w milczeniu pokiwała głową. Zaczynała się z wolna domyślać, dokąd zmierza opowieść rabusia. Tak się składało, że doskonale pamiętała wyczyny młynarzówny, która dawno temu postanowiła odmienić swoją egzystencję przy pomocy wędrownych parobków.

– No, kto to był? – spytała bezceremonialnie. – Wykrzusicie wreszcie.

– Najemnik – wyjął czarnobrody ze szczerym zadowoleniem. – Ja żem natenczas już w turmie siedział, tędym go nawet oglądał, jak przez dziedziniec lezie. W szyszaku, w płaszczu czerwonym, co nim gnój z podwórca zamiatał. I puszył się, dokładnie jak kurak na stercie gnoju. Ani się kto obejrzał, jak z panią w wielkiej komitywie byli. Coś tam ciszkciem gwarzyli, śmiali się na uboczu i wspominali sobie. Bo wojak był pono jej ziomek, chociaż we świecie bywały i sławą wojenną przeświećny. Wiele o nim gadali – skrzywił się niechętnie – jako Pomorców bijał pod Koźlarzową komendą i bunt chamstwa tłumił aż nad północną granicą, ale może to tylko kłamstwo wierutne było. A jest tam jeszcze gorzałeczki krzyna? – zapytał niespodzianie. – W gardle mi zaschło i pamięć też szwankuje.

Wiedźma bez słowa wyjęła zza pazuchy kolejną flaszkę.

– Tyle wam rzeknę, że silny był chłop okrutnie – rozgadał się znowu po chwili wypełnionej intensywnym gulgotaniem. – Taką nieludzką mocą, że ani chybi z plugastwem się musiał skumać, bo raz przez kratę widziałem, jak kamień młyński wielki sam jeden u studni podnosił. Ranny był, powiadali, gdy do zamku przyjechał, i wojowaniem znużony. Choć mnie się cosik zdaje, że z łakomości się łajdak aż w nasze strony zapędził, bo mu za wojenną wysługę spichrzański księżę ziemię raczył nadać. Kamieni spłacheć mały, wysoko gdzieś w górach. – Rozejrzał się, co nie była rzecz łatwa, zważywszy że jako kołek tkwił w gruncie. – Wiecie, co? Może niedaleko waszego zadupia, babciu, ludzie narwę gadali, dziwaczna jakaś, nie pomnę... – Zamyślił się. – No, mniejsza z nią. A wiecie co jeszcze, babciu, mnie po głowie chodzi? – podjął przymilnie. – Nie macie gdzie na podorędziu łopaty jakiej, szpadelka, czy choćby gracy małej?

Wiedźma popatrzyła na niego przeciągle.

– No, tak mi się zdawało – sarknął czarnobrody. – A było wziąć, było wziąć, babciu! Nie wiedzieć nigdy, co się człękowi w lesie przyda, a wy się tak wybraliście nieprzygotowani! O czym to ja mówiłem? – podjął pod twardym spojrzeniem Babuni. – O najemniku onym? Ot, nakładł księżnie w łeb głupot, przypochebił się z lechka, co jest rzecz nietrudna, bo niewiasty na pochlebstwo łase. No, i pewnego ranka patrzą ludzie po dworcu, dzieci w kolebce płaczą, to czarne, i to jasnawe, a po księżnie ni śladu.

– Uciekła? – wysapała oburzona Babunia Jagódka.

W jednej chwili zrachowała raz jeszcze koszt zamążpójścia Jarosławny i aż ją w gardle ścisnęło na podobną niewdzięczność.

– Ajuści. – Obwieś splunął. – Tylko pisanie zostawiła, że sobie oni z tym najemnikiem przeznaczeni byli. Że się niby za młodu zmówili, a potem rozłączeni zostali poprzez knowania złej wiedźmy. Że ona jego w capa zakłęta, otumaniła i do bezecnej służby przywiodła, a ją w najdalszy kraniec świata na zatracenie zesłała. I że się przez te wszystkie lata po Krainach Wewnętrznych Morza na darmo szukali i odnaleźć nie mogli. Ale skoro się wreszcie naszli, tedy już ich ani książećca,

ani wiedźmia moc rozłączyć nie zdoła. No, i tyle ich widzieli.

Przez chwilę nad polaną zaległa bardzo ciężka cisza.

– A jakże na tego najemnika wołali? – Babunię coś tknęło nagle i bardzo nieprzyjemnie.

– Jakoś tak po chamsku i nazbyt pospolicie, żeby mi się miało bez gorzałki przypomnieć – oznajmił bezwstydnie rabuś. – Znajdziecie jeszcze kapkę, babciu?

– Nie znajdę! – Dobry humor Babuni przysnął już bez śladu.

– A jakbyście tak kijaszkiem w ziemi podłubali? – zaproponował niezrażony. – Nogi mi ścierpły od tego stania i kamień mam jakiś pod bokiem. No, nie bądźcie zołza, co wam szkodzi!

– A ten dobry będzie? – Babunia złapała za sztachetę i z szerokim zamachem wyrzuciła ją w pień najbliższego drzewka, strącając przy okazji z głowy zbójca muchomorowy kapelusz.

Czarnobrody wtulił głowę w ramiona, kiedy z góry posypał się nań deszcz drzazg i próchna.

– To o czym ja mówiłem? – odezwał się znacznie pokorniejszym tonem. – O najemniku, co z księżną naszą panią z zamku ubiegał? Niby gadali ludzie, że wojownik to wielki, we wszelkich Krainach Wewnętrznych Morza sławetny. Ale jakem bliżej w te jego głupawe, niebieskie ślepie zajrzał, a okoliczność była, bo go dziesiętnik po lochu oprowadził, to zrazu rozumiałem, że to zwyczajny prostak i nieokrzesaniec. Nic nie mówił z pańska, strażników nie rugał, w katownię ledwie zajrzał, powiadam wam, dziwak. – Skrzywił się z niesmakiem.

– Wysoki, z gęby głupawy, oczy niebieskie jak chabry – jęła wyliczać na palcach Babunia. – I włosy nastroszone, słomiaste na kształt chochoła...

– Ten, ten! – uradował się czarnobrody. – Na gębie ma szramę aż do samej skroni, pono mu ją w bitwie pomorccy wycięli. I tak mi się, babciu, zdaje, że Szymek go wołali albo cosik podobnie... Hej, no co wy! – ryknął ostrzegawczo, kiedy kopnięta przez wiedźmę szyszka o włos minęła jego ucho. – No co wy?

Babunia Jagódka zamyśliła się.

– I napisała wam Jarosławna, że ją z nim wiedźmia moc rozłączyła? – spytała wreszcie bardzo powoli i bardzo złowieszczo. – Ot, dziwowisko.

– Ja wam po prawdzie wyznam, że narodowi te bajki ze szczeniem obojętne. I te amory księżnej, zaklęcia nieczne i z chamem poufałość. Zresztą widzi mi się, że byłby książę może oczy nieco przymknął, jakby tylko wojak gdzie księżnę wyonacył zanie. Ale się bez dania racji, bez wymówki żadnej z dworzyszczą zebrała i za zwyczajnym żołdakiem się powlokła, niczym ładacznica! Toż to jest rzecz niesłychana! I przecie nie dziewczka od obory, ale księżna! Na zamku pani! Matka dzieciom! Wstyd i sromota!

– No, jak się wieść rozniosła po Górach Żmijowych, wstyd musiał być niezawodnie.

– A skąd! Książę niegłupi, nie będzie powrozu sobie na szyję kręcić. Przecie by go po górach rogaczem nazwali albo i gorzej jeszcze.

– Ale rzecz chyba coś musiał, jak księżna precz poszła?

– I rzekł, i rzekł! A zgadnijcie, co, babciu!

Spojrzała nań koso.

– No, rzekł im, że zła wiedźmia Jarosławnę w kamień lity zaklęła, życia ją pozbawiwszy. Słyszałem, jak to starosta wartownikom tłumaczył, co w tamte noc na warcie stali, tedy widzieli dobrze, jak księżna pani z zamczyska uciekała. Racja stanu.

– Co proszę?

– Racja stanu – zarechotał. – Sam książę pan im prawił, że lepiej, aby wieść poszła o wiedźmie, co księżnę wykradła, niżby się z nas mieli wszyscy dokoła wyśmiewać. I bardzo pięknie wywodził o pospolicym dobrze i prawdzie, co tylko złudzeniem. Aż popłakały się chłopcy, wierność mu

przysięgając i że po grób będą milczeć. I dotrzymani pewnie, sam książę im dopomógł, jeszcze tej samej nocy starostę do nich posławszy, żeby im gardła poderznął. Tom natenczas zrozumiał, że trza się od racji stanu jak najdalej trzymać, alem siedział w łańcuchach. Zgadnijcie jeszcze, co książę powiedział, jak się rankiem między strażnikami rwetes podniósł, że ktoś kamratom gardła popodcinał zgrabnie?

Babunia Jagódka milczała wrogo, co bynajmniej nie speszyło rabusia.

– Że wiedźma z lasu! – wykrzyknął z triumfem. – Wiedźma w lesie siedzi, zła, stara i wredna okrutnie, co księżnę im porwała, a wiernych książęcych pachółków, gdy pani bronić chcieli, ze szczeniem wymordowała.

– Tak powiedział? – zgrzytnęła zębami.

– Ajuści! I więcej jeszcze gadał – że ona taka przewrotna, że księżnę pod szarmem trzymała przez półtora roku, w głowie jej mącąc straszliwie i do zguby wiodąc. Stąd te brewerie były, w zamku domowa niezgoda, amory płocze i rozdźwięk pomiędzy małżonkami. Na koniec zasię wiedźma nowego się jęła sposobu i dzieci chciała zadusić, co je księżna powiła...

– Dosyć! – Babunia ze złością postukiwała sztachetą w wystające korzenie. – Toż brednie, wszystko brednie, głupstwa i bezeceństwa!

– Samiście pytali, to powtarzam, a z pretensjami do księcia idźcie.

– Może i pójdę – wycedziła. – Może i pójdę zapytać, czyli za bardzo zhardział, by swatkę na chrzciny prosić. Ale nie dzisiaj. – Zebrała w garść spódnice i zaczęła się sadowić na swojej brzozowej sztachecie. – Dziękuję za nowiny i bywaj zdrów.

– Hej, no nie bądźcie tacy! – obruszył się. – Wykopcie mnie!

Babunia sarkastycznie uniosła brew.

– A to niby czemu?

– Bo co wam szkodzi! Toż rąk nie pobrudzicie!

Wiedźma zamarła w pół kroku.

– Że co, proszę?

– No, zróbcie coś – ciągnął poirytowany rabuś. – Rękami zamachajcie, co trzeba wymamroczcie, ja się tam nie znam. No przecie mnie nie zostawicie, żebym tu siedział!

Oczy Babuni ściągnęły się w dwie wąskie szparki, a na twarzy pokazał się wyraz głębokiej podejrzliwości.

– Chybaście nie myśleli, że się nie poznam! Przecież dobry miesiąc już w tej jamie siedzę, głód mi nie doskwiera, pragnienie nie dręczy. Słoneczko ciągle świeci, ptaszęta podśpiewują. Czasem mię deszczyk zmoczy, czasem wietrzyk owieje... Ale poza tym nuda! No powiadam wam, aż wścik człowieka bierze. Nic się nie dzieje! Przeschnie deszczyk i znów słoneczko świeci, dzionek w dzionek to samo. I nic się nie odmienia, nic nie marnieje, nie zółknie. No przecież tak być nie może! Przecież to wbrew naturze! – żołądkował się rabuś. – Tom wyrozumiał, że musiał kto tę dolinę czarem podstępnie przekląć. I kogo na koniec widzę? A wiedźmę! – dokończył z triumfem.

Babunia Jagódka podrapała się ciemnym pazurem po nosie, na którym wisiała nieodzowna kapka.

– No, bardzo zmyślnie, kochaneczku. A ty kto jesteś?

– Tom się z nieuwagi zapomniał! Waligóra, do usług.

– Złodziej i morderca. Słyszałam, i to niejedno.

– Ale uczciwy! Bo jakbyście naprawdę zwykła baba byli i jakbym was na porębie gdzie z worem chrustu zdybał, to może bym wam nawet gardło kozikiem poderznął, boście, za przeproszeniem, brzydka jako nieszczęście i w obejściu plugawa. Ale bym wszem nie gadał, żeście się na mnie z motyką zasadzali i w grzyba mię podstępnie zamienić chcieli. Ja swoje rzemiosło cenię! I nie łzę bez

potrzeby!

– Brzydka jako nieszczęście? – wysyczała jadowicie wiedźma. – Plugawa?

Nim pobladły na gębie Waligóra, który dopiero teraz spostrzegł ogrom swej nieopatrzności, zdołał cokolwiek powiedzieć, jej oczy rozzarzyły się nagle niczym węgle. W koronach drzew rozhulał się wichur, na głowę niedosłego wisielca posypały się gęsto sosnowe igły. Po chwili stała przed nim młoda, kruczowłosa dziewczyna w purpurowej, głęboko wydekoltowanej sukni. I zapalczywie potrząsała sztachetą.

– Brzydka?!

Oniemiały Waligóra nerwowo przełknął ślinę, wpatrując się w obnażone niewieście krągłości.

– Wybaczcie, ja żem nie wiedział... – wybąkał wreszcie. – Dorodna z was niewiasta, jak rzepa.

Ale skąd było poznać?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, przy czym żółte ślepie wiedźmy połyskiwały od wściekłości, a zbójca starał się uprzejmiwie omijać spojrzeniem kuszące wdzięki Babuni. A potem oboje wybuchli śmiechem.

– No, uwolnijcie mnie wreszcie – zagadnął Waligóra, kiedy odeszła ich pierwsza wesołość. – Bardzo was proszę.

– A czemuż mam to uczynić?

– Bo jestem miły – oznajmił bezwstydnie rabuś. – Miły, dobry, spokojny. Na pewno się wam przydam. I wdzięczny będę.

Wiedźma zaśmiała się tylko pogodnie.

– Daj mi jeden powód!

– Zróbcie to bez powodu, nie bądźcież sekutnica! – Waligóra rozdarł się tak, że gawrony poderwały się z drzew. – Dla fantazji to zróbcie, dla krwi rozruszania! No, nie bądźcie celnik!

– A niech tam! – machnęła ręką nieporuszona Babunia i poklepała sztachetę za sobą. – Wsiadaj.

– Wolne żarty – obruszył się rabuś.

– A co, mam cię podsadzić? – rzuciła cierpko. – Bierz koszyk i jazda, bo ja nie z cierpliwych.

– Mam wyleźć? – Na twarzy Waligóry odbił się wyraz forsownego wysiłku myślowego. – Tak sobie?

– Tak sobie albo z mozołem, jak wolisz. Byle prędko.

Waligóra chciał jeszcze rzec coś, ale wiedźma nagłoco stuknęła już bucikiem w igliwie, więc zamilkł. Potem ziemia wokół niego zaczęła nagle pęcznieć, spulchniać się i wybrzuszać, aż wreszcie wynurzył się spod niej potężny mężczyzna w powalonym odzieniu. Rozejrzał się z niedowierzaniem, obmacał dokładnie rękami, czy go przypadkiem wiedźma nie zmieniła w jakieś leśne dziwo. Uspokojony, otrząsnął się jak pies, przeczesał palcami brodę, przytupnął dla pewności, a ponieważ Babunia przestępowała nerwowo z nogi na nogę, pośpiesznie chwycił ją w pasie i przysiadł na sztachecie.

– Tylko nie mówcie mi, że cały ten czas mogłem sam z dołu wyleźć – rzekł z wyrzutem. – Nawet nie chcę wiedzieć!

Wiedźma zaśmiała się szyderczo. I poleciała.

Rabuś niewiele mówił. Rozejrzał się bacznie po obejściu, rydze zeżarł ze smakiem, pieczonym kurzęciem zakąsił i piwem popił. Pod wieczór zaś bez protestów owinał się baranicą i wyszykował sobie leże przed paleniskiem. Babunia nie wiedziała, co myśleć o takiej układności, ale obzarała się jako proszę, więc wpełzła pod piernaty i zachrapała smacznie.

Spała czujnie, a że słuch miała jak nietoperz, ocknęła się tuż nad ranem na pierwszy szelest w chacie. Sprężyła się do ataku, póki obca ręka nie wsunęła się ostrożnie pod jej puchową pierzynę.

Zamierzała właśnie ciepnąć w intruza zakłębieniem, kiedy czyjś ostry łokieć dźgnął ją nagle pod żebro.

– Posuńcież się wreszcie!

Babunię z lekka zatchło na podobną bezczelność.

– Wiesz, co ci mogę zrobić?

– A róbcie, co wam wola – szepnął jej prosto w ucho zbójca Waligóra. – Słyszałem, że wiedźmy z niewiast najgorętsze, tom ciekaw.

Babunia także była ciekawa, choć z innych zgoła powodów, lecz kiedy się rankiem ocknęła, w chacie nie było ni śladu Waligóry. Co dziwne, zniknęły też pęto kielbasy z komory, garniec miodu i nowiuśka kapota.

Mruknęła coś do siebie i zajęła się topieniem łoju.

Zbój przylazł dopiero pod wieczór, obdarty, wymęczony i utaplany po uszy w jesiennym błocie. I wściekły.

Kiedy usiadł przy stole, smyrnęła mu po stole miskę z soczewicą i garniec piwa.

Zbój gapił się na nią wrogo, a potem bez słowa rzucił się na strawę.

Wiedźma czekała cierpliwie. Nie pierwszy Waligóra usiłował wymknąć się chyłkiem z Doliny.

– Co wyście uczynili? – wybuchnął wreszcie. – Ja wam chyba kark skręcę! Dzionek cały bez mała się wałęsałem po lasach i po wyrajach, i co? I kudy zalażłem? Ano dokładnie tutaj!

– Nie może być – pokręciła głową Babunia Jagódka.

– Może, może – kipiał złością rabuś. – Już dobrze wiecie, że może.

– Przecież ja was nie trzymam, na postronku nie wiążę. – Wiedźma wzruszyła ramionami. – Samiście mi się wepchnęli do domu i pod pierzynę, to nie śmiejecie narzekać, bo za późno na to.

– A nie narzekam – odezwał się Waligóra łagodniejszym głosem. – A może byście tak... ździebełko... no, sami wiecie...

– Łój topię! – oświadczyła z godnością wiedźma.

– Z nietoperzych sadel? – Zbójca roześmiał się i chwyciwszy ją wpół, poniósł ku wielkiemu łożu z baldachimem. – Później utopicie, a jak trzeba będzie, to sam wam nietoperzy nałapię.

Jednak następnego ranka znów go nie było w chacie, bo dzień cały się włóczył po ścieżkach, szukając wyjścia z zakłętej doliny. Wrócił ciemnąnocką, głodny nielicho i wściekły na wiedźmę i jej czary, ale niepokonany. Ze świtem wylazł z chałupy i w lodowatym deszczu poczłapał szukać traktu jedynie po to, by o zmroku znów zastukać w Babcine okienko. I tak się to ustaliło. Waligóra zrywał się z pierwszym kurem, co tchu wdziawał kapotę i biegał w las, jakby mu tuzin czartów następował na pięty, a wieczorem wracał, sterany i z kwaśną miną. Wyprawiał się tak cały miesiąc. Potem trochę odpuścił i zaczęło się zdarzać, że pokręcił się po obejściu, drew narąbał z nudów, czy siana krowom podrzucił. Ale nie przestał się włóczyć i próbować ucieczki, chociaż zamiast wyjścia z doliny odnalazł tylko karczmę w wilżyńskiej wiosce.

– A nie znudziłeś się jeszcze? – spytała kiedyś Babunia.

Siedzieli pod pierzyną, bo pora była późna, nadto zbój przemarzył okrutnie na codziennej włóczędze.

– Co bym tam miał się znudzić? – odparł pogodnie Waligóra. – Ot, chłodno trochę i niewygodna większa niż latem. Zimą tak bywa, że trzeba się więcej potrudzić. Ale do wiosny żaden czar mnie tutaj nie utrzyma.

Wiedźma zaśmiała się cichutko.

– No, jasne, jasne. Tylko chodnik podstempluj, nim się wam na łeb zwali.

Zbójca podniósł się na łokciu.

– Skąd o podkopie wiecie?

– O nim wie nawet Marcha, co u niej stary Ortyl za parobka siedzi – wycedziła pogardliwie Babunia. – Przywlokła się onegdaj, od złości aż cała sina, i gada, że chłop jej ciągiem z kamratami w oberży przesiaduje. Ale, co jest rzecz niezwykajna, nie napity wraca! I tak się zatroskała, czy zdrów aby na ciele i umyśle, że sama za nim połaża. A wiecie, co usłyszała?

– Mówiłem, żeby się napić po skończonej robocie – mruknął Waligóra – bo się babiniec pozna. Ale nie posłuchali.

– Więc wywiedziała się Marcha, że umyśliły chłopcy zakłęciu się sprytnie wymknąć i podkopszykują na drugą stronę doliny – ciągnęła Babunia. – I zaraz tu przyleciała, żeby ich w mig zatrzymać, bo przecież tak być nie może, żeby nas przechytrzyła gromada zbójców. A ja jej mówię – niech kopią! Chłop musi mieć zajęcie i w przemyślności swojej na nowo się wciąż utwierdzać. No to niech im się zdaje, że wiedźmę wywiedli w pole! Zima nam przejdzie spokojnie, bo od owego kopania wymęczą się okrutnie i czasu na zbytki im zbraknie. Gór przecież nie przewiercą, najwyżej się z karczmarzowej piwnicy do studni czyjejs przekopią, albo w kościelną kruchtę. I tyle. – Przeciągnęła się leniwie.

– Niedobra z was kobieta. – Waligóra bez złości poprawił się na poduszce. – Niedobra i nieroztropna, bo nie zdołacie nas tutaj na całą wieczność przytrzymać.

W chałupie jakby powiało chłodem. Wiedźma posmutniała.

– Na wieczność nie – odparła powoli. – Ale czasami i krócej starcza.

Podniosła się, dorzuciła dREW do komina i ogień rozgorzał jasnym płomieniem.

– Jest w moich stronach legenda – zaczął z namysłem rabuś, rozlewając muszkatel w srebrne kubki – o córce Kii Krindara, która się przed wiekiem wymknęła w Góry Żmijowe z pałacu ojca, a bóg ją za to przeklął i skazał na wieczne pielgrzymowanie pomiędzy śmiertelnymi.

– Wiele ludzie gadają – Babunia zapatrzyła się w płomienie – choć niewiele wiedzą. Kiedyś miał bóg córkę w pałacu z żywych płomieni i jednego dnia uciekła od niego. Z córkami tak bywa. A potem on wszedł w ogień, głęboko popod skały i zniknął. I więcej go nie widziała.

– Czy wróci?

– Skąd mam wiedzieć?

Ogień na palenisku załopotał żywiej, sypnął iskrami.

Kot Wiedźmy ocknęła się i przez uchylone okno smyknęła w ciemność.

Wiedźma wyciągnęła ręce do ognia.

– Czasami słyszę go w płomieniu. Jak szepcze o mieczu, koronie i harfie, przekutyh już na nowo i nasączonych mocą. O wojnie, co się dopala, hen w północnej stronie, daleko stąd.

– Co będzie potem?

– Dla was gównem będzie! – Babunia Jagódka odwróciła się od komina, ściągając wargi w brzydkim grymasie. – Powadzą się książęta, do gardeł sobie skoczą, a potem do domów pojedą. A kto po nich posprząta? – Ze złością potrząsnęła głową. Płomienie za jej plecami rozbłysły ostrzej. – No przecież wiedźma! A wiesz, co wtedy nastąpi? Zaraz się nowy proboszcz na plebanii zagnieździ, przyślą świeżego władkę, starostę i z tuzin pacholców. I będzie jak dawniej.

– To chodźcie stąd – powiedział miękko Waligóra. – Do Spichrzy, albo w dół południowym traktem, nad morze i jeszcze dalej.

– Po co? – Odrzuciła z twarzy czarne włosy. – Wszędzie jest tak samo, a tutaj... – Podeszła do zbója i pochyliła się nad nim, tak że z bliska widział płomienistą magię w jej oczach. – Słyszę płatki śniegu opadające na drzewa, szum wichru wokół grani Mnicha, oddech misia w gawrze i nocny okrzyk sowy, gdy spada z nieba na zajęcze grzbiety. Słyszę przekleństwa kupca, prowadzącego konie poprzez śniegowe zasy, sny posługaczki z gospody, gdy śpi, kuląc się z zimna pod przetartym

kocem, i popiskiwaniam szczuraków, przyczajonych w bruździe, którzy zagryzą kupca, zanim dojedzie do karczmy. To także słyszę. – Skłoniła głowę na ramię i w jednej chwili znów stała się znów pomarszczoną starowiną z dwoma krzywymi zębami i haczykowatym nosem. – Czemu się mnie nie boisz?

– Bo się nie staracie – szorstko odparł Waligóra. – Powiadam, czysta fuszerka. Dwa zęby jednym razem, a potem znowu cztery, paznokcie żółte, czarniawe, raz chyba siny się trafił. Nos nawet wam się zmienia, to wydłuża, to skraca. A na dodatek ta koza, co po obejściu łązi! – Pociągnął ją na łożę i przygarnął niezgrabnie. – Bawicie się w wiejską wiedźmę, to wam nie przeszkadzam. Ale jak tu się bać?

Babunia roześmiała się. Przez łzy.

I nie mówili więcej.

Kiedy ocknęła się rano, grasant siedział na stołku w swojej skórzanej kapocie, obok położył tobołek

– Dlaczego? – Wiedźma uniosła się na łokciu.

– Sam nie wiem! – Kopnął jabłkową obierzynę, aż myszy pod ścianami rozpierzchły się, popiskując. – Sam, psiakrew, nie wiem! – Wiecie, jest w moich stronach powiastka taka – zaczął pod nagłym spojrzeniem Babuni. – O zbójcy, co się grasantką na gościńcu trudził, póki go wiedźma straszna w jasyr nie pojmała. Kiedy byłem berbec, to mnie jego losem niewiasty straszyły. Będziesz jako Kierełko, to cię wiedźma zabierze, tak mi babka mówiła, i w kozła sprośnego zamieni, i będzie pod czarem trzymać, póki nie zechce zarznąć i na skórę wyprawić. Ale to nie dlatego! – Poderwał się i zaczął chodzić po izbie.

– Nie trzymam cię pod szarmem – powiedziała cicho wiedźma.

– A trzeba było trzymać! – Waligóra kopnął stołek. – Trza było uczarować, blekotu jakiego zadać!

Cobym nie myślał!

Szarpnięta wichrem okiennica otworzyła się z trzaskiem, wpuszczając kłęby śniegu. Żadne z nich nie spojrzało w jej stronę.

– Ja nie chciałem baśni – odezwał się wreszcie rabuś. – A tutaj w każdym kącie otwierają się ścieżki prosto w bajkę, w legendę. Prosto w zatracenie. A mnie ciepła pierzyna, żur tłusty, barszcz, polewka, nie wasze baśnie potrzebne. Ja nie jestem Vadiloned, ja was nie zatrzymam. – Umknął w bok spojrzeniem i podniósł z ziemi tobołek. – Bywajcie zdrowi.

Zamknął za sobą drzwi pobielonej śniegiem izby. Bardzo cicho.

– On też mnie nie zatrzymał – wyszeptała wiedźma.

W górze huczał wicher.

KOT WIEDZMY

Kot Wiedźmy z lubością wygrzewała się w wiosennym słońcu na brzoszowych polanach, narąbanych onegdaj przez wioskowego głupka i ułożonych w zgrabny stosik za tylną ścianą drewnitni. Drwa na opał były jednym ze zwyczajowych serwitutów Babuni Jagódki i wieśniacy nie pozwalali sobie w tym względzie na żadną opieszałość, zziębnięta wiedźma stawała się bowiem nader popędliwa i potrafiła zesłać mszyce na kapustę albo paskudne liszaje, nim jeszcze żar na palenisku ostygł na dobre. Jednak Kot Wiedźmy bardziej ceniła sobie świeżą śmietankę, która cudownym sposobem pojawiała się przed brzaskiem na przyzbie w czyściutkim skopku. Tutaj Kot Wiedźmy oblizwała się na wspomnienie kremowej pyszności, wzbudzając nie lada popłoch wśród podwórzowego ptactwa. Stado kurek pierzchło ze ścieżki z donośnym gdakaniem, kogut zaś o cokolwiek wyskubanym ogonie (Babunia czasem potrzebowała czarnego pierza do rozmaitych czarownych receptur) podfrunął na szczyt gumna i począł nieobowiązuco skubać dziobem pióra.

Kot Wiedźmy nawet nie drgnęła. Szczekanie zębami na ptactwo było poniżej jej godności, szczególnie że ostatnimi czasy Babunia zrobiła się okrutnie popędliwa i oblała Kota Wiedźmy wodą ze studni za zaduszenie gęsi. A Kot Wiedźmy bardzo nie lubiła wody, postanowiła więc trzymać się z daleka od domowego drobiu, póki Babunia nie popadnie w przychylniejszy nastrój. Zresztą zawsze mogła się wybrać w gościnę do wioski. Z lubością wspomniła sobie gromadkę zdziczałych zielononózek, co wciąż gnieździły się w ruinach folwarku władzyki, cudem uniknąwszy garnków wygłodzonego chłopstwa. Na razie jednak zwinęła się ciaśniej i z gracją ułożyła pyszczek na tylnej łapie. Po zmierzchu wioska wydawała się jej o wiele ciekawsza, a i wieśniacy wrzeszczeli donośniej, kiedy skakała im zniecka na karki z gałęzi przydrożnych gruszy. A najgłośniej darła się piegowata dojarka, która co rano przychodziła do obejścia Babuni Jagódki ze skopkiem śmietanki.

Co tu dużo kryć, Kot Wiedźmy była zwierzątkiem dorodnym i obdarzonym łajdacką fizjonomią. Z daleka wyglądała jak kłęb skołtunionego ryżego futra – coś w rodzaju mocno wyświechtanych resztek starej kozłej skóry, którą od lat wymiatano brudy z kątów chaty. Kiedy człek jednak podszedł bliżej, w owym kłębie futra otwierało się dwoje wściekłych, czerwonych ślepi, a pojedyncze fuknięcie potrafiło osadzić intruza w pół kroku. Nie, Kot Wiedźmy nie należała do tych licznych przyjaznych zwierzątek, które pieszczono na pańskich dworach i wyczesywano starannie srebrnymi grzebykami.

Zwyczaj wymagał, aby wiedźma miała swojego pomocnika, więc Babunia Jagódka dbała, żeby w domu gnieździło się kocisko. Tak się jednak złożyło, że jakiś czas temu jej dawny kocur – wielka wyliniąta bestia o poźółkłych ze starości kłach – zakradł się nieopatrznie do obozowiska grasantów, co obozowali chyłkiem w dolince nieopodal. Niestety, zbójcy nie mieli należytego szacunku dla miejscowych znakomitości i przydybawszy kocura przy resztkach wędzonego baraniego udźca, utłukli go na miejscu halabardą. Babunia Jagódka zadbała wprawdzie, aby złoczyńcom jeszcze tego samego wieczora łby się porozpękały jako gliniane garnczki, ale kocurze ścierwo żadnym sposobem nie dawało się ożywić – co Babunia uznała poniekąd za wyraz pośmiertnej złośliwości, bo nie lubiła zmian i przywykła do ryżego kocura tak dalece, że nie szczydziła mu przywracających młodość eliksirów. Nim jednak przeszedł miesiąc, wybrała się do targowego miasta gwoli odnowienia zapasu jałowcówki. Że zaś czasy były szumne i burzliwe, postanowiła przylgnąć na popas w klasztornych stajniach. Spokojnie przeszła przez dziedziniec, cokolwiek zdziwiona, że nie widzi nigdzie pacholków, zwinęła kilka ulęgałek, ułożonych równiutko w starym koszu. Zamierzała się właśnie

umościć wygodnie pod końską derką, kiedy z poprzecznej belki spadło nań kudłate, prychnące wściekle stworzenie – i, nim Babunia zdołała sklecić najprostszego czar, przeorało jej pazurami policzek.

Chwilę później przypatrywały się sobie uważnie: Babunia z krwią spływającą po twarzy drobnymi strużkami i Kot Wiedźmy, która wiała się i prychnęła zaciekle w jej uścisku. Wreszcie Babunia fuknęła, jeden raz, ale tak, że Kot Wiedźmy, która miała swój rozum, ucichła w jednej chwili. Łysnęła na boki czerwonymi ślepiami, kiedy twarz Babuni przybliżyła się tak blisko, że nos z nieodzowną kapką niemal dotknął jej pyszczka. Kot Wiedźmy poczuła przelotną ochotę, żeby zasyczyć prosto w to pomarszczone oblicze, ale coś podpowiadało jej, że nie jest to najlepszy pomysł. Oblizwała się tylko nerwowo i napięła mięśnie, zdecydowana jak najszybciej uciekać od tego dziwnego rodzaju koniucha, który kpił sobie z jej wściekłości.

Babunia Jagódka spod przymrużonych powiek przypatrywała się zdobyczy, szacując wściekle, łyskające po bokach ślepią, rysie kępki włosów na stulonych gniewnie uszach i ciche warczenie, które dobywało się z gardła zwierzęcia. Potem ostrożnie zwolniła uścisk. Zamiast uciekać, kocica z wyraźną uciechą zatopiła kły w Babcinym kciuku. Nie była rzecz łatwa, bo Babunia ruszała się zwinnie jak jaszczurka, lecz teraz zdołała pochwycić jedynie koniuszek ryżego ogona. Kot Wiedźmy zasyczała gniewnie na podobną zniewagę, smyrnęła w bok, wygięła się w powietrzu i odwróciła niby fryga z rozcapierzonymi pazurami; jej skołtunione, marchewkowe futerko stanęło dęba, z oczu strzelały iskry. Zazwyczaj tylko straszyla pachołków i obsikiwała im przyodziewek, kiedy swawolili po stodołach z dziewczkami kuchennymi, ale teraz mierzyła prosto w gardło. Chciała zabić, chciała poczuć krew tego bezczelnego stworzenia, które ośmieliło się wyzwać kocicę w jej własnej stajni.

Tamtego wieczoru Kot Wiedźmy nauczyła się jednej rzeczy – wiedźmy nie należy irytować bez względu na to, jak krucho, staro i niezgrabnie wygląda. Konkretnie przekonała się o tym w chwili, kiedy Babunia, która przytomnie nie wypuściła z dłoni kociego ogona, wyrznęła nią potężnie w podtrzymującą strop belkę. Zakończywszy zwycięsko utarczkę, bez ceremonii zapakowała zwierzę do wiklinowego koszyka, dla pewności obwiązując wieko sznurkiem. Potem ułożyła się wygodnie na sianie, okręciła końską derką i zasnęła, ukołysana dobywającymi się z koszyka pełnymi furii pomrukami. Była zadowolona jako rzadko. Wśród wymizerowanych wioskowych kocurów nie trafiał się podobny szatański pomiot i zazwyczaj musiała nie mała czasu zmitrężyć, nim zwierzak nabył dość sprytu i złośliwości, by pełnić trudną służbę wiedźmiego pomocnika. A tamtej jesieni Babunia miała dość innych zajęć.

Kot Wiedźmy nigdy więcej nie rzuciła się na Babunię Jagódkę. Nawet wówczas, gdy odkryła, że urok nie pozwala jej uciec z Wilżyńskiej Doliny i choćby całymi nocami włóczyła się po górach, o świcie nieodmiennie powróci złachana na próg Babcinej chatki. Wiedziała, że wiedźma jest od niej większa, silniejsza i bardziej złośliwa. Nauczyła się darzyć ją rodzajem niechętnego szacunku i zazwyczaj nie wchodziły sobie w drogę. Za to wszelkie inne stworzenia, nie wyłączając wieśniaków i kozłów, które od czasu do czasu pojawiały się w obejściu, prześladowała i dręczyła bez żadnego miłosierdzia. Ostatecznie była Kotem Wiedźmy i знаła swoje obowiązki.

Siadywały z Babunią Jagódką w przeciwległych kątach izby – wiedźma na wiklinowym fotelu wyłożonym poduszką ze spłowiałego szkarłatnego aksamitu, kocica na piecu, na dywaniku splecionym z wełnianych gałganków. Ogień trzaskał w palenisku, a ich czujne, przymrużone ślepią spotykały się czasem nad płomieniami i szacowały bacznie. W pewien sposób były do siebie podobne, obie brudne, wredne i niechętne obcym. Babunia czuła nawet swoistą dumę, kiedy odkrywała w piwniczce ścierwo kolejnego bazyliuszka zakopcowanego na okoliczność srogiej zimy albo potykała się o trzy ogniowe koboldy z ukreconymi łbami, niczym myszy ułożone na progu w

zgrabnym rzedzie. Lubiła, gdy pośrodku nocy budził ją płaczliwy skowyt wioskowego psa, czy wrzask złodzieja, który nieopatrznie zapędził się na wieźmie podwórko. Tylko w wilgotne wieczory przypominała sobie niekiedy o starym kocurze, który sypiał grzecznie w nogach łóżka, aby mogła ogrzewać on zziębnięte stopy – a po odmienieniu do człowieczej postaci i inne sztuki wyczyniał pod pierzyną, na których wspomnienie Babuni Jagódce krew biła na gębę, choć była niewiasta doświadczona. Kot Wieźmy pozostawała całkowicie nieświadoma babcinych wspominek i tęsknot.

Zmierzała właśnie ku wiosce wąską ścieżką pomiędzy rdestem, łopianem i nader bujnie rozkrzewionymi pokrzywami, wzbudzając popłoch wśród wróbli, które zwykły zażywać kąpieli w nagrzanym piachu ścieżyny. Nawet wielki, pręgowany kocur młynarzowej prysnął rącho niby jeleń na jej widok z rosochatej wierzby, gdzie zaczął się chytrze na osobliwie wrzaskliwego skowronka. Zresztą żaden z wiejskich kotów nie mógł się z Kotem Wieźmy równać, bo na magicznych nalewkach Babuni upaśła się i wyrosła niezmiernie, tak że sięgała wieśniakom do połowy uda, kły zaś miała niby żbik. I choć wokół Kota Wieźmy unosił się zachęcający, romantyczny zapach, a słoneczko przygrzewało błogo, kocurowi nawet nie powstała w głowie myśl o amatorach. Owszem, był to zabijaka straszny, lewe ucho stracił w nocnych bójkach i zanim grasanci spustoszyli Dolinę, nie przepuszczał nawet koteczce Wisenki, drobnemu złotookiemu stworzeniu o długiej popielatej sierści, którego we dworze strzeżono niczym drogocennej relikwii, bo kosztowało nieledwie tyle co rozplodowa jałowica. Jednak z Kotem Wieźmy inna była sprawa. Prawdę powiedziawszy, chętniej poszedłby w zaloty do samej Babuni Jagódki.

Jego rejterada pochlebiła cokolwiek Kotu Wieźmy. Pochwyciła od niechcienia młodego szpaka, wątle kostki strzeliły w potężnych zębischach. Nie zwalniając kroku, Kot Wieźmy otrząsnęła z wąsów ciemne piórka, przeciągnęła się leniwie. W wyschniętych trawach świerszcze grały jak szalone, gdzieś w oddali owce pobekiwały melancholijnie, a powietrze aż falowało od upału. Przed wioskową bramą kocica zatrzymała się i skrupulatnie naostrzyła pazury o pień pokrzywionej iwy, na której chłopstwo zawiesiło niewielką kapliczkę o łagodnym daszku, ulubione miejsce wypoczynku wioskowych kotów. Właściwie nie chciało się jej ścigać zielononózek, nie przed wieczorem, kiedy gorąco zelżeje trochę, a kury do reszty zgłupieją od mroku. Zgoniła dwa łaciate kociaki z wiosennych miotów, nazbyt głupie, by rozumieć, że powinny bez zwlekania ustąpić miejsca podobnej znakomitości, i wygodnie ułożyła się na daszku kapliczki. Miała stąd świetny widok na gościniec i wioskowy plac, upstrzony parą dzikich gruszek i trzema oparszywiałymi śliwami.

Przed wejściem do świątyni gromadka bab jazgotała rozgłośnie, ale Kot Wieźmy nie przysłuchiwała się im z uwagą. Wioskowe spory nie obchodziły jej nadmiernie, jak długo świeża śmietanka cudownym sposobem pojawiała się o świcie na progu wieźmiej chaty i było komu skakać na grzbiet z przydrożnej wierzbiny. Nie, żeby Kot Wieźmy nie rozumiała, jak wiele trudu kosztowało Babunię Jagódkę spędzenie na nowo wieśniaków po ostatnim najeździe grasantów. Owszem, pamiętała bardzo dobrze, jak wyłuskiwały z lasu zaszyte w chaszczach i nieledwie jednym głosem beczące niedobitki bab i owiec. A także, jak się zasadzały pospołu na górskich ścieżkach, wyczekując pojedynczych grasantów, wędrownych handlarzy i wszelakiego luźnego motłochu, co go można było czarownym sposobem zwabić do Wilżyńskiej Doliny i zaprząć do wieśniaczego rzemiosła. Nawet teraz, wygodnie rozparta na daszku kapliczki, Kot Wieźmy rozpoznawała czarnobrodego chłopca z siekierą na ramieniu. Do niedawna znano go w dolinach poniżej opactwa Cion Cerena pod imieniem Waligóry, miał tam bowiem zwyczaj zasadzać się na kupców z potężną, nabijaną kamieniami maczugą i gruchotać kości tym, którzy nie chcieli sownie opłacić się na przejście przez jego most. I nikt nie wiedział, jakim sposobem Babunia Jagódka zdołała go oczarować i zawlec do Wilżyńskiej Doliny.

Ponieważ wszystko zdawało się iść utartym torem, Kot Wiedźmy przysnęła na słońku, ostrożnie, z lewym okiem czujnie uchylonym, nasłuchując, czy nie szykuje się jakaś sposobność do burdy. Bo Kot Wiedźmy bardzo lubiła, jak się wieśniacy brali za łby, i z zapalem rzucała się w sam środek bitki, drapiąc i kłając po równo, co się jej nawinęło. Jednak chłopstwo też dobrze poznało obyczaje wiedźmiego domowika i miało się na baczności – kiedy dostrzeżono ją rozpartą na daszku kapliczki, baby pośpiesznie zebrały spódnice i z piskiem rzuciły się do świątyni, zaparłszy dla pewności drzwi solidną deską. Dopiero pod wieczór, kiedy chłopci wracali z sianokosów, Kot Wiedźmy ożywiła się cokolwiek i, przyczajona w cieniu konaru, wypatrywała stosownej ofiary. Ogromnie lubiła wczepiać się pazurami w kędzierzawą czuprynę Osłucha, szczerbatego dezterera z wojska jaśnie księcia pana, którego Babunia Jagódka zdybała, jak podbierał jajca z wiejskich kurników. Już zaczęła się spręzać do skoku na owego nieszczęśnika, kiedy zza pagórka dobiegło ją rażne turkotanie kół. Kot Wiedźmy zasyczała niechętnie: nie znała tego zapachu, a i żaden z chłopskich wózków nie terkotał podobnie. Nie podobało się jej to skrzywienie, ani woń powożącego, ani głupawe parskanie konia. I kiedy wóz podtoczył się wreszcie pod iwę, Kot Wiedźmy z radosnym wrzaskiem i pazurami wysuniętymi niczym rząd sierpów zeskoczyła prosto na grzbiet woźnicy.

* * *

Wrzask Kaniuka było słyhać aż w wiedźmiej chatce pośrodku lasu, gdzie Babunia Jagódka, która w szopce z sianem przekonywała zwajeckiego najemnika do uroków wiejskiego życia, uniosła głowę i westchnęła z uciechy, co Zwajca niezupełnie słusznie wziął za uznanie dla swego miłosnego kunsztu. Stado wron poderwało się w popłochu z porastających smyntarz buków, niweczając polowanie ryżego kocura młynarza, czającego się na nie cierpliwie od południa. W gospodzie Osłuch aż zachłysnął się piwem i na wszelki wypadek oburącz nakrył czuprynę, po raz kolejny rozważając tchórzliwe, acz roztropne wygolenie czerepu na łyso. Także wśród babińca, zabarykadowanego na głucho w świątyni, uczyniło się wielkie poruszenie. Najodważniejsza z niewiast, wioskowa ladacznica, ostrożnie odsunęła deskę i wyjrzała na podwórzec.

Od traktu gnał ku nim rozpędzony wóz, zaprzężony do bardzo porządnego kasztanka; za wozem, rycząc rozpaczliwie, biegała łaciata jałowica i dwie kozy, wszystko przywiązane solidnymi postronkami do pojazdu. Woźnica pędził za całą menażerią, drąc się pod niebiosa i wymachując bezładnie rękoma. Na jego karku, wczepiony czterema łapami w ciemną opończę, siedział potężny ryży kot, który o dziwo wydawał się całkiem spokojny, by nie rzec: zadowolony z siebie. Kiedy wóz wpadł za dziedziniec i zakreślił koło studni, kot z gracją zeskoczył i bez pośpiechu, z zadartym ogonem pomaszzerował w dół, ku strumieniowi. Mężczyzna nie spostrzegł tego od razu i biegł jeszcze bez opamiętania, wzywając wszystkich bogów na pomoc i kreśląc w powietrzu znaki odpędzające złego. Wreszcie zatrzymał się u studziennego kołowrotu, dysząc ciężko i tocząc wokół nabiegłymi krwią oczami.

Wioskowa ladacznica tymczasem pochwyciła kasztanka i jęła go uspokajająco klepać po szyi, otaksowawszy przybysza jednym zawodowym spojrzeniem zza końskiego grzbietu. Był wysoki, po miastowemu chuderlawy, ale uznała, że na wiejskim wikcie rychło się odpasie i nabierze tężyzny, młody, lecz nieprzesadnie, co też ją ucieszyło, bo z młokosami zawsze było za dużo zamętu. Rysów twarzy nie umiała dobrze ocenić, bo pokrywała ją krew rozmazana w walce z Kotem Wiedźmy. Jednak był naprawdę po pańsku ogolony, gładziuchno, i wydało jej się tylko, że widzi cztery potężne cięcia przez lewy policzek, gdzie kocie pazury omsknęły się cokolwiek. No, ale co to za chłop, co na gębie szramy ni jednej nie ma, pomyślała, wciąż gapiąc się bezwstydnie, jak obcy odwiązuje z szyi troczki potarganego płaszcza. Miał jasne włosy, w nieładzie i okrwawione, ale bujne i bez kołtuna,

piwne oczy, które z takim przerażeniem łyskały na boki, że wioskową ladacznicę ogarnęło niespodziane pragnienie, aby przygarnąć go i pocieszyć – najlepiej na łące za ruinami młyna Betki, gdzie chłopcy kończyły układać w stosy świeżo skoszone siano.

Wreszcie przybysz zerwał opończę. Wiejska ladacznica zmrzyła oczy, a jej wargi uniosły się, prawie jak u kotki, odsłaniając ostre zęby. Nieznajomy nosił kapicę, obszytą żółtą lamówką szatę kapłana Cion Cerena. A wiejska ladacznica miała o kapłanach dokładnie takie samo mniemanie, jak Babunia Jagódka.

Po przeciwnej stronie dziedzińca chłopcy wysypywały się raźnie z gospody.

– Dziękuję wam, dobra kobieto. – Kaniuk wyprostował się i, najwyraźniej nieco okrzepnawszy po napaści Kota Wiedźmy, wyjął lejce z ręki wiejskiej ladacznicy.

– E, to nie żadna dobra kobieta – wtrącił myszaty chłopiec, mimo wczesnej pory niemal zupełnie zamroczony, gdyż do niedawna prowadził bujny żywot koniokrada i nie do końca przywykł do trudów pracy na roli. – Przecie to Gronostaj, wasza wielebność. Gronostaj, znaczy się, kurwa. Dziwka nasza wioskowa.

Palce Kaniuka poruszyły się nerwowo, jakby chciał uczynić kolejny znak złe odpędzający, ale pohamował się w porę.

– A wyście, wasza wielebność – dociekał myszaty – z przeproszeniem na koźle z gorąca przysnęli i czerepem w gałąź jaką zahaczyli? Bo nie wierę, żeby was miał kto na przywitanie podobnie poturbować. Toż zbójców u nas nie masz.

– Ani dudu! – przytaknął Ortyl, który wespółek z Waligórą kupców popod opactwem bijał.

– Bestyja! – ryknął donośnie Kaniuk. – Bestyja wstrętna i cuchnąca a jako smok zajadła u bramy mnie zdybała. Ani chybi czując, piekielnica, że ja ze świętymi olejami jadę, przystępu mi do świątyni broniła. Drapieżca przebrzydły chciał mnie wystraszyć i odpędzić, abyście dalej bez pociechy duchowej w grzechu a nędzy gnuśnieli. I ledwie tchu ostatniego ze mnie nie wydarł, przeklętnik, pazurami a kłami gardła samego sięgał, a moc w nim takowa była, że mnie nawet szkaplerzyk ze świętymi zaklęciami, od samego opata poświęcony, obronić nie mógł. Dopiero kiedy my na grunt święty weszli, popod samą świątynią pierchnął i w dym się rozwiął, jako podobne demony we zwyczaju mają. Czuję go, bezbożnika, jak krąży, jak się czai, na życie moje nastając. – Potoczył wzrokiem po chłopach, którzy słuchali tej perory nieledwie z rozdziawionymi gębami. – Ale mnie stąd nie wypłoszą byle piekielne sztuczki, ani demony podstępne, ani nawet sam zły!

Tłum wieśniaków trwał jeszcze chwilę w głuchym milczeniu Wioskowa ladacznica zaśmiała się pierwsza. Głosem piskliwym jak zgrzyt metalu po szkle i pełnym szyderstwa. Myszaty koniokrad dołączył do niej ciemnym basem, Ortyl skrzekliwym falsetem. Babiny w odświętnych spódnicach kolejno zanosily się dobrodusznym gdakliwym rechotem niczym stado barwnych kokoszy. Chłopi z uciechy bili się rękoma po kolanach i podrzucali kapelusze, a karczmarz, korzystając z pospólnej wesołości, chyżo napełniał kufle. Kaniuk przypatrywał się temu wybuchowi ze szczerą grozą w oczach. A oczy, jak słusznie zauważyła wioskowa ladacznica, miał piwne i bardzo ładne.

– Kot to był, nijaka demonica! – zlitował się wreszcie jednooki chłopina ze śladami katowskiego żelaza na czole. – Kot wiedźmy, wasza wielebność, zwyczajny, choć po mojemu bestyja z niego takowa, że z niejednym upierem może iść w zawody.

– Młody kot jeszcze – rzuciła pośpiesznie jedna z bab, rozglądając się z trwogą, czy Babunia Jagódka nie przysłuchuje się wygadywaniom na jej domowika. – Tedy biszkunci, psotnik, jak to między młodymi we zwyczaju.

– Kot wiedźmy? – powtórzył Kaniuk. – Wiedźmi kot, domowik pospolity? To i wiedźmę macie, pomiot piekielny, nasienie plugawe? – jego głos spotęźniał. – Oj, dobrze ojciec opat gadali, że

niełatwa będzie siejba i plon niepewny, skoro się tutaj złe równie silnie załęgło i zakorzeniło. No, ale teraz przyjdzie kres wiedźmim zbytkom. Niech ona jeno moją obecność obaczy, niech święte oleje poczuje i obrazy cudowne, co od wszelakiej złej mocy chronią, sama precz pójdzie na zatracenie. A iść nie będzie chciała, to się ją biczem popędzi albo w ogień pałacy wrzuci niby chwast pospolity.

Chłopi pospuszczali głowy i jęli się z natężeniem wpatrywać we własne chodaki i zapiaszczony podwórzec.

– W ogień? – spytał ostrożnie łysy Kowlik, który też zdezerterował z wojska i dobrze pomniał, jak Babunia Jagódka krzesła kuliste pioruny, przeganiając precz książęcych łapaczy, co zapędzili się za nim aż do Wilżyńskiej Doliny. – Ogniem to, z przeproszeniem waszej wielebności, trudno będzie.

– Wiedźma pożyteczna – przytaknął mu karczmarz, ongiś spichrzański browarnik, co po sławetnym buncie musiał wraz z rodziną w lasy uchodzić. – My, wasza wielebność, w dziczy żyjemy, a wiedźma jest kobieta bywała, jak choroba nastanie, to ziołami człękowi zdrowia przyczyni, jak baba zlegnie, to dzieciaka odbierze. Tutaj byle kramarz z rzadka zagląda, a przecie sami wiecie, wasza wielebność. Powiedzcież, ludziska, ile czasu przeszło, jak się tu ostatni wędrowny balwierz pokazał?

– Z pół tuzina lat będzie – odezwała się piskliwie któraś z białek. – A jak mojemu chłopu zęby rwał, to ledwie go potem Babunia odratowali, bo opuchł jako bania i cały na gębie od zgnilizny szerniał.

– A ile w lasach się wilkołków ostatnimi czasy naległo od tego wojowania! – rozdarła się inna. – A upierów ile i wiaduchów! To kto nas niby bronić będzie, jak wy wiedźmę w ogień rzucicie?

– Starowinkę – dodał z niesmakiem Włokita, który nie dalej jak dwie noce wcześniej spił się z Babunią Jagódką skalmierskim winem zaprawionym lubystką tak okrutnie, że aż po świt biegali goło po południowych zboczach, czyniąc tam wszelakie możliwe sprośności. – Toż wstyd.

Kaniuk pokraśniał z lekka na tę uwagę i zakłopotał się.

– Toć ja jej nie chcę, dobrzy ludzie, zrazu morzyć – począł się tłumaczyć – ani ogniem bez dania racji prześladować. Was takż nie winie, bo was samopas zostawiono, bez wsparcia nijakiego i opieki duchowej, nie dziwota tedy, żeście pobłądzili. Skoro powiadacie, że nijakiej krzywdy nie czyni, trzeba ją będzie z początku łagodnymi słowy napomnieć i przestrzec. Bo może prawdziwie ona jeno niewiasta słaba, co z ułomności natury swej upadła, jako się często dzieje. Rzecz to pospolicie znana, że jak białogłowie od starości rozum szwankować poczyna, a krew ją wciąż upałami dręczy niby młodą, to myśli ją dziwne, bezrozumne nachodzą – jak się niby z demonami brata i pospolituje, po powietrzu lata, a czary szkodliwe odprawuje. Z takowymi łagodnie trzeba, troską a perswazyją...

– To wy jej perswadujcie! – krzyknął zapalczywie karczmarz, któremu Babunia onegdaj napłuła na sam środek łysiny, kiedy latała nad osadą na swej ulubionej sztachecie. – Perswadujcie jej, wasza wielebność, ile wlezie. Ale nas do tego nie mieszajcie.

Kilkoro wieśniaków przytaknęło mu posępnie.

– A wedle wilków zda się z sołtysem naradzić – ciągnął Kaniuk – żeby strażę wokół wioski naznaczył. Który z was jest sołtysem?

Myszaty koniokrad wcisnął głębiej ręce w kieszenie, Ortyl splunął niechętnie na beczkę z nieczystościami, a łysy Kowlik kopnął palik do przywiązywania koni i zaklął paskudnie.

– Jak to? – zdumiał się Kaniuk. – Wiedźmę macie, a sołtysa zbrakło? Trzeba się będzie zejść co prędzej i wybrać męża jakiego godniejszego a statecznego i sołtysem naznaczyć. Toż mus, żeby kto osadzie przewodził.

– Żaden mus! – rozdarła się zza pleców babinca Kordelia, wdowa po młynarzu, niewiasta potężna

i w barach tak rozrośnięta, że jeszcze za życia starego Betki potrafiła sama dwa wory z mąką z wozu zdjąć i do młyna wtaszczyć. – Żaden mus, wasza wielebność! A niby jakim prawem?! – Przepchnęła się do przodu i pogroziła Ortyłowi pięścią, bo się na nią zanadto śmieje popatrzał. – Jakim prawem, ja się pytam, mają nam oni przewodzić? Toż oni nawet nietutejsze, roku jeszcze nie będzie, jak ich Babunia do Doliny ze świata zegnała. I mają się teraz te gołodupce, zbóje i koniokrady do rządzenia brać? A niedoczekanie, wasza wielebność! A skądże mnie wiedzieć, czy oni już tutaj na dobre zostaną, czy jeno z wiosną jako kukawki precz polecą, dobytku jeszcze nakradłszy?

– Święta racja! – kilka niewieścich głosów potaknęło zapalczywie. – Święta racja!

– I tyle ja wam, wasza wielebność, powiadam, że mnie nikt przewodził nie będzie – ciągnęła krewka wdowa. – Bo tutaj i grunta moje, i bydło moje, i młyn, i gotowizna. Mnie pod spódnicą nie świerzbi, żebym miała sobie własnego parobczaka za gospodarza brać. – Spojrzała na baby, z których kilka zmieszało się wyraźnie. – I niech się jednemu z drugim nie zdaje, że jak w izbie mieszka, to rychło do sołtysowania przyjdzie, bo jeno z naszej łaski tutaj żywią! – Stała naprzeciw Kaniuka, czerwona na gębie ze złości i potężna w swej czarnej sukni i wdowim welonie. – A wasza wielebność niech nie słucha, co tam po próznicy ozorem mielą. Plebaniję żeśmy wyszykowały, jak się patrzy, żur nagotowany, a i pora na wieczerzę sposobna. – Wyszarpnęła mu z ręki lejce, a kasztanek ruszył za nią posłusznie.

Chcąc nie chcąc, Kaniuk uczynił to samo.

* * *

Kiedy nakarmiony i wymyty Kaniuk spoczął wreszcie pod puchową pierzyną, użyczoną łaskawie przez młynarzową Kordelię, dumną posiadaczkę jednej z dwóch puchowych pierzyn w osadzie, Kot Wiedźmy wychynęła z chaszczki porastających resztki dworzyszczka. Niespiesznie, z zadartym ogonem przeszła główną ulicą wioski ku domkowi przybysza. Była to maleńka chatynka przytulona do tylnej ściany świątyni i tak świeża, że drewno wciąż zdawało się świecić w ciemności. Kot Wiedźmy pojedynczym prychnięciem ostrzegła drobnego kundelka, którego z niewiadomych powodów uwiązano tuż przy samym wejściu, i wskoczyła na ganek. Drzwi były co prawda zaparte na skobel, ale Kot Wiedźmy nie darmo od lat mieszkała w obejściu Babuni Jagódki. Miesięczne światło zatańczyło na sosnowych deskach, skobel odskoczył z głuchym stuknięciem. Kot Wiedźmy ziewnęła wdzięcznie i przeszła przez próg.

Obcy poruszył się lekko na stosie poduch w poszewkach z wykrochmalonego płótna, a przyczajona na szczycie łóżka nocnica zaklekotała gniewnie, ale ledwo Kot Wiedźmy podeszła bliżej, czmychnęła bez zwlekania przez komin. Ryża kocica stąpała po ścieżce światła tak delikatnie, że słomiane zabawki zawieszane u powały dla odstraszenia złego nawet nie drgnęły. Wskoczyła na wysoki zagłówek, przechyliła łeb i popatrzała z góry na przybysza. Miał na twarzy cztery głębokie, nabiegłe krwią szramy, które poznawała bardzo dobrze. Oddychał jednak tak spokojnie, że nawet trochę go pożałowała. Trąciła łapką jego włosy, jasne i spotniałe od snu, a on coś zamamrotał i otarł się policzkiem o jej futerko. Pachniał miodem i chmielowymi szyszkami, zupełnie inaczej niż parobkowie, którzy odwiedzali nocami Babunię Jagódkę. I był zupełnie bezbronny, albo głupi jak szalony Kuflik, który pasał wioskowe świny w dębowym lasku za dworem władyki.

Rozejrzała się po izdebce. Nocnica wciąż krążyła ponad kominem, powrzaskując z niechęcią, że odpędzono ją od zdobyczy. Kot Wiedźmy rozumiała bardzo dobrze, że nocnica nie odstąpi tak łatwo, skoro komina nie omotano nawet najmarniejszą czerwoną nicią dla odstraszenia złego, a w oknach i na progu poskąpiono gałązek wilczomlecza. Była to rzecz nader dziwna, bo w Wilżyńskiej Dolinie nawet najdurniejsza baba nie zaniedbałaby zakopać przed bramą piętki poświęconego chleba i nie

ułożyłaby się do snu równie lekkomyślnie. Nie widziała ani krzyny soli w kątach chaty, nie nakreślono choćby najmniejszego zaklęcia na belce stropowej. I zdumiewało ją to ogromnie.

Z wahaniem dotknęła łapką przybysza i powąchała jego czoło. Ostrożnie, bo nieraz widziała, jak czarownice pod postacią nietopyrków zlatują się do chatki Babuni Jagódki i bała się, aby się nagle w coś pokracczego nie przemienił. Ale on tylko zmarszczył się lekko, kiedy kocie wąsy połaskotały go w nos, i uśmiechnął przez sen, zupełnie jakby nie widział mamunów, które majaczyły za przesłaniającymi okno błonami. Kot Wiedźmy w zamyśleniu zaczęła wylizywać sobie łapkę, wciąż czując na pazurkach jego krew. Wiedziała, że mamuny dopadną go przed świtem – jeśli nocnica nie uczyni tego wcześniej. A jeżeli mary już raz zakosztują jego żywota, będą co noc obsysać go z sił, póki nie zemrze z wyczerpania i udręczenia.

Nie, właściwie nie miała zamiaru do tego dopuścić. Wrzeszczał tak zabawnie, kiedy spadła mu na grzbiet z dachu kapliczki. A poza tym bardzo ładnie pachniał.

Następne dwie godziny Kot Wiedźmy spędziła nader pracowicie. Najpierw przepędziła mamuny. Na nocnicę nie mogła wiele poradzić, póki nie przysiadła gdzie na gruncie. Obfukała ją tylko starannie i zawlokła do komina kilka gałązek wilczomlecza, zebranego naprędce z przyświątynnych mogiłek. Potem pobiegła rysią aż nad rzekę, w ruiny spalonego przez grasantów młyna, gdzie gnieździło się stadko osieroconych koboldziąt. Spędziła je zgrabnie w gromadkę, choć najstarszy z koboldów stawiał się i mruczał pod nosem, że nie pójdzie na służbę na plebanię, bo żaden z jego przodków nigdy nie parał się równie haniebnym rzemiosłem. Dopiero kiedy Kot Wiedźmy wyszczerzyła ostrzegawczo kły, koboldy ruszyły rzadkiem w kierunku plebanii, ale nadal sarkały pod nosem. Wolałaby kilka skrzatów, które były stwory porządniejsze i bardziej posłuszne, ale te ostatnimi czasy nie mnożyły się nazbyt ochoczo w Wilżyńskiej Dolinie. Zresztą wszystkie spały teraz spokojnie w popielnikach, pod własną strzechą.

Na szczęście koboldy mimo żalów i utyskiwań dość miały obozowania pod gołym niebem, więc zakrzętały się żywo wedle gospodarstwa. Kot Wiedźmy przypatrywała się temu uważnie przez chwilę i znów podeszła do łóżka. Obcy wciąż spał na wznak, a jego pierś poruszała się przez sen łagodnym, miarowym rytmem. Nader zachęcająco. Kot Wiedźmy ziewnęła, przeciągnęła się i ostrożnie, bardzo ostrożnie położyła na pierzynie jedną, potem drugą łapkę. Nic się nie stało. Podumała jeszcze chwilę, usadowiła się na samym środku jego piersi i zaczęła mruczeć.

Od dawna miała na to ochotę.

* * *

To był straszliwy majak. Śniło mu się, że zmora usiadła na jego piersi, wielka i spęczniała od posoki, ścisnęła za gardło i wysysała oddech. Dusił się pod jej ciężarem, jęczał przez sen, lecz nie potrafił się uwolnić, poruszyć lub sięgnąć po święte oleje. Nie mógł nawet uczynić znaku odpędzającego piekielne widziadła. Męczył się tylko daremnie, póki słońce nie weszło wysoko na niebo. Wówczas ocknął się, a jego spojrzenie padło wprost na wielką ryżą potworę, która rozpierała się na jego piersi.

Kolejny wrzask poderwał wrony znad okalającej żalnik krzewiny. Wrzask był zresztą podwójny, bo wyrwana znienacka ze snu Kot Wiedźmy też rozdarła się okrutnie, skoczyła w górę na trzy łokcie i wypadła przez okienną błonę, jakby jej pięć czartów siedziało na ogonie.

Tego dnia mieszkańcy Wilżyńskiej Doliny nie pogwarzyli ze swoim plebanem, bo cały dzionek przeleżał krzyżem przed figurą Cion Cerena. Wielce podobało się to białogłowom, najbardziej Kordelii młynarzowej, która już wcześniej swarzyła się z poprzednim plebanem o rozpustne życie i pijaństwo nieprzystojne osobie duchownej. Wprawdzie Kaniuk mamrotał coś nieskładnie o sukkubie,

nawiedzającym go nocną porą, grzesznej niemocy oraz dyabelskich znakach i driakwiach, którymi obwieszono izbę. Ale Kordelia od lat tęskniła do duchowej opieki i nie zamierzała łatwo poddać się zwątpieniu.

– No i dobra rzecz, że pobożny! – ofuknęła co bardziej płocze z dziewcząt, które podglądały nowego proboszcza, chytrze podsunąwszy sobie ławkę pod witrażowe okno. – Przynajmniej dziewczuch nie będzie bałamucić i z chłopami w gospodzie pić. A że z wolna do nowego miejsca przywyka, też nie dziwota. Widać przecie, że człek miastowy, pewnikiem w klasztorze chowany.

– Albo na umyśle słaby! – zarechotał Ortyl; sprawy duchowe mu były zgoła obojętne, natomiast prawdziwie nienawidził młynarzowej, która nigdy nie przepuściła okazji, by go zwyzywać od grabieżców, złodziei i morderców. – Słyszeliście, jak o wiedźmie powiadał? No, chciałbym ja widzieć, jak on pójdzie Babuni Jagódce gadać, że jest niewiasta w rozumie ułonna i jeno z urojenia popo niebie jeździ.

– A czas byłby wielki! – odezwała się zjadliwie jedna z niewiast. – Zanadto się ostatnimi czasy rozbisurmaniła, bezwstydnica, zdałoby jej nieco swobody ukrócić a wędzidło w pysk włożyć. Bo do czego to podobne, żeby ona co nockę goła po polu latała, jeszcze się chytrze w młódkę odmieniwszy. A ciągiem z innym chłopem!

– Ano gadają ludzie, że się onegdaj z waszym Kowlikiem w stawach rybnych pławiła i w tataraku pospołu okrutnie zbytkowali. – Ortyl uśmiechnął się wrednie. – Może stąd właśnie wasza na Babunię zaciekłość, żeście swego chłopą upilnować nie potrafili.

– A żeby cię, ścierwo, nagła zaraza sparła! – rozdarła się kobieta. – Żebyś oparszywiiał, kozojebco! Żeby ci się chwost w supeł zawiązał!

– Dosyć! – Kordelia nie życzyła sobie wrzasków na świątynnym dziedzińcu i nie zamierzała dopuścić, aby przeszkadzano proboszczowi w nabożnym skupieniu. – Trzeba się było pierwzej zastanowić, potem przybędę pod pierzynę brać. A jakeście chcieli zwyczajnego drapichrusta w dom wprowadzić i bez ślubu, bez błogosławieństwa kapłana z nim żyć, jakoby z prawowitym małżonkiem, to się teraz nie dziwujcie, że za innymi gania. Co łatwo przychodzi, tego i postradać nie żal. Insza rzecz zgoła, jak się z rodziców namowy i przyzwolenia w pokrewieństwo wejdzie z mężem uczciwym a pobożnym. Bo ja wam powiadam, że ze świętej pamięci małżonkiem mym przeżyłam w spokojności nieledwie trzy tuziny lat i ani razu nie zhańbił mnie choćby cień podejrzenia w jego małżeńską uczciwość i ku mnie przychyłność. – Uniosła w górę palec i ciągnęła z namaszczeniem: – Nie chadzał do wiedźmiej chaty i nie szukał niegodziwego towarzystwa ladacznic. Dnie wiódł na pracy, wieczory na modlitwie i rozmowach pobożnych, uciech lekkich nie pożądam. Nawet wiedźma znała stałość jego umysłu i nie próbowała go uwieść czartowskimi sztuczkami.

Niewiasty popatrzyły po sobie i spuściły wzrok. Żadna nie śmiała przerwać Kordelii, ani też napomknąć, że może Betka młynarz istotnie świecił wzorem cnót małżeńskich, ale był to człek gruby, mrukliwy, stroniący od łaźni i nazbyt brzydki, by go Babunia miała zachęcać do wiarołomności. Bo Babunia wielce sobie ceniła cielesne uciechy, by nie rzec, że chuciom folgowała, jednak z czymś, co cuchnęło niby cap, sypiała jedynie pod postacią kozy.

– A co z Babunią będzie, to się jeszcze pokaże – rozprawiała Kordelia. – Bo mnie się widzi, że nasz proboszcz, może człek po miastowemu miękki i cokolwiek młody, ale przecie rozumny. Niech jeno przed Babunią o ogniu bardzo nie gada, jak ów kleryk Sosisek, co go jeszcze dawnymi czasy z opactwa przysłali, to się jakoś po trochu utrząsie. Może będą po staremu, jedno w lesie, drugie we świątyni siedzieć. Przecie Babunia jest niewiasta przemyślna, wiedząca, że nam tutaj duchowna osoba potrzebna. Byle pleban z początku czym jej nie uraził...

– O co łatwo być może – mruknął Ortyl. – Wykładacie sobie, jak on będzie Babunię modlitwą a

świętymi olejami do pobożności nakłaniać? A może się na jej progu położyć? Przecie on od poranka krzyżem leży, pościadać nawet zapomniawszy.

– No, zawdy jakaś odmiana, bo dawniejszy proboszcz to raczej na Rozalce zwykł polegiwać – mruknęła któraś z bab.

– Nie gadajcie! – Kordelia rozeźliła się na dobre. – Miał proboszcz swoje ułomności, pierwsza mu to w oczy gadałam, jak między nami mieszkał. Ale był człek z kośćmi dobry i nikt go z Rozalką w grzechu nie przydybał.

– Bo plebania była na noc żelazną kłódką zawarta! – Babina w pasiastym fartuchu rozciągnęła usta w uśmiechu, ukazując bezzębną szczękę.

– A nawet jeśli! – Kordelia aż posiniała z oburzenia. – Cóż stąd? Lepiej z Rozalką żył niżli niejeden chłop, co przed ołtarzem i bogami ślubował. Bo ja pomnę, jak wasz chłop, upiwszy się jako wieprz, do naszej Jarosławny w zaloty chadzał i nocami popod młynem wył niby pies. Ale nie dla psa kielbasa i oskoma podobna, nie dla niego Jarosławna przeznaczona, jeno dla...

– Tego księcia, coście nam o nim do znudzenia prawili? – zarechotała niewiasta. – To powiedzcież nam jeszcze, cna Kordelio, czemuż wasza Jarosławna, ta czysta i szlachetna dziewica w rok potem od owego księcia uciekła, dwoje dzieciak precz porzuciwszy? I to z kim jeszcze? Z najemnikiem pospolitym, chłopem grubym a sprośnym, co ją pewnikiem do tejże pory zdążył zostawić gdzie pode płotem z bachorem nowym.

– Oż, ty małpo! – ryknęła Kordelia. – Ja ci ten jęzor parszywy własnymi rękoma wydrę, abyś nim więcej oszczerstw nie kłapała, przeklętnico!

I wzięły się za łby, jako było we zwyczaju u bab z Wilżyńskiej Doliny. Kaniuk zaś, który od dłuższej chwili przysłuchiwał się ich wrzaskom, szczerzej przyłgnał do chropawej podłogi świątyni. Rozumiał bowiem, że jego misja będzie trudniejsza, niż się spodziewał – i to nie tylko dla popędliwości wiejskich bab.

* * *

Podczas następnego tygodnia Kaniuka z wolna ogarniało straszliwe podejrzenie. Nie, żeby doświadczał szczególnych trudności za przyczyną wieśniaków, bo ludek Wilżyńskiej Doliny obserwował go bacznie, ale z należnym szacunkiem. Jednak rzeczy nie szły, jak iść powinny. O zmroku z kątów chaty dobiegały go dziwne szmery i chroboty; zrazu podejrzewał myszy, które i w kościele czyniły harce straszliwe podczas najświętszych ceremonii, ale nigdy nie zdołał ich w izbie przydybać. Co gorsza, kiedy z kagankiem w rękę zaglądał pod skrzynie i inne statki, zdawało mu się, że w cieniach przy ścianie coś smyrga przy samej ziemi i chichocze złośliwie z jego wysiłków.

A nie były to jedyne znaki złej mocy, która nocami szalała po jego obejściu. Rankami znajdował swą izbę uprzątniętą do czysta, zamiecioną starannie, z posadzką wysypaną czyściutkim piaskiem i świeżym tatarakiem. Z początku łudził się nadzieją, że któraś z białogłów zakrada się we ćmie na plebanię i czyni babską posługę – której nie życzył sobie bynajmniej, podobnie jak niewieściej kompanii, gdyż w klasztorze przywykł sam dbać o swoje potrzeby, a nie były one wielkie. Zwierzył się nawet z tego podejrzenia Kordelii młynarzowej, która wydawała mu się kobietą zacną i stateczną, choć słyszał, że córka jej pobłądziła straszliwie, porzuciwszy ślubnego małżonka. Kordelia z początku wydeła wargi i poczęła rozwodzić się nad wszetecznością niewiast, pozbawionych męzowskiej troski i nadzoru. Rychło też wyłożyła Kaniukowi bardzo dobitnie, acz wbrew jego intencji i napominaniu, która z bab wzięła sobie za kochanka jednego ze sprowadzonych przez wiedźmę huncwotów, na jego strapienie jednak nic poradzić nie potrafiła.

Jednej nocki Kaniuk osobiście zasadził się w oceniającej plebanię brzezynie, chcąc na gorącym

uczynku przyłapać wszeteczną zalotnicę. Nic jednak nie pomogło. Noc całą dygotał w chłodzie, przepowiadając pod nosem modlitwy dla odstraszenia złej mocy, jednak rankiem izba była po staremu wysprzątana, malowane talerze na ścianach omiecione z kurzu, a poduchy na łożku wytrzepane starannie i ułożone w zgrabny stosik. Na stole świeżo upieczony drożdżowy placek z jagodami pachniał tak wspaniale, że ukroił sobie kawałek. Nie trzeba dodawać, że wszystkie garnki i misy lśniły jakby ich nikt nigdy na ogniu nie kładł, drew nie ubyło nawet o marną szczapę, a popielnik połyskiwał czystością. Dobrą chwilę siedział przy stole z czereśniowego drewna, głowę nisko zwiesiwszy, i rozpaczał nad swymi grzechami i ułomnościami, co doń moce przeklęte zwabiają. I nic, zupełnie nic nie umiał poradzić.

W stajence nie lepiej się działo. Krowa i kozy, podarunek starego ojca opata, który rozumiał dobrze, że ziemie w Górach Żmijowych straszliwie splądrowano, były zawsze wydojone przed świtem, a mleko czekało na Kaniuka w pięknie malowanych dzbanach. Pić go nie śmiał, lękając się jakowejś zdrady piekielnej, więc niósł je co rano do świątyni i błogosławił uroczyście. Że zaś zdawało mu się grzechem dary bogów marnować, kazał je szalonemu Kuflikowi, który czasem przychodził na plebanię do cięższej posługi, rozdzielać pomiędzy najbiedniejsze białki. A przecież na mleku się nie kończyło. Jego kasztanek zawsze był pięknie zgrzeblęciem wyczyszczony, nawet czerwone wstążki mu ktoś we grzywę wplatał. W ogródku za plebanią kapusta i rzepa rosły jak oszalałe, zdziczałe róże, co je własnymi rękoma szczepił i piastował, przed czasem pokryły się kwieciami tak wonnym, że z całej wioski niewiasty zbiegały się je podziwiać.

Ludek Wilżyńskiej Doliny zaczynał gadać, że z jakichś powodów Babunia Jagódka osobliwie sprzyja nowemu plebanowi. Posądenie owo okrutnie Kaniuka bolało.

Ale najgorsze były koszmary, co go nieledwie każdej nocy nawiedzały, cisnąc i gniotąc niby młyński kamień. Oprócz tamtej pierwszej nocy nigdy nie udało mu się zmory przydybać, ale pomniał ślepią gorejące niby piekielne węgliki i głos niski, chropawy, jak szepcze mu do ucha plugawe zaklęcia. Odurzony sennym majakiem czuł, jak doń podchodzi, dotyka powoli, ostrożnie, łaskocze oddechem w gardło i szyję. A, co przerażało go najbardziej, we śnie jej dotyk nie był mu niemiłym. I kusiło go, aby przygarnąć mocniej ową miękką, delikatną obecność, która pochylała się nad nim każdej nocy.

Budził się ze świtem, z pierwszym pianiem wioskowych kurów i widział na poduszkach zgnieciony odcisk jej ciała, wciąż ciepły i zapraszający. Rozglądał się po izbie, wysprzątanej i jasnej od porannego słońca, co wpadało przez uchylone okiennice, choć pamiętał bardzo dobrze, że zamykał je na skobel przede zmierzchem. I chwycił go jakiś żal dojmujący za własną słabość i skłonność ku mocy nieczystej. Z wolna zaczynał się też zastanawiać, czy ojciec opat nie przecenił aby jego świątobliwości i czy nie powinien wrócić do klasztoru, gdzie dźwięk świętych dzwonów i modły pospólne mnichów oczyszczą go i wyzwolą spod omamienia.

Aż razu jednego ocknął się Kaniuk w izbie posrebrzonej miesięcznym światłem i w pełnej krasie ujrzał swą prześladowczynię. Mara siedziała na kufrze z nogą założoną na nogę, zalotnie odsłaniając rąbek jedwabnej pończochy. Wijące się, kruczoczarne włosy upięła pojedynczym srebrnym grzebieniem i luźno puściła na plecach, usta ukarminowała paskudnie, rzęsy ani chybi podkręciła i węglikiem pomalowała, a jej ślepią skrzyły się i połyskiwały prześmiewczo. Suknię z czerwonej kitajki miała na gorsie przybraną falbanką i tak wyciętą, że Kaniuk, który czegoś podobnego nie oglądał nawet na obrazach ze świętymi, co poskramiają pogańskie ladacznice, aż pokraśniał ze wzburzenia. Zmora niezawodnie dostrzegła jego spojrzenie, bo uśmiechnęła się z rozbawieniem i oblizwała wargi ostrym języczkiem. Tego było już za wiele.

– Idź precz, maro przeklęta! – krzyknął, czyniąc znak odstraszący złe. – W imię Cion Cerena

wzywam cię, odstęp, siło nieczysta!

– Co wy tak wszyscy z tą czystością? – Zmora skrzywiła się nieznacznie, lecz w żaden sposób nie okazała strachu czy zawstydzienia. – Myją się mnisi najtężej na rok cztery razy, a i to jak słońko mocniej przypiecze, ale drzeć się o czystości to zawdy pierwsi. A nie wstyd tak obcym przyganiać, he? A czy ja się pytam, czemu deszczówka na kąpiel tak się wara w beczce zastała, że się w niej żaby poległy?

Kaniuk na podobną bezczelność zaniemówił ze szczętem. Zresztą i tak nie bardzo by wiedział, co dalej gadać. W przypowieściach sukkuby pierzchały co sił, kiedy tylko mnich ocknął się i wezwał świętego imienia, nie był więc przygotowany na dłuższą konwersację.

– No, nie gapcie się na mnie niby bazyliszek. – Sukkub wzruszył ramionami. – Toż was nie zeżrę i w capa nie zaknę. Rozmówić się z wami przyszłam. Tak po sąsiedzku, wedle obyczaju.

Kaniuk poprawił się lepiej na poduszkach, usiłując przybrać godniejszą pozę. Co nie było łatwe, zważywszy że zmora przypatrywała mu się nader nieoględnie.

– Wyście tutejsza niewiasta? – zapytał ostrożnie. – Wybaczcież, ale imienia waszego wspomnieć nie potrafię i chyba wcześniej was w świątyni nie oglądałem...

Tutaj Kaniuk wspomniał przytomnie wioskową ladacnicę o wdzięcznym mianie Gronostaj, która także nie zaglądała w poświęcone progi, na rozmaite sposoby okazując mu swoją niechęć. Nieznajoma była co prawda bogaciej przyodziana, lecz gapiała się nieprzystojnie i przygadywała świątobliwej osobie równie bezczelnie jak Gronostaj, a jej suknia była nad wyraz nieskromna i wyuzdana.

– Pora wprawdzie cokolwiek niestosowna – napomknął delikatnie, nie chcąc urazić nieszczęsnej grzesznicy – ale ja ci jestem wielce rad, moje dziecko. Ogromnie. A jeszcze bardziej rad będę, jeśli się zechcesz do nas w modlitwie przyłączyć. I nie lękaj się, że ci w świątyni kto krzyw będzie, albo słowem nieopatrzonym przykrość wyrządzi, bo ludzie w Dolinie dobrzy i pobożni... – Zawahał się cokolwiek, wspomniawszy, jak onegdaj, przechodząc obok gospody, posłyszał, jak się Ortyl z Waligórą przechwalali dawnymi przewagami, co je wedle mostku na Krtynie świadczyli, kupców łupiąc i mordując. Jak się na jego widok porwali ze stołków i pozdrowili z uszanowaniem, kryjąc za plecami kości do gry i kufle z piwskim, dla większej mocy spichrzańską gorzałką przyprawionym. – No, w każdym razie natura ich ku pobożności skłania, choć ciała wciąż mdłe i do grzechu nawykłe – dodał niechętnie, gdyż był człowiekiem prawdomównym i uczciwym, jak rzadko. – Ale własnym słowem ręczę, że nie będą ci przeciwni. Dość, byś się występku wyrzekła plugawego i do niewieściej poczciwości powróciła. Rychło się dla ciebie jakie zajęcie znajdzie i dach nad głową, i strawa. I między ludźmi sława dobra. Jest też w Wilżyńskiej Dolinie ziemi dość, co od ostatniego najazdu ugorem leży, chwastem i tarniną porasta. Dość, żeby dla ciebie zagon jaki wykroić. A jesteś młoda i nadobna, wnet i męża sobie poczciwego znajdziesz, dziatki mu rodzić będziesz, jadło warzyć, bydłatka oporządzać...

Niewiasta przysłuchiwała się jego perorze z głową przekrzywioną na ramię i dziwnym wyrazem twarzy. Potem roześmiała się. Bez złości, ciepłym, gardłowym głosem. A jeszcze później pochyliła się nad Kaniukiem, który w swej wykrochmalonej, zapiętej pod samą szyję nocnej koszuli tkwił pod puchową pierzyną, sztywno oparty o stos poduch, i nim cokolwiek zdołał uczynić, pocałowała go prosto w usta.

– A to się nam dziwo w Wilżyńskiej Dolinie trafiło! – powiedziała, rozbawiona jego konfuzją. – Od jednorożca rzadsze i bardziej płochliwe. Uczciwy a nabożny pleban. Choć nierozgarnięty i w świecie nieobyty. Przyznać trzeba, żeście jedno dobrze zgadli. Wedle mego bydłatka przyszłam.

– Bydłatka? – powtórzył ogłupiały Kaniuk.

– Ano bydlątka. – Niewiasta znów uśmiechnęła się ślicznie. – Kota konkretnie. Kota mi, wasza wielebność bałamucicie, ot co! Ostatnimi czasy ledwie ją oglądam, może przed świtem nazreć się przychodzi, ale po nocy, to już ze szczętem u was na zapiecku siedzi. Dobytku nie pilnuje, ludzi nie tumani, złego nie odstrasza. Mamuny tak się rozzuchwały, że mi przeszłej niedzieli pół nocy w ogrodzie tańcowały, lulek i piołun ze szczętem zdeptawszy. Chłopstwo rozbestwione, nie dalej jak wczoraj sama jakiegoś pachola naszłam, jak mnie w kąpieli podglądał w tataraku ukryty. No, ten sobie prędko na baby nie popatrzy – dodała mściwie, aż Kaniuka ciarki przeszły – chyba że mu jaskrę z oczu przed figurą wymodlicie. Toż sami rozumiecie, że tak dalej być nie może!

– Wybaczcież, dobra kobieto – zdołał wreszcie wtrącić Kaniuk – ale ja waszego kota w życiu nie oglądałem.

– A jak wam się wydaje? – Czarnowłosa aż się zachnęła i jęła wyliczać na palcach. – Kto wam nocnicę zadusił, co się tutaj na dachu nieomal załęgła? Kto koboldy ze starego młyna sprowadził, żeby wam w gospodarstwie pomoc czyniły? Kto skrzaty moje, i to moje własne, w kominie hodowane – rzuciła z pasją – na wasz łaskawy chleb przynęcił, żeby koniom grzywy plotły, a mleko od kwaśnienia chroniły? Kto was tutaj co noc strzeże i od uroku broni? Przecie nie opat z klasztoru i nie figury wasze, jeno mój kot! Mój własny, na likworach magicznych wypasiony i zbeczelniały, bo kot więdźmy to nie może być byle pachruście, ale bestia potężna, groźna i zajadła! – Podrzuciła głową, a srebrne kolczyki zadzwoniły dźwięcznie.

Kaniuk odczekał jeszcze chwilę, by upewnić się, że wybuch wściekłości minął na dobre, a potem uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu – w żaden inny sposób nie potrafił okazać swego zatroskania. Teraz już rozumiał dobrze, dlaczego wcześniej nie oglądał jej w świątyni, jednak nie mógł nic więcej uczynić dla nieszczęsnej, szalonej niewiasty. Musiała nocką z lasu przyjść, pomyślał ze smutkiem. Wojna bowiem srożyła się okrutnie w Górach Żmijowych i wciąż jeszcze we kniei kryło się sporo luda, zbiegłego z wiosek albo i dworców szlacheckich przed podjazdami rozswawolonego żołdactwa. Było między nimi niemało niewiast, choćby i szlachetnego rodu, które poszalały od oglądanych mordów i okrucieństw; Kaniuk własnymi rękoma wynosił im pożywienie popod mur opactwa, ale żadnej nie udało się na długo zatrzymać, ani tym bardziej do rozumu przywieść. Wciąż dźwięczały mu w uszach przeraźliwe krzyki jasnowłosej dziewczki, która przywlokła się ku nim zeszej zimy. Brnęła przez świeży śnieg, nieledwie naga, w poszarpanym giezle, nawołując kogoś – męża, syna, czy brata, nigdy się nie dowiedział. Podobnie jak ani zgadnąć potrafił, czy ta kruczowłosa niewiasta tylko bredzi o jakimś zwierzaku.

– Kota twojego jutro poszukamy – powiedział miękko. – Na razie prześpij się trochę i wypocznij. We ćmie go nie znajdziemy. – I począł się gramolić z łóżka, bo w izbie było tylko jedno posłanie: nie wydało mu się stosownym dłużej w jej kompanii przestawać i zamierzał się przespać w stodółce.

– Że też z wami zawsze tak samo! – Niewiasta wzięła się pod boki. – Darmo język sobie strzępić, bo jak grochem o ścianę! Żaden nie słuha po dobroci! – Tutaj zwinęła się jakoś dziwnie, skurczyła w sobie.

W izbie zafurgotało coś, zaszurało w kątach. Cienie przemknęły po posadzce, okiennica szarpnęła się i rozwarła z głuchym stukotem.

Na niskim stołeczku przed łóżkiem babina, o twarzy pomarszczonej i wyschłej niby gruszka suszona na zimę w kominie, gniewliwie owinęła się chustą; jej dłonie były pokrzywione ze starości i pokryte niebieskim żyłkowaniem. Kaniuk jęknął bezgłośnie i uczynił znak odpędzający złe, ale starucha zbyła go machnięciem ręki i wygładziła ciemną spódnicę, która sterczała dobre pół łokcia od ziemi na warstwie nakrochmalonych halek. Spod chustki, ciasno zakutanej i związanej pod brodą na solidny węzeł, łysnęły ku niemu przejryste, bursztynowe ślepie więdźmy.

– Ot, tak to jest, jak się człek z wizytą wyszykuje – sarknęła, skrobiąc się obcasem po łydce. – Jeno ziół dla was namarnowałam za dobrych parę groszy. I po co, skoro żeście się okazali zwyczajny niedowiarek nieużyty? No, przestańcież! – mruknęła, widząc, że sięga do szkaplerzyka. – Toć gadam, że po sąsiedzku przyszłam, bez złej myśli, i krzywdy wam żadnej też uczynić nie zamyślam. Jeno kota mojego chcę.

– Ale ja wam wedle sprawiedliwości obiecuję – odezwał się słabo Kaniuk – że waszego kota w izbie nie trzymam.

– Przecie wiem. – Uśmiechnęła się bardzo niemiło. – Jakbyście go umyślnie przynęcili, inna byłaby rozmowa. Jestem niewiasta słabowita i zgodna, że do rany przyłoż, ale swojego dobytku rozkradać nie pozwolę. Co to, to nie! A tak, po dobroci do ładu z wami dojść próbuję. Bo wy i tak pożytku żadnego z podobnej bestii mieć nie będziecie. Aby sobie nie myślcie, że jej się u mnie jaka krzywda dzieje. – Wyciągnęła ku niemu sękaty paluch, a kapka na czubku jej nosa zachybotała się niebezpiecznie. – Legowisko ma na zapiecku postrojone, myszy w piwnicy dość i śmietankę z porannego udoju co dzień świeżą. Z pustoty tylko i na złość podobne brewerie wyczynia, na osławę mnie wystawia. Bo, wykładacie sobie, jaki by był między ludźmi śmiech a szyderstwo, gdyby się o tym wieść rozeszła, że wiedźmi kot na plebanię gania jakby mu kto soli na ogon nasypał?

– Ale czegoż on tu szukać może? – Kaniuk bezradnie pokręcił głową. – Toż ja nic nie mam, ani złota, dobytku żadnego, ani strojów paradnych. Sam w chacie żyję, w spokojności, czas na modlitwie i nabożnej lekturze trawiąc...

– A skądże wiedzieć, co to zwierzynie do łba strzeli? – rzekła filozoficznie wiedźma. – Dość, żeście jej wielce miłym. Czemu ja przeciwna nie jestem, bo powiadają ludzie, że człek z was dobry i z kośćmi poczciwy. Jako mówiłam, w szkodę wam wchodzić nie zamierzam, ale też sobie bruździć nie pozwolę. Wy wedle obyczaju w świątyni modły odprawiajcie, wieśniaków przed grzechem napominajcie, bo ludek w Wilżyńskiej Dolinie mamy niespokojny, do pijaństwa, łupiestwa i poróbstwa nawykły. Pola trza będzie od chrabaszczów poświęcić, utopce na strudze kadzidłem postraszyć, niewiasty z kazalnicy napomnieć, aby, skoro już pobożne być nie potrafią, niechaj się chociaż łajdaczą ostrożnie a rozważnie.

Kaniuk aż oklapł na posłaniu, słuchając podsumowania swej duchowej posługi dla wilżyńskiego ludku, jednak nic nie powiedział. Po prostu zabrakło mu sił.

– Sami zaś w las za daleko nie łaźcie – pouczała go wiedźma – bo tutaj głusza nieprzetrzebiona, bobołaki w ostępie siedzą, a zbójcy przy traktach łupią. I nie kładźcie ludziom do głów żadnych bredni o ogniu i wiedźmobiciu, bo rychło się moja cierpliwość okończy. No, pogwarzyli my, jak się patrzy – powstała i znów wygładziła spódnice – a na mnie czas. Bywajcie, a jak mojego kota obaczycie, to go wedle waszego bezpieczeństwa precz popędźcie. Kamieniem. Byłabym zapomniała! – rzuciła na odchodne. – Jak się z sianokosami uporacie, to pogońcie wieśniaków, żeby dachy reperowali, bo nam zima wcześniej nastanie i nieprędko puści. Zanadto się tutaj ludziska rozprzęgli, kiedy dawniejszego proboszcza zbrakło.

Kaniuk w otępieniu skinął głową, ale wiedźma była już w drzwiach. Nad progiem odwinęła się raz jeszcze w smudze miesięcznego światła i na nowo przemieniła w piękną, czarnowłosą niewiastę. Widział, jak kołysząc biodrami, idzie pomiędzy rzędami jabłonek, aż do solidnej sztachety opartej o ścianę stajenki. Po czym usiadła na niej okrakiem, wysoko, bardzo wysoko zadzierając spódnice.

Jej podwiązki też były w kolorze ciemnego burgunda.

Kaniuk zaś do świtu obracał się bezsennie, puchowe piernaty gryzły go i kłuły, na sercu było ciężko. Wiedźma w czerwonej sukni, niewidzialny kot, skrzaty przyczajone pod kominem – za dużo tego było na jego skołataną głowę. Potrzebował mądrej rady. I to potrzebował jej przed jesienią,

zanim śnieg na dobre zasypie przełęcz i uwięzi go w Wilżyńskiej Dolinie, razem z jej koboldami, mamunami i kotem wiedźmy.

* * *

Kot Wiedźmy nie omieszkała zauważyć wizyty Babuni, zanadto dobrze znała ów szczególny poświst wichru i zapach różanego pachnidła. Przytała się tylko, przyłgnęła szczerzej do gałęzi jabłunki i bacznie śledziła każdy ruch Babuni Jagódki. Była zbyt daleko, aby ją słyszeć, ale słowami nie zaprzętała sobie głowy: i tak wiedziała, po co wiedźma przyszła. I wcale się jej to nie podobało. Nawet kiedy Babunia Jagódka odleciała wreszcie na swej ulubionej sztachecie, Kot Wiedźmy wciąż koniuszkiem ogona wybijała na korze jabłunki swe niezadowolenie, a jej futerko było nastroszone niczym szczotka do czyszczenia kominów. Żaden z koboldów nie śmiał bliżej podejść, pokłoniły się tylko z daleka i zniknęły w małej jamce pod studzienną cembrowiną, gdzie zwykły przysypiać większość dnia, aby pleban nie natknął się na nie przypadkiem.

Sam Kaniuk wynurzył się z chaty o świcie, ale też nie miał zwyczaju długo sypiać. Tego ranka przyklęknął tylko na krótko przed figurą Cion Cerena i przywołał jednego z wiejskich dzieciaków nieodmiennie w przydługich, umorusanych koszulinach. Z owym dziwacznym roztargnieniem, które sprawiało, że Kot Wiedźmy miała ochotę otrzeć się o skraj jego sukni, położył mu rękę na głowie i poprosił, aby przywołał Kordelię. Dzieciak, ogorzały chłopiec z brzydką blizną na buzi, który stracił oboje rodziców w najeździe grasantów i służył w gospodzie za kąt do spania i miskę pożywienia, aż pojaśniał i wyprostował się pod dotykiem proboszczowej dłoni, ale Kaniuk nie spostrzegł niczego. Podobnie jak nie widział, że gospodynie w jego przytomności urywają w pół słowa zwyczajowy jazgot i skwapliwiej napełniają miski sierotom, które chowały się na łaskawym chlebie po wiejskich chatach. Ani tego, że grasanci, obrócenii Babcinym sprytem w wieśniaków, mocniej pochylają się nad pługiem, kiedy padnie na nich łagodny wzrok proboszcza, karczmarz zaś chowa fałszywe kości i skrupulatnie wylicza resztę, choćby najbardziej pijanym bywalcom.

Kaniuk był tego wszystkiego doskonale nieświadomy. Jego łagodne niebieskie oczy prześlizgiwały się po strzechach krytych świeżą słomą i rumianych obliczach wieśniaków, kiedy ładował na dwukółkę kilka pośpiesznie związanych tobołków – świeżą kapicę, kozuch na nocne chłody i przygarść pogruchotanych sucharów. Kordelia aż załamała pulchne ręce na owo ochędostwo i jęła go rozgłośnie przekonywać, że drogi niebezpieczne, a pora roku nie sprzyja wędrowce. Kaniuk wysłuchał jej z nikłym uśmiechem na twarzy, nie przerywając roboty. Przyprzągnął do wózka kasztanka, wypasione i wyczesanego przez skrzaty, aż mu się boki świeciły w jesiennym słońku, drzwi zaparł na prosty kołek, bo się kłódkami brzydził, i na koniec nawet pobłogosławił Kordelię, prosząc ją, aby kładła pod figurą świeże kwiaty i nie zaniedbywała jałmużny.

Na podobną rzecz młynarzowa popłakała się po trochu i przypadła mu całować dłonie, bo na swój sposób pokochała tego milkliwego, nieśmiałego księżyka. I tylko zdawało się jej dziwnym, że posłano go gwoli duchowej opieki nad ludkiem Wilżyńskiej Doliny, gdyż ją nieodmiennie zdejmowała ochota, aby po matczynemu przygarnąć go do obfitego łona. Była jednak niewiastą rozsądną i wiedziała, kiedy nic nie wskóra. Wetknęła mu tylko w rękę solidny chłopski nóż dla obrony przed złą przygodą na trakcie, ale była pewna, że w potrzebie nie będzie wiedział, jak go w palcach obrócić. I znów zachciało się jej płakać, kiedy tak jechał na chłopskim wózku, wzbudzając na ścieżce siny tuman pyłu i kurzu.

Kot Wiedźmy wślizgnęła się niepostrzeżenie pomiędzy worki z obrokiem. Koła toczyły się równo po piasku, a słoneczny żar rozleniwiał i skłaniał do snu. Drzemała czujnie, z jednym okiem uchylonym i pazurami mocno wczepionymi w deski wózka. Nic się jednak nie działo, tylko

świerszcze grały rozgłośnie w przydrożnej chachmęci, w wysokich obeschłych trawach, rdeście i lebidzie, aż w końcu Kot Wiedźmy przysnęła na dobre. Śniły się jej kamienne miejsca pod łukowymi sklepieniami, gdzie mnisi stali w bezruchu przed wysokimi pulpitami, i chłodne świątynne zacisza, które wibrowały dźwiękami modlitewnych psalmów. Był to dziwaczny, niespokojny sen, lecz brnęła przezeń czujnie, na łapkach tak miękkich, że ich stąpienia nie płoszyły nawet cieni martwych mnichów, co przemykały się trwożliwie w mrocznych kątach.

Obudził ją kwik kasztanka i gwałtowne szarpnięcie wózkim. Czowała zapach, obcy zapach na ścieżce, woń niewyprawnych skór, brudnego przyodziewku, zaschniętej krwi. Kaniuk leżał na boku pośrodku ścieżki, drobny ciemny kształt w kapicy pokrytej kurzem i pyłem. Strużki krwi ściekały mu wzdłuż ramienia, żłobiły rowki w piasku. Jeden ze zbójców kopnął go wysokim czarnym butem z podkutą podeszwą, inny krzyczał coś o dukatach ukrytych na wozie, trzeci rachował na palcach wysokość okupu, który wyłudzą od opata z klasztoru w wiele dni po tym, jak ścierwo Kaniuka wilki obiorą aż do białych kości.

Pod kolejnym kopniakiem Kaniuk zwinął się jeszcze ciaśniej, jak pędrak zniecka wywleczony z bruzdy przez gawrona. Wysoki, łysy zbój w brudnym półkożuszku poprawił ciosem potężnej maczugi, a Kot Wiedźmy poczuła, jak moc zaczyna burzyć się w niej i pulsować – nazbyt długo mieszkała w domostwie Babuni Jagódki, by nie poznać kilku drobnych magicznych sposobów, ale tym razem było to coś innego. Czysta, żywa nienawiść, która osiadała iskierkami ognia na jej futerku, od grubych nastroszonych wąsów aż po czubek ryżego ogona. Kaniuk należał do niej, tylko do niej, i nie miała zamiaru pozwolić, aby kilku grasantów zakłuło go na gościńcu niczym świnię.

Rozdarła pierwszemu gardło, zanim zdolali ją chociażby dostrzec.

– Zwierzoooooaaaaaak! – zaskowytał ktoś przeciągle, i Kot Wiedźmy skoczyła ku temu krzykowi jak ruda rozmazana smuga futra, pazurów i zębów.

Wczepiła się w kubrak płowowłosego pachoła, przeorała pazurami twarz. Słyszała, jak powietrze wokół trzeszczy od magii, od tuzinów drobnych sinych iskierek, które z sykiem strzelają z jej rozkudłanego futra. Łysy herszt odwrócił się ku niej z rozdziawioną gębą i wyrazem zdumienia na czerwonym, nalanym obliczu. Kot Wiedźmy zasyczała wściekle, kiedy maczuga opadła tuż obok jej grzbietu. Nisko przy ziemi przemknęła za jasnowłosego pachołka, który klęczał na zapyłonym gościńcu z rękoma przyciśniętymi do ziemi, skowycząc przeraźliwie i niezrozumiale; spomiędzy palców ciekły mu drobniutkie strumyki krwi. Herszt ryknął nań ze złością i grzmotną nabijaną kamieniami maczugą, tak wszakoż nieszczęśliwie, że zamiast kota trafił w grzbiet oślepionego kamrata.

– Czary! – Czwarty z grasantów, podstarzały chłopina o twarzy poznaczonej dziobami po ospie, nie namyślał się dłużej. Zarzucił na ramię trzy z Kaniukowych sakw i zaczął pośpiesznie odpinać od wozu kasztanka. – Przeklęte czartowskie nasienie... – złorzeczył przy tym pod nosem. – Wiedźmi pomiot nieczysty... Co za czasy nastały na tym bożym świecie, żeby się mnich postrzyżony po gościńcu z wiedźmim pomocnikiem wałęsał a ludzie poczciwe mamił i bałamucił? Niczego już pewnym być nie można. Książę pan z Servenedyjkami biesiaduje, we wsiach sołtysi potuczeni jako panowie w radach siedzą, a na gościńcu mnisi się z wiedźmami bratają... – Wgramolił się wreszcie na oklep na kasztanka, choć konik stawał dęba i niespokojnie drobił w miejscu, nienawykły do obcej ręki i smrodu posoki.

Kot Wiedźmy zaświeciła ku niemu miodowymi ślepiami. Siedziała na grzbiecie martwego pachołka, z ogonem okręconym zgrabnie wokół łapek, a łysy herszt laźł na czworakach po gościńcu, usiłując zmacać maczugi. Na darmo jednak, gdyż w miejscu prawego oka miał rozorany, krwawiący oczodół, lewe zalała mu krew. Kot Wiedźmy przez chwilę jeszcze przyglądała się jego wysiłkom.

Bez większej emocji, gdyż wiedziała dobrze, że po zmierzchu na trakt wyjdą inni grasanci – stada zdziczałych psów, które rozpleniły się niezmiernie po Górach Żmijowych od ostatniej wojny, szczuracy albo zbiegłe chłopstwo – którzy bez większego skrupułu zabiją zbójcę choćby dla skórzanego półkożuszka.

Ospowaty dziadek podrygiwał śmiesznie, konik zaś tańczył, przebierał nogami. Kot Wiedźmy zrazu przypatrywała się temu obojętnie, potem zaś uniosła tylną łapkę i jęła wylizywać zakrwawione futerko. Dopiero kiedy w ostatecznej desperacji dziad dobył kordelasa i chciał dźgnąć konika w łopatkę, miauknęła jeden, jedyny raz – ostatecznie była Kotem Wiedźmy i nie darmo od lat żyła pod jednym dachem z Babunią Jagódką. Dziadyga omsknął się z końskiego grzbietu, klapnął tyłkiem w piach. Sakwy potoczyły się w różne strony, lecz on tylko mocniej ścisnął w garści rozdarte pludry i popędził ku kępie brzeziny na szczycie najbliższego wzgórza.

Kot Wiedźmy powoli podeszła do Kaniuka. Leżał na boku, mucha o ciemnozielonym odwłoku przechadzała się po jego policzku. Oddychał jednak, płytkim, urywanym rytmem. Kocica niepewnie zasłała go z drugiej strony, polizała po policzku. Nie poruszył się, więc obwąchała bardzo starannie płytkie rany na przedramionach – zbójcy nacinali go kordelasem, żeby wyjawiał, gdzie ukrył złocisze – i szerokie cięcia na żebrach. Wciąż krwawił. Nie sądziła, aby te rany miały przyschnąć same z siebie, ale była Kotem Wiedźmy i nie darmo przysłuchiwała się uzdrawiającym zaklęciom Babuni Jagódki. Zwinęła się z brodą opartą o jego bok i zaczęła mruczeć inkantacje, jedną po drugiej, póki słońce nie opadło i nie zniknęło za szczytem pagórka. Wówczas przysunęła się, ciaśniej przywarła do jego boku, czując, jak z każdym wymruczanym zaklęciem jego serce bije coraz mocniej i równiej. Leżała więc cichutko i nieruchomo, kiedy nad traktem przelatywała wędrowna nocnica i zmory, co pod postacią nietoperzy wysysają krew ze śpiących. Mięła w pazurach rękaw Kaniukowego kubraka i powtarzała zaklęcia, bez końca i wciąż od nowa, póki nie nastał poranny chłód.

Pierwszą rzeczą, którą Kaniuk zobaczył, było dwoje ślepi. Wpatrywały się weń z natężeniem, wielkie i bursztynowe. Gardło miał suche jak wiór, w ustach smak krwi. Poruszył się słabo, a potężna ruda bestia o zmierzwionym natrze delikatnie polizała go po policzku. Język miała wilgotny i bardzo szorstki.

* * *

W trzy dni później dowlekli się do Wilżyńskiej Doliny. Mnich w poszarpanej kapicy rękę miał na temblaku, wóz ze szczętem ogołocono z dobytku. Koń był brudny i sterany, ale szedł równo, poganiany gniewnymi prychnięciami rozpartej na mnisich kolanach Kota Wiedźmy. Pod drzewem z kapliczką Cion Cerena zwierzę zeskoczyło zgrabnie z kozła i niespiesznie, z ogonem dumnie zadartym, pomaszerowało ku siedzibie Babuni Jagódki. Ku Kaniukowi zaś rzuciło się stadko bab, zdumionych tym dziwnym obrotem podróży do opactwa i nader ciekawych wypadków, które pchnęły go ku podobnej komitywie z wiedźmim pomocnikiem.

W miarę jak ubywało ścieżki do domostwa Babuni, pewność i buta Kota Wiedźmy ulatniały się po trochu – zamiast nich zaś nachodziły ją wielce niemile wspominki z owej stajenki, gdzie miała okoliczność poznać się z Babunią. Bała się. Wiedźma nie miała zwyczaju dawać za wygraną, ani tym bardziej wypuszczać z rąk tego, co z dawien dawna uważała za swoją własność.

– Proszę, proszę – powitał ją od proga zgryźliwy głos Babuni, która od ładnych paru godzin raczyła się jałowcówką i była już na tyle zamroczona, że nietopyrki trwożliwie pochowały się za poprzeczną belką pod samym dachem. – Kogo my tu widzimy? Znudziło się nam łajdactwo na gościńcu? Czary pokradzione uzdrawiać przestały? Czy może z tęsknoty na stare śmieci wracamy? Bośmy się, widzę, na tej włóczędze zanadto nie upaśli. – Omiotła spojrzeniem jej zapadnięte boki.

Kot Wiedźmy oblizwała się nerwowo. Zazwyczajna widok pijanej Babuni szła spać do szopki z sianem.

– Oj, głupiaś ty! – Babunia czknęła i pokiwała smętnie głową. – Głupłaś rychtyk jako baba, choć kocica. Żeby tak za chłopem leżć, futrem kąty wycierać... I dla kogo jeszcze? – Pociągnęła z roztruchana potężny łyk jałowcówki. – Dla klechy postrzyżonego. Myślisz, że on za tobą płakać będzie? Ani dudu, obróci się i precz pójdzie. Młodsza sobie znajdzie, dla zagonu kapusty i pierzyn puchowych cię na pośmiewisko wystawi, taka z nimi uczciwość i poszanowanie. – Tutaj Babunia Jagódka siąknęła posepnie nosem. – Żeby chociaż dla młodej, mniejszy byłby wstyd i między ludźmi pośmiewisko! – rzuciła z nagłą pasją. – Ale nie, musiał się na młynarzową połaszczyć, na ten grób pobielan. Dla nędznych paru móg i srebrnych groszy, co je stara maciora ma popod jabłonką zakopane. No, jeszcze się pokaże, czy we dwie niedziele nie będzie on tutaj nocką biegał... Niedoczekanie! – zgrzytnęła zębami, aż iskry na kominie wyżej podskoczyły. – Zachciało się uczciwości małżeńskiej, młyna i srebrników pod jabłonką zakopanych? No, to fora ze dwora! Koniec z lubystką pod miesięcznym światłem rwaną, koniec z książęcym muszkatelem i pasztetem z opackich gęsi. Z nami też koniec, a co! Jeszcze mu urok na odchodne podaruję, do portek ślubnych uczepię, skoro mu tak do wdzięków młynarzowej pilno. I to taki, co go na resztę życia w tej wytęsknionej małżeńskiej uczciwości utrzyma. Ano taki, żeby choćby miał jako pies wyć i skomlić, żadnej innej niewieście oprócz ślubnej połowicy nie wygodzi. – Oczy Babuni Jagódki błysnęły wściekle. – Ani niewieście, ani kozie, ani nawet dziurze w płocie, gdyby go taka ochota sparła. No, co się tak gapisz? – syknęła, choć Kot Wiedźmy bynajmniej nie zamierzała ku niej spoglądać, rozumiejąc, że w podobnym nastroju Babunia potrafi trzasnąć na oślep czarem. – Idź sobie precz, wolna droga, jeśli ci plebańskie progi milsze, ja zatrzymywać nie będę. Mogę cię jeszcze naparem obdarować, żebyś mu się mogła co nocy w jaką dziewę odmieniać, żadna to sztuka.

Kot Wiedźmy fuknęła tylko pogardliwie. Wprawdzie rozumiała, że rozjuszona zdradą jednego ze swych licznych kochanków Babunia ma słuszne powody do goryczy, ale bynajmniej nie zamierzała próbować żadnych magicznych przemian. Zanadto się napatrzyła na Babunię, ganiającą pod postacią kozy, aby przystać na coś równie upokarzającego.

– Nie, to nie. – Babunia uczyniła dłonią drobny, niemal niedbały gest.

Powietrze wokół Kota Wiedźmy zamigotało magicznie, ogień na kominie przygasł i zaraz wybuchł świeżym płomieniem.

Pierwszy raz od bardzo dawna, od owego spotkania w odległej stajni, kiedy ujrzała Babunię Jagódkę, Kot Wiedźmy była wolna. Całkowicie, cudownie wolna. Oblizwała się niepewnie, przestąpiła z łapki na łapkę. Wciąż była olbrzymim, wykarmionym magicznymi wywarami kociskiem o skołtunionej ryżej sierści, i ślepiach, co połyskiwały na czerwono w półmroku izby, ale więzy znikły. Mogła iść precz, mogła jeszcze dzisiaj wywędrować z Wilżyńskiej Doliny. Z uciechy miała ochotę gnać przed siebie, tańczyć wokół własnego ogona i w odplacie za długie lata niewoli wbić pazury prosto w twarz Babuni. Zamiast tego jednak zadarła sztywno ogon i wymaszerowała z izby. Ostatecznie była Kotem Wiedźmy i zamierzała zachowywać się godnie, nawet jeśli sama wiedźma była pijana w sztok z powodu zdrady kochanka.

– A wedle tej odmiany – zarechotała sprośnie Babunia – to pewnie i na nią z czasem przyjdzie.

Nie przyszło, ani wówczas, ani później. Kiedy minął tuzin lat i Kaniuka wezwano do opactwa, aby wspierał postarzałego opata, Kot Wiedźmy wywędrowała wraz z nim – oraz całą hałastrą koboldów, gnomiów i domowików, które tak przywiązały się do plebana Wilżyńskiej Doliny, że postanowiły towarzyszyć mu w przeprowadzce. Wprawdzie magiczny drobiazg przytaił się w tyle wozu i nie laźł zanadto Kaniukowi przed oczy, Kot Wiedźmy podejrzewała jednak, że pleban był świadom jego

obecności. Zresztą Kaniuk nabrał z czasem wiejskich obyczajów i zwykł nawet mimochodem strącać kilka kropel piwa dla domowych ubożat, a przy piecu stały miseczki z solą i okruchami chleba. Nie przeszło wiele lat, a niegdysiejszy pleban Wilżyńskiej Doliny został opatem potężnego klasztoru Cion Cerena, a sława jego świątobliwości sięgała aż najdalszych krańców Gór Żmijowych. Pielgrzymi ze zdumieniem opowiadali o wielkim rzyżym kocisku, które chodziło za nim wiernie jak pies – niektórzy utrzymywali, że był to prawdziwy wiedźmi zwierzołak, pokutujący za przeszłe niegodziwości, inni, że demon zaklęty w bestii, który uległ przed mocą świętego opata.

Jakkolwiek było, kiedy nastał czas Kurzawy Birghidyo, Kaniuk wyprawił mnichów na południe, sam zaś pozostał w wyludnionym klasztorze. Nie chciał odstąpić świętych obrazów, ani grobów współbraci, a był już tak sędziwy i słaby, że w żaden sposób nie zniósłby trudów podróży. Wieśniacy opowiadali później, że widzieli go na murach, chudego i przygiętego do ziemi, jak śpiewał poranne hymny ku czci Cion Cerena, jego biała świątynna suknia błyszczała w słońcu, a obok stało rude kocisko. Bramy opactwa pozostawiono otwarte – bo też nigdy nie zamykano ich przed żadnym z jałmużników – i wojsko norhemnów nadciągnęło ku nim pewnego jesienno poranka jak niezmierzone ciemne mrowie. Wieśniacy obawiali się, że klasztor spłonie, podobnie jak płonęły pozostałe przybytki bogów Krain Wewnętrzno Morza, jednak najeźdźcy uciekli tej samej nocy i nigdy później żaden z nich nie pojawił się w pobliżu opactwa.

Kiedy zaś wiejski ludek ośmielił się wreszcie na tyle, aby wejść do klasztoru, w najdalszym, najświętszym przybytku leżał Kaniuk, przygwożdżony południową włócznią u stóp posągu boga. Nie zdziwiło ich to nadmiernie: Kurzawa nie słynęła miłosierdziem. Jednak, nim jeszcze znaleźli martwego opata, musieli przebić się przez zwały pomordowanych norhemnów – poszarpanych na strzępy przez dzikie zwierzęta, spalonych wiedźmim ogniem tak, że nawet posadzka zeszkliła się od gorąca, poczerniałych od krzyku nocnicy i skrzacich ukąszeń. Wieśniacy nazbyt dobrze znali magiczny ludek Gór Żmijowych, aby szukać po kątach ogniowych koboldów, skrzatów i mamunów, które pomściły śmierć ich opata. Jednak tuż przy Kaniuku, pod trupem wojownika z rozszarpanym gardłem, znaleźli martwego rudego kota i pogrzebali go w nogach mogiłki opata, którego z czasem zaczęto czcić jako świętego męczennika i osobliwego patrona Gór Żmijowych.

Na świętych obrazach Kaniuk jest siwiuteńkim starcem, który klęczy pod figurą Cion Cerena w oczekiwaniu na swych morderców. Nieodmiennie towarzyszy mu rudy kot.

SZCZUR IPANNA

Co tu ukrywać, Gronostaj przynosiła hańbę swojej profesji nawet w starych dobrych czasach. Nie z braku zapału. Po prostu miała wyjątkowego pecha. Kiedy w gospodzie ktoś uszczypnął ją zniecka w tyłek, a zaskoczona dziewczka odwinęła się, by trzasnąć w pysk natręta, usiłującego skorzystać z jej wdzięków przed uiszczeniem stosownej opłaty, okazywał się nim starosta Węzyk. Gdy przy dybała u wioskowej bramy podróznego o nader zasobnym wyglądzie i roztoczyła przed nim hojną panoramę swych zalet, wędrowiec wnet odrzucił płaszcz i odsłaniał mnisią szatę. Gdy zaś przez całe lato nieroztropnie kredytowała kogoś z wędrownych parobków, zdrajca tuż po żniwach umykał chyłkiem z Wilżyńskiej Doliny i nie zostawiał jej ani miedziaka. Nawet kiedy, durna i młoda, wybrała się do Spichrzy w poszukiwaniu szczęśliwszej odmiany losu i wreszcie trafiła na kurwigospodynię wystarczająco zdesperowaną, aby zatrudnić nieokrzesaną góralkę o twarzy poszarzałej z brudu i włosach przyciętych nożycami do strzyżenia owiec, jej pierwszy zamtuz zbankrutował w dwa tygodnie później. Po prostu miała pecha, wyjątkowego pecha.

Odkąd grasanci oszpecili jej twarz, wszystko układało się jeszcze gorzej. Nawet nie za sprawą uszczerbku na urodzie, bo na tej Gronostaj nigdy nie zbywało. Zresztą z Wilżyńskiej Doliny daleko było do zgniłych rozkoszy cywilizowanego świata, więc od wioskowej ladaczniczki nie wymagano szczególnych powabów, tylko szczerych chęci. Tych dziewczyna miała aż nadto, a gromada rozmaitych rabusiów i złoczyńców, spędzonych ostatnio do Wilżyńskiej Doliny przez Babunię Jagódkę, zachęcała ją do jeszcze żarliwszych wysiłków. Z początku więc wiodło się jej wcale dobrze. Zbóje mieli dość srebra, by opłacać jej usługi, a karczmarz nie dość, że nie przepędzał ladaczniczki z gospody, ale i czasami podsuwał darmowe piwo w nadziei, że jej wdzięki przysporzą mu dodatkowej klienteli.

Kres sielanki nastąpił, gdy nowi osadnicy zorientowali się, że Wilżyńska Dolina obfituje w niewiasty, które nie tylko nie każą opłacać swej przychylności, ale wręcz potrafią przyczynić dobytku, bo każda z nich odziedziczyła po zaszlachtowanym mężu, ojcu, czy bracie pokaźny kawał gruntu. Wnet skończyły się nocne hulanki w karczmie i darmowe piwo dla Gronostaj. Zbóje zaskakująco prędko otrzeźwieli i nader przytomnie poczęli smalić cholewki do co zasobniejszych wdów i sierot. Na widok wioskowej ladaczniczki spluwali tylko z pogardą, albo i popędzili, rzucając grubym słowem, a zdarzało się, że i kamieniem. No, w każdym razie tak właśnie czynili za dnia i na oczach wybranek. Bo nocą już rozmaicie bywało. Nieraz ją któryś ze świeżo nawróconych złoczyńców pociągnął ukradkiem w stóg siana, albo sitowie nad stawem, przy ruinach młyna starego Betki. Nie działo się to jednak zbyt często i w żaden sposób nie rekompensowało dotkliwszej z każdym dniem wrogości niewiast.

Gronostaj siąknęła rozbitym nosem i bez przekonania wytarła twarz z brudu zmieszanego z krwią. Wilżyńskie niewiasty nie były jej szczególnie przychylnie, nawet za życia grabarza Rękawki. Nie nabrały też gwałtownie szacunku, gdy Gronostaj dorosła na tyle, by jąć się szlachetnej profesji wioskowej ladaczniczki. Dopiero kiedy pospołu kryły się po lasach przed rozzuchwalonymi grasantami i gdy uczyła je rozpoznawać zielsko zdatne na polewkę – w sztuce warzenia głodowej polewki rzadko kto jej dorównywał – stała się z nagła „drogą sąsiadką” i „towarzyszką niedoli”. Ale wraz z niedolą skończyła się zażyłość. Z początku jeszcze co łaskawsza z gospodyń odpowiadała na jej pozdrowienie oziębłym skinieniem głowy. Później i tego zbrakło. Gronostaj znów sunęła jedyną

ulicą wioski spowita w głuche milczenie, z rzadka przerywane rześkim dźwiękiem zatrząskiwanych okiennic.

Dzisiejszego poranka było jednak inaczej. Zupełnie inaczej.

Obudziła się zesztywniała z zimna. Palenisko wystygło i przymrozek, pierwszy tej jesieni, pokrył ściany lepianki cienką warstwą szronu. Na oślep sięgnęła po sosnowe szczapy, ale jej zgrabiące palce nie napotkały nawet drobnej drzazgi. Z żalem odpędziła myśl o kawałku rzepy pieczonej w popiele i wypełzła spod baranich skór, wyniesionych chyłkiem ze splądrowanego domostwa starosty Wężyka. Zresztą rzepy też nie było wiele, bo w Wilżyńskiej Dolinie skrzętnie pilnowano zapasów, a baby coraz skrupulatniej baczyły na ledwie co poślubionych małżonków, więc od dawna nikt nie zachodził do lepianki Gronostaj. Nie miała na co czekać. Przeczesła palcami włosy, wplotła w nie kilka szkarłatnych wstążek, a potem wzięła chodaki, wyrzeżane z lipowego drewna, i melancholijnie poczłapała namokłą ścieżką ku karczmie.

Nie wierzyła, że to będzie dobry dzień.

Jesienny wicher na wylot przewiewał jej połataną spódnicę i szaroburą wełnianą chustkę. Nawet półkwatka piwa, bez słowa podana przez karczmarza, nie poprawiła jej humoru. Piwo było słabe i kwaśne. A na dodatek nie miała czym zapłacić. Wprawdzie dla zmylenia oberżysty nakładła drobnych kamyków do sakiewki, miejskim zwyczajem zawieszanej u pasa, ale wiedziała, że rychło przejrzy jej fortel i wyszczuje precz z gospody żółtymi spichrzańskimi brytanami. A tych brytanów Gronostaj bała się bardziej niż grasantów i starościńskich pachółków pospołu. Dobrze zapamiętała, jak przydybały żebraka na podbieraniu jajek i w pół pacierza rozerwały mu gardło.

Rozejrzała się gorączkowo za zarobkiem. W gospodzie jednak nie było nikogo, prócz wędrownego jałmużnika, który pogroził jej kosturem, zanim jeszcze zdążyła złożyć mu zwyczajową propozycję, oraz na wpół obłąkanego Myszy, który zawsze ochoczo korzystał z jej wdzięków, ale dobytku miał tyle, co na grzbiecie. Kiedy więc oberżysta zanurkował do komory, prędko odstawiła kubek i wymknęła się na podwórzec, unosząc w garści dwie skórki chleba, wypatrzone obok miski z resztką wczorajszej polewki.

Duż lodowaty wicher, ale każda, profesja ma swoje wymagania, więc odrzuciła wełnianą chustę z głębokiego dekoltu, a potem, kołysząc biodrami, ruszyła przez wioskę ku cmentarzowi.

Właściwie nie miała nic przeciwko swojemu zajęciu i wykonywała je doprawdy rzetelnie, a czasem i nie bez uciechy. Niegdyś lubiła gorące letnie wieczory, kiedy władyka barykadował się na głucho za ostrokołem, bo przez wioskę ciągnęli zbójcy, schodzący do ladacznicy aż z Przełęczy Zdechłej Krowy. Albo jarmarki w pobliskim miasteczku, pełne beczenia owiec i pokrzykiwania pasterzy, którzy złązili na tę okazję z okolicznych połonin w poszukiwaniu kupca na sery, masło i owcze runo. Nawet odpusty pod kościołem, choć stary proboszcz krzywił się wielce, kiedy stawała obok niewiast w bocznej nawie, odziana w czerwoną sukienkę i z rozpuszczonymi włosami, a wręcz krzyczał z ambony, jeśli zauważył, że sprytnie przymamiwszy któregoś z nabożnych słuchaczy, chyłkiem wymykała się bocznym wyjściem w zacisze wilżyńskiego cmentarza. Mówiąc prawdę, czy to na targowisku, czy w gospodzie, czy w świątyni – wszędzie było dość chłopów spragnionych niewieściej kompanii i Gronostaj nie narzekała, nawet jeśli potem, za poduszczeniem proboszcza, władyka kazał ją oćwiczyć u pręgiarza. Zresztą pachółkowie znali dziewczynę bardzo dobrze i tylko udawali, że mocno biją.

Ale dzisiaj była głodna i zmęczona.

Od strony okolonego bzami, zeszlými teraz i odartymi z liści domostwa niosła się rozkoszna woń żuru i kapusty z grochem. W otwartych drzwiach drewnutni Gronostaj zobaczyła Ortyła i ogarnęła ją na chwilę desperacka nadzieja, ale potężny ekszbójca popatrzał tylko tęsknie i nawet nie zmylił rytmu

siekiery. Przyczyna jego powściągliwości, wdowa po kołodzieju, a od niedawna małżonka Ortyła, niewiasta wredna, kłótniwa i nader zazdrosna, stała pośrodku podwórza z misą karmy dla kacząt i dużą drewnianą kopystką w ręku. Gronostaj z niezadowoleniem potrząsnęła głową i szkarłatne wstążki zawirowały na wietrze. Liczyła na Ortyła, naprawdę na niego liczyła.

Spotkała jeszcze trzech świeżo udomowionych łupieżców i łysego Kowlika, który poszczypał ją w ramię i nawet pogwarzył chwilę przyjaźnie, ale pierzchnął jak niepyszny, kiedy zza niedomkniętych okiennic rozległo się jazgotanie jego połowicy. Przy cmentarzu ladacznica całkiem straciła nadzieję. W najgorszej nędzy mogła jeszcze liczyć na miskę zupy i kawałek czerstwego chleba na plebanii, ale Kaniuk właśnie objeżdżał wysokie pastwiska i wiedziała, że dobrych parę dni minie, nim wróci do Wilżyńskiej Doliny. Zrezygnowana wcisnęła się między rozkrzewione jałowce, by przysiąc na grobie dziada Kordelii młynarzowej. Pamiętała starego, który był sprośny cap i pijak, ale jałowcowe gałęzie chroniły od wichru i nie sądziła, aby nieboszczyk miał jej za złe, że się do niego na chwilę przytuli. Wyjęła zza dekoltu skórkę chleba i zaczęła ją żuć, gdy znienna ogarnęły ją czyjeś ramiona. Pisnęła cienko i po myszemu, mimowolnie oglądając się na mogiłkę, czy też dziad młynarzowej nie wyrwał się nagle z zaświatów, spragniony czysto ziemskich uciech.

Zbój Waligóra zaśmiał się tylko, tchnąc jej w twarz przemieszonym aromatem gorzałki i jałowcowej kiełbasy, od którego wioskowej ladacznicy zakręciło się w głowie.

– Nie kręć się, dziewczyno! – zarechotał, pośpiesznie rozsypując troczki od jej gorsetu.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz! – poskarżyła się Gronostaj, z równym zapałem przetrząsając zawartość sakwy zawieszanej u pasa mężczyzny.

– Bo starą cholera trzęsie – zbójca bez ceremonii pchnął ją na zapadłą mogiłkę – odkąd nas zeszej niedzieli w stodole przydybała. Pół nocy się darła, że do więdźmy po napar pójdzie, a taki, że jak po inną babę sięgnę, to mi w niej przyrodzenie po wiek wieków zostanie.

– Akurat! – Gronostaj prychnęła ustami pełnymi kiełbasy, wydobytej z trzosa Waligóry. – Babunia tej starej małpie nieprzychylna, akurat będzie jej napary warzyć!

Jednak po trosze zdjął ją strach. Więdźma nie lubiła Kordelii, ale bardziej jeszcze była cięta na Waligórę, który ją dla młynarzowej porzucił. A Babunia Jagódka nie puszczała podobnych zelżywości płazem.

– A tom babie rzekł – prychnął pogardliwie Waligóra – żeby napój mocny był. Bo jak ją choć raz jeden na konszachtach z więdźmą nakryję, to od razu kark skręcę, a potem już żadne czarostwa i wywary nie pomogą.

– I usłuchała? – Dziewczyna zmacała flaszkę i pociągnęła potężny łyk gorzałki, czując jak miłe ciepło rozchodzi się jej po gardle.

– E, co by miała zaraz usłuchać! – Waligóra wyrwał jej naczynie.

Przez chwilę widziała, jak jego grdyka porusza się z okrutnym pośpiechem w tę i nazad, i tylko kilka kropel trunku skapnęło na jej obnażone piersi. Nie śmiała jednak przerywać, wiedząc, że małżonek Kordelii jest człowiekiem łapczywym i wielce gwałtownym.

– Dopiero jakem jej grzbiet kijem otłukł, wtedy posłuchała! – Roześmiał się, oburącz przygarniając ladacznice. – Jeszcze do nóg upadła i pod kolana podjęła, bo znać, że kocha chłop, skoro bije! Trzy dni potem krwią pluła, a gęba jej zasiniła i tak opuchła, że ani zjeść, ani gadać nie mogła. Co był w rzeczy samej godziwy pożytek i tak mi się zdaje, że trza będzie znów babę obić, zanim na nowo zbeczelnieje.

– A jeśli prawdziwie do więdźmy pójdzie? – spytała zaniepokojona Gronostaj.

W ustach wciąż miała smak kiełbasy, gorzałka też poczynała ją po trochu rozbierać, a od palców Waligóry, myszkujących pod szkarłatną spódnicą, zrobiło się jej tak ckliwie i miękko, że nie potrafiła

kłopotać się pomstą Kordelii młynarzowej.

– Niby po co? – Chłop pogardliwie odął wargi. – Żeby na progu stanąć z tą gębą krwią podeszłą i o pomoc skomlić, o wybawienie od tego samego dręczyciela, którego ona pierwszej wiedźmie spod pierzyny wykraǳła? Toć by się Babunia Jagódka ze śmiechu rozpękała na podobne dziwo, Kordelia takż zbyt harda, by zratowania prosić. Gdyby mnich był w osadzie – o, wtedy pierwsza by z płaczem po pomoc do świątyni biegła! Ale nie do wiedźmy!

Gronostaj wzdrygnęła się nagle od chłodu, kiedy zbój bez ceremonii zdarł z niej płomienisty gorset i koszulinę.

– Ziąb siarczysty, po skórze psiajucha kąsa – rzucił, a potem podetknął jej do ust flaszkę z resztkami trunku.

Pochwyciła naczynie i jęła pić zachłannie. Waligóra przyglądał się temu nieledwie z tkliwością, gładząc ją po nagiej skórze.

– Nie lękaj się, dziewczyno – powiedział miękko. – Nie zginiesz ty ze mną, nie. A będzie znów stara gębą kłapać i baby na cię judzić, to jeszcze lepiej pysk jej obiję, piekielnicy. Bo po prawdzie ani z niej w łozu pociecha, ani w gospodarstwie wyręka. I zanadto też wrzaskliwa, żeby się miała długo uchować. Ot, przyjdzie zima, wnet zacznie niewiasta od wichrów i mrozów słabować, a że stara, tedy się nikt dziwić nie będzie. Niech mi jeno rzeknie, gdzie ten skarb Betki zakopany, a potem...

Gronostaj miała przymknięte oczy, zrazu więc postłyszła tylko, że Waligóra zatchnął się dziwnie w pół słowa, zaciskając boleśnie palce na jej ramionach.

– A bodajby cię nagła niemoc sparła! – rozległ się nad nimi piekielny wrzask młynarzowej.

Wioskowa ladacznica w jednej chwili otrzeźwiała ze szczeniem i jęła się szamotać, usiłując wypełznąć spod na wpół obnażonego chłopca.

– Bodajbys zdechł i szerniał! – pomstowała Kordelia, a każdemu słowu towarzyszył cios łopaty do wygarniania chlebów z pieca.

Razy spadały gęsto na obnażone plecy i zadek Waligóry, który wydał się ogłuszony pierwszym potężnym ciosem w czerep. Jego twarz wyrażała jedynie bezgraniczne zdumienie. Strużka krwi spływała ciemną wąską nitką wzdłuż jego skroni, potem skrajem ucha, by wreszcie zniknąć w gęstwinie czarniawej brody. Obejrzał się przez ramię na rozsierdzoną połowicę i kolejny cios ugodził go prosto w czoło. Waligóra jęknął i całym ciężarem runął na ladacznice, która ponad jego plecami dostrzegła co najmniej pół tuzina wilżyńskich gospodyń.

Stały kręgiem wokół grobu dziada młynarzowej, w pasiastych fartuchach i z włosami skromnie przysłoniętymi białymi podwikami. Krzepkie, czerwone na gębach wieśniaczki, które po roku dobrobytu zaczynały się z wolna zaokręgać i nabierać ciała pod obszernymi, suto marszczonymi sukniami. Przypatrywały się jej z zaciekłością, a twarz niejednej z nich nosiła ślady porachunków ze świeżo poślubionym zbójcekim małżonkiem.

– Dam ja ci skarb Betki, kurwi synu! – darła się młynarzowa, każdym zamachem żyłastego ramienia zadając kłam małżonkowym supozycjom o słabujących zimą starowinach. – Pokażę łajdactwa na dziadusiowej mogiłce!

Waligóra dźwignął się z wysiłkiem na łokciach, pochwycił kraj łopaty i szarpnął, obalając młynarzowa, która z impetem klapnęła rozłożystym zadem na zmarznięte grudy. Jej spódnica podwinęła się na oznaczonych sinymi zaciekami łydkach, a wysoki kornet zsunął się, odsłoniwszy siwawe kosmyki zebrane w ciasny warkocz. Gronostaj, która dobrze pamiętała, jak młynarzowa w szumnym przyodziewku i z farbowanym warkoczem przygnała z obozowiska grasantów, poczuła przemożną ochotę, aby roześmiać się głośno, nie dbając o nabożną grozę w twarzach pozostałych

kumoszek. Jednak to Waligóra zarechotał pierwszy, wymierzając połowicy niemal dobrotliwego kuksańca trzonkiem zdobywczej łopaty. Kordelia zwinęła się w sobie i poczerwieniała na twarzy, oburącz zasłoniła kałdun, ale w tejże samej chwili reszta bab rzuciła się na jej ślubnego małżonka z grackami, kijankami, pogrzebaczami i co tam jeszcze która trzymała w garści.

Dawny herszt zbójcecki lewą ręką pochwycił Gronostaj w pól i bardzo zgrabnie postawił na nogi, w prawej zaś dzierżył wciąż łopatę do wygarniania chleba. Niespodziewana napaść widać wprawiała go w dobry humor, bez gniewu bowiem oganiał się łopatą przed babińcem, raczej zresztą płazując niżli wymierzając ciosy. Jedyne Kordelię młócił siarczyście i obalał za każdym razem, gdy próbowała stanąć na nogi. Bezpiecznie przytulona do jego pleców ladacznica patrzyła przez moment, jak młynarzowa, kobieta słusznej postury i gruba niczym beczka śledzi, grzebie się w stosie nakrochmalonych spódnic i zapiera nogami o zamarzniętą ziemię, daremnie usiłując się podźwignąć.

Waligóra ciałniej przygarnął Gronostaj, uniósł na rękę tak, że zamajtała nogami w powietrzu, i pocałował mocno w usta.

– Uciekaj, dziewczyno! – Odwrócił się, zasłaniając dziwkę przed kamieniem, ciśniętym przez jakąś wyjątkowo krewką gospodynię. – No już! – Wcisnął jej w garść tobolek i kłęb ubrań, po czym klepnął w tyłek z taką mocą, że prawie przewróciła się obok Kordelii.

Ponieważ kamienie sypały się coraz gęściej, Gronostaj pomknęła niczym zając pomiędzy jałowcami, nie zważając na bolesne pokwikiwanie Kordelii, zapalczywe okrzyki kobiet i rechot Waligóry, górujący ponad wrzawą czynioną przez babiniec. Kiedy wreszcie zasapana odważyła się zatrzymać i przysiąc na zwalonym pniu nieopodal strumienia, za opłotkami wioski, wcale jej nie było do śmiechu. O ile łajdaczenie małżonka Kordelia mogła jeszcze puścić płazem, bo wszyscy wiedzieli, że Waligóra nie darzy zbytnią estymą podstarzałej połowicy i zdążył się spoufalić z tuzinem okolicznych niewiast, o tyle figle na dziadusiowej mogiłce nie pójda łatwo w zapomnienie. Przez dobrych kilka dni nie miała po co pokazywać się w Wilżyńskiej Dolinie. A może nawet kilka tygodni.

Ze złością kopnęła kępę poźółkłej, wyschniętej trawy, otarła krew z rozbitego nosa. Ramiona jej drżały od chłodu, bo wełnianą chustkę zgubiła gdzieś na wioskowym cmentarzyku, a w sakwie Waligóry znalazła tylko kilka podpłomyków, gomółkę sera i pół bochenka czerstwego chleba. Zakłęła szpetnie. Że też to musiało się przytrafić właśnie jej. Że też zawsze przytrafiały się jej podobne rzeczy. Że też musiała być to akurat mogiłka dziadunia Kordelii, baby w całej Wilżyńskiej Dolinie najbardziej mściwej i zacieklej.

Nieopodal stadko wron przysiadło na zamarzniętej bruździe. Gronostaj przymrużyła oczy, by dostrzec, ku czemu przyskakują z chrapliwym krakaniem, i ostrożnie podeszła bliżej. Nie lubiła posępnych ptaszysk i innego dnia nie sięgnęłaby po ich zdobycz, ale dziś była głodna i wiedziała, że podarunek Waligóry nie starczy na długo. Ślina napłynęła jej do ust na myśl o zajączku albo chociaż jakimś zabłąkanym kaczęciu. To wciąż mógł być jeszcze całkiem niezły dzień. Nie dobry, ale naprawdę wcale niezły dzień.

Jednak na dnie bruzdy nie było nic, prócz wychudzonego szarawego szczura, który leżał na boku, dysząc ciężko przez uchylony pyszczek i niemrawo przebierając łapkami.

Gronostaj rozryczała się głośno na ten widok. Najbliższa z wron przekrzywiła głowę i przypatrywała się jej oczyma jak szklane paciorki. Nastroszyła się, musnęła dziobem czarne, oleiste pióra, a potem zakrakowała krótko, z szyderstwem. Ladacznicy przez chwilę wydawało się, że poza nieruchomym, bezmyślnym spojrzeniem ptaszyska dostrzega twarze wieśniaczek, jak zza chruścianych płotków patrzą, kiedy powłócząc nogami, idzie przez wilżyńską wioskę w swojej wydekoltowanej szkarłatnej sukni, brudna i rozczochrana.

Bez namysłu chwyciła kamień i wyrzuciła nim w najbliższego ptaka. Chybiła. Wrona odskoczyła niezgrabnie, ale bez strachu. Jej towarzysza, dobrze wypasiona i przysiwiała na czubku łepka, popatrzyła badawczo, jakby chciała wy badać, co kobieta uczyni, po czym znów dźgnęła dziobem szczura. Zwierzak wygiął grzbiet i wydał przeraźliwy wibrujący pisk, od którego ładacznicy łzy napłynęły do oczu.

Nie lubiła szczurów. Właściwie nawet nie z powodu szczuraków, którzy lęgli się we wnętrzu Gór Sowich i nigdy nie oglądano ich w Wilżyńskiej Dolinie, choć słuchy o pogromku zgotowanym przez nich osadom w górze kupieckiego traktu rozeszły się szeroko po Górach Żmijowych. Ale nawet zwyczajne wioskowe szczury mierziły Gronostaj niezmiernie, odkąd jeden z nich obgryzł jej nocką warkocz tuż przy skórze, a tak udatnie, że nie poczuła ani najłżejszego muśnięcia. Miała wówczas nie więcej niżli tuzin lat, a ojciec zdzielił ją kulakiem w twarz, kiedy płacząc przybiegła do niego z warkoczem w rękę, i zaczął coś po pijacku wywodzić o niewieściej modestii i wstydzie. Nie, Gronostaj naprawdę nie lubiła szczurów.

Ale jeszcze bardziej nie lubiła wron o spojrzeniu bogobożnych wilżyńskich gospodyń.

Niewiele myśląc, zagarnęła w spódnice kilka kamieni i zmarzniętych grud ziemi. Wrony jednak poderwały się w mig i kracząc rozpierzchły po szarym, jesiennym niebie. Zdążyła trafić jedynie siwawe ptaszysko, acz z takim impetem, że wrona pokuściła przez pole, wrzeszcząc przeraźliwie i wlokąc za sobą zranione widać skrzydło. Po chwili nad strumieniem została już tylko rozjuszona Gronostaj z kamieniem w zaciśniętej garści. Miała ochotę pobiec za siwą wroną i skrócić jej kark, ale znużenie wnet przeważało nad złością. Stała głodna i przemarznięta w podmuchach jesiennego wichru, kiedy usłyszała dochodzący od bruzdy słaby szmer.

Podeszła bliżej. Szczur usiłował wypełznąć głębiej, pod nawis zeschniętej trawy, ale nie zdołał się unieść na przednich łapkach. Zapadłe boki zwierzątka falowały od wysiłku i Gronostaj widziała wyraźnie grudki krwi, krzepnącej na krótkiej sierści, bo nadchodził zmierzch i mróz trzymał już krzepko. Przykucnęła i trąciła czubkiem palca dziwnie jedwabiste futerko. Zwierzątko z wyraźnym wysiłkiem przekręciło łepkę i wydało się jej, że dostrzegła w jego oczach dziwny, zupełnie niezwykły wyraz namysłu. Nie próbowało nawet uciekać. Po prostu na nią patrzyło.

Podniosła szczura delikatnie i próbowała rozetrzeć, ale drobne ranki na jego bokach zaczęły znowu krwawić. Leżał jednak cierpliwie w jej dłoni i dziewczynie zrobiło się jakoś głupio.

– Musisz się ruszać – pouczyła go głosem chropawym od gorzałki Waligóry. – Inaczej zamarzniesz. Na śmierć.

Szczur nie odpowiedział. Co zresztą łącznie można było przewidzieć.

– Zresztą pewnie i tak zamarzniesz. Oboje zamarzniemy – dodała, uzalivszy się nagle nad własnym losem. – Rozdziobią nas wrony, ludzie zamorzą ze szczętem. Albo po prostu pozwolą gdzie szczeznąć po cichutku...

Czarne oczy zwierzęcia wciąż były utkwione w jej twarzy. I jakoś się czuła nieswojo pod tym spojrzeniem.

– No, co się tak gapisz? – sarknęła niecierpliwie, trąc wolną ręką paskudną bliznę na policzku. – Grasanci od wron gorsi, wnet by cię na szpikulec nawlekli i nad ogniem uwędzili. Szczur z ogniska nie jest zły, jak człekowi głód mocniej dopiecze... – Ślina napłynęła jej do ust na wspomnienie.

Zwierzak nagle skurczył się w sobie i zmarniał, a jego wąski pyszczek nabrał szczególnie wynędzniałego wyrazu.

– Pomnę, jak je sobie nad ogniskiem wyrwały, nieomal po gębach się piorąc – ciągnęła Gronostaj. – Te same gospodarskie córki, co teraz nie spojrzą nawet na podpłomyki, a skwaśniają jęczmienną polewkę świniom leją, bo niby niegodna ich zacnych gospodarskich gardeł. Trza je było

oglądać, jak się przed grasantami po lasach chowały, całe przelękle i wymizerowane. No, prędko zapomniały, jak to było w wykrocie siedzieć, a z głodu trawę żreć i żołądkiem zagryzać... Bo wtedy inakszej głowy nosiły, niżej i bardziej pokornie, i insza też była z pospolitym człowiekiem komitywa...

Szczur polizał jej palec. A może tylko jej się przywidziało.

– A co ty, nędzo, możesz wiedzieć? – Siąknęła nosem, rozrzewniwszy się już na dobre wspomnieniem własnych nieszczęść. – Co tobie trzeba? Ziarna ćwierć miarki na zimę i wody naparstek... A ja co zrobię? Zęby w pień wbiję? Nawet na żebry iść nie ma dokąd, bo kościół pusty stoi, a przy gościńcu zbójców więcej niżli wilków w lesie. Przecie rozszarpią mnie, rozwłóczą na strzępy...

Zawahała się, bo przez chwilę wyprawa do ksiązęcego grodu wydała się jej bardziej kusząca niżli mozolne głodowanie w Wilżyńskiej Dolinie. Zaraz jednak usłużna pamięć podsunęła jej wspomnienie kolejnego spichrzańskiego zamtuza i kurwigospodyni, która pewnego letniego ranka przepadła wraz z jej zarobkiem. Miasto też nie sprzyjało przesadnie Gronostaj. Właściwie nie sprzyjało jej żadne miejsce.

Poczuła przelotną chęć, aby opowiedzieć o tym wszystkiemu szczurowi, który leżał w jej dłoni i zdawał się wszystko rozumieć. Bo od razu zgadła, że to szczur – nie wiedzieć czemu, ale samce zawsze były bardziej przyjazne względem Gronostaj i nie sądziła, aby szczurzy rodzaj miał się okazać wyjątkiem. Zapadał jednak zmierzch i psy coraz głośniej szczeły w opłótkach, a nie wątpiła, że mściwe gospodynie rychło puszczą je luzem i poszczują w stronę cmentarza, którądy biegła jedyna ścieżka do jej lepianki. Zresztą dziwnie jej było stać tak na pustym polu i przemawiać do szczura. Nawet jeśli w całej Wilżyńskiej Dolinie tylko on chciał wysłuchać historii wioskowej ladacznicy.

Nie zastanawiając się, wsunęła go za dekolt. Drobne pazurki połaskotały ją po skórze, gdy mościł się wygodniej. Był ciepły i jakoś tak jedwabście miękki. No, przelotnie pomyślała też o szczurzych zębach, które mogły poczynić pewne spustoszenia w koronce, a nie miała grosza na drugą suknię. Jednak przyjemnie było mieć wreszcie coś własnego. Choćby szczura.

Po omacku wymościła mu legowisko ze starej halki tuż obok swego barłogu. Na wszelki wypadek pokruszyła kęs podpłomyka i naląła odrobinę gorzałki w łupinę orzecha. Nie wyznawała się przesadnie na szczurach, ale rozumiała, że łyk gorzałki zawsze się przyda ku pokrzepieniu. A potem w spokojności ducha usnęła.

Rankiem szczur wciąż był w chacie. Nie wyglądał najlepiej. Rany na bokach zaogniły się mocno i ciekła z nich brzydka, brunatna posoka, gorzałka jednak znikła bez śladu, co Gronostaj uznała za nieomylny znak rychłego ozdrowienia. Na wszelki jednak wypadek – a także dlatego, że za młodu zdarzało się jej zawrzcć komitywę z pasterzami i wiele się nasłuchiwała o poranionych owcach, które były głupie i aż nazbyt słabowite – odżałowała jeszcze łyk gorzałki i bardzo starannie przemyślała wszystkie skaleczenia. Szczur zniósł operację godnie. Kręcił się wprawdzie i popiskiwał z cicha, ale nie próbował gryźć, co do reszty upewniło Gronostaj o zacności zwierzątka.

Właściwie zaczynała dochodzić do wniosku, że nie bez powodu wyratowała go spod wronich dziobów. Widziała kiedyś tresowane szczury w jarmarcznej budzie, które na rozkaz sztukmistrza tańczyły na tylnych łapkach i bardzo zgrabnie znajdowały w tłumie ukryte ziarna bobu czy kawałki koziego sera. A kiedy tylko odpust się skończył i kuglarz razem ze swoimi szczurami spieszenie wyjechał precz z Wilżyńskiej Doliny, wyszło na jaw, że szczury jeszcze inne rzeczy wyszukiwały w ciżbie wieśniaków. Osobliwie zaś w ich sakiewkach. Zasobniejsi gospodarze nie mogli się doliczyć kilku tuzinów srebrnych monet, pasterzom zaś poginęły całe garście miedziaków, które zamierzali

sumiennie przepić po wieczornej sumie. Odtąd Gronostaj wierzyła święcie, że pogłoski o osobliwej szczurzej inteligencji nie są bynajmniej przesadzone.

Zastanawiała się, czy po wydobrzeniu szczur mógłby jej jakoś, cichaczem, przyczynić dobytku. Karczmarz miał na nią baczenie i nie pozwalał, aby przysiadła się do spitych biesiadników, ale szczurów w gospodzie było zatrzęsienie...

Na razie jednak nie bardzo miała po co iść do wioski, bo Kordelia nieprędko zapomni wczorajsze figliki na mogiłce dziadunia. Skrupulatnie wysączyła więc resztę gorzałki za zdrowie szczurzego ozdrowieńca. Po porannych zabiegach wyglądał naprawdę lepiej – albo usilnie czynił dobre wrażenie gwoli uniknięcia dalszej kuracji. Ponieważ prawdziwie go polubiła, a gorzałka była mocna okrutnie, poczuła jeszcze większą tkliwość dla drobnego zwierzątka, które spało w bieliźnianym kłębie jej halki, i wydobyła ze skrytki chowany na czarną godzinę antałek spichrzańskiego ciemnego piwka. Zamierzała wychylić kubek, najwyżej dwa. Naprawdę jej zależało na szczurzym ozdrowieniu.

Następnego dnia szczur wprawdzie wyglądał całkiem nieźle, za to Gronostaj ledwie starczyło sił, by zwlec się z pośłania. Sięgnęła na oślep ku antałkowi, lecz naczynie było puste i otwarte, choć przysięgłaby, że wcale sporo napitku bulgotało jeszcze na dnie, kiedy je przed snem szpuntowała. Co gorsza, nie została też ani odrobina przyniesionych przez Waligórę zapasów. Znikły nawet trzy zeschłe jabłka, które trzymała ukryte w barłogu.

Popatrzyła badawczo na szczura, ten jednak spał niewinnie z ogonem wplątanym w przyżółkłą koronkę. Wydawał się równie chudy, jak wcześniej i zawstydzila się swej podejrzliwości, zwierzak był bowiem z gruntu niepozorny i przy najszczerzych chęciach nie zdołałby zezreć jej zapasów. Ani chybi, uznała na koniec, gorzałka natchnęła ją taką łapczywością, że sama wszystko pochłonęła, na dodatek smaku żadnego nie poczuwszy. W istocie, było jej coś ciężko na żołądku i nieswojo, a dzionek nastał szary, posepny, więc naciągnęła na powrót derkę i uznała, że drzemka najlepiej pomoże na niemoc.

Szczur za to wydawał się zdrowszy i radośniejszy, popatrywał ku niej bystro i nawet ostrożnie przeszedł kilka kroków po pośłaniu. Okruszki chleba znikły z legowiska, więc Gronostaj próbowała go lepiej jeszcze ugościć, podtykając pod pyszczek zeschlą skórkę słoniny, ale jeść nie chciał. Pokręcił się trochę po jej dłoni, połaskotał wąsiskami, aż rozchichotała się niczym młódka, a potem bardzo prędko wbiegł jej po rękę na ramię, a stamtąd skoczył w dekolt i umościł się wygodnie pomiędzy piersiami. Gronostaj aż pokręciła głowę z zadziwienia nad zmyślnością zwierzątka, które małe było i nikkzemnego sortu, ale przecie rozumiało, co dobre. Ułożyła się ostrożnie, by go nie urazić nieopatrzny ruchem, i usnęła, ukołysana głodem i miarowym szczurzym oddechem.

W nocy przydarzył jej się sen, dziwny i niepojęty. Pośrodku ziemianki, w plamie księżycowego światła, bo wejście było rozwarte na oścież, siedział mężczyzna. To nie zdumiało jej nadmiernie. Niemało chłopów zachodziło do niej ciemną nocką z leśnych szałasów, choć nie sądziła, aby któryś znał to ukrycie. Gość jednak wydał jej się obcy i zgoła do innych niepodobny. I nie dlatego wcale, że był od innych mniejszy i przybrany w dziwną szatę z szarego krótkiego futra, Gronostaj bowiem szanowała swą profesję i nie czyniła chłopom wstrętów, traktując wszystkich jednako, bez względu na rozmiar, zajęcie i pochodzenie. Ale ten po prostu siedział w miesięcznym blasku i gapił się na nią niczym sroka w kość, aż się zaczęła wiercić na pośłaniu i obracać niespokojnie. Wówczas mężczyzna sięgnął za pazuchę i ze skórzanej tulejki wyjął pęk zwyczajnych drewnianych piszczałek. Popłynęła melodia niepodobna do żadnej innej, słodka i rześka zarazem, jak łyk wody zaczerpniętej ze strumienia w największy letni skwar. I pośrodku snu Gronostaj znów była dziewczuszką, która biega za białymi gęsmi po zielonych stokach pagórków, rozgrzana słońcem i po dziecinnemu szczęśliwa,

nieświadoma wszystkiego, co się rychło miało wydarzyć.

A później mężczyzna odłożył piszczałkę i patrzył na nią jeszcze chwilę. Jego źrenice były jak płynny ogień. I nic więcej nie zdołała zapamiętać.

Rozbudziła się, kiedy słońce stało już wysoko. Przetarła oczy, odsunęła zakrywającą wejście plecionkę z cienkich gałązek zarzuconych końską skórą. Drobiny pyłu wirowały w powietrzu, szczur spoczywał na skraju pośłania i spał smacznie. Zranienia na bokach zablizniały się z wolna, sierść lśniła, a wąsiska sterczały dumnie. Wydawał się zdrowszy i bezpieczniejszy, co natchnęło ją jakąś dziwną radością. Ponieważ zaś w brzuchu kruczało jej okrutnie, wychyliła z ziemianki rozczochraną głowę i rozejrzała się bacznie po okolicznych krzakach, dla upewnienia, czy jakiś złodziej nie podgląda podle jej kryjówki. Nikogo nie spostrzegła, a szczur śnił dalej, zwinięty w kłębek i niemal srebrny w promieniach słońca.

Wiedziała dobrze, że nie powinna tego czynić, bo zima w Górach Żmijowych była surowa i nie kończyła się prędko, ale głód doskwierał jej straszliwie i bez miłosierdzia skręcał wnętrzności. Sięgnęła więc ostrożnie w róg ziemianki, odgarnęła na bok zbutwiałe szmaty i resztki starego siennika, którymi zwykła zasłaniać klapkę do jamy z zapasami na zimę, a potem prędko sięgnęła w ciemną gardziel loszku. I zaraz rozdarła się zduszonym, rozpaczliwym krzykiem.

Nic nie zmacała. W jamie nie było ani połcia słoniny zwędzonej sprytnie w gospodzie pewnego wieczora, kiedy oberżysta zanadto gorliwie pił z pachółkami władyki, ani dwóch wianków cebuli, które jeszcze zeszłej niedzieli suszyły się bezwstydnie na płocie młynarzowej, ani trzech dzbanów fasoli uzbieranej ukradkiem na okolicznych polach. Niczego nie było. Ani soczewicy i kaszy, wytargowanych na jarmarku, ani śliwek wędzonych w dymie, ani suszonej ryby, ani grzybów, zbieranych pracowicie przez całe lato. Złodziej wymiół wszystko do ostatniego okruszka i na darmo obmacywała pustą kryjówkę. Dzbany, owszem, stały na miejscu, ale kaszę wybrano co do ziarenka, a po słoninie został tylko kawałek sznurka, na którym kiedyś wisiała nad szynkwasem.

Nie rozumiała, jak to w ogóle możliwe. Że tyle dobra mogło zniknąć bez śladu. Bez najdrobniejszego szelestu nawet, bo ten posłyszalaby przecież, sen mając czujny jak mało kto i wyćwiczony w nieprzebranych izbach, dokąd zakradała się skrycie tuż po zmierzchu, i niezliczonych pośłaniach, gdzie sen nazbyt głęboki wnet mógł stać się przyczyną nie tylko utraty sakiewki, ale i żywota. Właściwie złodziej, kimkolwiek był, mógł jej równie dobrze gardło poderznąć, nie sądziła bowiem, aby przed śniegiem mogła skądś dobrać choć połowę zapasów koniecznych do przeczekań zimy. A najgorsze, że nie pojmowała zupełnie, jakim sposobem dokonał podobnej kradzieży – zasłona u wejścia wyglądała jak wczoraj i wszystkie drobne śmieci tkwiły w swych kątach, nieporuszone i obojętne.

Rozpląkała się. Przykucnąwszy pośrodku pośłania, zanosila się przyciszonym łkaniem i kołysała na piętach jak dziecko. Szczur, gwałtownie wyrwany ze snu, przypatrywał się jej oczami jak połyskliwe krople smoły i drżał na całym ciełe.

– Już dobrze – powiedziała, gładząc go czubkiem palca po miękkim szarym futerku. – Będzie dobrze. Zobaczysz. Będzie dobrze.

Jednak nie wierzyła w to ani trochę.

Obmyła twarz w strumieniu, wplotła we włosy pojedynczą wstążkę, której szkarłat wyblakł mocno tego lata, i powlokła się do wioski w nadziei, że ktoś jednak ulituje się nad jej niedolą.

Na skraju lasu dojrzała Ortyła, który wędrował ścieżką z siekierą na ramieniu, pogwizdując skoczną piosenkę. Jednak kiedy zobaczył wioskową ladacznicę, jego twarz z nagłą spochmurniała. Pośpiesznie pociągnął ją w zarośla, choć bynajmniej nie gwoli zmysłowych uciech, na co Gronostaj niepomąłu liczyła.

– Dokąd, głupia, leziesz?! – syknął niemal ze złością. – Toż w wiosce babiniec się kłębi niczym stado szerszeniów, jeno czekając okazji, żeby cię dopaść.

– A bo mnie się takie nieszczęście przydarzyło! – rozryczała się na nowo Gronostaj. – Takie nieszczęście...!

– Tobie się zawsze nieszczęścia przydarzają – burknął Ortyl, ale po głosie poznała, że wzburzenie zaczyna mu mijać, bo nie był człowiekiem gniewliwym i nieodmiennie ją lubił. – Nie trza się było z Waligórą pokładać, przecie każdy rozumie, że Kordelia jest baba wredna i złośliwa. A wyście jeszcze, tfu! – splunął potężnie – musieli akuratnie na jej dziaduniu!

– Przeciem nie pomyślała, że się młynarzowa w sam raz na smyntarz przypała! – jęła się niezręcznie bronić Gronostaj. – Nieboszczykowi teżem nijakiego despektu nie chciała uczynić... tylko jakoś tak wyszło...

– Ale Kordelia desperuje i baby judzi. Gospodynie większe co do jednej w ową znowę wprowadzone, pastuszków przy ścieżce wystawiły. Mają je wołać, jak się wedle wioski pokażesz. Jest plan, żeby cię najpierw gnojem mazać dla przestrogi i widowiska, potem zasię na osle okrakiem gołą wozic i trzy tuziny kijów wyliczywszy, gościńcem precz popędzić. Strasznie są baby rozwścieczone – dodał już z jawną troską w głosie i pogłaskał ją po okaleczonym policzku. – Z dobrego serca radzę i przestrzegam, nie idź ty, dziewczyno, do wioski, póki się to wszystko nie utrząsie i nie uspokoi.

– Kiedy głodna jestem! – rozdarła się płaczliwie Gronostaj, ale zaraz zatkała gębę, przerażona, by jej wybuch nie ściągnął z wioski jakiej mściwej babiny. – Złodziej mi się nocą w dom zakradł, z zapasów wszelkich chytrze ogołocił. I co ja teraz pocznę? Zęby w kamień wbiję?

– No, cichaj, cichaj, dziewczyno. – Ortyl oparł siekierę o pień sosny i niezgrabnie przygarnął ladacznicę. – Nie trza desperować...

– Łatwo wam gadać. – Siąknęła nosem. – A mnie ten kurwi syn z ostatniego ziarnka soczewicy obrał i nawet łupiny cebulowe precz wymiółł. Nic się nie ostało, ani krzynka! A śladu wedle chaty żadnego nie znać, jakby się kozojebca dymem rozwiął albo na łopacie przyleciał. Co może być prawda – dodała gorzko. – Może na mnie Babunia Jagódka krzywa za to z Waligórą spoufalenie? Ale czy ja winna, że ją dla ciepłej pierzyny rzucił, młyna i garnka srebra, co go Kordelia po starym Betce chowa?

– Kto by tam wyrozumiał, co się wiedźmie we łbie kroi? – rzucił lekko łupieżca. – Ale ona od dwóch niedziel do wioski nie zagłada. Pewnikiem nowe czarostwo plugawe szykuje, bies ją tam wie, przeklętnicę. Ty się na wiedźmę, dziewczyno, nie oglądaj, niewiele ci ona pomoże.

– A niby inni do pomocy chętni? Wszyscy mnie odstąpili. – Potarła nerwowo twarz, rozmazując grubą warstwę brudu. – Bogowie, ludzie, nawet bydłeta nieme. Czwarty dzień będzie, jak mi się w sidła nic nie złapało, choć po lesie zająców więcej niż mrówek, a zielononózki potłuściły jak zapustne gęsi. Ale nie, żadna w potrzask nie wejdzie, tylko groch wydłubują. I tak się wycwaniły, że nawet gniazda wysoko wiją, psiejuchy, nie sposób jajec sięgnąć.

Gdzieś od strony łąki trzasnęła sucha gałązka i Ortyl odskoczył od ladacznicy tak gwałtownie, że aż się zachwiała. Grasant nie czekał, nie pytał, kto idzie. Porwał spod pniaka siekierę, pośpiesznie wcisnął w rękę Gronostaj płócienne zawiniątko, a potem pchnął ją z całej siły między wybujale jałowce, byle dalej od ścieżki. Upadła, boleśnie tłukąc kolano o spróchniały konar, ale zaraz przywarowała czujnie przy ziemi, z dróżki bowiem dobiegły ją znajome głosy wiejskich bab. Niewiasty najpierw ołajały Ortyla grubymi słowy, że posłany w karczowisko drewno rąbać, na ścieżce czas mitręży, później zasię z wielką zajadłością przepytały go na okoliczność wioskowej ladacznicy. Przycupnięta za konarem dziewczyna wnet wyrozumiała, że ostrzeżenia rabusia nie były

bynajmniej przesadne, gdyż wilżyńskie zacne białogłowy nie omieszkały powiadomić Ortyła i o tym, dlaczego z równą pilnością w wiosce wyglądano jego powrotu z poręby. Ano dla tej przyczyny, że Kordelia, własną złością wciąż się jątrząc i podjudzając, na nowy pomysł wpadła. Mianowicie, aby przykładnie ladacznicę pokarać za wszeteczeństwo obmierzłe z cudzym chłopem i pokładanie się na mogiłkach. Najlepiej na stosie.

Ponieważ nie było pewności, jak Babunia Jagódka przyjmie ową twórczą innowację w dziedzinie miejscowych obyczajów, postanowiono rzecz całą uczynić cichaczem i jak najszybciej, póki spokojnie w chacie siedzi i ani dba o zwykłe ludzkie porachunki. Wiedźma bowiem z łatwych do odgadnięcia powodów była cięta na wszelkie niebezpieczne ogniowe zabawy. Dbała też wielce, aby wilżyńscy wieśniacy nie nabywali zbędnej eksperencji w rozpalaniu stosów i pieczeniu na nich przebrzydłych grzeszników. A zeźlona, potrafiła niezadowolenie okazać pomorkiem bydła albo gradobiciem. Dlatego stos miał być sporządzony w najdalszym krańcu wioski, nad stawem wedle ruin młyna Betki, by nawet odległy zapach spalenizny nie doleciał do chaty Babuni Jagódki. I to jak najszybciej, bo Kaniuk mógł lada dzień wrócić z wyprawy na pastwiska, a wilżyńskie gospodynie nie wiedziały, czy pleban dobrodziej uraduje się z rozwiązania problemu grzesznicy.

Pozostawał wszakże jeden kłopot – uparta nierządnicą drugi dzień nie pokazywała się w gospodzie, widać zawczasu zwietrzywszy pismo nosem. Ale ani Kordelia, ani jej liczne zauszniczki nie wątpiły, że głód wygna rychło Gronostaj do wioski. Na wszelki wypadek, i gdyby się wredna dziewczka chciała wymknąć z obławy w daleki świat, rozstawiono czujki wzdłuż obu ścieżek, wiodących do wyjścia z Doliny. Gdzieś się przecież musi wreszcie pokazać, gadały na ścieżce babiny. A wówczas nim miną dwa pacierze, przywiąże się ją do dyla i ogień roznieci. Po prawdzie, to w Wilżyńskiej Dolinie okrutnie długo nie popasali komedianci, ani nawet byle wędrownego handlarza nie oglądano za przyczyną domowych niepokojów, więc się obywatele niemało cieszyli na podobną rozrywkę.

Gronostaj wysłuchiwała tych wiadomości, dygocząc i kuląc się za konarem niczym borsuk w norze. Później rąco pomknęła leśnymi traktami ku swej ziemiance. Ale nawet w środku, bezpieczna od napaści i zadyszana po biegu, nie potrafiła zatrzymać opętańczego kołatania serca. Nigdy wcześniej cała wioska nie polowała na nią z równą zajadłością, nigdy też jawnie nie rozprawiano o stosie. Bała się. W spokojniejszy czas, pomimo obławy próbowała by przemknąć się gościńcem ku miastom, w których nikt nie znał jej twarzy i nie słyszał o Wilżyńskiej Dolinie. Może znaleźć jakiś statek płynący do Szczezupin, albo jeszcze dalej, ku stepom Turzni i południowym pustyniom, z których przybywały Servenedyjki o twarzach naznaczonych sinym tatuażem. Właściwie nawet z bliźną na policzku nie była szpetniejszą od Servenedyjek, nie sądziła więc, by podobny uszczerbek na urodzie mógł żywotnie zaszkodzić jej interesom. Zresztą było aż nazbyt jasne, że w rodzinnej osadzie nie ma już czego szukać.

Pomimo tych wszystkich nieszczęść obecność szczura w jakiś sposób dodawała jej otuchy. Zwierzak ożywił się wyraźnie, gdy rozpakowała węzełek Ortyła, wydobywając spomiędzy zwojów sukna gomółkę przywędzanego sera, kilka drobnych czerwonych cebulek i pół bochenka chleba. Jadł łapczywie, co uznała za nieomyślny znak ozdrowienia. Nalała mu jeszcze odrobinę wody w łupinę orzecha i położyła się spać, podkładając pod głowę zawiniątko z Ortyłowymi zapasami. Tej nocy nie zamierzała utracić ani kęsa.

Srodze się miała zawieść.

Noc była ciepła i dziwnie jak na tę porę bezwietrzna, ale Gronostaj spała płytko i niespokojnie. A później znów usłyszała dźwięk piszczałki. Sosnowe igły, zeschłe liście, drobne gałązki i źdźbła trawy uniosły się z klepiska i zaczęły wirować w powietrzu w rytm melodii, kiedy mężczyzna o

żrenicach jak płynny ogień grał dla niej w lepiance na zboczu Wilżyńskiej Doliny. Aż w głębi dusznego omamu przypomniawszy sobie, że już wcześniej widziała podobne oczy, utkane z czystej magii i płomieni. Wiele lat temu, tak dawno, że niemal zapomniała o tamtej chudej dziewczusce, córce grabarza Rękawki, która niegdyś wyprawiła się do chatki Babuni Jagódki i wypowiedziała życzenie. We śnie jednak wiedźma znów trzymała ją za rękę zimnymi starczymi palcami i wiodła czarownicą ścieżką przez mroczny, jesienny las. Wielkie srebrzyste ómy tańczyły wokół nich niczym płatki śniegu.

Chciała się obudzić, ale piosenka spętała ją dotkliwiej niż powróż. Nie potrafiła spojrzeć w twarz mężczyzny, kiedy wstał wreszcie i ruszył ku jej pośłaniu. Wiedziała tylko, że jest w tym śnie i melodii magia potężna i stara jak Góry Żmijowe. Była przerażona. I nic nie mogła zrobić. Nie mogła się nawet poruszyć.

Przed świtem chwycił mróz i ocknęła się na rozkopanym, zmierzwionym pośłaniu. Derka leżała pod ścianą, a po Ortylowym podarunku nie został ani ślad. Właściwie Gronostaj nie zdziwiła się zbytnio. Po prostu wdziała chodaki, okręciła się starą opończą i wybiegła na ścieżkę. Była tak rozeźlona, że nie zastanowiła się, co też nastąpi, jeśli wieśniacy przydybią ją na podobnej nieostrożności. Gnała przed siebie, póki nie odnalazła znajomych krzaków leszczyny i czarnego bzu, a zaraz za nimi rozszczepionej piorunem sosny, która rosła tuż na skraju dróżki wiodącej do obejścia wiedźmy.

Dwa siwki uwiązane na podwórzu u studni zwiastowały gości, kogoś zasobnego i wysokiego rodu, sądząc z rzędu i wyglądu wierzchowców, ale Gronostaj nie zamierzała nad tym rozmyślać. Z wściekłością kopnęła drzwi, które rozwarły się przed nią z pełnym protestu skrzypnięciem, a Babunia Jagódka odwróciła się od komina i sarkastycznie uniosła brew. Jednak naprawdę Gronostaj stropiła się widokiem obcych. Wysoka jasnowłosa kobieta w błękitnej, podbitej futrem podróżnej sukni stała tuż obok paleniska, grzejąc dłonie nad płomieniami; jej twarz była blada, wynędzniała i dziwnie znajoma. Mężczyzna siedział przy stole, trzymając na kolanach długi miecz. Po sutym aksamitnym płaszczu i kubraku szamerowanym srebrem, ładacznica rozpoznawała w nim kogoś znacznego, może żalnickiego szlachcica, albo jednego z wolnych zaciężników, których namnożyło się ostatnimi czasy w Krainach Wewnętrznego Morza i którzy teraz rozjeżdżali się z wolna do domów po ostatniej wielkiej bitwie na kamienistych plażach Rankoru. Oboje patrzyli na nią ciekawie, lecz ich oczy były niebieskie i ze szczerem ludzkie.

– A myślałby kto, że człek na uboczu mieszka – sarknęła Babunia Jagódka. – I że ludziska wedle wiedźm nieśmiałe, bojące. I co? Gówna prawda!

– A kto was do wiedźmienia najął i na życie moje nastaje? – wykrzyknęła Gronostaj, która zazwyczaj była spokojną niewiastą i nad wyraz tchórzliwą, jednak w gniewie odmieniała się do cna i każdemu skakała do oczu. – I nie łzyjcie mi, bom niegłupia!

Wiedźma zmierzyła ją spode łba posępnym spojrzeniem. Jasnowłosa kobieta podniosła dłoń do ust, by ukryć uśmiech, a jej towarzysz uprzejmie wpatrzył się w stołowe deski. Ani jeden muskuł nie drgnął mu na twarzy, przeciętej na policzku brzydką, szkarłatną blizną, ale Gronostaj była pewna, że skrycie weseli się jej kosztem.

– Widziałam was w nocy! – wykrzyknęła, rozjątrzona.

– Nie może być? – zdziwiła się fałszywie gospodyni. – To takie mnie ze starości partactwo ogarnęło, że nie wydolę ukradkiem do izby wleźć? Ani chybi, czas się wieszać!

Ładacznica poczuła niemiłe ukłucie wątpliwości. Jednak jasnowłosa kobieta patrzyła na nią wyczekująco, a mężczyzna przy stole uśmiechał się nieznacznie. Nie zamierzała pozwolić się przy nich ośmieszyć. Zresztą była pewna, że w Wilżyńskiej Dolinie nikt prócz Babuni Jagódki nie

zdołałyby się niepostrzeżenie wemknąć nocą do jej chaty. Nawet młynarzowa Kordelia nie dopięłaby podobnej sztuki.

– Bo mię nastraszyć chcecie! – syknęła przez zęby Gronostaj. – Wszystko to zamysł wasz, z dawien dawna, żebym z Wilżyńskiej Doliny precz poszła. Kordelia was namówiła!

– Do czegoż? – spytała pobłaźliwie wiedźma. – Żebym ci z serca szczerego poradziła w Spichrzy zarobku szukać? Toż każdy widzi, że tutaj się nie uchowasz, dziewczyno. No, póki jeszcze siedziały zbójcę na Przełęczy Zdechłej Krowy, była w tem wszystkim nadzieja, że z głodu nie zdechniesz. Ale teraz grasanty rozpedzone, kupców na szlaku ani widu, ani słyhu, więc zdaje mi się, że do wiosny ze szczętem zmarniejesz.

– A nie wasza to rzecz! Ja was nie pytam, czemu w głuszy samojedna z kozłem siedzicie!

– A nie. Tyle że ja nie kradnę karczmarzowej rzepy i nie żebrzę między wieśniakami o ćwierć bochenka chleba. Ale nawet to nie potrwa wiele dłużej, dziewczyno, jak będziesz w szkodę innym babom leżć i wilżyńskich gospodarzów bałamucić, to wnet cię w stawie utopia...

– Chyba że mię pierwej ze wszystkich zapasów ograbicie! Nic nie gadajcie, wiem dobrze, com w nocy widziała. Nikt inny w Dolinie takich ślepi nie ma, wściekłych i jak ogień gorejących. A że się pod postacią chłopca do mnie zakradacie, to tylko sztuczka chytra, żeby mnie zwieść i omamić!

– Pod postacią chłopca?

– Toż sami wiecie! Mały, drobny, myszawy. Ale furda to! Grunt, że mi spiże kradniecie i to jak wam powiadam, że jak was przyszej nocy na tym złodziejstwie nakryję...

– To co?

Gronostaj stropiła się nagle.

– Jak wam nie wstyd?! – rozdarła się płaczliwie, gdyż rozmowa przybrała zgoła nieoczekiwany obrót.

– A zwyczajnie – bez skrupowania oznajmiła wiedźma. – Co ja ci niby ukradnę? Rzepy pół worka? Kaszy garsteczkę? Dwa zeschłe jabłka? A co to dla mnie za zysk? – Potoczyła wzrokiem po wnętrzu izby, suto obstawionej wszelakim dobrem, po omszałych dzbanach wina na kredensie i szklanej misie zamorskich fruktów tuż obok, po miedzianym kociołku z myśliwską polewką, która bulgotała zachęcająco na kominie, i wielkim bochnie chleba o skórce wypieczonej na brązowo i polanej masłem. – Coś ci się przywidziało z głodu, albo jeszcze prędzej od gorzałki. Ot, cała tajemnica!

Gronostaj pokraśniała na gębie i chciała wybuchnąć nowym stekiem złorzeczeń i wyzwisk, ale Babunia już odwróciła się do niej plecami, machnąwszy tylko dłonią, jakby chciała odpędzić natrętną muchę.

– Zajętam! – rzuciła przez ramię. – Gości mam, nie widać? Władyka we dworze nastał nowy, trza nam trochę pomówić, stare czasy wspomnieć. Jutro z wieczora przyjdź, to się w tym twoim nieszczęściu rozpatrzemy.

Pstryknęła palcami, a Gronostaj ani się spostrzegła, jak stała na progu Babcinej chatki, gapiąc się bezmyślnie w wytarty kamienny próg. Szarpnęła za klamkę, ale drzwi były zatrzaśnięte na głucho i zaparte na skobel, spod okiennic zaś nie przesączała się nawet najdrobniejsza smużka światła. Tylko komin dymił z animuszem, a wokół chatki unosiła się przejmująca woń myśliwskiej polewki, świeżego chleba i pieczonych w popiele jabłek. Gronostaj wiedziała, że żadnym sposobem nie wejdzie znów do środka – czasami Babunia pozwalała się zniecka zaskoczyć nieproszonym gościom, ale nigdy dwa razy z rzędu. Kopnęła więc tylko w drzwi. Niezbyt mocno, aby wiedźmy niepotrzebnie nie rozjuszać.

Dopiero koło studni pofolgowała sobie trochę. Złapała za długi dyl, który stał oparty o

cembrowinę, i z wściekłością otłukła nim pień rosnącej pośrodku podwórca jabłunki. Wydało jej się, że drzewo zaszeleściło z urazą listowiem, nadzwyczaj bujnym i zielonym pomimo jesiennej pory, i wnet na głowę ladacznicy posypał się istny grad dorodnych rumianych jabłek. Pierwsze ugodziło ją w nasadę nosa, drugie prosto w czoło, ale z takim impetem, że pociemniało jej przed oczami i klapnęła tyłkiem w trawę. Drzewo mściwie sieknęło ją po grzbiecie i ramionach owocami. Gałęzie kołysały się tuż nad ziemią, jakby chciały ją pochwycić, listowie szumiało wrednie i prześmiewczo, kiedy Gronostaj w popłochu usiłowała odpełznąć na bok, co wszelako trwało dobrą chwilę, bo jabłonka była bujna i rozłożysta.

Wreszcie, otłuczona i z rozbitym nosem, schowała się za cembrowiną. Drzewo zasyczało coś jeszcze, prychnęło ku niej drobinami kory i zeschniętymi liśćmi, po czym uspokoiło się na dobre. Gronostaj wyrzała ostrożnie, na wszelki wypadek osłaniając głowę cebrzykiem, i z daleka pogroziła mu pięścią. Właściwie jednak nie była szczególnie zdziwiona, bo w obejściu Babuni Jagódki rzeczy tylko z rzadka były tym, czym się wydawały. W księżycowe noce studnia pohukiwała i zawodziła w cembrowinie, a gdy kto w nią nieopatrznie spojrział, to spełniała życzenia – zwłaszcza te co głupsze. Kozioł, który koźlim zwyczajem biegał za dziewczynami, a urodziwszym nawet spódnice rogami podnosił, potrafił się zniecka przemienić w chłopca, zresztą równie sprośnego jak cap, więc niewielka to była odmiana. Nawet sztachety w płocie klekotały jak żywe i unosiły się w podmuchach wiatru na pół łokcia, a czasem walnęły jakiego natręta w łeb, jeśli zakradał się do domostwa Babuni od strony lasu, zamiast po bożemu przejść przez furtkę.

Zawziętość jabłunki nie zdumiała więc Gronostaj zbytnio i właściwie nie miała drzewu złośliwości za złe. Przeciwnie. Kiedy już ochłonęła trochę z pierwszej trwogi, sięgnęła po kij i ostrożnie wygarnęła spod gałęzi najbliższy owoc. Jabłko było wielkie, krągłe i rumiane od słońca. Poobracała je w dłoniach, szukając robaków, parchów czy innych utajonych niebezpieczeństw, ale nic nie znalazła, a zapach nęcił przemożnie. Ugryzła drobny kęs, a potem jeszcze jeden, i ani się spostrzegła, jak w garści został jej tylko mały brązowy ogonek. Wytarła sok z brody i na wszelki wypadek obmacała się dokładnie po gębie, pamiętając opowieść o pewnym nieszczęsnym młodzianie, który dawno temu nieproszony zaczerpnął wody z Babcinej studni i przemienił się w jelenia. Jednak wszystko zostało na miejscu – i nos zadarty jak kartofel, i strąki bladożółtych włosów, które luźno opadały na ramiona, i nawet blizna, pamiątka po nożu grasantów. Wygarnęła więc ze dwa tuziny jabłek, zawinęła je w spódnice i nawet wcale zadowolona powędrowała do swojej ziemianki.

Przemykała się leśną gęstwiną, byle dalej od ścieżek, którymi wieśniacy przepędzali bydło z leśnych pastwisk, i choć dobrze знаła okolice, rychło zabrnęła po pas w splątane krzewy dzikich róż. Długie kolce szarpały jej suknię, wiotkie gałązki czepiały się włosów, aż do krwi smagały po twarzy. Zasepiona przystanęła, by wyplątać z szala zeschnięty pęd, bo kramarze od dawna nie zaglądali do Wilżyńskiej Doliny i nie zostało jej wiele przyodziewku do zmarnowania. Oczywiście kolec zaraz wbił się w jej dłoń, ale też nie spodziewała się czegoś innego. Przytknęła palec do ust, żeby wyssać ranę, gdy nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Uśmiechnęła się do siebie szelmowsko, po czym zaczęła delikatnie obrywać różane kolce i chować je do zawieszanej u pasa sakiewki, póki nie zebrały się dobre dwie garście.

Szczur stanął słupka i bardzo starannie obwąchał jej palce. Wzięła go na podolek, pogłaskała po miękkim futerku, ledwie wyczuwając pod opuszkami zabliznione ślady po dziobnięciach. Dała mu kawałek jabłka, a potem drugi i trzeci. Sama zresztą też nie próżnowała, ostatnie dni bowiem nie obfitowały w strawę. I ani się objerzała, jak oboje znaleźli się na posłaniu, nażarci, szczęśliwi i senni.

We śnie jednak Gronostaj czuła tylko zapach sarniej pieczeni w gospodzie, krwawej kiszki osmażanej na wielkiej miedzianej patelni, świeżego chleba, i jabłkowego ciasta. Ogień buzował na kominie, skrzypczki przygrywały wesoło do tańca, a jej było miło i bezpiecznie w ciżbie parobków. Krążyła po izbie w pięknej czerwonej sukni, w której stan na szczęście wpięto rząd wspaniałych, srebrnych igieł, bo we śnie była bogata, bardzo bogata i nie musiała się lękać, że karczmarz odmówi jej darmowej miski polewki. Śmiała się głośno i w tańcu omiatała podłogę rozpuszczonymi włosami, by zaraz przysiąść znów na kolanach któregoś z wieśniaków i pić chłodne piwo prosto z jego kubka. Gospodarz kiwał ku niej zachęcająco zza szynkwasu i sam władcyka uśmiechnął się łaskawie, kiedy zziajana i rozgrzana tańcem przepychała się ku wyjściu. Przystanąła przed karczmą. Rozgrzane powietrze niosło od pól zapach kwitnącej macierzanki i szałwi, i świerszcze grały w wyschniętych trawach, a spod schodów wtórował im basem spity pacholek. Gronostaj chwyciła jedną rękę słup podtrzymujący daszek, przymknęła powieki i zaczęła się kołysać w rytm dobiegającej z izby melodii.

Nie spostrzegła, kiedy piosenka zmieniła się, a wibrujący dźwięk drewnianych piszczałek zagłuszył skrzypce i bębny. I zaraz znajoma melodia otoczyła ją niczym gęsta mleczna mgła. Świerszcze umilkły jak zakłęte, ścisły karczemne pokrzykiwania i piski służebnych dziewczek. Nawet pijany pacholek przewrócił się wreszcie na drugi bok, zasypiając cichym, spokojnym snem strudzonego zniwiarza.

Wiedziała, że nie powinna słuchać. Ani jednej nutki, bo spęta ją i zniewoli. A jednak stała ciągle przy słupie, kołysząc się w rytm muzyki. I nic nie mogła zrobić, kiedy fletnista szedł ku niej po wilgotnej od rosy trawie, choć w jej uśpionym umyśle kołatała się natrętna myśl, że o czymś zapomniała. Że coś powinno być całkiem inaczej. Tyle że zupełnie nie potrafiła sobie przypomnieć. Sięgnęła po zwisającą u koszuli tasiemkę i wyczuła pod palcami rząd ostrych igieł. I teraz już bardzo dobrze widziała, co należy uczynić.

Pod poduszką miała pełno różanych kolców i obudziła się z dłonią pokaleczoną do krwi. Ale się obudziła. Rychtyk w czas, żeby zobaczyć drobnego myszawego człowieka, który właśnie przetrząsał jej schowek, zapewne w poszukiwaniu resztek zapasów. Złapała naszykowany zawczasu kamień i po omacku wyrznęła złodzieja w łeb. Nie ogłuszyła go jednak, otrząsnął się tylko jak pies, pisnąwszy coś z cicha, więc skoczyła mu na plecy i jęła orać pazurami po karku, bo taka ją wściekłość zdjęła, że ani dbała, czy rabuś nie ma jakiegoś noża ukrytego w kapocie.

Obcy zwinął się w sobie, wygiął grzbiet w pałąk, zrzucając ją na posłanie. Zobaczyła nad sobą wściekle żółte ślepie, gorejące niczym oczy Babuni Jagódki. Ale to nie była wiedźma, co Gronostaj wnet zbadała, gdy jako niewiasta zaprawiona w karczemnych bitkach wymierzyła kolanem potężny cios w słabiznę. Złodziej sapnął, jak zupełnie zwyczajny chłop, i nieledwie skulił się na niej w kłębek.

– Puszczaj, czarcie nasienie! – wychrypiała, przeorując mu pazurami policzek. – A żeby ci się szpik w wodę zamienił! Żebyś owałaszał za moją krzywdę!

Temu ostatniemu życzeniu usiłowała zgrabnie dopomóc kolanem, ale rabuś chyba wyczuł intencję, bo tylko mocniej przydusił ją do barłogu. I to tak, że powietrze ze świstem uciekło jej z piersi, a w oczach pociemniało. Wierzgnęła jeszcze ze dwa razy bez przekonania, bo była wystarczająco długo ladaczną, by wiedzieć, że czasami po prostu nie opłaca się dłużej szamotać.

W szarpaninie miętka poła jego kubraka opadła Gronostaj na twarz i nie mogła przyjrzeć mu się dokładnie, ale była pewna, że to żaden z okolicznych wieśniaków. Wilżyńscy chłopci nie przywdziewali strojów z równie delikatnej materii, nadto złodziej nie cuchnął po tutejszemu, swoistą mieszaniną odoru gorzałki, brudu, dymu i inwentarza, która nieodmiennie przesyciła kapoty bywalców gospody. I dopiero to odkrycie naprawdę ją przeraziło.

Bo jeśli nawet któryś z wilżyńskich kmieci w pijackim widzie zabłąkał się do jej ziemianki, albo przydybał ją chytrze za gospodą w wygodce, to robił owe podchody w celu jasnym i powszechnie zrozumiałym. Dla świętego spokoju niekiedy pozwalała na drobne poufałości na kredyt – ostatecznie знаła tu wszystkich i wszyscy ją znali, więc można było poczekać na parę miedziaków. Ale podpity sąsiad był niczym w porównaniu ze starostą Węzykiem, albo innymi szlachetnymi gośćmi, którzy czasem zjeżdżali do władyki i kazali pacholkom sprowadzać do dwora Gronostaj dla, jak to mówili, zakosztowania prostych, wiejskich uciech.

Uratował ją wieśniaczy spryt i nóż do skrobania ryb, ukryty w betach na posłaniu. Sięgnęła po niego ukradkiem i błyskawicznym ruchem przycisnęła złodziejowi ostrze do podbrzusza.

– A teraz złaż ze mnie, kurwi synu! – zażądała głosem stłumionym przez materię przykrywającą twarz. – Ale wolno i z ostrożną, żeby mi się ręka nie omskła. I szmatę mi z gęby zabieraj, nim cię wykleśnię jak świętecznego knura!

Rabuś drgnął, więc dla przestrogi dźgnęła go lekko czubkiem noża.

– Uważaj, głupia! – zachnął się.

Jednak nie wyczuła w jego głosie należytego przestrachu, co gorsza nie kwapił się też do ucieczki. Przypomniała sobie opowieści spichrzańskich ladacznic o bogatych rajcach, co dla wzmożenia zmysłowych rozkoszy kazali się zawczasu smagać bykowcem. Aż jej się mdło zrobiło od owych cudacznych miejskich sprośności i na wszelki wypadek znów kolnęła go nożem. Mocniej.

– Mówię ci, niewiasto, uważaj! – Tym razem lekko syknął z bólu, sprawiając niemałą przyjemność ladacznicy.

– Trza było nie kraść! – rozdarła się piskliwie. – Trza było po mój dobytek nie sięgać! Widzicie go, jak to się zdążył moją krzywdą napaść, aż mu się kałdun trzęsie.

– To ze śmiechu – wyjaśnił niefrasobliwie rabuś.

I tego już było wioskowej ladacznicy zbyt wiele.

– Ja ci zaraz flaki wypruję!

Dźgnęła na oślep, ale z całej siły, nie dbając, czy jej potem złodziej kark skręci, czy też kat ją powiesi za zamordowanie podróznego. Niby wiedziała dobrze, że władyka nie przyjmie na wiarę opowieści o opryszku, który podstępnie wtargnął do jej ziemianki i skradł rzepę i kaszę jaglaną. Przecież sama też by nie uwierzyła – w Wilżyńskiej Dolinie, mimo że ją ostatnimi czasy bezwstydnie złupiono z wszelkiego dobytku, wciąż były domostwa bardziej dostatnie niż kryjówka wioskowej ladacznicy. A już w pewnością nikt nie da wiary, że ktokolwiek z magicznej konfraterni śmiał ukradkiem kłusować na terytorium Babuni Jagódki. Los guślarza, sprowadzonego kilka lat temu dla warzenia amorycznych dekoktów, stanowił wystarczającą przestrogę. Nie była pewna, czy zdoła plugastwo zabić od razu, ale nóż był z zycznego żelaza, odziedziczony po grabarzu Rufianie. Miała nadzieję, że oprych naprawdę poczuje...

Ostrze jednak wyprysnęło w górę, nie napotykając żadnego oporu. W izbie coś zaszurało, zafurkotało i zaszeleściło nieznacznie. Aksamitna materia zsunęła się nagle z twarzy Gronostaj, zniknął ciężar przyciskający ją do posłania. Dojrzała niewielką plamę cienia na skraju derki i bez namysłu cisnęła w niego ostrzem. A w rzucaniu nożami była, góralskim zwyczajem, nieźle zaprawiona.. Coś pisnęło cienko, żałośnie.

Jak żbik skoczyła ku zdobyczy. I w jednej chwili wszystko zrozumiała.

– Odmieniaj się! – krzyknęła, triumfalnie podnosząc szczura za nasadę ogona.

Trzymała mocno. Poczwała na palcach krew, a zwierzę wiło się rozpaczliwie i usiłowało capnąć ją zębami.

– Odmieniaj się zaraz, pchlarzu, albo ci łeb o kamienie roztlukę! – zagroziła.

Na te słowa szczur zjeżył się, syknął ostrzegawczo, a chwilę potem na skraju posłania siedział mężczyzna o oczach koloru płynnego ognia.

– I co teraz? – rzucił kwaśno.

W mroku nie widziała go dobrze, ale wydało się jej, że obmacywał zraniony tyłek. Już prawie chwyciła nóż, gdy z łatwością go jej wytrącił i przytrzymał rękę.

– Raz się mogła podobna sztuczka udać, nie więcej – powiedział pogodnie.

– Ty łajdaku! – rozszlochała się Gronostaj, niespodzianie ogarnięta wielką żalością. – Ja ci życie uratowałam, spod wronich dziobów cię wyrwałam, a jak mi się odpłacasz? Czarną niewdzięcznością i złodziejstwem!

Uścisk na jej nadgarstkach wyraźnie zelżał.

– A jakim miał inaczej zdrowieć? – burknął pod nosem. – Co, tobie się zdaje, że łyk gorzałki i kęs razowca wystarczą?

– A ja? – wrzasnęła przez łyzy Gronostaj. – Zima idzie! Ciebie twoi popod Sowimi Górąmi przygarną, a ze mną co będzie? Mam z głodu zdechnąć?

– Koza by na tej strawie nie wyżyła przez zimę, a co dopiero niewiasta!

– Było nie żreć! Widzicie go, smakosza! Dość w wiosce zasobniejszych gospodyń i w zapasy obfitych, czemuś się tam na złodziejstwo nie wybrał?

– Bo mnie żadna w gościnę nie prosiła – odparł zwierzołak szczerze.

– Samemu trza było wleźć! Było uczarować jakąś majętną babinę i u niej się w komorze załęgnąć.

– Kiedy... bo mnie się bardziej tutaj podoba. Spokojnie, na uboczu. Nikt się nie wypytuje, nikt za widły nie chwyta. Tyle że wedle jadła mogłabyś się, dziewczyno, lepiej zakrzętać.

– Sam się zakrzętnij! – Gronostaj oswobodziła dłonie z jego uścisku, odsunęła się nieco i jęła rozcierać nadgarstki. – Widzicie go, jaki obrotny! Chcesz żreć, to jazda do wioski! Jeszcze koszyk dam, żebyś miał gdzie zbierać te półgęski, golonki i połcie wędzone, co ci je będą gospodynie jedna przez drugą w łapy pchać. – Cisnęła w niego steraną wiklinową kobiałką.

– Czy wy, ludzie, zawsze musicie być tacy nieuprzejmi? – sarknął szczurzy, zgrabnie uchylając się przed pociskiem.

– Ty złodzieju! – wrzasnęła zaciętrzewiona. – Nie będziesz ty mnie uprzejmości uczyć, okradłszy pierwej! Co się tobie zdaje, że ja jestem głupia? Że nie spostrzegłam, jak się nocką we zmore przemieszczasz i dech ze mnie wyduszasz...?

– Brednie i zabobon – westchnął ciężko szczurak. – Jak zwykle między wami.

– Aha, i to też mi się pewnie jeno przywidziało, jak tu dokazujesz, a na fleciku grasz, by jeszcze mnie bardziej stumanić i zauroczyć? – szydziła Gronostaj.

– Ciebie to w ogóle, babo, trudno zauroczyć – odparł cierpko zwierzołak. – I jak cię tak słucham, to coraz lepiej rozumiem, że nie warto.

Aż oniemiała na podobną bezczelność.

– To trza się było pierwszej nocy zabierać! – wykrztusiła wreszcie, bo głos dławiła jej wściekłość. – Nikt drogi nie zagrażał!

– Kiedy tak cicho we śnie leżysz, to całkiem gładka z ciebie niewiasta i aż się prosi oko dłużej zawiesić – wyjaśnił pogodnie zwierzołak. – Ale po przebudzeniu znać, żeś kłótniwa i pyskata, a na dodatek zabobonna i ciemna niczym grabarz.

– Tak? – zaśmiała się piskliwie Gronostaj, sięgając zniemacka pod posłanie, do skórzanego pęcherza, gdzie zwykła trzymać niektóre ze swych zdobyczy. Wreszcie zmacała szklaną flaszeczkę, pośpiesznie wyrwała korek. – A to, że was woda ze świętego źródła z mocy obdziera, to też zabobon? – Chlusnęła mu w twarz.

Szczurak wrzasnął rozzdzierająco i zasłonił ręką oczy. Ladacznica tymczasem zerwała się z posłania i co prędzej nakreśliła resztką wody krąg wokół legowiska, dokładnie tak, jak jej kiedyś opowiadał kapłan Jałmużnika, z którym się zadawała w przydrożnej gospodzie podczas jednej z licznych wypraw w poszukiwaniu lepszego losu. Wprawdzie nie przywiązywała wówczas większej wagi do jego paplaniny, gdyż wędrowni braciszczkowie wszędy byli jednacy, przechery, w gębie mocni i pełni najdziwniejszych opowieści, które nieodmiennie okazywały się jedynie zmyśleniem. Nie miała też większego pożytku ze sługi Jałmużnika, bo przez pół wieczora obmacywał ją czule, odpędzając innych zalotników, potem zaś ku ucieście współbiedniaków upił się nikkzemnie jałowcówką, zwymiotował jej na spódnicę, a na koniec zwałił się gębą prosto w półmisek z nóżkami w galarecie. A przetrząsnęła mu sakiewkę i juki, to wyszło na jaw, że, mimo butnych zapewnień, braciszek w zebraniu nie miał szczególnych osiągnięć. Zanim karczmarz pojał, że wędrowny mnich pół nocy żarł i pił za trzech na jego koszt, i bezbożnie wykopał go na słoć, rozgoryczona ladacznica zdołała tylko ukradkiem wykraść mu garść miedziaków i buteleczkę wody zaczerpniętej podobno u świętego źródła. Mnich dobre dwa pacierze zachwalał jej zalety, a miała pono czar wszelki wniwecz obracać, zdrowie pomnażać, a zmieszana z zielem dziewięćsiła okrutnie wzmacniać siły męczyńskie. Ale w gospodzie pełnej zbójców, poborców podatkowych i najemników z książęcego garnizonu, który pustoszył właśnie okoliczne sioła, nie znalazł się nabywca ufny w jej cudowną moc. Po prawdzie to Gronostaj też nie bardzo ufała w poświęcane źródła, bo póki co bogowie nie wydawali się nadmiernie zainteresowani jej istnieniem, a flaszkę kapłanowi ukradła z czystej złośliwości i nie liczyła, aby woda miała szczególnie szczurzemu zaszkodzić.

Tym milej była zaskoczona jego przerażeniem.

Zwierzolak zaskowitył przeraźliwie, zwinął się w sobie i sądziła, że odmieni się i pierzchnie pod ziemię. Skulony na posłaniu dygotał i popiskiwał czas jakiś, a zmartwiała ladacznica przytała się w najodleglejszym krańcu ziemianki. Niewiele w mroku widziała, ale po chwili dreszcze ustały, na baranicy leżał bardzo zwyczajny chudy człeczyna.

A jednak dobrze kapłan prawił, przemknęło jej przez głowę. Nie odmienił się, ścierwo!

Wreszcie po długiej chwili szczurzy odezwał się:

– Co ty, niewiasto, zrobiła?

– A co ci się zdawało? – prychnęła Gronostaj. – Że się psim swędem wykręcisz?

– Od czego?

Ladacznica zwalczyła mężnie chęć nakrycia go własną opończę, bo teraz wyglądał równie nędznie i mizernie, jak wówczas, gdy wrony usiłowały go rozszarpać na zamarznietym polu.

– Od moich życzeń! – rzuciła ze złością. – A co ci się zdaje? Że jak my tu w głuszy żyjemy, to nas można wedle woli oszukać i ograbić? A niedoczekanie! Zratowałam ci życie? Zratowałam! To trzy życzenia się należą, i ani jednego mniej! Wszystkie opowieści tak prawią!

– A tyś trochę nie za stara, żeby bajek słuchać?

Bez słowa pogroziła mu flaszeczką. Nie było w niej wprawdzie ani kropli poświęconej wody, ale zwierzolak nie musiał o tym wiedzieć.

– Dobrze już, dobrze! – wzdrygnął się z obrzydzeniem. – To co to ma być?

– Trzy życzenia! Ani jednego mniej!

– Że też wy nigdy rozumu nie nabywacie – zauważył cierpko. – Widzi mi się, że będziesz jeszcze tego żałować a gorzko!

– Ty mi nie groź! I nie wyrzekaj, bo mogę po chłopów pójść, a ci krótką będą mieli z tobą rozmowę. Ogniem a widłami!

– Dobrze już, dobrze... To co ma być?

Ladacznicą potrząsnęła głową, nagle dziwnie ocieźrzała i zamroczoną jak od trunku. Uszczypnęła się ukradkiem w wychudzoną łydkę, ale to nie był sen. Na pewno nie. Przecież widziała bursztynowe od magii oczy szczuraka, które wpatrywały się w nią bacznie ze skraju posłania. Spętała go, pochwyciła w pułapkę, jak tamta niewiasta, która niegdyś śmierć własną w kości zanikła i pogrzebała.

Przelotnie przyszło jej na myśl, że to wszystko jeno kpina i żart plugawy wiedźmy, która wielce była do prześmiewek skora. Ale niby czemu miałyby Babunia Jagódka marnotrawić czas na nią, wioskową ladacnicę?

Przełknęła ślinę, nieomal czując, jak słowa zaczynają się z wolna formować i nabierać kształtów na jej języku.

– Chcę sakiewkę srebrnych groszy! – wyrzuciła z siebie. – I suknię nową z czerwonej kitajki i płaszcz sobolem podbity, buciki czarne z guzikami, koszulę nową i halkę koronką obszytą...

– Tylko tyle? – zakpił szczurzy.

– I jeszcze żeby mi z gęby szramy po nożu zniknęły, a lat ubyło! – wybuchła, odruchowo pocierając bliznę na policzku. – To też potrafisz?

– Potrafię – przytaknął spokojnie zwierzołak. – Taka moja natura, że pod przymusem wiele potrafię. Jeno zdaje mi się, dziewczyno, że nie nacieszysz się tymi życzeniami...

Gronostaj jednak nie słuchała go, nazbyt zajęta wdziwaniem strojów, które w jednej chwili pojawiły się tuż przed nią na legowisku. W lot pochwyciła sakiewkę wetkniętą w cholewkę trzewika, okręciła się na pięcie i jak strzała pomknęła ku Wilżyńskiej Dolinie. Zimny wichur porwał ją i unieśli przez ciemny las ku połyskującemu odbłaskiem płomieni okienku gospody.

Pora była późna, więc karczmarz przysypiał już na ławie obok paleniska, a nad glinianą misą ze szczętem wyczyszczoną z sosu drzemało kilku bywalców. Dwaj unieśli głowy i wnet osłupieli na widok odmienionej Gronostaj.

Nie musiała nawet dotykać policzka, by wiedzieć, że szpetna blizna zniknęła bez śladu.

Bystro wypatrzyła czterech wiergowskich kupców, raczących się spichrzańskim piwem przy wysokim stole, i wielkie, wyschłe chłopisko o wyglądzie książęcego poborcy podatkowego. Kupcy byli jeden w drugiego rośli i rumiani na gębach, a nad pasami z szerokich srebrnych ogniw zwieszały im się zasobne brzuszyska powleczone kaftanami z granatowej kitajki. W świetle łuczywa mieniły się pozłociste guzy na ich kołpakach, lśniły łańcuchy na grubych karkach, a oczy Gronostaj też rozblęskły jak dwie nowiutkie, złote monety. Szarpnęła sznurówkę u gorsetu, który rozchylił się niebezpiecznie, odsłoniwszy jej obfite wdzięki, i ruszyła ku biesiadnikom leniwym, rozkołysanym krokiem, uśmiechając się do przybyszów niczym szakał nad ścierwem.

Najmłodszy z kupców zachłysnął się piwną polewką, posiniał na gębie i jął gwałtownie chwytać powietrze.

Gronostaj uśmiechnęła się jeszcze szerzej, teraz już całkowicie pewna, że szczurak dobrze wykonał swoją robotę.

– Hej tam, gospodarzu! – wykrzyknęła. – Więcej piwa dla moich przyjaciół!

– Ajuści! – zeźlił się karczmarz. – Widzicie ją, małpę, jak to się wyszczerza a zadkiem kręci! Tyleś już piwa bez zapłaty wyżłopała, że wstyd ci tu leżać, cholero! Nic nie dam! – zastrzegł się, gdy posłała mu całusa. – Ani kropelki, psiakrew! Póki mi nie zapłacisz!

– Nie sarkaj, stary! – Ladacznicą rozluźniła węzeł i cisnęła na szynkwias ciężką kaletkę.

Po gładkich, wypolerowanych deskach potoczył się strumień złota.

Karczmarz sapnął, a gęba rozwarła mu się w bezmiernym zdumieniu.

Przy wysokim stole jeden z kupców poderwał się, strącając dzban z piwem, po czym zamarł z wyciągniętą ręką, poruszając bezgłośnie ustami.

Przez głowę Gronostaj przemknęło podejrzenie, że może szczurak postarał się nawet za bardzo. W Górach Żmijowych z rzadka oglądano złoto, a za podobny mieszek można było kupić całą Wilżyńską Dolinę razem z przyległymi siołami, czterema kierdelami owiec, świeżo odbudowanym młynem, karczmą i połacią lasu. A może jeszcze więcej.

W głębokiej ciszy, która zapadła w karczmie, Ortyl próbował się podnieść, bełkocząc coś niewyraźnie, ale jeden z kamratów pochwycił go za kapotę i na powrót pociągnął na ławę.

Każdej innej nocy Gronostaj byłaby wystarczająco roztropna, aby na widok wybałuszonych, nabiegłych krwią oczu oberżysty pochwycić mieszek i umykać chyżo a daleko. Albo jeszcze lepiej, nabrać w garść złota i cisnąć je pomiędzy biesiadników, żeby im w pogoni przeszkodzić, potem zaś zaszyć się we kniei i przesiedzieć, póki ludziska nie opamiętają się w łapczywości. Tak, każdej innej nocy w mig wyczułaby trwożliwe zdumienie Ortyła, zasepienie karczmarza i chciwe drżenie rąk kupców u wysokiego stoła. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj była głodna, przemarznięta i nade wszystko rozjątrzona obławą, rozstawioną wokół wioski przez mściwą Kordelię. Chciała się wreszcie najeść pieczonej jagnięciny, ożłopać piwska, aż jej będzie po brodzie ściekać, i napatrzeć do syta na zwilgotniałe od chciwości ślepie sąsiadów. I zamierzała się tym radować, aż do bladego świtu.

– No, dawaj napitek, stary! – Nonszalancko szurnęła ku oberżystce pojedynczą złotą monetę. – A dla mnie misę kaszy jaglanej, zraziki i pieczone. Byle migiem! – dodała, wskazując palcem skorupy glinianego dzbana. – Zda mi się, że moi przyjaciele w wielkiej potrzebie!

Zebrała pozostałe fundusze do sakiewki i bezceremonialnie wepchnęła się na ławę pomiędzy poborcę podatkowego i szpakowatego kupca, który zajrzawszy z bliska w jej dekolt, jeszcze bardziej pokraśniał na gębie i wydawał się bliski apopleksji.

– Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi, dziewczyno – rzekł szorstko najmłodszy z kupców.

Szpakowaty dźgnął go łokciem pod żebro, aż się biedak zatchnął.

– Ale widzi mi się, że przede świtem będziemy! – Siwy kupiec roześmiał się jowialnie. – Bo to grzech się zaprzyjaźnić, kiedy piękna panna chętna do znajomości?

– Do kompanii prosim – dodał inny – z nadzieją, że się nam panna pozwoli za szczodrość wywdzięczyć! Noc przecie jeszcze młoda, nie nasycim się jednym dzbańcem piwa, a nadobnej pannie raczej wino przystoi. – Przywołał skinieniem karczmarza. – Pchnijcie no gospodarzu pachotka, bo mamy na wozie beczuleczkę trunku wielkiej zacności, w samym Skalmierzu syconego. Już, już! – Rozkazująco strzepnął palcami, kiedy oberżysta nazbyt długo zwlekał, dziwnym wzrokiem wpatrując się w ladacznice.

Gronostaj zaśmiała się, gdy gospodarz wybiegł na podwórzec, mało co nie pogubiwszy klekoczących drewnianych chodaków. Jednym haustem opróżniła gliniany kubek i zrobiło się jej jeszcze weselej. Chichotała głośno, kiedy umorusana sadzą kuchenna dziewczka wynurzyła się z komory, rozespana, ze źdźbłami słomy we włosach, i zakrzatnęła się żywo, by odgrzać resztki wieczerzy. Posiwiwały kupiec uprzejmie dolał ladacznicy trunku, a potem jeszcze raz i znowu, tak że śmiała się już na całe gardło i głaskała go po brodzie, zanim karczmarz powrócił z obiecaną beczuleczką.

Wino było mocne, słodkie i sycące.

Kiedy odśpiewała swoją ulubioną balladę o pijanym wieśniaku, który wlaźł po omacku w gawrę i wziął misia za własną połowicę, najstarszy z kupców otarł załzawione od rechotu oczy i ucałował ją w dłoń. Z szacunkiem, jak prawdziwą damę. A potem pokłonił się przed nią do samej ziemi.

Żałowała, że wredna młynarzowa nie może tego zobaczyć.

Kupcy kazali obudzić rudego, kaprawego pachotka, który czasami przygrywał gościom na skrzypeczkach, ale dopiero nad ranem, gdy wszyscy leżeli pokotem, bo czynił to tak fałszywie, że co

wrażliwsi ciskali w niego baraniami kośćmi albo i miskami. Jednak tej nocy jego rzępolenie brzmiało w uszach Gronostaj niczym granie księżących muzykantów, których słyszała kiedyś i tylko raz jeden na spichrzańskim rynku. Płasała więc kolejno z kupcami, przytupując, aż się kurz podnosił z polepy. I śmiała się do utraty tchu, kiedy Ortyl próbował zagadać do niej w tańcu, ale żyłasty chłopina, którego wciąż zwała poborcą podatkowym, bo jego imię jakoś uleciało jej z pamięci, walnął go pięścią w gębę aż jucha poszła.

Ogień na palenisku trzaskał przyjaźnie, a wino kołysało ją lepiej od melodii skrzypiec. Najmłodszy kupiec coś mówił, uśmiechając się układnie, jednak nie dosłyszała słów. Dla podtrzymania zabawy wylała mu na głowę resztki trunku z dzbanka i zaśmiewała się perliście, kiedy krople piwa ściekały z włosów i brody na klepisko. Poborca podatkowy znów mówił, przygarniając ją mocno do siebie, a cała izba wirowała wokół w obłąkańczym tańcu. Skinęła przyzwalająco głową, kiedy poprowadził ją ku drzwiczkom do alkierza. Miała wprawdzie mieszek pełen złota i nie potrzebowała zarobku, ale przecież naprawdę lubiła swoje zajęcie.

Zastanawiała się, czy zwierzołackie monety o poranku zamienią się w garść słomy. Słyszała, że tak właśnie się dzieje z magicznym złotem, ale na razie jakoś nie potrafiła się tym martwić.

Cios spadł niespodziewanie, wymierzony prosto w żołądek i tak mocny, że wypite wino wyrwało się przez usta na swobodę. Jęknęła słabo, bardziej nad zrujnowaną szkarłatną sukni niż z bólu. Nie miała jednak zbyt długo ubolewać, bo szarpnięcie za włosy bez miłosierdzia poderwało ją do góry.

Chciała wrzasnąć, ale poczuła przyłożone do gardła ostrze.

– Gadaj, ścierwo, skąd złoto!

– Skarb... lesie... – wydukała, przytomniejąc w jednej chwili.

– Ja ci dam w lesie skarb, głupia dziewczko! – Drugi cios był jeszcze mocniejszy i byłaby upadła, gdyby jej nie przytrzymał. – Komuś ukradła, co?

Poczuła, jak odrywa jej sakiewkę od paska. Monety zabrzęczały dźwięcznie, gdy potrząsnął mieszkiem tuż przed jej oczami.

– Nikomu – zaskomliła, kiedy potężny kułak znów przysunął się do jej twarzy. – Nikomu, panie! – poprawiła się spieszenie.

– Pomiłujcież, panie! – usłyszała inny głos. Przez splatane włosy dostrzegła karczmarza, który chyłkiem odemknąwszy drzwi, stał na progu alkierza.

– Prawdę dziewczka gada. Był tutaj w lesie skarb ogromny, co kiedyś stary Betka zakopał, nie wiedzieć, kędy. A dziewczka w lesie żyje, samojedna, musiała go przez trafunek spomiędzy korzeni wydłubać.

– Prawda li to, gamratko? – Poborca uszczypnął ją boleśnie w ramię. – Znalazłaś w chaszczach młynarzowe złoto?

Gronostaj rozpaczliwie pokręciła głową.

– Nie powiesz? – Opacznie odczytał jej gest. – A to się jeszcze, ścierwo, obaczy, kiedy zaczniesz cię kleszczykami szarpać. Masz tu pewnie, gospodarzu – odwrócił się nieznacznie ku oberżyscie – loszek jakiś do świń szlachtowania? Bo tutaj się podłoga zapaskudzi...

– Ajuści, jest piwnica... – gorliwie zaczął karczmarz, ale wnet dotarł do niego prawdziwy sens indagacji. – Ale jakże tak, panie! Toż nie godzi się człeka niby bydlęcia... Nawet pan starosta...

– Tyle że, powiadają, nie masz już pana starosty. A wiecie, czemu, mój dobry człowieku? – Zawiesił głos, aż karczmarz cofnął się i przywarł grzbietem do futryny. – Bo za miękki był! Za miękki był dla was, hałastry przekłetej. Na łeb żeście mu wleźli, a potem jeszcze ten łeb zdradziecko urznęli!

– Grasanci... – ośmielił się wtrącić oberżysta.

– Jacy grasanci? Wszyscy tylko o grasantach prawią. Grasanci dworzyszczę spalili, grasanci pana ubili, grasanci jelenie książęce po lasach wyłapali. Psiakrew, gorsi ci grasanci od gradobicia, nawet gruszki po sadach z owoców obrali. Tylko wiecie, co? – Uśmiechnął się zimno. – Dwie niedziele po okolicy jeżdżę, a jeszcze ni jednego grasanta nie oglądał. Ani chybi, musieli się skądeś wywiedzieć, że ich zdybać chcę, bo pokryli się jak zające w bruździe i żaden nie śmie nosa wychylić!

– Toć jeszcze łośńskiego roku precz przepadli – zdziwił się szczerze gospodarz. – Wiedźma ich, panie, precz wywiodła, zakłębciem omotała...

– Tak, tak. Słyszałem. Wiedźma okrutna tu w lesie mieszka, a moc w niej większa buzuje niżli w tej Pustułce, co przed wiekiem Góry Żmijowe ogniem prześladowała i wciąż jeszcze po niej zgliszcza świeżym lasem nie porosły. Ale wiecie co, mości karczmarzu? – Obcy wyszczerzył zęby. – Wiedźmy takż nikt nie oglądał! Chodzę, pytam, nagrodę sutą obiecuję. I nic! Jakby się wespół z grasantami pod ziemię zapadła!

Gronostaj skuliła się, pojmując to, co wcześniej przeoczyła pospołu z resztą bywalców oberży.

To nie był poborca podatkowy.

To był ktoś znacznie, znacznie gorszy.

Podobna myśl musiała rodzić się z wolna również w małym, chytrym umyśle karczmarza, bo zsunął na tył czapkę i podrapał się w czoło, a potem zapytał podejrzliwie:

– A czemu wy, panie, wiedźmy szukacie?

– A to nie jest twoja rzecz, kmiocie – skrzywił się tamten. – Ale ci rzeknę, chamie, żebyś swoje miejsce lepiej wyrozumiał.

Karczmarz oblizwał wargi.

– Sprzedał was jaśnie pan książę! Sprzedał co do joty, do ostatniego zakutego góralskiego łba! Sprzedał was z kapustą waszą kiszoną i wolim łojem, co nim nawet dziewczki cuchną w tej okolicy plugawej, i z tymi baranami, co się po wygonach trykają.

– Ale my są wolna okolica! – sprzeciwił się oberżysta, który wprawdzie dopiero zeszłego roku przywędrował z wielkiego świata do Wilżyńskiej Doliny, ale tym bardziej ją sobie cenil, że była od owego wielkiego świata o mnogość wiorst i dali odległa. – Z dziada pradziada wolna! I nic do nas księciu jaśnie panu, jako i my się w jego dzieła nie wtrącamy. A władyka nasz...

– Władyka wasz ziemię gryzie. – Przybysz przerwał szorstko. – Tedy się o swoje upominać nie będzie. A książę jaśnie pan wojska potrzebuje, kmiocie, bo takowa nam wojna w Krainach Wewnętrzznego Morza była z Pomortem, żeście ją i na waszym zapiecku musieli posłyszeć. A nie przycichło to wszystko, nie wypaliło się do cna. Jest jeszcze rebelia, co ją na północy prorok szalony rozpętał, i jest żalnicka kniahini, brzemienna pono, albo już z plugastwem małym na rękę, którą chłopstwo w uścieskiej cytadeli w oblężeniu trzyma.

– Jakże tak, panie? – Oberżysta wytarł nerwowo spotniałe dłonie w kraj poplamionego fartucha, nieprzesadnie wzruszony wieścią o żalnickich niepokojach. – Skoro nikt trupa nie widział, to pewnie się jeszcze we świecie nasz pan władyka obraca! Nie może przecie książę pan ot tak sobie nowego dzierżawcy naznaczyć na jego miejsce...

– Oj, głupiś, kmiocie! Jakiego dzierżawcę? Przecież mówiłem, po wiek wieków was książę pan sprzedał, cały wielki szmat ziemi aż po Pał, Maczugę i Mnicha, i za szczerę złocisze, co ich mu wiergowscy rajcowie nie żalowali.

– Jak to, sprzedał?

– Ano zwyczajnie! Pergaminus skreślił, opieczętował, piaskiem posypał i wio! Jużeście w wiergowskim władztwie.

– To się wiedźmie nie spodoba – oznajmił z nagłą pewnością w głosie gospodarz. – Zobaczycie.

– A chętnie zobaczą. Bo to widzicie, mój dobry człowieku, ja jestem jaśnie wiergowskich rajców burgrabia. Pospółek nowe włości objeżdżamy, by prawo na nich a porządek zaprowadzić, więc rad się z tą straszliwą wiedźmą personą poznam. Gadali ludzie, że się niecnota pod dziewczynską postacią nockami do wiosek zakrada, tedy mnie może właśnie los łaskawy z nią zetknął. – Potrząsnął Gronostaj tak mocno, że aż jej zęby zagrzechotały.

– E, gdzieżby tam! – Karczmarz nie strzymał uśmiechu. – Przecie to Gronostaj, ladacznica nasza włoskowa. Zwyczajna baba, znaczy się, jeno od inszych głupsza i, z przeproszeniem waszej wielmożności, pechowa jakaś.

– Ano właśnie. – Burgrabia przyciągnął ją bliżej do siebie. – My sobie gwarzym, pannę z rozmowy wyłączywszy. A to nieuprzejmie i zwyczajnie paskudna rzecz podobnie damy nie uszanować. Zwłaszcza takiej, co nocką do gospody przybiega z mieszkim pełnym dobytku. To ja się teraz miłej panny grzecznie zapytuję, skąd u niej podobny majątek? Bo przecie ze słomy go nie wyprzedła.

Gronostaj wydało się, że widzi, jak karczmarz czyni ku niej porozumiewawczy znak, ale złośliwe wargi odrętwiały ze szczętem i nie mogła z siebie wydusić ani słowa.

– Dziwnie nasza piękna panna nierozmowna – zakpił burgrabia. – Ale nic to, znajdzie się sposób, by jaśnie pannie gębusię rozewrzeć. Widziałem kiedyś, jak babie w dziób ołów lać mieli – dodał z namysłem. – Heretyczka była plugawa, na mękach się jeno oprawcom w twarz śmiała, imię przekłete Annyonne im powtarzając. A jak kociołek jej pokazali, to nie uwierzycie, jak spokorniała baba, jakim cieniutkim głosem grzechy swoje wyznawać jąła, kiedy roztopiony ołów przy gardzieli poczuła. Jeno że zbyt późno!

– Wykopałam! – wykrzyczała nagle Gronostaj, która bardzo dobrze pojęła, że nie ma co opowiadać burgrabiemu o szuraku cudem wyratowanym i jego zapłacie za miłosierdzie. – Pod olszyną wykopałam. Puśćcie mnie jeno wolno, a miejsce wam pokażę i dół, przez dzikie psy wygrzebany. Garnek chciałam mieć, żeby rosół na gawronach uwarzyć, tom się ucieszyła. Ale w garncu glinianym złoto było, a garniec woskiem zapieczętowany, co w nim znak starego Betki odcisnięto.

Wydało się jej, że w twarzy karczmarza widzi dziwną ulgę.

– W olszynie – powtórzył z namysłem burgrabia. – A suknia też na olszynie wisiała? Z trzewiczkami do kompletu? Tak było?

Gronostaj zaszlochała tylko donośnie.

– Może i było – miękko zgodził się burgrabia. – To się rankiem okaże. Ale mnie się co inszego zdaje. Coś mi się widzi, że się panna wczoraj do wozów naszych zakradła i pobuszowała ździebko. Ot, gadał mi pan Kotewka, że tutaj nieopodal zeszłej nocy szczeżupińscy kupce obozowali i ktoś ich zniecka nocką napadł, i dobytek na postojach rozgrabił. To zdaje się mnie, że nas w tym rabunku zdoła piękna panna objaśnić? – Nawinał na przegub włosy Gronostaj, aż zapiszczała. – A może znajdują się i ci zbójcy, co o nich tyle rozprawiano? Może zechce nam do nich piękna panna drogę pokazać?

– Pokażę! – potwierdziła gorliwie, bo podczas całej rozmowy zdążyła się już otrząsnąć z trunku i wylęknąć do reszty. – Wszystko wam pokażę, panie! Co zechcecie!

– A to może później... – zawiesił głos wiergowski sługa. – Na razie mnie zbójcę potrzebne, potem przyjdzie czas poswawolić. To jak będzie, dziewczko? Pójdziem za gospodę, do pachółków, co przy wozach stoją, a ty po drodze objaśnisz pięknie, gdzie zbójcę pochowani?

– Tak, panie – odparła słabym głosem.

Zakręciło się jej w głowie, kiedy mężczyzna wypchnął ją na podwórzec. Za lasem wstawał świt, powietrze było suche i zimne jak ostrze noża, który burgrabia przyłożył jej do gardła. Nie śmiała więc skręcić szyją i rozejrzeć się po dziedzińcu, ale słyszała, jak na kilka krótkich wyrazów, wyszczekanych przez jej ciemżyciela, z wozów poderwał się z tuzin zbrojnych. Stała pokornie, ze zwieszoną głową, póki od strony stajenki nie rozległ się jakiś rejwach. Jej prześladowca obejrzał się na moment, by zobaczyć Ortyła, który, jak pijany zajac, właśnie wpadł łbem w koryto do pojenia bydła, ustawione podstępnie na ścieżce do wychodka. Czując, że uścisk na ramionach zelżał odrobinę, Gronostaj szarpnęła się ile sił i zostawiwszy burgrabiemu w garści kawał czerwonego sukna, czmychnęła najpierw pomiędzy wozy, a potem jeszcze dalej, w przyjazne wykroty karczmarzego sadu. Gnała co tchu, nie oglądając się nawet ku gospodzie, od której dolatywało ją wściekłe ujadanie brytanów i krzyki rozjuszonych wiergowskich rajców.

Kiedy wreszcie wpadła do ziemianki, brudna jak nieboskie stworzenie, w sukni podartej i powalanej ziemią, zapuchnięta od płaczu i obita na gębie, a na dodatek ze szczętem otrzeźwiała, szczurak powitał ją cierpkim:

– A nie mówiłem?

Z kwaśną miną siedział na posłaniu, wciąż uwięziony przez krąg cudownej wody, żując w zębach drobną brzoźową gałązkę.

– Teraz mnie wypuścisz? – zapytał po chwili. – Mówiłem, że z tych życzeń nic dobrego nie będzie.

Gronostaj pogroziła mu od progu kijem, przezornie nie podchodząc bliżej, aby kręgu nie przerwać i aby nie mógł jej zniecka zębami capnąć.

– Pierwej ci kark przetrączę, paskudo! – warknęła, ocierając twarz z brudu strzępami rękawa. – Co ci się sprawiedliwie należy, żeś mię na zatracenie posłał, pomiędzy wiergowskie siepacze.

– A czemuż się tutaj wiergowscy rajcy kręcą? – zainteresował się szczurak.

– Gadają, że im ksiązę jaśnie pan Wilżyńską Dolinę sprzedał! – odparła dobitnie Gronostaj. – Pono grosz mu potrzebny, więc cały szmat ziemi im puścił, hen, aż po Pal, Maczugę i Mnicha. Ale jakieś dla pustej psoty tych zbirów na nas sprowadził, to będziesz miał z wiedźmą sprawę, a ona srozsza od mieszczańskich pacholów.

– Sprzedał? – Zwierzolak z uciechy bił się po kolanach. – Wilżyńską Dolinę też sprzedał? Oj, nie może być! Patrzajcie, jakie chytre książątko! Wie, że ze Spichrzy już więcej złota nie wycisnie, jeśli nie chce z pierwszym śniegiem nowego buntu gromić, tedy cichcem począł ziemię wiergowskim kutwom wyprzedawać. Kęsek po kęsku. Tu dolinka mała, tam łąki połać spora, tutaj wygon leszczyną porośnięty. A wiergowscy pankowie jeżdżą, sioła oglądają, noski liczą, targują się, o krzywdzie swojej jęczą, że ich niby spichrzański ksiązę w żebraków obraca, ale przecież na koniec do kiesy sięgają. I coraz ich w Górach Żmijowych więcej. A wiesz, moja piękna, co to znaczy? Że idzie nowe! Nowe idzie, mościa panno, kolibie się już ku nam po pagórkach na tych wiergowskich wozach drabiniastych, pichci, kotłuje w ich garbarniach smrodliwych, w fabryczkach parska, warczy i pohukuje.

– Jak na gryzonia to niezłe masz o ksiązęcej polityce wyrozumienie – zauważyła kąśliwie Gronostaj. – Może być, że i do was to nowe trafiło, dokolibało się jakoś i w Góry Sowie.

Szurak sposepniał.

– A jak ci się, dziewczyno, zdaje – spytał ponuro – skąd ja się taki poturbowany tutaj przywlokłem? Z samego początku jaśnie wielmożne bydlę Góry Sowie sprzedało, za bezcen, a jeszcze się własną chytrąścią szczyciło, że kupce durnowate, że złotem za skały gołe płacą, co w nich plugastwo siedzi. A kupce ani okiem mrugnęli. Złoto wypłacili, pergaminy podpisali i precz się z miasta wynieśli, nawet na uczenie nie popasawszy, co ją po ubiciu interesu ksiązę wyprawił, więc ich

okrutnie na spichrzańskim dworze wyśmiewano za chamstwo i niepolityczność.

Gronostaj przysłuchiwała się temu wywodowi z rosnącym zdumieniem i nieledwie rozdziawioną gębą.

– A co potem na jaw wyszło? – Szczurak skrzywił się boleśnie. – Że mały wiergowski narodek miał już plan naszykowany i srodze jaśnie pana okpił. Musieli się wcześniej jakimś cudem zwiedzieć o srebrze w starych sztolniach pochowanym. Tyle że się do niego dobrać nie potrafili, bo przecież naszym kopalniom nawet Servenedyjki rady nie dały – wyszczerzył drobne, ostre jak igielki zęby. – Ale chytrym kupczykom ani w głowie stało zbrojnych w Góry Sowie wysłać, bo to i koszt, i kłopot znaczny, jak się który z zaciężników pobuntuje i zechce sobie przytulną włóść z ich dobytku wykroić. Co się już zdarzało...

– U nas? – zdumiała się Gronostaj. – Niepodobna!

– Podobna, podobna. – Szczurak wzruszył ramionami. – A jak ci się zdaje, dziewczyno, skąd się u was grasanci wzięli? Książę pan na zimę zaciąg rozpuścił, bo mu grosza nie stało, a rozumiał dobrze, że się wojsko z rabunku wyżywi. Jęło tedy wojsko rabować ile wlezie i wnet się znalazł między dowódcami człek mądry, co wyrozumiał, że lepsza wojenka z chłopami po przysiółkach niżli z całą pomorską potęgą. Ot, dużo się teraz takich po górach kręci, szlachty, co przed żalnicką rebelią zbiegła, najemników, wojska wszelakiego, zbójców nawet, którym się własna dolinka zamarzyła, czy zameczek mały. Książę pan zrazu oczy przymykał, ale kiedy łby zanadto wysoko zaczęli zdzierać, to im te łby kolejno ucinać próbuje. Wciąż nowe Servenedyjki z południa ściąga, że zaś one za szczere srebro służą, więc w wielkiej spichrzański pan potrzebie, i na mamonę chciwy. I dla tej przyczyny poszczuł na nas wiergowskich mieszcanków.

– Ale jakim sposobem...? – zaczęła niepewnie dziewczyna, znająca, jak wszyscy w Górach Żmijowych, złowrogą reputację Gór Sowich, które spichrzańscy książęta z tuzin razy próbowali dobywać.

– Prosto. – Szczurak skrzywił się niechętnie. – Mieli tam takiego mądralę, aptekarza, felczera albo inne ścierwo, który im trutkę uwarzył, a mocną. I drugiego mądralę, różdżkarza, co się jakimś sposobem wywiedział, z którego źródła strumyk w pieczary płynie. I nie trza było zbrojnych, zaciężników żadnych, tylko dwóch chytrusków, co się do źródła zakradli i trutkę rzucili.

– I tak was wszystkich wytruli? – Gronostaj z przejęcia przyłożyła dłonie do policzków. – Olaboga!

– No, tak im się wydawało. – Wydał wargi. – Ale wiergowscy mieszcankowie to są ludzie przezorne i ostrożne, więc jak już magik jeden z drugim dał znak, że można w pieczary schodzić, bo się tam ni żywa noga nie ostała, to jęli w dół smołę lać roztopioną i alchemików ogień.

– Rety! – Ladacznicą tak była pochłonięta opowieścią, że ze szczętem zapomniała własnego nieszczęścia. – Nie może być!

– Może. – Szczurak rzucił jej posępne spojrzenie żółtych ślepi. – My są ludek twardy, i choć nam te jady i alchemiczne ognie nadojadły trochę, to przecież niewystarczająco, żeby nas ze sztolni szuflą wygarnęli. Ale tyłem zbrojni szli i nie zaciężni żadni, nie najemnicza hałastra, jeno ichnia milicja. Mieszcankowie – wyjaśnił ogłupiałej dziewusze – zbrojnych nie najmują, bo każdy wiergowski obywatel albo w potrzebie sam staje, albo kogoś z rodziny swej, czy czeladnika uzbraja i wyposaża należycie. Piechotą walczą, lub z wozów wysoko drewnem obudowanych, za przykład wzięwszy owych rebeliantów, co im zbójca z Lipnickiego Półwyspu hetmanił. A zaciekle są ścierwa, jako rzadko, i po chłopsku mściwe...

– Więc was ze szczętem pobili – dokończyła Gronostaj.

– O nie, dziewczko! Są popod Górami Sowimi sztolnie głębokie, że ich nigdy ludzkie oko nie

widziało, i źródła pod ziemią ukryte, których nie da się trupim jadem zakazić. Ale prawda, ucapili nas za gardło jako nikt pierwej. I dlatego mnie tutaj posłano pomocy szukać.

– Co jest dziwna rzecz – odezwała się z namysłem ladacznica. – Skoro macie dość mocy, aby złoto z powietrza wyprząść, a na życzenie cuda– dziwy uczynić, czemuście ich tedy czarownym sposobem precz nie wygnali?

– Bo się życzenia dziwnym prawem karmią. Bo nie wedle zachcianki własnej czary moje plotę, ale jak mnie ktoś chytrą sztuczką omota, życia wcześniej zbawiwszy. Ale i wtedy życzenie rzecz śliska, niepewna a groźna. I rzadko komu ono pożytku przyczynia. Tobie nie przyczyniło, dziewczyno. Czy teraz mnie wypuścisz?

– Tylko po to całe gadanie było? – zeżliła się Gronostaj. – Żeby mnie zbałamucić niby wiejską kwoczkę? Niedoczekanie! Mam życzenie!

– Zawsze macie. – Szczurak był wyraźnie znużony. – Dużo złota, gładkie liczko, krasną suknię, blablablą. A potem lezie jedna z drugą w gospodę, ludziom przed oczy złotem błyska, kuprem w jedwab przybranym kręci, kryguje się niby kokosz, aż jej ktoś wreszcie kark przetrąci. Zawsze to samo. Do znudzenia. To co ma być tym razem? Baryłka złota? Powóz safianem kryty? Buciki z kryształu górskiego?

– Niby po co komu podobne trzewiki? – zdziwiła się szczerze Gronostaj.

– A bo to się idzie w ludzkiej durnocie wyrozumieć? Będzie ze cztery tuziny lat, jak się pomywaczce do Spichrzy na bal wybrać uroiło i z samym księciem zatańczyć. Kazała sobie karocę z dyni nagotować, suknię szczerozłotą i buciki z kryształu. I pojechała!

– I co? Zatańczył z nią księżę, pokochał od pierwszego wejrzenia, a potem żyli sobie w szczęściu wielkim.

Szczurak popatrzył na nią, jakby z rozumu zesła.

– Wyśmiał ją tylko, jak w progu stanęła w tej sukni szczerozłotej i pantofelkach z kryształu, przez które stopy przezierały, w odciskach i po chłopsku czerwone. Ubawił się księżę pan serdecznie, księżna się ze śmiechu pokładała, bo pomywaczka durna nie sprawdziła, że księżę już dobrych lat parę z połowicą mieszkał, rechotali dworzanie i goście pospraszani z okolicznych dworów, nawet grajkowie nie mogli z wesołości smyczków w dłoniach utrzymać. A karzeł, co im błaznował, aż się od radości w portki zeszczął, jak toto cudowisko zobaczył.

– A dziewczka? – spytała Gronostaj, a gardło jej się ścisnęło od żalości.

– Dziewka się potem z rozpacy na pasku szczerozłotym powiesiła, ot co!

Gronostaj zacisnęła pięści ze złości.

– Nie dam się zastraszyć! Życzenie mam! I albo mi je zaraz spełnisz, albo będziesz w tym kręgu siedzieć, póki z głodu nie zdechniesz!

– Głupiaś, dziewczyno.

W jego głosie nie było złości ani drwiny i ladacznica pomyślała przelotnie, że może jest w jego przestrogach coś więcej niż tylko przekora złapanego w pułapkę zwierzołaka. Jednak otrząsnęła się szybko.

– Dom chcę mieć! Chałupę porządną na zimę, komorę zasobną, krowy dwie, gruntu kawał, sad jabłoniowy i spichlerz pełen zboża. I żeby mi się nikt w gospodarstwo nie wtrącał – zastrzegła się szybko, wyobraziwszy sobie wiergowskich kupców, którzy pędzą ją kijami z jej własnej zagrody.

– Wedle życzenia tedy. – Szczurak zgarbił się i jakby zmałał na posłaniu. – O świcie ścieżkę znajdziesz koło kapliczki, w kępie leszczyny. Ona cię doprowadzi do twojego domostwa.

– Kiedy już dnieje!

– Tedy się śpiesz, dziewczyno. Śpiesz się.

Gronostaj przemknęła między bukowymi pniami, które zaczynały już z wolna pokazywać się w porannej mgle. Słońce wstawało szybko, jak to w Wilżyńskiej Dolinie. Biegła więc co tchu, nie myśląc nawet, czy w skwapliwości szczuraka i tym razem nie kryje się podstęp.

Mgły podniosły się prawie, kiedy odnalazła wąską ścieżynę, ukrytą pod nawisem wyschłej, oszronionej trawy i ledwie widoczną w oparze. Skoczyła ponad mlecznym kłębem, podkówki jej nowych bucików zastukały rażno na zmarzniętej ziemi i już biegła między gęstymi zaroślami, nie śmiejąc obejrzeć się, by nie widzieć, jak drożyna rozwiewa się i niknie za jej plecami. Nadchodziła pora rannego udoju, bo bydło zaczynało ryczeć gdzieś za gęstwiną krzewów i wydawało się jej, że słyszy dzwonek u studziennego żurawia. Ale dopiero kiedy zarośla zaczęły się przersedzać po obu stronach dróżki, zawahała się, niepewna, co czeka na nią w wilżyńskiej wiosce, niepewna właściwie niczego, bo zwierzołaki bywały podstępne i wredne, a magia... Babunia Jagódka zadbała, aby każdy w Wilżyńskiej Dolinie wiedział o cenie, którą płaci się magię.

Nagle złękła się, czy dobrze uczyniła, wypowiadając życzenie.

Ostatecznie niejedną zimę przegłodowała jakoś w Wilżyńskiej Dolinie. Wciąż mogła uciec, zaszyć się w lesie, przytaić i przeczekać, aż Kaniuk wróci z wysokich pastwisk i wybije Kordelii z głowy myśl o rozpalaniu stosów. Mogła po prostu wpełznąć do ziemianki, głęboko w barłogu okręcić się szmatami, nakryć derką i usnąć, przeczekując głód i ból w kościach obitych przez bur– grabiego. Mogła też do cna wyzyskać moc cudownej wody i nie uwolnić szczuraka, póki nie dokończy opowieści.

Właściwie była jej ciekawa, tej dziwnej baśni o wiergowskich kupcach i szczurakach, strutych w swym tajemnym mateczniku, w sercu Gór Sowich.

Wtedy ktoś krzyknął gdzieś obok i mgła rozwiła się bez śladu.

Stała w sadzie, po kolana w nieskoszonej trawie, wśród jabłoni.

Rozejrzała się czujnie, ale nie rozpoznawała tego miejsca, podobnie jak nie widziała wcześniej chaty na skraju sadu, obszernej, zasobnej chaty o okiennicach pomalowanych niebieską farbą, stojącej na podwórku wysypanym jasnym piaskiem. Nie знаła też umorusanego dzieciaka, który biegł ku niej z długą różeczką w rękę, pędząc stadko pstrych gęsi. Zanim jeszcze zdążyła się zdziwić, czy przerazić, ogarnął ją kłęb rozgęganego pierza, syku i szczypiących dziobów.

– Zajadłe szczypulce! – Chłopak roześmiał się nie bez dumy, kiedy drób został już poskromiony i przegnany pod płot.

Gronostaj mimowolnie roztała udo, sponiewierane przez dziób wyjątkowo bezczelnego ptaszyska. Pod palcami poczuła grubą, szorstką materię, która w niczym nie przypominała czerwonej jedwabnej sukni, daru od szczuraka. Jej wzrok napotkał solidne skórzane trzewiki o czubkach pociemniałych od wilgoci, sutą, szeroką spódnicę z ciężkiego brązowego płótna, przepasaną żółtym fartuchem, a także sito – trzymała je na podołku – pełne sflaczałej posiekanej zieleniny.

Bez zastanowienia sypnęła ją ptactwu, ruchem zapamiętanym z czasów, kiedy była bosonogą gęsiarką i pasła cudze stada na błoniach za plebanią.

– A toż nieszczęście na nas spadło nowe, pani Gronostaj! – wykrzyknął gęsiarczyk. – Takie nieszczęście!

Ladacznicą, pierwszy raz w życiu nazwana „panią Gronostaj”, oniemiała z wrażenia.

– Krosta precz uciekł! – Chłopiec najwyraźniej źle zrozumiał jej milczenie. – Nad ranem ze stajni się wymknął, jeszcze płaszcz ukradł, co był na kołku powieszony. I teraz u Kordelii w komorze siedzi a bezceństwa o was straszliwe opowiada. Że was niby zeszłej nocy widział, jakeście strzygą przez komin wylecieli. W krzakach, powiada, siedział, ale jak was zoczył, to krzyku strzymać nie mógł, a wyście mu do gardła z pazurami skoczyli, pierś podrapali i ledwie się w stodole przed wami

schronił. Widział jeszcze przez szpary, jak wokół dachu długo krążyliście, a ślepią się wam od wściekłości, niby węgle czerwone, żarzyły...

Potrząsnęła głową, przepatrując w myślach imiona pacholków, zbójców, grasantów, chłopów i wędrownych mnichów, których trafiło się jej przypuścić do poufałości, ale nie umiała sobie przypomnieć żadnego Krosty.

– Ja tom od razu wiedział, że Krosta tchórz i zaprzaniec plugawy. – Chłopak splunął niewprawnie, nieomal na własne portki. – I nie on jeden, pani gospodyni, bo przede świtem wszystkie pacholki precz pouciekały. Nawet stara Klukwa z kuchni się wymknęła, bo to, gada, nie będzie czekać, aż nam chrust pod ściany podłożą. Wszyscy precz poszli, co do jednego, pani gospodyni! W całym obejściu jeno się dwoje nas ostało!

Ladacznica nerwowo mięła w palcach rąbek fartucha. Nie umiała pojąć tego nowego czarostwa, ale najwyraźniej znów coś poszło nie tak. Zupełnie nie tak.

– A wszystko to jest nic innego – gadał podniecony dzieciak – jeno sprawka Kordelii. Bo ona z dawien dawna przeciwko wam knuje, chłopów podjudza a jątrzy i takie im rzeczy o was gada, że aż wstyd powtarzać. A ninie to sobie w łeb wbiła, że pod postacią strzygi w noc do komory zachodzicie, coby jej dzieciakowi na piersi siedzieć a dech z niego dusić. I to jeszcze rozpowiada, że wy się z zemsty na bachora zasadzacie.

Gronostaj skrzywiła się boleśnie, czując, jak w skroniach narastają drobne gruzełki bólu. Cokolwiek czary szczuraka zdołały w Wilżyńskiej Dolinie odmienić, Kordelia pozostała dokładnie taka, jak przedtem – wredna, mściwa i zajadła. I nadal zamierzała ladacznicę ukatrupić.

– I to jest prawda – ciągnął z przejęciem chłopiec – że słabuje jej dzieciak, drugą niedzielę w gorętwie leży... Ale nie za przyczyną strzygi ani zaklęć żadnych, jeno dlatego, że Kordelia jest baba stara i do rodzenia mało zdatna, ale jej tego nikt w gębę nie rzeknie. Z dawien dawna krzywo na was gada i pomstuje, bo to niby, powiada, chłopca jej zbałamucić próbowaliście, a jak was precz zostawił, toście go strzygą nawiedzać jęli i męczyć, póki nie zmarniał i nie skapcaniał. I to jeszcze gada, że póki do was łazić nie zaczął, potężny był chłop i jako dąb krzepki, a wyście go do zguby przywiedli, rozum opętali, sił wszelkich pozbawili i urokiem zmogli.

Słuchała spokojnie, ze wszystkich sił starając się pojąć tę dziwną opowieść.

– My wam, pani gospodyni, nie śmieli gadać o tych bezceństwach. Boć i psy do księżycy wyją, a nie ukąszą go przecie. Tyle że wcześniej Kordelię chłop w złości hamował, ale jak jego dwie niedziele temu na porębie drzewo przywaliło, to się babie ze szczętem we łbie pomieszało. Po chałupach chodzi i jawnie rozgłasza, że to wszystko wasza wina, żeście strzyga, wiedźma i plugastwo nieczyste. – Oblizwał spieczone wargi. – To ja was proszę, pani gospodyni, nie jedźcie wy dzisiaj na sumę. Niech pierwej do opamiętania przyjdą, niech odczadzieją krzyne...

Nic nie odpowiedziała. Tylko gęsi rozgęgały się donośniej.

– Tak chłopów pobuntowała, że przed świątynią na was czekają z kłonicami, drągami a żelazem – dokończył niemal szeptem gęsiarek. – Gada, że strzydze trza prawo uczynić, nim nas tu wszystkich powydusza. To ja wam mówię, pani gospodyni – dodał jeszcze ciszej – zostańcie w domu, bo taka w nich zajadłość, że rozszarpia was na sztuki, nim jeszcze słowo powiecie...

– A konie zaprzężone? – zapytała zniecka Gronostaj.

Cokolwiek wymyśliła Kordelia, nie zamierzała dać się zastraszyć. Nie tym razem.

Chłopiec aż się wzdrygnął.

– Jak kazaliście, pani gospodyni. – Opuścił głowę. – Ale wyście zawdy dla mnie dobrzy byli... To ja was proszę, nie jedźcie...

Ladacznica zmierzwiła mu płowe włosy i szybkim krokiem ruszyła przed dom, pozwoliwszy sobie

tylko na kilka tęsknych spojrzeń ku odległym oknom izby, spichrzowi i obórcie, z której rażno porykiwały krowy, na lśniące polewą garnki, zatknięte na sztachetach płotu, na wysokie pędy małow, obeschłych już teraz i poczerniałych od mrozu, na syte czarne kocisko, wylegające się w koszyku na ganku, na dwa krągłe, wyczesane pięknie siwki, które przyprzęgnięto do wozu. To wszystko moje, pomyślała z bezbrzeżnym zdumieniem.

Chłopiec wytarł rękawem gębę i podał jej lejce, a potem odwrócił się od niej pośpiesznie, żeby nie zobaczyła, że płacze.

Kiedy jechała w dół po zboczu pagórka, Wilżyńska Dolina wyglądała tak samo jak zawsze, i nie było w niej nic magicznego. Psy jazgotały rozgłośnie, sroki skrzeczały w koronach lip, którymi obsadzono skraj drogi, czasem gdzieś w oddali zarżał koń. Tylko ludzi nie widać było na polach, jak to w niedzielę.

Na wielkim placu zobaczyła ich wszystkich. Nie przed kościołem, najwyraźniej postanowili nie mieszać w tę sprawę ani świątobliwego Kaniuka, ani samego Cion Cerena. Stali pod karczmą. Stłoczona, czujna ciżba chłopów i białek uzbrojonych w kosy, kije, grabie i koszyki nawet, choć nie umiała zgadnąć, w czym te akurat miałyby okazać się pomocne przeciwko strzydze.

Byli tu chyba wszyscy, nie licząc plebana, Babuni Jagódki i garści najdrobniejszych dzieciaków.

Z wrażenia ściągnęła lejce. Wózek zaterkotał na wybojach i zatrzymał się. Akuratnie na czas, aby Gronostaj poznała tajemnicę koszy i kobiałek w garściach wilżyńskich gospodyń.

Pierwsza gomółka łajna rozprysła się na twarzy ładacznicy i w tej samej chwili ciżba ruszyła na nią z wraskiem, miotając kozie bobki, zeschłe krowie placki, garście końskiej mierzwy, zbuki, przegniłe ulęgałki i wiązki cuchnącej naci. Ktoś wrzeszczał coś o strzydze, ktoś inny wył niczym wietrzyca, ktoś skowytał potępieńczym głosem. Na wpół oślepiona, nie dostrzegła, jak trzech wieśniaków, jeden z rohatyną, drugi z kiścieniem z końskiej szczęki, a trzeci z prostą pałką nabijaną żelaznymi gwoździami, zaszło ją z boku, prawie sięgając koni. Targnęła się gwałtownie, wypuszczając lejce, i niemal spadła z kozła, gdy rohatyna o włos minęła jej ramię.

Oszalałe ze strachu siwki tylko czekały na podobną okazję. Poniosły jak wichur, a wieśniacy pierzchali z krzykiem spod rozhulanego zaprzęgu. Wczepiona w kozioł Gronostaj nawet się nie obejrzała na swych dręczycieli. Z łoskotem minęła gospodę, lecz nie zauważyła jej przez gęstą warstwę krowiego łajna na twarzy. Następnie stratowała kilka porzuconych koszy, grabie i motykę, śmiertelnie przeraziła wieprzka, dostojnie przechadzającego się koło plebana, wywróciła dwa płotki, rozjechała dwie kwoki, nazbyt zapasione, by umknąć. Wrzeszcząc pod niebiosa i przeklinając wszystkich bogów pospołu, minęła ostatnie chałupy, lecz siwki bynajmniej nie zamierzały się zatrzymać, tylko na złamanie karku pognały drogą ku leśnym pastwiskom.

Gronostaj jednak nie dotarła do nich tamtego poranka, bo spadła z kozła w wykrot tuż obok zwalonej sosny, walnęła się głową o korzeń i omdlała.

Ocknęła się popod zmierzch, otrzepała kapotę z łajna i powlokła ścieżką do własnej ziemianki.

Tym razem szczurołak milczał. Po prostu patrzył na nią bezczelnie czarnymi ślepiami.

– Zadowolony? – wydarła się od progu. – Dobrześ się zabawił, ścierwojadzie?

– Przecież ostrzegałem. Nie moja wina, żeś łapczywa i durna. Wypuścisz mnie teraz? Dwa razy się wykpiłaś, głowę szczęśliwie uniosłaś i starczy może tych zabaw, zanim kark ci ktoś skręci...

– Akurat! Widzicie go, obesrańca, jak to troskę udaje! Niedoczekanie twoje! Mam jeszcze jedno życzenie...

– Nie masz – rozległ się za nią zgrzytliwy głos Babuni Jagódki.

Gronostaj i szczurołak podskoczyli zgodnie.

– Takem się zastanawiała, kto w Dolinie zbytkuje – rzekła cierpko wiedźma. – Na chwilę was,

psiakrew, z oczu spuścić nie można, bo zaraz psoty, harce. Kordelia stosik szykuje, spichrzański książe kupców nam stręczy, a szczurak mi się spełnianiem życzeń zabawia. No, wyłaż stamtąd!

Szczurzy wzdrygnął się lekko, ale posłusznie przestąpił krąg cudownej wody.

Gronostaj ze zdumienia wytrzeszczyła oczy.

– No, niespiesznie ci było posłanie przekazać – zauważyła kąśliwie wiedźma.

– Wyście mi takż na spotkanie nie szli – odpysknął szczurak.

– Bom zajęta była!

– Na miotle lataniem? – Błysnął wściekle oczami. – Posyłali po was starsi, posyłali nieraz, i z niczym wracali pošli, choć wiedzieliście dobrze, że nas kupiecka swołocz za gardło trzyma. To ani chybi poważna musiała być rzecz i namysłu godna, skoroście ni o krok ruszyć nie raczyli.

– Com robiła, moja rzecz – flegmatycznie odparła wiedźma. – Dość, żem w drodze nie popasała na darmo, by dziewczkom pod spódnicę zaglądać.

Gronostaj wydało się, że po tych słowach szczurak stropił się nieco i pokraśniał na gębie.

– Toż chory był! – rzuciła obronnym tonem. – Ledwo dychał, jakem go z bruzdy podniosła.

Szczurak jednak nie przyłączył się do jej protestów.

– No no! – Babunia zacmokała w jakiś wyjątkowo wredny sposób. – Patrzajcie, ludziska.

– Cudowną wodą go spętałam – brnęła dalej ladacznica. – Dla życzeń.

Zwierzołak uczynił dłonią gest, jakby ją próbował uciszyć, ale wiedźma parsknęła śmiechem, aż jej z oczu łzy pociekły. Szczurzy za to z posępną miną wpatrzył się w klepisko.

– Uratowałam mu życie, więc mam jeszcze jedno życzenie! – Gronostaj wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. – Z prawa mi przynależne! Moje trzecie życzenie!

– Prawda to? – spytała wreszcie wiedźma.

– Prawda – burknął. – Od jadu żem otępiał, jak mnie wrony dopadły na skraju doliny.

– Straszliwy jad to być musiał, skoroś w tę wodę uwierzył...

– Widzicie? – przerwała jej triumfalnie Gronostaj. – Moje życzenie...

– Moje życzenie! – poprawiła ją z mocą wiedźma. – Moje życzenie, coś mi je kiedyś, smarkulo, obiecała za życie Rufiana. To ja je sobie teraz z nawiązką odbiorę od tego szczuraka.

Zwierzołak rzucił Gronostaj przerażone spojrzenie.

– To prawda? Obiecałaś życzenie wiedźmie?

W milczeniu skinęła głową. Łzy leciały jej po policzkach jak groch.

Wszystko było stracone.

– Ty durna! – Szczurak chwycił ją za łokcie i potrząsnął z całej siły. – Nigdy, przenigdy nie obiecuj nic wiedźmie! A szczególnie wtedy, gdy nie wiesz, czego zażąda!

– Nie możecie mi tego zrobić – zaprotestowała słabo ladacznica. – Tyle lat przeszło.

– Mogę i zrobię. – Babunia była nieugięta. – Nie trza się czarami bawić dla płochych żartów. Oboje żeście pospołu winne, mnie przyjdzie sprzątać, czary odczyniać, ludziom we łbach mieszać. Jakby nam innych nieszczęść za mało było, książe pan, kupce, pomorcka wojna, jeszcze się innych pannie zabaw zachciewa! A szczurak na to? A szczurak zdumiał!

Gronostaj rozszlochała się na dobre.

– Och, nie gadajcie już – zeźlił się szczurak, przygarniając dziewczynę obronnym gestem a stając pomiędzy nią i Babunią Jagódką. – Bierzecie, co wasze, i idźcie precz, ale tyle wam powiem, że nieużyta z was baba i wredna wielce. Siedzicie tu na zadupiu, nic was nie obchodzi. Powadzą się gdzieś panowie, krainy połowę spustoszą? Furda to, póki wam żołdactwo na podwórze nie wlezie! Ściągnie spichrzański książe Servenedyjki, żeby się po całej gór połaci rozlaży jak kleszcze? A co wam za krzywda, jeszcze je znajomkowi na służbę podeślecie! Zaczną kupczykowie ziemię

wykupywać, a przedksiężycowe plemię mordować i nękać? Ani się obejrzycie na naszą prośbę o pomoc, przecie nie wasza sprawa! To ja wam wreszcie w oczy wygarnę, że sobek jesteście wstrętny i nieużyty. Bo nie po to was ojciec w Górach Żmijowych zostawił, żebyście się z pacholami łajdaczy mogli na sianie i tyłkiem kąty wycierać, gorzałkę chlać i figle duchownym czynić...

– Ojca mojego nie tykaj! – niebezpiecznym głosem powiedziała wiedźma.

– Wyrodziliście się ojcu, aż zadziwienie bierze! – Szczurzy splunął jej pod nogi. – I wiecie, co wam powiem? Jużem się waszą doliną nacieszył i towarzystwem napasł, kończcie więc pogwarki i gadajcie życzenie. To co mam zrobić? Jaki psikus wredny? Jaka będzie kara za to, że się spełnianiem życzeń śmiał w dolinie ktoś trudzić? Mam dziewczkę w gronostaja odmienić czy oszpecić ją znowu, gębę nożem pochlastać? A mnie co uczynicie? Zwołacie kupę chłopstwa, by mnie gdzieś widłami ukatrupić mogła, czy ogniem porazicie? Czy może lepszego coś jeszcze w zanadrzu chowacie? – urwał, dysząc ciężko.

Wczepiona w jego ramię Gronostaj płakała bezdźwięcznie, nie śmiejąc spojrzeć w twarz obruganej wiedźmy. Bała się nawet pomyśleć, co się teraz wydarzy.

Babunia milczała. Długo.

– Zaopiekuj się nią – rzekła wreszcie miękko. – I zabierz ją stąd jak najdalej. Bo w Wilżyńskiej Dolinie długo nie wyżyje, za głupia na to. Za głupia nawet, by zgadnąć, czemu w jej chacie siedzisz.

Po czym obróciła się na pięcie i poszła sobie.

– A moje życzenie?! – wykrzyknęła przez łązy ładacznicą. – Ukradła mi moje życzenie!

– Ale zgadła moje – odparł bezmiernie zdumionym głosem szczurak.

Przez jedną krótką chwilę Gronostaj rozmyślała o grabarzu Rufianie i wszystkich swoich siostrach z króliczej szopki, o nocnych hulankach w gospodzie, grasantach i wiejskich parobkach, którzy obiecywali pokazać jej cały wielki świat i nieodmiennie umykali przed pierwszym śniegiem, o chłóście u pręgierza i stosie, na który próbowała ją zawlec Kordelia, młynarzowa.

A potem odpowiedziała.

I nikt już nigdy nie widział ich w Wilżyńskiej Dolinie.

EPILOG

Babunia Jagódka tkwiła na głazie z rękoma wspartymi na brzozonej sztachecie i nieodłączną flaszeczką jałowcówki na podołku, bo w Wilżyńskiej Dolinie śniegi zaczęły topnieć, ale rankiem mróz trzymał nadal krzepko. Od południa doleciał ją jasny głos skowronka, który, najpewniej z głodu, darł się rozgłośnie ponad polem, i rzeński stukot siekier. Dwór stanął zeszłej jesieni tuż obok spopielających resztek siedziby władcy, a teraz w folwarku pośpiesznie szykowano stajnię dla stada turzniańskich wierzchowców, sześć miesięcy temu zakontraktowanych przez nowego władcy u południowych kupców. Babunia Jagódka potrząsnęła głową. Przez zimę wiele się nasłuchała o wojennych przewagach Szymka i pewnie niektóre były prawdziwe, zważywszy że krzepę zawdzięczał nieocenionym dekoktom z dziewięcisiła. Ale najwyraźniej żadne czarodziejskie napary nie wbiły mu do łba ni krzyny rozumu. W gospodarskich zajęciach nie wiodło mu się wcale, przy tym groszem tak szastał, że wiedźma nie była pewna, czy może cichaczem nie zaczął po kawałku zastawiać folwarczku. Co tu dużo kryć, nie najlepiej działało się w wilżyńskim dworze. Jarosławna wyprawiała się na długie przejażdżki po łąkach i oczeretach. Wilżyńską wioskę jednak omijała z daleka, a już najbardziej chałupę Kordelii młynarzowej i jej nowego męża, zbójcy Waligóry. Szymek zaś pił na umór z niewiadomych powodów i wiedźma bała się czasem, że przyszłość wywróżona kiedyś dla psoty przez czarodziejską studnię zdoła się jednak dla tych dwojga spełnić.

Nie próbowała zgadywać, jak będzie. Nie chciała również wiedzieć, co uczyni minstrel, choć tego ranka w czystym i skrzącym się mrozem górskim powietrzu wyraźnie słyszała wygrywaną przez niego melodię. Minstrel obozował samotnie, co nie była w Wilżyńskich Górach rzecz częsta ni rozważna. Wojna się niby skończyła, ale na pogórzcu wciąż hulali gransanci, a z dala od głównych traktów srożyli się szcuracy. Także kupiecka milicja zapuszczała się zbrojnie w odległe górskie doliny za przyczyną księcia, który chytrze ogłosił, że pakta i traktamenty z wiergowskim narodem zawarł pod urokiem, nieważne są tedy ze szczętem. Złota jednak nie oddał. Kupcy zeżlili się wielce na podobne okpienie, zwłaszcza że ich księżę o czary nieczne oskarżył i że się ze zwierzołactwem na jego zgubę zmawiali. Nie mieli wszakże dość siły do wojenki z całą Spichrzą, poprzestawali na małe, pustosząc, pałac i grabiąc pograniczne włości.

Babunia nie przypuszczała, aby bard miał choć pojęcie o miejscowych swarach, lecz żalnicka wojna i jego naznaczyła, kiedy smocze łodzie piratów spadły zniecka na Skalmierz, obracając w perzynę miasto z białego kamienia i sam pałac doży.

Żar wygasi. Minstrel podniósł się z pieńka, roztarł zranione kolano i pokuśtykał ku olsze, u której sobie uwiązał bułanego konika. Wsparł głowę o jego szyję i podumał chwilę nad wiedźnią obietnicą i nad zaklętą księżniczką, której nie zdołał znaleźć w zameczku jej męża. A później spomiędzy buczyny, olchy i głogu wybiegła mu na spotkanie ścieżka, wąska, zarosła trawą i kręta. Tuż przy wyjściu z doliny rozdzielała się w dwie odnogi, prowadzące na północ, ku wiergowskim siedzibom, i na zachód, ku odległym szczytom Pała, Maczugi i Mnicha. Lecz tylko mały czyżyk, który siedział na głazie u rozwidlenia drózek zobaczył, dokąd pojechał minstrel.

Tuż nad brzegiem Modrej dwa wędrowne szczury przemykały się rączo w komyszach oszronionej tarniny. Mniejszy kluczył trochę, wyskakiwał na boki i wiedźmie się wydawało, że widzi na jego pysku znajomy odbłask niebieściuchnych ślepi ladacznicy Gronostaj. Nieopodal, w osłoniętym sosnami zakolu gościńca dopalały się resztki kupieckiego wozu, który tego samego rana turkotał z

animuszem po bruzdach i wybojach. Właściciel leżał na boku, z kamieniem niczym poduszka podłożonym pod głowę. Na jego rozszarpanym gardle widać było wyraźnie ślad zwierzołackich zębów.

Trochę dalej, u wejścia do jaskini, gdzie gnieździli się szcurzy, cztery płowe koty przywarowały czujnie w rumowisku głazów, wypatrując zdobyczy.

A w maleńkim górskim zameczku ksiązę odłożył pergamin i zapatrzył się w ogień. W liście ksiązę Piorunek zaklinał go boskim imieniem, by wygnał Servenedycki i przystąpił do ligi przeciw zwierzchności Spichrzy. Tymczasem zamek nie przebudził się jeszcze i w komnacie na wieży dwoje małych dzieci, płowe i czarnowłose, obracało się we śnie.

Wiedźma przymknęła oczy i przez dobrą chwilę wygładzała w myślach te wszystkie opowieści, które przylatywały do niej jak pasma pajęczyny, by zaraz zniknąć na dobre. Potem schowała flaszczkę i, przytrzymując za krzyże, ciężko dźwignęła się na nogi. Jak to wiosenną porą, podagra jej doskwierała, w plecach łupało niezmiernie, odbierając jej wszelkie lubieżne chęci i do psot zniechęcając. Była stara. Nawet w młodzieńczej postaci. I rozumiała dokładnie, że jej czas w Wilżyńskiej Dolinie przemija z wolna i że niezadługo zapragnie odejść w ogień – wedle woli boga odmienić się i odmłodnieć, albo wypalić bez reszty.

– Już wkrótce, ojcie – wyszeptwała, gładząc szorstką powierzchnię głazu.

Lecz była jeszcze opowieść, od wszystkich innych osobna i pierwsza, podniosła więc naręcze chrustu i niechętnie dosiadła brzozonej sztachety. A potem poleciała. Na północ.

* * *

Polana była niewielka i mroczna, ale samym jej środkiem płynął obficie strumyk, wezbrawszy wiosennym śniegiem. A jeźdźców było trzech. Przystanęli grzecznie, kiedy wiedźma wynurzyła się z chaszczy.

– O, nie ma mowy! – zastrzegł się prędko mężczyzna w sutym błękitnym żupanie i czapce rysiem obszytej. – Ja prosty grasant jestem i tylko się przypadkiem w kompanii zaplątałem, a jak się tu zasadzacie na zbójeckiego hetmana, to wiedźcie...

– ...że nie znajdziecie go, babko! – dokończył śmiało najmłodszy, jasnowłosy chłopak w srebrzystym, północnym szłomie. – Tuż po rankorskiej bitwie jakoby w ziemię się zapadł i nie widzieliśmy go więcej. Może nie żyje. A szkoda wielka, bo on do wiedźm był prędko, przez strumień by was przeniósł, a może i przyhołubił na dobre.

– Et, niewielka strata – zaskrzeczała wiedźma. – Ty mi się lepiej nadasz – młody, gładki, zasobny i wysokiego rodu. Chwytaj i przenoś, mój słodki, a wynagrodzę cię hojnie życzeniem, dobrym słowem, a może i całusem! – I wyszczerzyła oba nadpróchniałe zęby.

– A zabieraj tę gębę, bo inaczej ci, babo, kijem grzbiet wymłóczę...! – zamiast młodzieńca obruszył się grasant w błękitnym żupanie, nader wymownie sięgając ku rękojeści zgrabnej żalnickiej szabelki.

– Zostaw, Bogoria! – Trzeci z jeźdźców, wysoki mąż w zwyczajnym ciemnym kaftanie i gładkiej srebrnej opasce na czole, zeskoczył z siodła. – Ja was, babciu, przeniosę.

– Jesteście pewni, panie? – zaniepokoił się grasant. – Przecie to jest, z przeproszeniem, wiedźma. Po stroju widać, że obca, i nie wiadomo nawet, czy jej kto od pomorskiej strony na nieszczęście nie nasłał.

Człek w srebrnej opasce na czole nie słuchał go jednak. Zdjął z ramion płaszcz, pyszny, podbity sobolem, i z wielką starannością owinał weń Babunię, a potem ujął mocno, że nie mogła się ruszyć, i przeniósł przez strumyk.

– Wcale nie chciałam cię dotknąć – zarechotała wiedźma. – Nie chciałam cię uczarować. Daremne

zresztą zachody, bo tobie już niewiele zostało do odebrania. Jeśli cokolwiek, kniaziu.

Na przeciwnym brzegu grasant w rysiowej czapce pobiełał nagle na twarzy i uczynił gest, jakby chciał pchnąć konia w strumień i stratować wiedźmę.

– Skoro tak mówicie. – Mężczyzna nader ostrożnie postawił ją na brzegu i cofnął się ze dwa kroki, w sam nurt potoku. – Znam wiedźmy. Bywajcie zdrowa, babciu.

– A życzenie, kniaziu? – Babunia zmrużyła oczy. – Jakże wam mogę dogodzić za tę dla starej łaskawość?

– Nie mam żadnego życzenia – odpowiedział oschle z samego środka potoku.

– Czy naprawdę, kniaziu? – Wiedźma uśmiechnęła się i w tej samej chwili jej oczy nabrzmiały magią, płomienistą jak ogień. – Więc skoro prosić nie chcesz, to dam ci je z wolnej woli. Ścieżka cię poprowadzi w dół z wartkim nurtem strumienia, ale na lasu skraju rozwidli się w trzy różne strony – na zachód, północ i na wschód. Na krańcu zachodniej – zagłada, nieprędka, lecz nieuchronna, bo pustynna kurzawa zaczyna się już podnosić wśród piasków Birghidyo. Na krańcu zaś północnej – bogactwo i sława nieśmiertelna, a dla królestwa spokojność długa jeszcze niezmiernie. Na krańcu zaś wschodniej – zaniósła się skrzekliwym śmiechem – jest skała pośrodku morza, daleko od wszystkich brzegów, i jest na skale dziewczyna, co pieśni morzu śpiewa. Jej włosy – garść wodorostów, jej oczy – wody dwie krople, jej umysł – jak pusta muszla. Sam wybierz, kniaziu.

Uniosła w górę ramiona i, zanim zdążyli choćby mrugnąć powieką, odmieniła się w kruka i kracząc, pofrunęła nad lasem.

I później nie widzieli jej więcej.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
A kochał ją, że strach.	3
Córki grabarza.	14
„Rzyć niewieścia...”.	31
Zaklęta księżniczka.	45
Ballada.	64
Grasanci z Kamiennego Lasu.	84
Grzybobranie.	105
Kot Wiedźmy.	121
Szczur i panna.	144
Epilog.	182